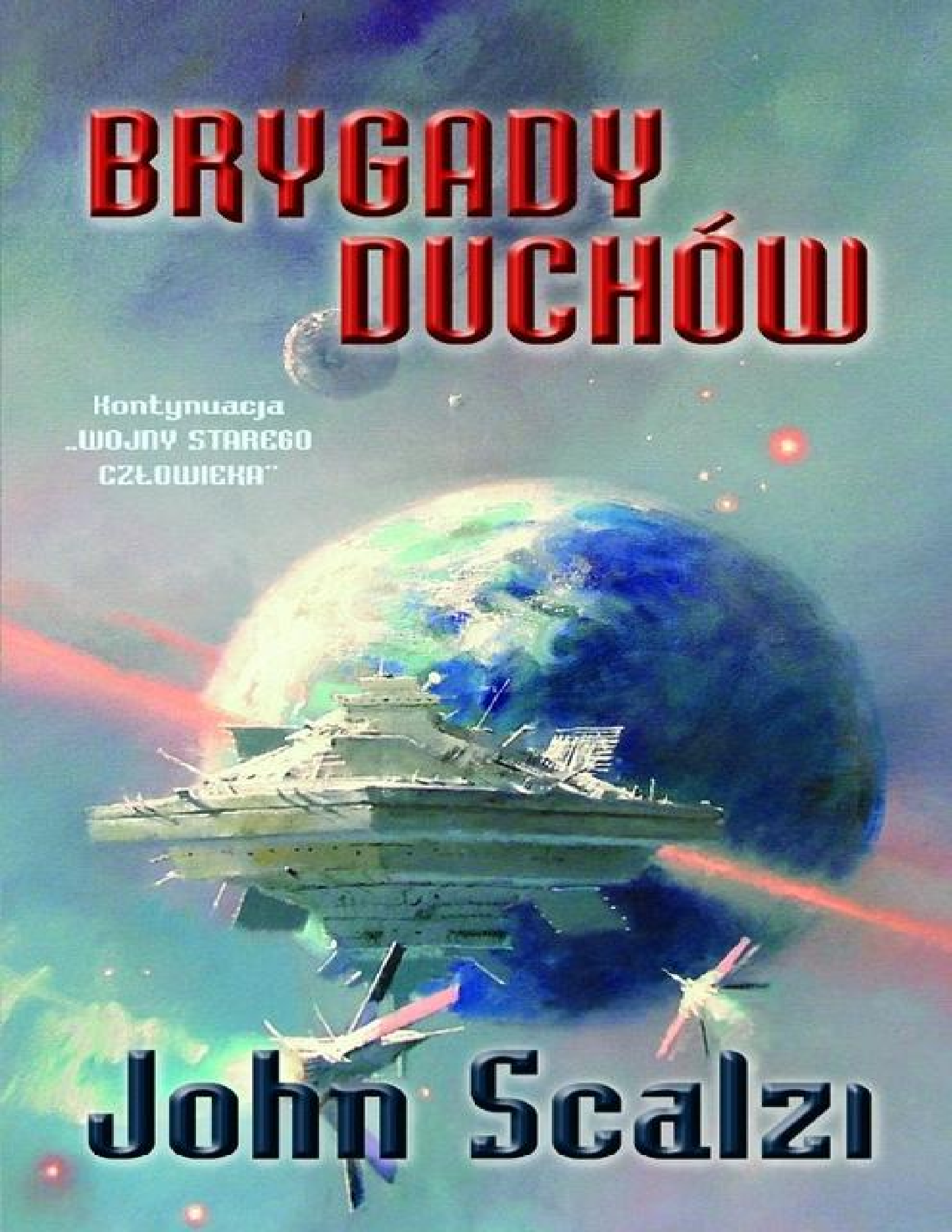


BRYGADY DUCHÓW

The background of the cover is a vibrant, multi-colored space scene. A large, detailed Earth is the central focus, showing continents and oceans. In the foreground, a large, complex space station or battleship is depicted, with various structures and antennas. Several smaller spacecraft, including what appear to be fighters or probes, are scattered around the main vessel. The sky is filled with stars, nebulae, and streaks of light in shades of red, blue, and green.

Kontynuacja
„WOJNY STAREGO
CZŁOWIEKA”

John Scalzi

JOHN SCALZI

BRYGADY DUCHÓW

Przełożył: Wojciech Pułowski



Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

PODZIĘKOWANIA

CZĘŚĆ I

PIERWSZY

DRUGI

TRZECI

CZWARTY

PIĄTY

SZÓSTY

SIÓDMY

CZĘŚĆ II

ÓSMY

DZIEWIĄTY

DZIESIĄTY

JEDENASTY

DWUNASTY

TRZYNASTY

CZTERNASTY

PIĘTNASTY

JOHN SCALZI

Dla Sitary Zoll, za jej przyjaźń i całą resztę.

Dla Kristine i Ateny, za ich cierpliwość i miłość.

PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim chciałbym podziękować wszystkim tym, którzy uważają, że pisanie dalszego ciągu powinno być czymś łatwym, ponieważ stworzyło się już cały wszechświat: ha ha ha! Otóż nie!

Mając to na uwadze, pozwólcie mi najpierw podziękować mojemu wydawcy, Patrickowi Nielsenowi Haydenowi, za to, że wolał co jakiś czas przesyłać mi zwykłe maile, w których pisał, że miałby ochotę przeczytać następny rozdział, zamiast po prostu mnie udusić, co prawdopodobnie powinien i teraz mógłby już spokojnie zrobić, ponieważ dostał już cały rękopis i nie mogłoby to mu w żaden sposób zaszkodzić (chyba, że chce dostać ode mnie następną książkę).

Wspaniali ludzie z wydawnictwa Por, którzy zasługują na miłość i/albo czekoladki to: Teresa Nielsen Hayden, Liz Gorinsky, Irene Gallo, Fiona Lee (która została deportowana, ale jest w Chinach i żyje), Dot Lin i Tom Doherty. Chociaż wszyscy, którzy pracują w Torze zasługują na miłość i/albo czekoladki, nie piszę tego dlatego, że sprawiłem im tyle kłopotów nie dotrzymując terminów. No, może nie tylko dlatego. Ale i tak są wspaniali. Wielkie dzięki dla Richa Klina, za heroiczne zredagowanie tego tekstu.

Jak zawsze dziękuję mojemu agentowi Etanowi Ellenbergowi, doceniając bardzo rozumny i kulturalny sposób, w jaki wyklóca się o warunki umów.

„Brygady duchów” powstały między innymi dlatego, że pierwsza książka z serii, „Wojna starego człowieka”, została pochwalona w Internecie przez ludzi, których dobry smak jest gwarantowany przez ich licznych czytelników. Dziękuję im wszystkim, a w szczególności:

Cory'emu Doctorowowi, Stephenowi Greenowi, Stephenowi Bainbridge i Eugene Volokh. A tak przy okazji, jeśli kiedykolwiek zastanawialiście się nad tym, czy opinia wyrażona gdzieś w Internecie może mieć znaczenie – o, tak, jak najbardziej!

Jeśli zastanawiacie się nad tym, dlaczego niektóre rzeczy w tej książce są tak dobre, to odpowiem krótko – zobaczyłem, że sprawdzają się w innych książkach i powiedziałem sobie: „To naprawdę dobry pomysł, chyba go ukradnę”. Świadomie kradłem między innymi od Nicka Sagana (jego pomysł przekazywania świadomości, tak wspaniale użyty w „Urodzonym w Edenie”), Scotta Westerfelda (którego niesamowite opisy kosmicznych bitew w „The Risen Empire” i „The Killing of World” sprawia, że będziecie szlochać z rozkoszy) i Davida Brina, którego koncept „wspomaganych”, czyli „udoskonalonych” (patrz: „Wojna Wspomaganych”) dostaje od mojego MózGościa głośny sygnał aprobaty. Dziękuję także wszystkim autorom SF, których nazwiska wykorzystałem w książce.

Jak zawsze, Regan Avery w niezastąpiony sposób służyła mi jako pierwsza czytelniczka. Każdy pisarz powinien mieć swoją Regan. Ale nikomu nie oddam Regan Avery.

Jest moja!

Chad Brink przesłał mi mailem do podpisu kopię jednej z moich książek i parę miesięcy minęło, zanim zdołałem mu ją odesłać. Prawdę mówiąc, ta kopia być może wciąż jest u mnie.

Zakładam, że umieszczenie go w podziękowaniach dołączonych do tej książki w jakiś sposób wynagrodzi mu długie oczekiwanie na przesyłkę. Tak na marginesie, nie ma sensu przysyłać mi mailem książek do podpisu. Ze względu na mnie, nie na was.

Devenie Desai, Nataszo Kordus, Kevinie Stampfl, Mykalu Burns, Danielu Mainz, Justine Larbalestier, Lauren McLaughlin, Andrew

Woffmden, Charlie Strossie, Billu Schaferze, Karen Meisner, Anne KG Murphy, Cian Chang, Kristy Gaitten, Johnie Anderson, Stephenie Bennett, Erinie Barbee, Joe Rybicki i wy, których nie pamiętam, bo jest czwarta trzydzieści nad ranem, ale wy sami wiecie, kim jesteście – kocham was wszystkich i chciałbym mieć wasze dzieci. A nawet bliźniaki.

Na koniec, bardzo gorąco, chciałbym podziękować Kristine i Atenie Scalzi za anielską cierpliwość, którą okazały mi w czasie, kiedy pisałem tę książkę. Proces tworzenia tej powieści był szczególnie trudny dla Ateny, która w pewnym momencie powiedziała do swojej matki: „Tato zrobił się nudny”. No cóż, kochanie, obiecuję Ci, że będę mniej nudny niż ostatnimi czasy (zaczynając od tej właśnie chwili).

CZĘŚĆ I

PIERWSZY

Nikt nie zauważył tej skały.

Nie bez powodu. Wyglądała jak jeden z milionów odłamków kamienia i lodu, jakich wiele krąży na parabolicznej orbicie tej wygasłej, krótkookresowej komety. Było wiele mniejszych i większych kawałków skały od niego, nie było niczego szczególnego, co wyróżniałoby go spośród ogromnej liczby pozostałych. Gdyby, dzięki jakiemuś wyjątkowemu zbiegowi okoliczności, skała ta została namierzona przez planetarny system obrony, pobieżna analiza wykazałaby, że składa się z mieszaniny krzemianów i rud różnych metali. Orzeczenie byłoby następujące – to tylko skała, na dodatek nie dość duża, by móc spowodować jakieś poważniejsze zniszczenia.

Dla planety, która znalazła się na drodze tej skały i paru tysięcy jej braciszków, było to zagadnienie czysto akademickiej natury – planeta ta nie posiadała własnego systemu obrony.

Miała za to własną grawitację, w zasięgu działania której znalazła się skała i towarzyszący jej kosmiczny drobiazg. Razem mogli stworzyć deszcz meteorytów, tak jak działo się to za każdym razem, kiedy jakaś planeta znalazła się na drodze którejś z komet, w czasie któregoś ze swoich obrotów wokół słońca. Żadna inteligentna istota nie stała na powierzchni tej lodowatej planety – gdyby jednak tam się znalazła, mogłaby spojrzeć do góry i ujrzeć urocze smugi i świetliste promienie powstałe w chwili, kiedy te małe odłamki kosmicznej materii spalały się w atmosferze, rozpalone przez siłę tarcia skał w gęstniejącym powietrzu.

Olbrzymia większość spośród tych nowo mianowanych meteorów wyparowała w zetknięciu z atmosferą, ich materia przemieniła się w czasie tej ognistej podróży z oddzielnych, solidnych kawałków w długą smugę mikroskopijnych cząstek. Mogły pozostawać w atmosferze praktycznie bez końca, a w każdym razie do momentu, w którym nie staną się zalążkami kropeł wody, które w końcu, pod wpływem własnego, rosnącego ciężaru, spadną na ziemię w postaci deszczu (albo raczej, biorąc pod uwagę surowy klimat tej planety, śniegu).

Masa głównej skały roju była jednak zbyt duża. Rosnące ciśnienie atmosferyczne utworzyło na jej powierzchni sieć włosowatych szczelin, po chwili nacisk gęstniejącej warstwy gazów gwałtownie je rozsadził – odłamki oddzieliły się od skały i rozbłysły, pochłonięte przez niebo. Jednak pod koniec podróży przez atmosferę pozostało jej na tyle dużo, żeby uderzyć w powierzchnię planety; spadająca z olbrzymią prędkością płonąca piguła trafiła w kamienną równinę, oczyszczoną ze śniegu i lodu przez wiejące tam silne wiatry.

W wyniku uderzenia wyparowała sama skała i spora część równiny, w rezultacie czego powstał odpowiednio spory krater. Kamienna równina, sięgająca w głąb gruntu na dużej powierzchni planety, powtórzyła odgłos uderzenia jak dzwon, którego dźwięk rozbrzmiał parę oktaw poniżej granic słuchu większości znanych gatunków inteligentnych istot.

Powierzchnia planety zadrżała.

Daleko od miejsca uderzenia, głęboko pod powierzchnią planety, ktoś w końcu zauważył skałę.

– Wstrząs – poinformowała Sharan nie odrywając wzroku od monitora. W parę chwil później wewnątrz planety znów zadrżało.

– Kolejny wstrząs – powtórzyła.

Cainen spojrzał na asystentkę znad swojego monitora.

– Zamierzasz to powtarzać za każdym razem? – zapytał.
– Chcę, żebyś wiedział o wszystkim, co się dzieje – ironicznie skomentowała.

– Doceniam twoje zaangażowanie, ale naprawdę nie musisz tego mówić za każdym razem. Jestem naukowcem. Wiem, że kiedy ziemia się porusza, możemy się spodziewać wstrząsu tektonicznego. Twoje pierwsze oznajmienie było użyteczne. Ale za piątym czy szóstym razem to się staje monotonne.

Kolejny grzmot.

– Wstrząs – rzekła Sharan. – Już siódmy z kolei. W każdym razie nie jesteś sejsmologiem. To zjawisko spoza zakresu twoich wielu specjalizacji.
– Pomimo typowego dla Sharan śmiertelnie poważnego tonu tej wypowiedzi, trudno nie było dostrzec jej sarkazmu.

Gdyby Cainen nie sypiał ze swoją asystentką, mogłoby go to zirytować. Zamiast tego pozwolił sobie na tolerujące jej krnąbrność rozbawienie.

– Nie przypominam sobie, żebyś ty specjalizowała się w sejsmologii – zauważył.

– To moje hobby.

Cainen otworzył usta, żeby odpowiedzieć i wtedy podłoga nagle wystrzeliła w jego stronę. Dopiero po chwili zorientował się, że nie tyle podłoga wyszła mu na spotkanie, tylko on nagle został na nią rzucony. Leżał teraz bezwładnie, wokół niego wałała się co najmniej połowa przedmiotów, które jeszcze przed chwilą znajdowały się na jego stanowisku pracy.

Wywrócony do góry nogami taboret leżał po jego prawej stronie, wciąż lekko chwiejąc się pod wpływem wstrząsu.

Spojrzał na Sharan, która nie patrzyła już w swój monitor – głównie dlatego, że leżał on roztrzaskany na podłodze, tuż obok miejsca, gdzie

upadła.

– Co to było? – jęknął Cainen.

– Wstrząs tektoniczny? – zasugerowała z nadzieją w głosie a potem wrzasnęła, kiedy laboratorium znów zadrżało gwałtownie wokół nich. Z sufitu pospadały panele świetlne i dźwiękowe; Sharan i Cainen z wysiłkiem wczołgali się pod swoje stoły. Kiedy udało im się pod nimi ukryć, świat wokół nich po raz kolejny eksplodował.

W końcu wstrząsy ustały. Cainen rozejrzał się po mrugającymi resztkami oświetlenia pomieszczeniu i zobaczył, że spora część jego laboratorium znalazła się na podłodze, łącznie z większością sufitu i dużą częścią ścian. Zazwyczaj laboratorium pełne było pracowników i asystentów Cainena, dzisiaj jednak zostali we dwójkę po godzinach, żeby zrobić porządek z wynikami badań. Większość personelu znajdowała się w swoich kwaterach, prawdopodobnie już spali. No cóż, teraz na pewno się obudzili.

W prowadzącym do laboratorium korytarzu rozległ się ostry, przenikliwy dźwięk.

– Słyszysz to? – zapytała Sharan. Cainen potakująco pochylił głowę.

– To sygnał do obsadzenia stanowisk bojowych.

– Więc zostaliśmy zaatakowani? Myślałam, że ta baza ma tarczę osłonową.

– Ma, albo miała. W każdym razie powinna mieć.

– W takim razie muszę przyznać, że ktoś wykonał kawał niezłej roboty.

Teraz Cainen był poirytowany.

– Nie ma rzeczy doskonałych, Sharan.

– Przepraszam – dodała szybko, odczuwając jego nagłą irytację. Cainen mruknął coś pod nosem, wynurzył się spod osłony stołu i podszedł do leżącej drzwiami do ziemi szafki.

– Chodź, pomożesz mi z tym – powiedział do asystentki.

Wspólnymi siłami postawili szafkę na boku i w końcu można ją było otworzyć. W środku był mały pistolet i magazynek pełen pocisków.

– Skąd to masz? – spytała.

– To jest baza wojskowa. Jest tu pełno broni. Ja mam dwa takie pistolety; jeden tutaj, a drugi w kwaterach. Trzymałem je na wypadek, gdyby stało się coś takiego jak teraz.

– My przecież nie jesteśmy żołnierzami.

– Co na pewno będzie miało wielkie znaczenie dla tych, którzy zaatakowali bazę -odparł, wyciągając pistolet w jej stronę. – Weź to.

– Nie dawaj mi go. Nigdy się czymś takim nie posługiwałam. Ty to weź.

– Jesteś pewna?

– Tak. Ja pewnie co najwyżej strzeliłabym sobie w nogę.

– Jak chcesz. – Cainen załadował pistolet i wsunął go sobie do kieszeni fartucha. -Powinniśmy skierować się w stronę naszych kwater. Tam są nasi ludzie. Jeśli coś się stanie, powinniśmy być z nimi.

Sharan przytaknęła nie mówiąc już ani słowa. Jej zwykły sarkazm znikł gdzieś bez śladu; wyglądała na zmęczoną i przestraszoną. Cainen przytulił ją na chwilę.

– Nie martw się, Sharan. Nic nam się nie stanie. Musimy się tylko postarać dotrzeć szybko do naszych kwater.

Zaczęli przedzierać się przez stosy gruzu w korytarzu, kiedy usłyszeli, że otwierają się drzwi klatki schodowej pionowego, międzypoziomowego tunelu. W słabym świetle, na końcu pełnego kurzu korytarza Cainen dostrzegł dwie wysokie postacie wchodzące przez otwarte drzwi. Powoli zaczął wycofywać się w stronę laboratorium; Sharan, która zawróciła wcześniej, dotarła już do drzwi, przez które przed chwilą wyszli. To piętro można było opuścić jeszcze tylko w jeden sposób – windą, która znajdowała się za schodami. Znaleźli się w pułapce. Cofając się Cainen

poklepał się po kieszeni fartucha; sam również nie miał zbyt dużego doświadczenia w posługiwaniu się bronią, nie był pewien, czy z tej odległości trafiłby chociaż w jeden cel – a tym bardziej w dwa, które na dodatek najprawdopodobniej były przeszkolonymi żołnierzami.

– Administratorze Cainen! – zawołała jedna z postaci.

– Tak? – Cainen odpowiedział mimowolnie i natychmiast pożałował tego, że zdradził, gdzie się znajduje. – Administratorze Cainen – powtórzyła postać. – Przybyliśmy, żeby pana stąd wydostać. Tutaj nie jest pan bezpieczny.

Postać weszła w mglisty krąg światła i okazała się być Atenem Randtem, jednym z dowódców bazy. Cainen w końcu rozpoznał go po jego insygniach i po symbolu klanu na pancerzu. Aten Randt był Eneshaninem i Cainen czuł się odrobinę zawstydzony faktem, że po tak długim czasie spędzonym wspólnie w tej bazie, oni wszyscy wyglądali dla niego jednakowo.

– Kto nas zaatakował? – spytał Cainen. – I jak udało im się znaleźć naszą bazę?

– Nie wiemy dokładnie kto nas zaatakował, ani dlaczego – odparł Aten Randt. Klekotanie, jakie wydawały jego narządy mowy przekładane było przez małe urządzenie, które wisiało mu na szyi. Aten Randt mógł rozumieć Cainena bez pomocy tłumacza, musiał jednak z niego korzystać, kiedy się do niego zwracał. – Bombardowanie przeprowadzone zostało z orbity i jak do tej pory udało nam się jedynie namierzyć ich okręt desantowy. – Aten Randt zbliżył się do Cainena, któremu z trudnością udało się nie wzdrygnąć. Pomimo wspólnie spędzonego czasu wciąż czuł się nieswojo w towarzystwie przedstawicieli tej owadopodobnej rasy. – Administratorze Cainen, nie mogą pana tu odnaleźć. Musimy pana stąd zabrać, zanim baza zostanie zajęta.

– W porządku – zgodził się Cainen i lekko popchnął Sharan, żeby poszła przodem.

– Ona nie – zaprotestował Aten Randt. – Tylko pan. Cainen zatrzymał się i stanowczo powiedział:

– Ona jest moją asystentką. Będę jej potrzebował.

Wnętrze zadrżało od wybuchów kolejnych bomb, ich siła uderzyła Cainenem o ścianę i rzuciła go na podłogę. Kiedy upadł, zauważył, że zarówno Aten Randt, jak i wszyscy pozostali eneshańscy żołnierze stali w tych samych miejscach, co przed wybuchem.

– To nie jest właściwy czas na dyskusje, administratorze. – Emocjonalna oziębłość tonu translatora nadała wypowiedzi Atena Randta mimowolnie sardoniczny charakter.

Cainen chciał dalej protestować, ale Sharan delikatnie ścisnęła go za ramię.

– On ma rację. Ty musisz się stąd wydostać. Źle, że oboje tu jesteśmy, ale gdyby znaleźli tu ciebie, byłoby naprawdę niedobrze.

– Nie zostawię cię tutaj – zaprotestował Cainen.

– Cainen. – Sharan wskazała na Atena Randta, który stał obok niewzruszony – On jest jednym z najwyższych rangą oficerów w bazie. Zostaliśmy zaatakowani. Kogoś takiego jak on nie posyła się bez ważnego powodu. Zresztą teraz i tak nie ma czasu na kłótnie. Idź. Ja sama znajdę drogę do naszych kwater. Sam wiesz, że nie jesteśmy tu od wczoraj, trafię tam bez problemu.

Cainen patrzył na Sharan przez dłuższą chwilę, a potem wskazał na jednego ze stojących za Atenem Randtem eneshańskich żołnierzy.

– Ty, odeskortuj ją do naszych kwater.

– Będę go potrzebował przy moim boku, administratorze – odparł stanowczo Aten Randt.

– Poradzi sobie pan ze mną i bez niego. A jeśli on nie odeskortuje jej do naszych kwater, to ja będę musiał to zrobić.

Aten Randt osłonił swój translator i przywołał żołnierza do siebie. Stanęli prawie stykając się głowami i zaczęli rozmawiać wydając cichy klekot, odpowiednik szeptu – co i tak nie miało znaczenia, ponieważ Cainen nie znał eneshańskiego. Po chwili żołnierz stanął obok Sharan.

– Zaprowadzi ją do waszych kwater – zgodził się w końcu Aten Randt. – Ale nie chcę już słyszeć od pana żadnych próśb ani pretensji. Straciliśmy już dość czasu. Pan idzie ze mną, administratorze. – Chwytał Cainena za ramię i popchnął go w stronę drzwi klatki schodowej.

Cainen obejrzał się na Sharan, która lękliwie spoglądała na potężnego eneshańskiego żołnierza – to było ostatnie, co zobaczył, zanim Aten Randt przepchnął go siłą przez drzwi.

– To bolało – zaprotestował Cainen.

– Cicho! – skarcił go Aten Randt i popchnął w stronę wiodących na górę schodów. Zaczęli wspinać się po nich. W czasie drogi w górę zadziwiająco rzadko, a jeśli już, to delikatnie, Randt pomagał Cainenowi utrzymać właściwe tempo marszu.

– Zbyt dużo czasu zajęło nam znalezienie was i skłonienie do ruszenia się z miejsca. Dlaczego nie byliście w swoich kwaterach?

– Mieliśmy pracę do skończenia – bronił się Cainen. – Zresztą i tak nie mamy tutaj nic innego do roboty. Dokąd teraz idziemy?

– Do góry. Musimy dotrzeć do podziemnej kolejki służbowej.

Cainen zatrzymał się na chwilę i obejrzał na Atenę Randt, który w tym momencie prawie dorównywał mu wzrostem mimo tego, że znajdował się o parę stopni poniżej.

– Ta kolejka prowadzi do upraw hydroponicznych – zauważył Cainen. On sam, Sharan i inni członkowie jego personelu pojawiali się czasem w

olbrzymich hydroponicznych podziemnych cieplarniach, żeby nasycić oczy zielenią żywej roślinności; sama powierzchnia planety nie była zbyt pociągająca, chyba, że ktoś gustował w hipotermii.

– Uprawy hydroponiczne znajdują się w naturalnej jaskini. – Aten Randt szturchnął Cainena w bok, żeby ten ruszył dalej. – Pod nimi płynie zamknięta podziemna rzeka, która biegnie do podziemnego jeziora. Jest tam mały moduł mieszkalny, w którym będzie się mógł pan zatrzymać.

– Do tej pory nic nie wiedziałem o jego istnieniu.

– Do tej pory nie spodziewaliśmy się, że będziemy musieli z niego skorzystać.

– Mam tam dopłynąć wpław?

– Mamy na miejscu małą łódź podwodną. Nawet panu będzie w niej ciasno. W każdym razie nowa lokalizacja modułu już została w niej zaprogramowana.

– Jak długo będę musiał tam zostać?

– Miejmy nadzieję, że w ogóle nie będzie takiej potrzeby. W przeciwnym razie może to potrwać bardzo, bardzo długo. Jeszcze dwa półpiętra, administratorze.

Dwa półpiętra wyżej zatrzymali się pod drzwiami. Cainen z trudnością łapał oddech; Aten Randt od razu zaklekotał do swojego komunikatora. Przez dziesiątki metrów białej skały i betonu docierały do nich odgłosy toczącej się na górze bitwy.

– Udało im się dotrzeć do bazy, ale na razie trzymamy ich na powierzchni. W żadnym miejscu nie dostali się na ten poziom. Wciąż możemy zapewnić panu bezpieczeństwo. Proszę iść tuż za mną, administratorze i ani na chwilę nie zostawać w tyle. Zrozumiał pan?

– Zrozumiałem.

– Chodźmy więc!

Oficer uniósł swoją imponującą broń, otworzył drzwi i wszedł do dużego holu. Kiedy zaczął się poruszać, Cainen dostrzegł, że z wnętrza skorupy Eneshanina wysuwają się dodatkowe, przegubowe wydłużenia jego kończyn. To fizjologiczne przystosowanie pomogło Eneshanom osiągać większą prędkość w sytuacjach bojowych. Cainen doznał pamiętnego z dzieciństwa odczucia niesmaku skrzyżowanego z lękiem. Stłumił to w sobie i przyspieszył, żeby dotrzymać kroku Randtowi. Po drodze parę razy potykał się o walające się w holu części zniszczonych maszyn, w końcu udało mu się dotrzeć do znajdującej się na drugim końcu poziomej stacji podziemnej kolejki. Kiedy ciężko dysząc znalazł się na miejscu, Aten Randt sprawdzał już wskaźniki kontrolne małej lokomotywy z otwartym przedziałem pasażerskim.

Zdażył też odczepić od lokomotywy połączone z nią wcześniej wagony.

– Mówiłem, że ma się pan spieszyć – zganił go Randt. – Niektórzy spośród nas są starzy i nie mogą podwajać długości swoich nóg – wysapał Cainen i wskazał na lokomotywę. – Mam do tego wsiąść?

– Właściwie powinniśmy pójść pieszo. – Słyszac to Cainen odruchowo napiął mięśnie nóg. – Ale nie wydaje mi się, żeby był pan w stanie nadążyć za nami, a mamy coraz mniej czasu. Musimy podjąć ryzyko i skorzystać z tego transportu. Niech pan wsiada.

Cainen wszedł do przedziału pasażerskiego, który w zamierzeniu projektanta miał najprawdopodobniej pomieścić dwóch Eneshan. Aten Randt nastawił niewielki silnik lokomotywy na maksymalną prędkość, mniej więcej dwukrotnie przewyższającą prędkość eneshańskiego sprintu – w tak ciasnym tunelu wydawała się ona prędkością zawrotną. Potem odwrócił się i znowu uniósł lufę swojej broni, szukając wrogów w tunelu za nimi.

– Co stanie się ze mną, jeśli baza zostanie zdobyta?

– Będzie pan bezpieczny w module mieszkalnym, administratorze.

– No tak, ale jeśli baza zostanie zdobyta, to kto mnie stamtąd wyciągnie? Nie mogę na zawsze pozostać w module mieszkalnym, a przecież najprawdopodobniej nie będę w stanie samemu się stamtąd wydostać. Nawet jeśli ten wasz moduł jest świetnie przygotowany, to przecież zapasy żywności w końcu się skończą. Nie wspominając o powietrzu.

– Moduł ma zdolność pozyskiwania tlenu rozpuszczonego w wodzie nie udusi się pan.

– To cudownie. Ale wciąż będę mógł umrzeć z głodu – marudził Cainen.

– To jezioro ma ujście... – zaczął Aten Randt i nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo lokomotywa nagle się wykoleiła. Ryczący huk zapadającego się tunelu zagłuszył wszystkie inne dźwięki. Cainen i Aten Randt nagle znaleźli się w powietrzu, a właściwie w pełnej kurzu i pyłu ciemności.

Cainen nie miał pojęcia ile czasu minęło od tamtej chwili do momentu, w którym Aten Randt obudził go niezbyt delikatnym szturchnięciem.

– Nic nie widzę – narzekał Cainen.

Aten Randt zareagował włączając doczepianą do swojej broni latarkę.

– Dzięki.

– Wszystko w porządku? – zapytał Aten Randt.

– Nic mi nie jest. Jeśli to w ogóle możliwe, to chciałbym przeżyć resztę tego dnia, nie będąc po raz kolejny rzucony na ziemię. – Aten Randt zaklekotał potakująco i skierował strumień światła na odłamki skały, które zatarasowały tunel. Cainen zaczął się podnosić, co chwilę potykając się o gruz.

Aten Randt skierował strumień światła z powrotem na Cainena.

– Niech pan tu zostanie, administratorze. Tu będzie pan bezpieczny. – Strumień światła latarki błędził teraz po szynach. – Wciąż może nimi płynąć prąd. – Światło latarki przesuwało się teraz po nagle powstałych

ścianach ich nowego więzienia. Czy to przez przypadek, czy też rozmyślnie, bombardowanie, które zniszczyło linię kolejową, skutecznie uwięziło Cainena i Atena Randta, nie robiąc im krzywdy. W otaczających ich zwałach gruzu nie widać było żadnego prześwitu. Cainenowi przyszło do głowy, że już po raz drugi dzisiaj musi brać pod uwagę możliwość uduszenia się. Aten Randt dalej dokładnie badał ściany zawału, który ich uwięził i co jakiś czas sprawdzał swój translator, który najprawdopodobniej przestał działać.

Cainen siedział nieruchomo i starał się nie oddychać zbyt głęboko. Po jakimś czasie Aten Randt zakończył badanie osuwiska i zgasił latarkę, pograżając ich obu w ciemności. Po jakimś czasie znowu ją zapalił i skierował strumień światła na najbliższą bazy ścianę gruzu.

– Co to jest?

– Cicho! – uciszył go Aten Randt i przysunął się w stronę ściany osuwiska, jakby nasłuchując. Po chwili Cainen też coś usłyszał: dźwięki, które mogły być czyimiś głosami – nie były to jednak głosy nikogo miejscowego ani przyjaźnie nastawionego. Po chwili obaj usłyszeli odgłosy wybuchów. Kimkolwiek byli ci, którzy znajdowali się po drugiej stronie gruzu, teraz zdecydowali się wejść do środka. Aten Randt szybko odsunął się od ściany osuwiska i podszedł do Cainena z uniesioną do góry bronią, oślepiając go światłem latarki.

– Przykro mi, administratorze. – Do Cainena dotarło w tym momencie, że Aten Randt właśnie przestał obowiązywać rozkaz zapewnienia mu bezpieczeństwa. Kierując się bardziej instynktem niż świadomym namysłem, Cainen wychylił się ze strumienia światła, w rezultacie czego kula skierowana w środek jego tułowia trafiła go w ramię, okręcając go dookoła własnej osi i rzucając nim na podłogę. Cainen z trudem podniósł

się na kolana i zobaczył swój cień padający przed nim na ziemię, kiedy Aten Randt skierował strumień światła latarki na jego plecy.

– Poczekaj! – rzekł Cainen do swojego cienia. – Nie w plecy. Wiem, co musisz zrobić. Tylko nie w plecy, proszę.

Cisza trwała przez dłuższą chwilę, wypełniona jedynie dźwiękiem osypujących się kamiennych odłamków.

– Proszę się odwrócić, administratorze.

Cainen odwrócił się powoli, rozdrapując sobie kolana na ostrych odłamkach gruzu i włożył obie ręce do kieszeni fartucha, jakby wkładał je w kajdany. Żołnierz westchnął z rozkoszą; miał teraz możliwość wystrzelenia prosto w mózg Cainena.

– Jest pan gotowy, administratorze?

– Jestem gotowy – odparł Cainen, celując w światło latarki i strzelił do niego z trzymanego w kieszeni fartucha pistoletu.

Wystrzał z pistoletu rozległ się w tym samym momencie, co odgłos wybuchu z drugiej strony ściany gruzu. Aten Randt zdawał się nie zauważać, że został trafiony, dopóki krew nie zaczęła spływać z rany w jego pancerzu; sam Cainen ledwie widział pod światło rozerwaną skorupę jego odwłoka. Zobaczył, że pochyla on głowę, wpatrując się przez chwilę w ranę postrzałową, a potem podnosi zmieszane spojrzenie z powrotem na niego. W tym czasie Cainen zdążył już wyjąć pistolet z kieszeni fartucha. Strzelił do niego jeszcze trzy razy, opróżniając magazynek pistoletu. Aten Randt przechylił się do przodu na swoich przednich nogach, a potem z impetem upadł na plecy, rozrzucając wszystkie ze swoich czterech nóg pod różnymi kątami.

– Przykro mi – powiedział Cainen do świeżego trupa.

Powietrze wypełniło się kurzem, który po chwili rozświetlił się, kiedy przez szczeliny osuwiska wdarły się do środka stworzenia z latarkami

przymocowanymi do broni. Jedno ze stworzeń dostrzegło Cainena i zaszczekało; nagle padło na niego światło paru latarek. Cainen rzucił swój pistolet, podniósł do góry zdrową rękę w geście poddania się i odsunął się od ciała Atena Randta. Zastrzelenie Atena Randta w samoobronie mogło mu nie pomóc, jeśli te istoty zdecydują się otworzyć do niego ogień. Jedna z postaci podeszła bliżej, trajkocząc coś w swoim dziwnym języku i Cainen w końcu mógł się zastanowić, z jakim gatunkiem istot miał do czynienia.

Jego ksynobiologiczne wykształcenie dało o sobie znać, kiedy przyjrzał się szczegółom fenotypu tego gatunku: były to istoty obustronnie symetryczne, dwunożne (w wyniku czego ich ramiona i nogi różniły się budową), kolana zginały im się w niewłaściwą stronę. Z grubsza nie różniły się rozmiarami i ogólną konstrukcją ciała, co nie stanowiło zaskoczenia, ponieważ bardzo dużo gatunków tak zwanych inteligentnych istot było dwunożnych, obustronnie symetrycznych i przeważnie podobnej wielkości i masy ciała. Była to jedna z przyczyn, dla których międzygatunkowe relacje w tej części wszechświata były tak skomplikowane – tak wiele podobnych w budowie gatunków inteligentnych istot i tak mało przestrzeni życiowej do zagospodarowania. Ale teraz pojawiły się różnice, pomyślał Cainen, kiedy stworzenie znowu na niego zaszczekało: szerszy tułów w i brzuch, a także dziwaczna i niezgrabna budowa kostno-mięśniowa. Koślawe stopy i dłonie. Zewnętrznie widoczne różnice między płciami (o ile dobrze pamiętał, osobnik stojący najbliżej niego był rodzaju żeńskiego). Upośledzone postrzeganie zmysłowe; ograniczone do dwóch organów optycznych i dwóch słuchowych, co było prawie niczym w porównaniu z dwoma rzędami organów wzroku i słuchu, opasującymi niemal całą głowę Cainena. Stworzenia miały na głowach cienkie włókna tkanki rogowej, zamiast wydzielających ciepło fałd skórnych. Cainen nie po raz pierwszy

zauważył, że ewolucja nie była zbyt łaskawa dla tego gatunku istot inteligentnych.

Jednak uczyniła ich agresywnymi, niebezpiecznymi i cholernie trudnymi do usunięcia z powierzchni planet, które zajmowali. Ewolucja uczyniła z nich poważny problem, naprawdę poważny.

Stojące przed nim stworzenie zatrajkotało do niego i wyjęło krótki, groźnie wyglądający przedmiot. Cainen spojrział prosto w gniazda optyczne wrogiej istoty. – Pieprzeni ludzie! – warknął.

Istota z rozmachem uderzyła go trzymanym w rękę przedmiotem; Cainen poczuł mocne szarpnięcie i zobaczył taniec wielokolorowych światła. Po raz ostatni tego dnia, upadł na ziemię.



– Pamiętasz kim jestem? – zapytał siedzący za stołem człowiek, kiedy wprowadzono Cainena do pomieszczenia. Jego porywacze przyszykowali dla niego siedzisko, przystosowane do jego (w ich pojęciu) zginających się do tyłu kolan. Człowiek wymawiał słowa w swoim języku, a z umieszczonego na stole głośnika dobiegało tłumaczenie. Oprócz głośnika na stole znajdowała się tylko wypełniona przezroczystym płynem strzykawka.

– Jesteś tym żołnierzem, który pozbawił mnie przytomności uderzeniem w głowę -zauważył Cainen. Z głośnika nie dobiegły słowa tłumaczenia, z czego wynikało, że żołnierz dysponował jeszcze jakimś innym translatozem.

– To prawda – odparł człowiek. – Jestem porucznik Jane Sagan. – Wskazała w stronę siedziska. – Proszę usiąść.

Cainen usiadł.

– Nie było potrzeby pozbawiania mnie przytomności. Poszedłbym z wami z własnej woli.

– Mieliśmy swoje powody, dla których chcieliśmy pozbawić cię przytomności wyjaśniła. Wskazała na jego zranioną rękę, w którą trafiła go kula wystrzelona przez Atena Randta. – Jak twoja ręka?

– Całkiem dobrze.

– Nie byliśmy w stanie uleczyć jej całkowicie. Nasza technologia medyczna pozwala szybko leczyć większość naszych ran, ale ty jesteś Rraeyem, nie człowiekiem. Nasze fizjologie za bardzo się między sobą różnią. Jednak zrobiliśmy, co było w naszej mocy.

– Dziękuję – odparł Cainen z uśmiechem.

– Zakładam, że zostałeś postrzelony przez Eneshanina, którego przy tobie znaleźliśmy. Przez tego, którego zastrześliłeś.

– Tak.

– Ciekawa jestem, czemu doszło między wami do strzelaniny?

– Ponieważ on zamierzał mnie zabić, a ja nie chciałem umierać.

– Co aż nasuwa pytanie, dlaczego ten Eneshanin chciał cię zabić – kontynuowała śledztwo.

– Byłem jego więźniem. Podejrzewam, że miał rozkaz raczej pozbawić mnie życia niż pozwolić mi wpaść w ręce wroga.

– Byłeś jego więźniem, a jednak miałeś przy sobie broń.

– Znalazłem ją.

– Naprawdę? Co za zaniedbanie bezpieczeństwa ze strony Eneshan. To do nich niepodobne.

– Wszyscy popełniamy błędy.

– A czy wszyscy pozostali znajdujący się na terenie bazy Rraeyowie także byli więźniami?

– Tak, wszyscy byliśmy więźniami. – Cainen pomyślał o Sharan i reszcie swoich ludzi. Co się teraz z nimi dzieje?

– Jak doszło do tego, że staliście się więźniami Eneshan?

– Wszyscy znajdowaliśmy się na rraeyskim okręcie, w drodze do jednej z naszych kolonii. Lecieliśmy na wymianę medyczną. Eneshanowie zaatakowali nasz okręt, weszli na jego pokład, wzięli nas do niewoli i przysłali tutaj – wyjaśnił Cainen.

– Jak dawno temu to się stało?

– Jakiś czas temu. Nie jestem pewien. Tutaj żyliśmy według eneshańskiego czasu wojskowego, którego jednostki nie są mi dobrze znane. Poza tym, ta planeta ma bardzo szybką rotację, co dodatkowo komplikuje miarę czasu. Na dodatek nie znam także ludzkich jednostek upływu czasu, więc nie mogę dokładnie odpowiedzieć na to pytanie.

– Nasz wywiad nie doniósł o żadnym eneshańskim okręcie atakującym rraeyską jednostkę w ciągu ostatniego roku – to znaczy, według waszej miary, w ciągu dwóch trzecich hked -odrzekła Sagan, używając rraeyskiego terminu, określającego pełny obrót orbitalny rodzimej planety Rraeyów wokół ich gwiazdy.

– Być może wasz wywiad nie jest aż tak dobry, jak myślicie – z sarkazmem odparł Cainen.

– Może tak być. Jednak biorąc pod uwagę fakt, że skoro zgodnie z prawem Eneshanie i Rracyowie wciąż znajdują się w stanie wojny, to fakt zaatakowania jakiegoś okrętu powinien zostać zauważony. Wasza ludność walczyła ze sobą z o wiele bardziej błahych powodów.

– Nic więcej na ten temat nie mogę powiedzieć, bo po prostu nic więcej nie wiem. Przewieziono nas z okrętu prosto do tej bazy. Nie orientuję się, co się działo w tym czasie poza nią. Nie wiem też, co się nie działo.

– W tej bazie byliście przetrzymywani jako więźniowie? – jeszcze raz zapytała Sagan.

– Tak.

– Przeszukaliśmy teren całej bazy i znaleźliśmy jedynie mały areszt. Nic nie wskazuje na to, żebyście mieli tam ograniczoną swobodę ruchów.

Cainen wydał z siebie rraeyski odpowiednik ponurego chichotu.

– Jeśli widzieliście całą bazę, to bez wątpienia widzieliście też powierzchnię planety. Gdyby ktokolwiek z nas próbował stamtąd uciec, zamarzlby na samym początku drogi.

Nie wspominając o tym, że tutaj nie ma dokąd pójść.

– Skąd to wiesz?

– Eneshanowie tak nam powiedzieli i nikt z mojej załogi nie planował żadnej wycieczki, żeby sprawdzić, czy mówią prawdę.

– Więc nie wiecie o tej planecie nic więcej?

– Czasem jest tu zimno, a kiedy indziej jeszcze zimniej. Oto głębia mojej wiedzy na temat tej planety.

– Jesteś lekarzem? – Sagan zmieniła temat. – Nie znam tego terminu – odparł Cainen i wskazał na głośnik. – To wasze urządzenie nie potrafi podać odpowiednika w moim języku.

– Jesteś zawodowym medykiem. Zajmujesz się medycyną.

– To prawda. Specjalizuję się w genetyce. Dlatego byłem ze swoimi ludźmi na tamtym okręcie. W jednej z naszych kolonii wybuchła epidemia choroby destabilizującej sekwencjonowanie genów i podział komórek. Lecieliśmy tam, żeby to zbadać i znaleźć na to lekarstwo. Kiedy byliście w bazie, na pewno natknęliście się na nasz sprzęt. Eneshanowie byli na tyle mili, że dali nam miejsce na zorganizowanie laboratorium.

– Dlaczego to zrobili?

– Być może myśleli, że jeśli będziemy pracować nad własnymi projektami, łatwiej będzie nad nami zapanować. Jeśli tak myśleli, to mieli rację, bo staraliśmy się trzymać razem i sprawiać jak najmniej kłopotów.

– Chyba, że chodziło o kradzież broni – rzuciła Sagan.

– Miałem ten pistolet od jakiegoś czasu i jakoś nie wzbudziło to żadnych podejrzeń.

– Pistolet, którego użyłeś, został zaprojektowany dla Rraeyów. To dość dziwne, że znalazłeś go w eneshańskiej bazie.

– Musieli go zabrać z pokładu naszego okrętu – wyjaśnił Cainen. – Jestem pewien, że gdybyście dokładnie przeszukali bazę, znaleźlibyście wiele produktów zaprojektowanych przez Rraeyów.

– Powtórzmy więc wszystko jeszcze raz. Nieokreślony czas temu, Eneshanowie porwali cię wraz z całą resztą twojego medycznego personelu, po czym przywieźli tutaj, gdzie przetrzymywali was w charakterze więźniów, nie dopuszczając do żadnych kontaktów z waszymi współplemieńcami. Nie wiedzieliście co to za planeta, ani też jakie plany wobec was mieli Eneshanowie.

– To prawda. Podejrzewam tylko, że nie chcieli, żeby ktoś wiedział o tym, że jestem w bazie, ponieważ kiedy została zaatakowana, jeden z nich próbował mnie zabić.

– Na to wygląda – zgodziła się z nim. – Niestety muszę zawiadomić cię o tym, że miałeś o wiele więcej szczęścia niż cała reszta twoich podwładnych.

– Co to miałoby znaczyć?

– Spośród wszystkich Rraeyów tylko ty jeden pozostałeś przy życiu – wyjaśniła. -Eneshanowie zabili wszystkich pozostałych. Większość z nich znaleźliśmy w miejscu, które wyglądało jak koszary. Jedną osobę znaleźliśmy w pobliżu miejsca, które chyba służyło wam za laboratorium,

ponieważ znajdowało się w nim mnóstwo rraeyskiego sprzętu. Cainen poczuł, że robi mu się niedobrze.

– To kłamstwo – rzekł po chwili.

– Niestety nie.

– To wy, ludzie, ich pozabijaliście – wychrypiał oskarżycielskim tonem Cainen.

– Eneshanowie próbowali zabić ciebie – próbowała wyjaśnić Sagan. – Dlaczego nie mieliby pozabijać pozostałych członków twojego zespołu?

– Nie wierzę ci.

– Rozumiem, że wolałbyś nie wierzyć. Ale to prawda.

Cainen siedział nieruchomy i załamany. Sagan dała mu trochę czasu.

– No dobrze – po dłuższej chwili odezwał się Cainen. – Powiedz mi, czego ode mnie chcecie.

– Na początek, administratorze Cainen, chcielibyśmy poznać prawdę.

Dopiero po upływie kilku chwil do Cainena dotarło, że kobieta zwróciła się do niego używając jego imienia i tytułu. – Powiedziałem prawdę.

– Gówno prawda – warknęła. Cainen ponownie wskazał na głośnik.

– Translator przetłumaczył to wyrażenie jedynie po części.

– Jesteś administratorem, nazywasz się Cainen Suen Su. To prawda, że masz za sobą podstawowe medyczne szkolenie, jednak zajmujesz się głównie ksenobiologią i półorganicznymi neurologicznymi systemami obrony – te dwie dziedziny, w moim pojęciu, całkiem nieźle się zazębiają.

Cainen milczał. Sagan mówiła dalej.

– Administratorze Cainen, powiem ci, co już wiemy. Piętnaście miesięcy temu Rraeyowie toczyli z Eneshanami tę samą niekończącą się wojnę, którą toczą ze sobą od trzydziestu lat. Wojnę, którą podsycaliśmy, ponieważ dzięki niej mieliśmy spokój z obiema waszymi rasami.

– Nie całkiem – wtrącił Cainen. – Była jeszcze bitwa o Koral.

- To prawda. Sama tam byłam. O mało co nie zginęłam.
- Straciłem tam najmłodszego z moich braci – oświadczył Cainen. – Być mo że go tam spotkałaś.
- Być mo że... Jeszcze piętnaście miesięcy temu Rraeyowie i Eneshanowie byli zaciekłymi wrogami. A potem nagle przestali nimi być, przy czym nasz wywiad nie może znaleźć odpowiedzi na pytanie dlaczego tak się stało.
- Rozmawialiśmy już o niedociągnięciach waszego wywiadu. Co chwilę jakieś, do tej pory wrogie sobie rasy, przestają ze sobą walczyć. Po bitwie o Koral my przestaliśmy toczyć wojnę z wami.
- Przestaliśmy toczyć ze sobą wojnę, ponieważ was zwyciężyliśmy. Wycofaliście się, a my odbudowaliśmy Koral – przypomniała Sagan. – I oto właśnie chodzi; był powód, dla którego przestaliśmy ze sobą walczyć, przynajmniej na jakiś czas. Wy i Eneshanowie nie mieliście takiego powodu. I to nas martwi. Trzy miesiące temu satelita szpiegowski, którego umieściliśmy nad tą planetą zauważył, że jak na rzekomo niezamieszkały świat, panuje tu wyjątkowy ruch, przylatują tutaj zarówno okręty eneshańskie, jak rraeyskie. Zainteresowało nas to, ponieważ oficjalne prawa do tej planety roszczą sobie Obinowie, nie Rraeyowie czy Eneshanowie. Obinowie nie wchodzą w sojusze, administratorze, i są na tyle silni, że ani Rraeyowie, ani Eneshanowie nie mogą bezkarnie zakładać swoich placówek na ich terytorium. Umieściliśmy więc na orbicie planety lepiej wyposażonego satelitę szpiegowskiego, żeby sprawdzić czy planeta nie jest rzeczywiście zamieszkiwana. Nie wykryliśmy żadnych osiadli, żadnej infrastruktury. Administratorze, czy mógłbyś spróbować powiedzieć mi, dlaczego tak się stało?
- Domyślam się, że baza miała tarczę osłonową.

– Tak właśnie było – potwierdziła. – Zresztą tarcza ta bardzo przypominała rraeyskie osłony siłowe. Oczywiście wtedy jeszcze tego nie wiedzieliśmy, teraz jednak wiemy to z całą pewnością.

– Jak więc udało wam się odnaleźć bazę, skoro była chroniona tarczą osłonową? Jestem po prostu ciekaw z czysto zawodowego punktu widzenia.

– Spuściliś my na powierzchnię planety odłamki skał.

– S łucham? – Cainen był wyraźnie zaskoczony.

– Spuściliśmy skały – powtórzyła Sagan. – Miesiąc temu nafaszerowaliśmy planetę paroma tuzinami czujników sejsmicznych, które zostały zaprogramowane na poszukiwanie oznak świadczących o istnieniu stworzonych przez inteligentne istoty podziemnych budowli.

Mieliśmy już pewne doświadczenie w tym względzie, wiedzieliśmy, że łatwiej jest chronić tajne bazy tarczami osłonowymi, jeśli umieści się je pod ziemią. Biorąc pod uwagę naturalną sejsmiczną aktywność planety, zawężiliśmy zakres poszukiwań. Potem interesujące nas obszary zbombardowaliśmy za pomocą skał. Dzisiaj, tuż przed atakiem, dokonaliśmy kolejnego bombardowania, żeby uzyskać dokładną mapę dźwiękową bazy. Skały sprawdzają się w takich przypadkach, ponieważ zwykle uważa się je za naturalnie pojawiające się meteory. Nie budzą żadnych podejrzeń. I nikt nie potrafi zbudować osłony chroniącej przed sejsmiczną inwigilacją. Większość ras ogranicza się do zabezpieczania przed inwigilacją wizualną i wysokoenergetycznym skanowaniem elektromagnetycznym, nie widząc poważnego zagrożenia w falach dźwiękowych. To częsta wada wysoko rozwiniętych technologii: ignorują one skuteczność prostych środków, takich jak bombardowanie za pomocą skał.

– Trzaskanie o siebie skałami zostawiamy gatunkowi ludzkiemu – wspaniałomyślnie odparł Cainen.

Sagan wzruszyła ramionami.

– Nie przejmujemy się, kiedy nasz przeciwnik przynosi broń palną na pojedynek na noże. To nam tylko ułatwia wycięcie jego serca, albo jakiegokolwiek innego organu, który zajmuje się pompowaniem krwi. Wasza zbytnia pewność siebie działa na naszą korzyść. Co widać po tym, że jesteś tu z nami. Tak naprawdę jednak, chcemy wiedzieć, dlaczego tu jesteś, administratorze. Współpraca Rraeyów i Eneshan jest dla nas wystarczająco zagadkowa, ale współpraca obu tych ras z Obinami to już za dużo. To przestaje być dla nas jedynie zagadkowe, a zaczyna być naprawdę interesujące.

– Nie mam pojęcia, kto jest właścicielem tej planety – oświadczył Cainen.

– A jeszcze bardziej interesujący jesteś ty sam, administratorze Cainen – kontynuowała, ignorując jego komentarz. – Kiedy spałeś przeskanowaliśmy twój materiał genetyczny, żeby dowiedzieć się, kim jesteś. A potem skorzystaliśmy z banku pamięci okrętu, żeby poznać twoją historię. Wiemy, że jako ksenobiolog szczególnie interesujesz się rodzajem ludzkim.

Jesteś prawdopodobnie największym rraeyskim autorytetem w zakresie wiedzy o genetyce człowieka. Wiemy też, że jedną z głównych dziedzin twoich badań jest działanie ludzkiego mózgu.

– To część mojego ogólnego zainteresowania sieciami neurologicznymi – wyjaśnił. – Działanie ludzkiego mózgu nie jest, jak mówisz, jedną z głównych dziedzin moich badań.

Na swój sposób wszystkie mózgi we wszechświecie są dla mnie interesujące.

– Skoro tak twierdzisz... Jednak robiliście tam na dole coś takiego, co sprawiło, że Eneshanowie woleli was wszystkich zabić, niż pozwolić wam wpaść w nasze ręce.

– Przecież mówiłem już, że byliśmy ich więźniami. Sagan ziewnęła ze znużenia.

– Przez jedną chwilę udawajmy oboje, że nie jesteśmy głupi, administratorze Cainen. Cainen pochylił się nad stołem i zapytał:

– Jakim rodzajem człowieka jesteś?

– Co masz na myśli?

– Wiemy, że istnieją trzy rodzaje ludzi. – Cainen podniósł do góry trzy palce, o wiele dłuższe i gęściej rozczłonkowane od ludzkich. – Są niezmodyfikowane istoty ludzkie; to ci, którzy kolonizują planety we wszechświecie. Ten rodzaj występuje w różnych rozmiarach, kształtach i kolorach, widać cechuje ich duża różnorodność genetyczna. Druga grupa stanowi większą część waszej kasty żołnierzy, jej przedstawiciele także różnią się pod względem wielkości i budowy, chociaż w daleko mniejszym stopniu. Wszyscy są tego samego koloru – są zieloni. Wiemy, że ci żołnierze nie znajdują się w swoich oryginalnych ciałach – ich świadomości zostały przeniesione z ciał starszych istot waszego gatunku do tych silniejszych, zdrowych ciał, które zostały w znacznym stopniu usprawnione genetycznie. Zostały zmodyfikowane do tego stopnia, że nie są już w stanie się rozmnażać, zarówno między sobą, jak też z innymi, niezmodyfikowanymi przedstawicielami waszego gatunku. Wciąż jednak można nazwać ich ludźmi; zwłaszcza, gdy bierze się pod uwagę działanie ich mózgów. Ale co do trzeciej grupy... – Odchylił się do tyłu i usiadł wygodniej. – ...to słyszeliśmy przeróżne historie, poruczniku Sagan.

– Co takiego słyszeliście?

– Że tworzy się ich ze zmarłych. Że uzyskana z ciał martwych ludzi protoplazma jest miksowana z genetycznym materiałem innych gatunków, by w drodze loterii przekonać się, co wyrośnie z takiego połączenia. Słyszeliśmy, że niektórzy z nich w ogóle nie przypominają ludzi, chociaż za

takich się uważają. Że rodzą się jako dorośli, z w pełni wykształconymi umiejętnościami i zdolnościami, tylko bez pamięci. Ale brakuje im nie tylko pamięci. Nie mają własnego wnętrza. Nie mają moralności ani żadnych hamulców. Nie mają... – przerwał, jakby szukając właściwego słowa. – ...Nie mają w sobie człowieczeństwa – powiedział w końcu. - Jakbyście pewnie to sami nazwali. To dziecięcy wojownicy w ciałach dorosłych. To odrażające potwory. Posłuszne narzędzia, którymi wasza Unia Kolonialna posługuje się do wykonywania zadań, których nie może albo nie chce zlecić żołnierzom mającym własną moralność i życiowe doświadczenie, ponieważ ci ostatni mogliby obawiać się o swoje dusze, na tym lub na tamtym świecie.

– Naukowiec zajmujący się duszami... – zastanowiła się Sagan. – To niezbyt pragmatyczne podejście.

– Jestem naukowcem, ale jestem także Rraeyem – odparł dumnie. – Wiem, że mam duszę i nie zapominam o tym. A czy ty masz duszę, poruczniku Sagan?

– Nawet jeśli tak, to nic o tym nie wiem. Dusze są trudne do uchwycenia.

– Więc należysz do trzeciego rodzaju ludzi – domyślił się Cainen.

– To prawda – przyznała.

– Zostałaś zbudowana z martwego ciała.

– Z jego genów – odparła. – Nie z samego ciała.

– Geny budują ciało, poruczniku. Geny śnią o ciele, w którym przebywa dusza -przekonywał.

– Teraz stałeś się poetą – z uśmiechem dodała porucznik.

– To cytat – wyjaśnił. – Z jednego z naszych filozofów, który był również naukowcem. Nie znasz jego imienia. Mogę spytać, ile masz lat?

– Siedem, a właściwie prawie osiem. Mniej więcej cztery i pół waszego hked.

– Jesteś taka młoda. Rraeyowie w twoim wieku dopiero zaczynają swoją edukację. Mam ponad dziesięć razy więcej lat niż ty, poruczniku.

– A jednak jesteśmy tu oboje – zauważyła.

– Tak, jesteśmy tutaj oboje – przyznał. – Szkoda, że nie spotkaliśmy się w innych okolicznościach, poruczniku. Bardzo chętnie poddałbym cię badaniu.

– Nie wiem, jak na to odpowiedzieć. Chyba nie wypada mi dziękować, biorąc pod uwagę to, co ty prawdopodobnie nazywasz badaniem.

– Być może zostawiono by cię przy życiu – uzupełnił.

– O, radości! – zgryźliwie odcięła się Sagan. – Ale być może twoje życzenie na swój sposób się spełni. Wiesz już, że jesteś naszym więźniem, tym razem naprawdę; wiesz także, że pozostaniesz nim do końca twojego życia.

– Zrozumiałem to już wtedy, kiedy zaczęłaś mówić mi o rzeczach, które mogłyby zainteresować mój rząd. Na przykład o tej sztuczce ze skałami. Chociaż prawdę mówiąc zakładałem raczej, że zamierzacie mnie zabić. – My, ludzie, jesteśmy bardzo pragmatycznymi stworzeniami, administratorze Cainen. Masz wiedzę, która może być dla nas użyteczna, więc jeśli zgodzisz się z nami współpracować, będziesz mógł kontynuować swoje badania nad genetyką i budową mózgu człowieka. Tyle tylko, że będziesz to robił dla nas, a nie dla swojej rasy.

– I musiałbym jedynie zdradzić mój lud?

– Właśnie.

– Prędzej umrę niż to zrobię.

– Z całym należnym szacunkiem, administratorze, gdybyś naprawdę wierzył w to, co mówisz, nie zastrzeliłbyś tego Eneshanina, który dziś

próbował cię zabić. Myślę, że chcesz żyć.

– Być może masz rację – zgodził się z nią. – Ale niezależne od tego, czy ją masz, czy nie, ja już nie będę dłużej z tobą rozmawiał, moje dziecko. Powiedziałem ci wszystko, co z własnej woli chciałem ci powiedzieć.

Sagan uśmiechnęła się do więźnia.

– Administratorze, wiesz co ludzie i Rraeyowie mają ze sobą wspólnego?

– Mamy ze sobą wiele wspólnego. Proszę wskazać jedną rzecz.

– Chodzi o genetykę – wyjaśniła. – Nie muszę ci mówić, że sekwencjonowanie genetyczne ludzi i Rraeyów różni się wieloma szczegółami. Jednak na makropoziomie występują znaczne podobieństwa, między innymi to, że zarówno my, jak i wy otrzymujecie po jednym zestawie materiału genetycznego od obojga rodziców. Obie nasze rasy rozmnażają się na drodze dwupłciowej reprodukcji.

– To standardowy sposób reprodukcji wśród gatunków rozmnażających się drogą seksualną – zauważył Cainen. – Niektóre spośród gatunków potrzebują trojga albo nawet czworga rodziców; jednak gatunki te znajdują się w mniejszości. To nie jest zbyt efektywny sposób rozrodu.

– Bez wątplenia. Słyszałeś o syndromie Froniga, administratorze Cainen?

– Ta aberracja genetyczna rzadko występuje wśród Rraeyów – przytaknął. – Bardzo rzadko.

– Z tego, co wiem, tę chorobę powodują niedoskonałości dwóch niespokrewnionych ze sobą zestawów genów. Jeden zestaw genów reguluje rozwój komórek nerwowych, a szczególnie elektrycznie izolującej osłony wokół nich. Drugi zestaw genów reguluje pracę organu produkującego w ciele Rraeyów to, co my, ludzie, nazywamy limfą. Substancje te różnią się między sobą, jednak wykazują także podobieństwa. Limfa człowieka

wykazuje pewną zdolność przewodnictwa elektrycznego; u Rraeyów ten płyn ma właściwości izolujące. Z tego, co wiemy o rraeyeskiej fizjologii, ta zdolność izolująca waszej limfy nie jest jej szczególną zaletą, ani wadą; podobnie jak zdolności przewodzące ludzkiej limfy, które także nie są żadnym plusem czy minusem naszego uwarunkowania – po prostu stanowią jego nienacechowaną część.

– To prawda – przyznał.

– Jednak dla tych spośród Rraeyów, którzy mają nieszczęście posiadać dwa uszkodzone geny odpowiadające za rozwój połączeń nerwowych, ta elektryczna izolacja może mieć zbawienne działanie – wróciła do tematu porucznik. – Odpowiednik limfy obmywa śródmiąższowe rejony komórek ich ciała, w tym również komórki nerwowe, co zapobiega błędzeniu impulsów elektrycznych. W wypadku limfy Rraeyów interesujące jest to, że jej skład regulowany jest hormonalnie; tak, że drobna zmiana sygnału hormonalnego może spowodować zmianę właściwości tej cieczy z izolującej na przewodzącą. I znowu; dla większości spośród Rraeyów taka sytuacja jest niemożliwa. Jednak dla tych, którzy mają zapisaną genetyczną skłonność... – ...oznacza to nagły atak choroby, konwulsje i śmierć, która następuje, kiedy impulsy nerwowe wyciekają do wnętrza ich ciał – kontynuował Cainen. – Jednak zdarza się to naprawdę rzadko. Osobniki, które mają genetyczną skłonność do elektrycznego przewodnictwa limfy, umierają najczęściej w czasie życia płodowego; zwykle tuż po tym, kiedy komórki zaczynają się różnicować i kiedy występują pierwsze syndromy.

– Zdarzają się jednak przypadki występowania syndromu Froniga wśród dorosłych – nie poddawała się Sagan. – Geny mają zapisaną późniejszą zmianę sygnału hormonalnego, dzieje się to najczęściej na początku okresu dojrzałości. To znaczy na tyle późno, że może już dojść do reprodukcji i

dalszego przekazania wadliwego materiału genetycznego. W tym wypadku jednak, muszą także dojść do głosu dwa wadliwe zestawy genów.

– Oczywiście – przyznał. – To kolejny z powodów, dla których syndrom Froniga jest tak rzadkim zjawiskiem; ponieważ nieczęsto się zdarza, żeby jakiś osobnik został obdarzony dwoma wadliwymi zestawami genów odpowiadających za rozwój układu nerwowego, jednocześnie otrzymują dwa wadliwe zestawy genów odpowiadających za opóźnione przekształcenie właściwości elektrycznych hormonalnie uwarunkowanego układu limfatycznego. Proszę mi powiedzieć, dokąd to zmierza.

– Administratorze, z pobranej od ciebie próbki materiału genetycznego wynika, że masz wadliwy zestaw genów odpowiadających za rozwój komórek układu nerwowego.

– Jednak nie mam genetycznej skłonności do zmian hormonalnych – oświadczył. – W przeciwnym razie już dawno bym nie żył. Syndrom Froniga daje o sobie znać tuż po osiągnięciu dojrzałości.

– To prawda – przyznała. – Można jednak indukować zmiany hormonalne zabijając pewną ilość komórek w obrębie rraeyskiego układu limfatycznego. Trzeba zabić tyle komórek, żeby pobudzić wydzielanie odpowiedniego hormonu, nie uniemożliwiając jednocześnie wytwarzania limfy. Wytworzona przez układ limfa będzie miała inne właściwości. Fatalne właściwości, w twoim przypadku, administratorze Cainen. Można to zrobić drogą chemiczną.

Cainen po raz kolejny spojrzął na strzykawkę, która przez cały czas ich rozmowy leżała na stole.

– Podejrzewam, że to jest właśnie substancja chemiczna, która może to spowodować.

– To jest antidotum.



Administrator Cainen Suen Su wydał się Jane Sagan na swój sposób godny podziwu – nie poddawał się łatwo. Cierpiał w milczeniu przez parę godzin, w czasie których układ limfatyczny stopniowo zastępował starą limfę jego ciała nową, posiadającą inne właściwości.

Targały nim nagłe wstrząsy i uporczywe drgawki, kiedy stężenie przewodzącej impulsy elektryczne limfy wzrosło na tyle, by zacząć destabilizować układ nerwowy. Po paru godzinach przewodnictwo nowej limfy wzrastało z minuty na minutę. Gdyby nie poddał się wtedy, kiedy się poddał, prawdopodobnie nie byłby w stanie im powiedzieć, że chce zacząć mówić.

Jednak poddał się wystarczająco wcześniej i zaczął błagać o antidotum. Okazało się, że jednak chciał dalej żyć... Sagan własnoręcznie podała mu antidotum – chociaż w istocie nie było to antidotum, ponieważ martwe komórki nigdy już się nie zregenerują i do końca życia będzie musiał codziennie wstrzykiwać sobie to „lekarstwo”. Kiedy jego błogie działanie rozeszło się po wstrząsanym drgawkami ciele Cainena, Sagan dowiedziała się o wojnie szykowanej przeciw ludzkości, o planie ujarznienia i wytępienia całego rodzaju ludzkiego.

To ludobójstwo zaplanowane zostało w najdrobniejszych szczegółach. Jego plan powstał w wyniku niespotykanej dotąd w historii współpracy trzech ras obcych istot inteligentnych. I jednego człowieka.

DRUGI

Pułkownik James Robbins przez mniej więcej minutę wpatrywał się w ekshumowane zwłoki, leżące na kamiennym stole prosektorium. Sądząc po stopniu rozkładu tkanek, ciało leżało pod ziemią co najmniej przez rok. Przyjrzał się uważnie zniszczonej czaszce, poważnie uszkodzonej przez wystrzał z karabinu, który oderwał jej górną część, odbierając życie właścicielowi całego ciała – człowiekowi, który prawdopodobnie zdradził ludzkość dla trzech obcych ras. Potem spojrzął na kapitana Wintersa, śledczego do spraw medycznych Stacji Kosmicznej Feniks.

– Powiedz mi, że to jest ciało doktora Boutina – poprosił pułkownik Robbins.

– No cóż, to jest jego ciało. – Po chwili namysłu odpowiedział Winters.
– A zarazem to nie jest jego ciało.

– Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, Ted, ale to jest właśnie ten rodzaj oświadczenia, który pozwoli nieźle skopać mi dupę, kiedy przedstawię je generałowi Mattsonowi. Podejrzewam, że nie zechcesz udzielić mi dokładniejszych informacji.

– Sorry, Jim – Kapitan Winters wskazał na leżące na stole zwłoki. – Ogólnie rzecz biorąc, to jest człowiek, którego szukasz. Doktor Boutin był kolonistą, co oznacza, że nigdy nie dostał podmienionego wojskowego ciała. Z czego wynika, że jego ciało powinno mieć cały oryginalny materiał genetyczny.’ Wykonałem rutynowe badania, które wykazały, że to ciało ma DNA Boutina. Dla zabawy zrobiłem także mitochondrialną próbę RNA, która także potwierdziła jego tożsamość.

– Więc w czym problem?

– Chodzi o przyrost kości. W prawdziwym wszechświecie fluktuacje wzrostu ludzkich kości uzależnione są od czynników środowiskowych, takich jak odżywianie i aktywność fizyczna. Jeśli spędzisz dużo czasu na świecie o silnej grawitacji, a potem przeniesiesz się na świat o słabszej, to odbije się to na wzroście twojego układu kostnego. Jeśli złamiesz jakąś kość, to też będzie potem widać. Krótko mówiąc, historia całego twojego życia zapisana jest w twoim kośćcu.

Winters podniósł ze stołu oddzieloną od reszty ciała część lewej nogi i wskazał na widoczny na jej końcu przekrój kości udowej.

– Przyrost masy kostnej tego ciała odbywał się w wyjątkowo regularny sposób. W jego rozwoju nie ma śladu czynników środowiskowych ani żadnych zdarzeń losowych. Z tego materiału można odczytać jedynie taką informację: przyrost kośćca odbywał się równomiernie przy doskonałym żywieniu i zupełnie bezstresowych warunkach.

– Boutin był z Feniksa, a Feniks został skolonizowany ponad dwieście lat temu. Nie wychował się na jakiś zadupiu, gdzie musiałby bez przerwy walczyć o pożywienie i utrzymanie się przy życiu.

– Być może, ale i tak coś mi tu nie pasuje. Możesz mieszkać wśród ludzi w najbardziej cywilizowanym miejscu i jednak spaść ze schodów albo złamać kość w czasie uprawiania sportu. Teoretycznie można przeżyć całe życie nie doznawszy najdrobniejszego uszkodzenia żadnej z kości, ale czy znasz kogoś, komu się to udało? – Robbins pokręcił głową. – Udało się to temu kolesiowi tutaj. Chociaż właściwie to nieprawda. W jego medycznej kartotece jest zapis świadczący o tym, że złamał nogę, tę nogę. – Winters potrząsnął trzymanym w ręku kawałkiem kończyny. – Złamał ją w wieku szesnastu lat w wyniku narciarskiego wypadku.

Wpadł na jakiś gład narzutowy i złamał kość udową oraz piszczel. A tutaj nie ma po tym ani śladu. – Mówi się, że technologie medyczne bardzo

się ostatnio rozwinęły – zasugerował pułkownik.

– Dziękuję, mają się świetnie, ale nie dosięgają granic magii. Nie można złamać kości udowej i złożyć jej w ten sposób, by nie został po tym nawet najmniejszy ślad. Zresztą nawet przejście przez całe życie bez jednego złamania nie tłumaczy tak regularnego trybu przyrostu kośćca. Taki rozwój tkanki można osiągnąć jedynie odcinając człowieka od wszelkich zakłóceń środowiskowych. Boutin musiałby przeżyć całe życie w zupełnej izolacji.

– Albo w sarkofagu do klonowania.

– Albo w sarkofagu do klonowania – zgodził się kapitan. – Inne możliwe wytłumaczenie jest takie, że twój przyjaciel miał w pewnym momencie amputowaną nogę i imputowaną nowo wyrosłą; ale w jego kartotece nie ma śladu po takim zabiegu. Żeby się upewnić pobrałem próbki tkanki kostnej z jego kości biodrowej, z żeber, ramienia i z czaszki.

Wszystkie spośród tych próbek wykazały nienaturalnie zwarty i jednolity przyrost kośćca w całym ciele. Mamy tutaj sklonowane ciało, Jim.

– A więc Charles Boutin wciąż żyje – podsumował Robbins.

– Tego nie wiem, ale to nie jest on. Jedna dobra wiadomość jest taka, że ten klon został wyjęty z kadzi tuż przed śmiercią. Najprawdopodobniej nawet nie zdążył się obudzić, a nawet jeśli zdążył, to nie miał pojęcia, co się dzieje. Wyobraź sobie obudzić się po raz pierwszy i jako pierwszą i zarazem ostatnią rzecz w swoim życiu zobaczyć skierowaną w siebie lufę. Zresztą trudno byłoby coś takiego nazwać życiem.

– Więc jeśli Boutin wciąż żyje, to jest także mordercą – zasugerował Robbins. Winters wzruszył ramionami i odłożył nogę na stół.

– A teraz ty mi coś powiedz, Jim. Kolonialne Siły Obrony cały czas tworzą nowe ciała. Wytwarzamy zmodyfikowane superciała, które dajemy naszym rekrutom, a potem, kiedy ich służba dobiegnie końca, dajemy im nowe, normalne ciała sklonowane z ich oryginalnego DNA. Czy te ciała

mają jakiegokolwiek prawa, zanim napełnimy je świadomością? Za każdym razem, kiedy dokonujemy transferu świadomości, ona opuszcza jedno ciało, ciało, które kiedyś władało umysłem, i przenosi się do nowego. Czy te ciała bez świadomości mają swoje prawa? Jeśli tak, to wszyscy mamy poważny kłopot, ponieważ cholernie szybko się ich pozbywamy. Wiesz, co robimy z tymi wszystkimi zużytymi ciałami, Jim?

– Nie mam pojęcia – przyznał Robbins.

– Przetwarzamy je na mierzwę. Jest ich zbyt dużo, żeby je wszystkie pochować. Więc robimy z nich miazgę, sterylizujemy ją i przetwarzamy pozostałości w nawóz. A potem przesyłamy ten nawóz do naszych nowych kolonii, żeby uzdatnić glebę dla hodowanych tam przez człowieka roślin. Można by powiedzieć, że nasze nowe kolonie wyrastają z ciał zmarłych. Tyle tylko, że tak naprawdę to nie są ciała zmarłych. To tylko ciała odrzucone przez żywych. Grzebiemy ciało tylko w tym wypadku, jeśli umysł człowieka umrze w jego wnętrzu.

– Przemyślenie tego zajmie mi trochę czasu, Ted. Ta praca podsycy twoją chorobliwą wyobraźnię.

– To nie praca podsycy moją chorobliwą wyobraźnię – nie zgodził się Winters i wskazał na szczątki nie-Boutina. – Co mam z tym teraz zrobić?

– Zakop to z powrotem w ziemi.

– Ale to przecież nie jest Charles Boutin.

– Owszem, to nie on, ale jeśli Charles Boutin wciąż żyje, to nie ma prawa się dowiedzieć, że my o tym wiemy. – Jeszcze raz spojrzął na leżące na stole ciało. – I niezależnie od tego, czy to ciało wiedziało tuż przed śmiercią, co się dzieje, czy też nie, to i tak zasługiwało na coś lepszego. Więc możemy je przynajmniej normalnie pochować.



– Cholerny Charles Boutin – zaklął generał Greg Mattson i z rozmachem położył nogi na swoim biurku.

Stojący po drugiej stronie biurka pułkownik Robbins nie skomentował tego w żaden sposób. Generał Mattson jak zawsze wprawiał go w zakłopotanie. Od trzydziestu lat dowodził on działem Badań Wojskowych Kolonialnych Sił Obrony, ale podobnie jak reszta personelu KSO został zaopatrzony w ciało, które opierało się upływowi czasu. Jak wszystkim żołnierzom KSO można by mu dać co najwyżej dwadzieścia pięć lat. Robbins osobiście był zdania, że w miarę wspinania się po szczeblach kariery w KSO, ciała oficerów powinny być lekko postarzone; dwudziestopięcioletniemu generałowi po prostu trochę brakowało powagi i autorytetu naturalnego dla wieku dojrzałego.

Robbins na chwilę wyobraził sobie Mattsona, który wyglądałby na swoje lata; musiał mieć już teraz około stu dwudziestu pięciu lat. Oczami duszy zobaczył coś w rodzaju wielkiej pomarszczonej moszny w mundurze. To mogłoby być zabawne, pomyślał, pomijając oczywiście fakt, że on sam, w swoim obecnym rzeczywistym wieku dziewięćdziesięciu lat, nie wyglądałby o wiele lepiej.

W pomieszczeniu znajdował się jeszcze jeden generał. Gdyby jego ciało oddawało jego prawdziwy wiek, wyglądałby o wiele młodziej niż w tej chwili. Siły Specjalne wprawiały pułkownika w jeszcze większe zakłopotanie niż zwykli żołnierze KSO. Było coś głęboko niepojętego w ludziach, którzy mieli po trzy lata, a przy tym byli zupełnie dorośli i na dodatek śmiertelnie niebezpieczni.

Chociaż akurat ten generał nie miał już trzech lat. Prawdopodobnie był już nawet nastolatkiem.

– A więc nasz rraeyski przyjaciel powiedział nam prawdę – oznajmił siedzący w fotelu stojącym naprzeciw biurka generał Szilard. – Wasz były

szef działu badań nad świadomością wciąż żyje.

– Odstrzelenie głowy własnemu klonowi to było naprawdę niezłe posunięcie! -sarkastycznie oznajmił Mattson. – Te biedne gnojki zmywały mózg ze sprzętu w laboratorium co najmniej przez tydzień. – Spojrzał na Robbinsa. – Czy wiemy jak udało mu się wyhodować własnego klona? To nie jest coś, co można by łatwo ukryć. Przecież nie trzymał go w swojej szafie!

– O ile wiemy, wprowadził kod do oprogramowania monitorującego kadzie – wyjaśnił pułkownik. – Dzięki czemu Wyglądało na to, że jedna z kadzi do klonowania nie może być monitorowana. Została wzięta do przeglądu. Boutin doprowadził do tego, że została uznana za niesprawną; wtedy wziął ją do swojego laboratorium i umieścił w schowku, gdzie podłączył ją do własnego serwera i do źródła zasilania. Jego serwer działał poza systemem, każdą uznana była za niesprawną, a na dodatek tylko Boutin miał prawo wstępu do tego schowka.

– A więc właściwie rzeczywiście wyhodował tego klona w szafie – odparł Mattson. -Mały skurwysyn.

– Ktoś musiał przecież wchodzić do tego schowka po tym, jak uznano go za zmarłego -rzekł Szilard. – Nikogo nie zdziwiła obecność kadzi do klonowania w takim miejscu? Robbins już otworzył usta, ale to Mattson odpowiedział na to pytanie.

– Jeśli był dobrym szefem działu badawczego (a właśnie takim był), to miał w magazynach mnóstwo dodatkowego, wycofanego z użycia sprzętu, żeby móc korzystać z jego części i za jego pomocą optymalizować korzystanie ze sprzętu na bieżąco. Zakładam zresztą, że kiedy dotarto do kadzi, była już opróżniona, wysterylizowana i odłączona od serwera i źródła zasilania.

– To prawda – przyznał Robbins. Dotarliśmy do niej po otrzymaniu pańskiego raportu generale Szilard. Dopiero wtedy złożyliśmy to wszystko w jedną całość.

– Cieszę się, że informacje, które dostarczyłem, okazały się użyteczne. – Generał skinął głową. – Szkoda tylko, że sami wcześniej nie odgadliście sensu tej układanki. Myśl, że Dział Badań Wojskowych ma w swoich szeregach, i to na bardzo odpowiedzialnym stanowisku, zdrajcę, wydaje mi się naprawdę przerażająca. Powinniście o tym wiedzieć.

Robbins nic na to nie odpowiedział. Żołnierze Sił Specjalnych mieli reputację osób pozbawionych taktu i cierpliwości; poza tym oczywiście znani byli ze swojej waleczności i skuteczności bojowej. Ale przecież będąc trzyletnią maszyną do zabijania nie ma się czasu na zbędne uprzejmości.

– Jak mieliśmy się o tym dowiedzieć? – zapytał Mattson. – Boutin w żaden sposób nie dał po sobie znać, że może stać się zdrajcą. Jednego dnia wykonywał swoją robotę, następnego znaleźliśmy jego ciało w laboratorium po oddaniu samobójczego strzału, a przynajmniej wtedy tak nam się wydawało. Nie zostawił ani jednej notatki, ani jednego słowa świadczącego o tym, że obchodziło go cokolwiek poza jego pracą.

– Powiedziałeś mi wcześniej, że Boutin cię nienawidził – przypomniał Mattsonowi Szilard.

– Rzeczywiście, nienawidził mnie, i miał ku temu powody. Zresztą jego uczucie było odwzajemnione. Ale człowiek przecież nie musi zdradzać całej swojej rasy tylko dlatego, że uważa swojego oficera przełożonego za kawał skurwysyna. – Mattson wskazał na Robbinsa. – Ten pułkownik również jakoś szczególnie za mną nie przepada, i mimo to jest moim adiutantem. Ale to nie znaczy, że zaraz pobiegnie do Rraeyów albo do Eneshan z jakąś ściśle tajną informacją.

Szilard spojrział na Robbinsa.

– Czy to prawda, pułkowniku?

– O którą część wypowiedzi chodzi, sir?

– Że nie lubisz generała Mattsona? – uściślił Szilard.

– Pan generał zdążył już do tego przywyknąć, sir.

– Co oznacza, że jestem wrednym dupkiem – uzupełnił Mattson ze śmiechem. – I odpowiada mi to. Nie jestem tu po to, żeby wygrywać w rankingach popularności. Jestem tu po to, żeby dostarczać wam broń i nowe technologie. Jednak Boutin na pewno nie zrobił tego, co zrobił, z mojego powodu. To pewne.

– Więc dlaczego to zrobił? – zapytał Szilard.

– Ty powinieneś wiedzieć to lepiej, Szi – zgryźliwie rzekł Mattson. – Ty masz przecież tę swoją maskotkę, tego rraeyskiego naukowca, który ci wszystko wyśpiewał.

– Administrator Cainen nigdy osobiście nie spotkał Boutina, a przynajmniej tak twierdzi -wyjaśnił Szilard. – Nie zna jego motywacji, wie tylko, że Boutin przekazał Rraeyom informacje techniczne na temat najnowszej wersji MózGościa. Właśnie tym, między innymi, zajmował się zespół administratora Cainena: starali się dopasować technologię MózGościa do rraeyskiego mózgu.

– Tylko tego nam jeszcze potrzeba – zasepił się Mattson. – Rraeyów z superkomputerami w głowach.

– Wydaje się, że to dopasowanie niespecjalnie im się udało – dodał Robbins i spojrział na Szilarda. – Przynajmniej tak wynika z danych, które pańscy ludzie znaleźli w laboratorium. Rraeyski mózg za bardzo różni się w swojej budowie od ludzkiego.

– To niewielka pociecha. Szi, musisz wydobyć od tego gościa więcej informacji.

– Poza zakresem swojej profesji administrator Cainen nie okazał się dla nas szczególnie użytecznym źródłem informacji. A tych paru Eneshan, których udało nam się pojąć żywcem stanowczo odmawiało prowadzenia z nami jakichkolwiek konwersacji, mówiąc diabelnie eufemistycznie. Wiemy jedynie, że Raeyowie, Eneshanowie i Obinowie zawiązali sojusz, żeby nas zaatakować. Nie wiemy jednak, dlaczego, gdzie i kiedy tak się stało, nie wiemy też dokładnie, jaka w tym wszystkim była rola Boutina. Chcielibyśmy, żeby twoi ludzie się tego dowiedzieli, Mattson.

Mattson skinął w kierunku Robbinsa.

– Co wiemy na ten temat?

– Boutin był w posiadaniu wielu bardzo ważnych i poufnych informacji. Jego zespół zajmował się transferem świadomości, rozwojem technologii MózGościa i technikami generowania ciał. Wszystko to mogłoby się okazać bardzo użyteczne w rękach naszych wrogów; zarówno jako pomoc w rozwoju ich własnych technologii, jak również w charakterze materiału, który pomógłby im znaleźć nasze słabe punkty. Boutin był prawdopodobnie najlepszym ekspertem w zakresie przekazywania umysłu między dwoma ciałami. Mógł jednak przekazać wrogom jedynie część istotnych dla nas informacji. Był cywilem i sam nie miał MózGościa. Jego klon miał wszystkie zarejestrowane protezy jego mózgu i nie wydaje się, żeby poza tym miał jeszcze jakieś zapasowe. Protezy są zwykle ściśle monitorowane, musiałyby poświęcić parę dobrych tygodni na naukę posługiwania się nimi, a my nie mamy w sieci żadnych zapisów świadczących o tym, żeby Boutin posługiwał się czymkolwiek innym, oprócz swoich oficjalnie zarejestrowanych protez.

– Proszę pamiętać, że mówimy o człowieku, który ukrył działającą każdą do klonowania tuż pod waszymi nosami – przypomniał Szilard.

– Musimy wziąć pod uwagę możliwość, że wyniósł z laboratorium pewną ilość zapisanych informacji – dodał Robbins. – Raczej jednak tego nie zrobił. Bardziej prawdopodobne jest to, że zabrał ze sobą tylko tę wiedzę, którą miał w głowie.

– Zabrał ze sobą także swoje motywacje – rzekł Szilard. – To, że ich nie znamy może się okazać naprawdę niebezpieczne.

– Bardziej martwi mnie wiedza, którą ze sobą zabrał – włączył się Mattson. – Nawet jeśli cała znajduje się tylko w jego głowie, to i tak jest tego o wiele za dużo. Rozkazałem paru zespołom moich ludzi porzucić na jakiś czas własne projekty i zająć się aktualizacją zabezpieczeń MózGościa. Chcemy sprawić, żeby wiedza, którą Boutin ze sobą wyniósł okazała się przestarzała. Robbins ma dokładnie przeczesać dane pozostawione przez Boutina.

Jeśli jest wśród nich coś godnego uwagi, na pewno to znajdziemy.

– Idę stąd prosto na spotkanie z byłym technikiem Boutina – powiedział Robbins. – Porucznikiem Harrym Wilsonem. Powiedział, że ma coś, co może mnie zainteresować.

– Więc nie zatrzymujemy już pana dłużej – odparł Mattson. – Jest pan wolny.

– Dziękuję, sir. Zanim pójdę, chciałbym się dowiedzieć, w jakim rygorze czasowym pracujemy. Dowiedzieliśmy się o zdradzie Boutina po zdobyciu tamtej bazy, więc teraz Eneshanowie wiedzą, że znamy już ich plany. Chciałbym wiedzieć kiedy, panów zdaniem, możemy się spodziewać kontrataku.

– Ma pan dość czasu, pułkowniku – odparł Szilard. – Nikt nie wie, że zaatakowaliśmy tę bazę. – Jak oni mogą tego nie wiedzieć? – zapytał Robbins. – Panie generale, z całym szacunkiem należnym Siłom Specjalnym, ukrycie zdarzenia tego rodzaju to cholernie trudna sprawa.

– Eneshanowie wiedzą, że stracili kontakt z bazą – wyjaśnił Szilard. – Kiedy podejmą śledztwo przekonają się, że skalisty odłamek komety wielkości boiska piłkarskiego spadł na powierzchnię planety w odległości mniej więcej dziesięciu kilometrów od bazy, niszcząc ją samą i wszystko w pobliżu. Mogą przeprowadzić wszystkie badania, jakie przyjdą im do głowy, a i tak żaden ślad nie będzie wskazywać na nic innego poza katastrofą pochodzenia naturalnego. My po prostu po cichu tej katastrofie pomogliśmy.



– To bardzo ładne – skomentował Robbins, wskazując na holograficzny wyświetlacz porucznika Harry’ego Wilsona: widać było na nim coś, co wyglądało na miniaturowy pokaz świetlny. – Ale nie mam pojęcia, co to może być.

– To dusza Charliego Boutina – odparł Wilson. Pułkownik odsunął się od wyświetlacza i spojrzał na Wilsona.

– Nie rozumiem.

Technik skinął w stronę wyświetlacza.

– To dusza Charliego – powtórzył. – Albo, inaczej rzecz ujmując, holograficzne przedstawienie dynamicznego systemu elektrycznego, który zawiera świadomość Charlesa Boutina. Albo jej kopię, zależy, jak na to spojrzeć. Gdyby był pan w nastroju do filozoficznych rozważań mógłby się pan spierać, czy to dusza, czy też umysł Charliego.

Chociaż z tego, co mi pan powiedział o Charliem wynika, że udało mu się zabrać ze sobą inteligencję i wspomnienia, jednak robiąc to, stracił swoją duszę. To właśnie jest jego dusza.

– Zawsze myślałem, że coś takiego jest niemożliwe. Bez fizycznej obecności mózgu, wzór jego działania zanika. Dlatego właśnie dokonujemy transferu świadomości w ten sposób: z jednego żywego ciała do drugiego.

– No cóż, nie wiem, czy właśnie dlatego dokonujemy transferu w ten sposób. Myślę, że ludzie niezbyt chętnie pozwoliliby technikom KSO wysysać swoje umysły z czaszek, gdyby wiedzieli, że będą one przetrzymywane w formie komputerowych plików. Pan by na to pozwolił, pułkowniku?

– Chryste, nie! Kiedy poddawano mnie transferowi, prawie zsikałem się w spodnie.

– Sam pan widzi. – Wilson uśmiechnął się wyrozumiale. – Jednak, ogólnie rzecz biorąc, ma pan rację. Dopóki to nie wpadło nam w ręce – wskazał na hologram. – nie mogliśmy tego zrobić, mimo najszczerzej chęci.

– Więc jak udało się to zrobić Boutinowi?

– W nieuczciwy sposób, rzecz jasna. Jeszcze półtora roku temu Charlie, podobnie jak wszyscy inni, musiał posługiwać się jedynie technologiami wytworzonymi przez ludzi i takimi, które udało nam się ukraść lub pożyczyć od innych ras. A w naszej części wszechświata większość obcych ras znajduje się mniej więcej na tym samym poziomie rozwoju technologicznego, co my, ponieważ słabsze rasy zostały wykopane ze swoich siedzisk i wymarły lub zostały wytępione. Jest jednak jedna rasa, która o całe lata świetlne wyprzedza w rozwoju technologicznym wszystkich w okolicy.

– Consu. – Robbins wyobraził sobie przedstawiciela tej niewiarygodnie rozwiniętej rasy; potężną, przypominającą kraba, inteligentną istotę.

– Właśnie. Consu przekazali Rraeyom część swojej technologii, kiedy ci drudzy zaatakowali naszą kolonię na Koralu parę lat temu, a nam udało się

ją wykraść po skutecznym kontrataku. Byłem członkiem zespołu, który zajmował się rozpracowaniem przejętych przez nas technologii Consu i mogę pana zapewnić, że większości nie udało nam się do dzisiaj rozpracować i wciąż nie wiemy, o co w nich chodzi. Jednak część spośród nich udało nam się choć trochę rozgryźć i przekazaliśmy ją Charliemu, który miał znaleźć sposób wykorzystania ich do usprawnienia procesu transferu osobowości. Wtedy właśnie zacząłem z nim pracować; to ja nauczyłem go podstaw obsługi przejętego sprzętu. Jak widać, okazał się pojętym uczniem. Rzecz jasna, łatwiej jest wykonać jakąkolwiek robotę, kiedy dostanie się doskonalsze narzędzia. Kiedy to wpadło nam w ręce, to jakbyśmy przeskoczyli z epoki kamienia łupanego do połowy dziewiętnastego wieku.

– Jednak wtedy jeszcze pan o tym nie wiedział, prawda?

– Nie wiedziałem. Potem widziałem coś podobnego, kiedy Charlie wykorzystywał już technologię Consu do usprawnienia procesu transferu osobowości. Teraz umiemy stworzyć pamięć buforową, która znacznie poprawia skuteczność transferu i zapobiega możliwym wypadkom – wcześniej nie byliśmy w stanie tego zrobić. Charlie nikomu nie zdradził głównej tajemnicy tricku. Znalazłem szczegółowe dane na ten temat dopiero parę dni temu, kiedy polecił mi pan przejrzeć jego prywatne notatki. W ostatniej chwili znalazłem tę maszynę, bo jej pamięć miała zostać skasowana, a samo urządzenie miało zostać przesłane do obserwatorium astronomicznego KSO. Chcieli sprawdzić, czy uda się dzięki niemu zajrzeć do wnętrza gwiazd.

Robbins wskazał na hologram.

– Myślę, że to jest trochę ważniejsze. Wilson wzruszył ramionami.

– Ogólnie rzecz biorąc nie na wiele może się to nam przydać.

– Chyba pan żartuje – obruszył się Robbins. – Możemy kraść ludziom ich dusze.

– Jasne, to może nam się przydać. Ale z tą rzeczą niewiele możemy zrobić. Jak dużo wic pan o szczegółach technicznych transferu świadomości?

– Niezbyt wiele. Nie jestem ekspertem. Zostałem adiutantem generała dzięki moim zdolnościom organizacyjnym, nie dzięki wykształceniu.

– Okay, proszę posłuchać. Sam pan zauważył, że bez mózgu wzorzec osobowości zwykle zanika. Dzieje się tak dlatego, ponieważ świadomość jest w całości uzależniona od fizycznej struktury mózgu. I to nie od jakiegokolwiek mózgu, tylko od mózgu, w którym powstała. Każdy wzorzec osobowości jest jak odcisk palca. Jest specyficzny dla danej osoby i ta jego specyficzność sięga poziomu genów.

Wilson wskazał na Robbinsa.

– Proszę spojrzeć na swoje ciało, pułkowniku. Zostało poddane głębokiej modyfikacji na poziomie genetycznym; ma pan zieloną skórę, udoskonaloną muskulaturę i sztuczną krew, która przenosi kilka razy więcej tlenu od normalnej. Jest pan hybrydą, powstałą z połączenia pańskiego własnego materiału genetycznego i genów wytworzonych dla poszerzenia pańskich zdolności i wydolności. Tak więc, na poziomie genetycznym nie jest już pan tak naprawdę sobą – wyjątkiem jest pański mózg. Pański mózg jest w całości ludzkim organem, powstałym jedynie z pańskiego materiału genetycznego. Gdyby tak nie było, transfer świadomości nie mógłby się udać.

– Dlaczego?

Wilson wyszczerzył się w uśmiechu.

– Chciałbym móc odpowiedzieć panu na to pytanie. Bazuję na tym, co powiedział mi sam Charlie i ludzie z jego laboratorium. Ja tu tylko

popycham elektrony. Ale wiem, że to... – wskazał palcem na hologram. – ...nie na wiele się panu przyda, bo brakuje mózgu, i to mózgu samego Charliego; dopiero wtedy będzie się mógł pan czegoś od tego dowiedzieć. A mózg Charliego jest poza naszym zasięgiem, razem z całą resztą jego osoby. – Więc dlaczego, do cholery, chciał pan, żebym tu przyszedł, skoro to nie może nam się do niczego przydać?

– Powiedziałem tylko, że ogólnie rzecz biorąc jest to dla nas bezużyteczne. Jednak istnieje sposób, w jaki moglibyśmy to wykorzystać.

– Poruczniku Wilson, proszę przejść do rzeczy.

– Świadomość nie jest tylko poczuciem tożsamości. To także wiedza, stan umysłu i emocji. – Wilson ponownie wskazał na hologram. – Ta rzecz jest w stanie wiedzieć i odczuwać wszystko to, co Charlie wiedział i czuł do chwili, w której wykonywał tę kopię.

Jeśli chce się pan dowiedzieć, co Charlie zamierza i dlaczego to wszystko robi, to właśnie od tego trzeba zacząć.

– Przecież właśnie pan powiedział, że potrzebowalibyśmy mózgu Boutina, żeby wejść do jego świadomości. A jego mózg jest teraz poza naszym zasięgiem.

– Ale mamy dostęp do jego genów. Charlie stworzył swój klon dla własnych celów, pułkownika. Sugeruję, żeby stworzył pan jego klon na swoje potrzeby.



– Klonować Charliego Boutina! – prychnął generał Mattson. – Zupełnie, jakby nie wystarczył nam jeden!

Mattson, Robbins i Szilard siedzieli w generalskiej mesie Stacji Feniks. Mattson i Szilard zamówili coś do jedzenia; Robbins tego nie zrobił.

Teoretycznie wszyscy oficerowie mieli wolny wstęp do generalskiej mesy; w praktyce nie jadał tu nikt, kto nie miał generalskiego stopnia, a niżsi rangą oficerowie wchodzili do mesy jedynie na zaproszenie któregoś z generałów i rzadko zamawiali coś więcej niż szklanek wody. Robbins zastanawiał się, jak w ogóle mógł powstać i utrwalić się tak głupi zwyczaj. Był głodny.

Generalska mesa umieszczona była u końca obrotowej osi Stacji Feniks. Otoczona była jednolitą osłoną z przezroczystego kryształu, która służyła jej zarówno za ściany, jak i za sufit. Widok na Feniksa zapierał dech w piersiach; planeta powoli krążyła ponad sufitem, zajmując większą część nieba. Wyglądała jak doskonały, biało-niebieski klejnot. Jej podobieństwo do Ziemi zawsze budziło w Robbinsie bolesne uczucie tęsknoty. Łatwo było opuścić Ziemię, jeśli miało się siedemdziesiąt pięć lat, a przed sobą perspektywę śmierci ze starości w ciągu paru, coraz krótszych, lat. Ale kiedy już się ją opuściło, to nigdy nie można było na nią wrócić. Im dłużej Robbins żył we wrogim wszechświecie, w którym ludzie pozakładali swoje kolonie, z tym większym żalem wspominał sflaczałe, ale stosunkowo beztroskie czasy, kiedy miał pięćdziesiąt, sześćdziesiąt czy nawet siedemdziesiąt lat.

Ignorancja była błogosławieństwem, a przynajmniej dawała człowiekowi błogosławiony spokój.

Teraz już za późno, pomyślał Robbins i znów skierował swoją uwagę na generałów.

– Porucznik Wilson uważa, że to nasza jedyna szansa, by zrozumieć, co działo się w głowie Boutina. W każdym razie to więcej niż to, co mamy teraz; czyli nic.

– Chciałbym się dowiedzieć, skąd porucznik Wilson może mieć pewność, że w tej maszynie ma właśnie fale mózgowie Boutina – rzekł

poirytowany! Mattson. – Boutin mógł wgrać tam świadomość jakiejś innej osoby. Kurwa, nie możemy być pewni, czy to nie jest na przykład jego kot!

– Ten wzorzec jest zgodny z ludzką świadomością – zapewnił pułkownik. – Tego możemy być pewni, ponieważ codziennie dokonujemy transferu setek świadomości. To nie jest kot.

– Żartowałem, Robbins – odparł z błyskiem w oku Mattson. – Ale to i tak nie musi być Boutin.

– Jest szansa, że to jest ktoś inny, ale to nie wydaje się zbyt prawdopodobne. W laboratorium Boutina nikt poza nim samym nie wiedział, że nad tym pracuje. Nie miał możliwości wgrania świadomości kogokolwiek innego. Nie można tego od kogoś wziąć w sposób niezauważony.

– Czy wiemy chociaż jak dokonać transferu tych danych? – dołączył do dyskusji Szilard.

– Pański porucznik Wilson powiedział, że były zapisane na maszynie powstałej z wykorzystaniem technologii Consu. Jeśli zdecydujemy się skorzystać z tego zapisu, to czy będziemy wiedzieć, jak to zrobić?

– Na razie jeszcze tego nie wiemy. Wilson jest pewien, że sobie z tym poradzi, chociaż nie jest ekspertem w dziedzinie transferu świadomości.

– Ale ja jestem – wtrącił się Mattson. – A przynajmniej przez długi czas kierowałem zespołem ludzi, którzy bardzo chcieli się na tym znać. Ten proces wymaga zarówno fizycznej obecności mózgu, jak i świadomości, którą można przenieść. Krótko mówiąc, brakuje nam mózgu. Nie wspominając o tym, że sprawa to problemy natury etycznej.

– Problemy natury etycznej? – Robbinsowi nie udało się ukryć zdziwienia.

– Tak, pułkowniku, problemy natury etycznej – powtórzył zirytowany Mattson. – Może pan w to wierzyć lub nie, to pańska sprawa.

– Nie chciałem kwestionować pańskiej moralności, panie generale – zaczął tłumaczyć się Robbins.

Mattson lekceważąco machnął ręką.

– Proszę o tym zapomnieć. Kwestia jednak pozostaje ważna. W Unii Kolonialnej od bardzo dawna obowiązuje prawo zabraniające klonowania ludzi spoza KSO, martwych lub żywych, szczególnie jednak żywych. Klonujemy ich jedynie wtedy, kiedy chcemy umieścić wewnątrz niezmodyfikowanych ciał naszych żołnierzy po zakończeniu służby. Boutin jest cywilem i kolonistą. Nawet gdybyśmy chcieli, to nie możemy go legalnie sklonować.

– Boutin sam się przecież klonował – przypomniał Robbins.

– To nie to samo. Nie możemy pozwolić, żeby w tej trudnej sytuacji naszym wzorem stała się moralność zdrajcy, pułkownika. – Mattson znów był zirytowany.

– Mógłby pan otrzymać specjalne pozwolenie od najwyższych władz Unii – zasugerował Robbins. – Takie rzeczy już się zdarzały. Sam pan to kiedyś robił.

– Nie w takiej sprawie. Dostawaliśmy specjalne pozwolenia na testowanie nowej broni na niezamieszkałych planetach. Wystarczy, że wspomnimy o klonach i co bardziej reakcyjne typy dostaną szału. Cała sprawa nawet nie wyjdzie poza Komitet.

– Boutin jest naszym kluczem do tego, co zaplanowali Rraeyowie wraz ze swoimi sojusznikami – rzekł Robbins. – Być może nadszedł czas, żebyśmy, biorąc przykład z amerykańskich Marines, błagali o wybaczenie zamiast prosić o pozwolenie.

– Podziwiam pańską gotowość do wciągnięcia na maszt pirackiej bandery, pułkownika -odparł cierpko Mattson. – Ale to nie pana potem ustrzelą. A przynajmniej nie tylko pana. Szilard, który przez dłuższy czas

przeżuwał kawał steku przełknął spory kęs, odłożył sztućce i wrócił do rozmowy.

– My to zrobimy.

– Słucham? – zapytał zaskoczony Mattson.

– Dajcie ten wzorzec świadomości Siłom Specjalnym, generale – kontynuował Szilard. – Dajcie nam też geny Boutina. Za ich pomocą wytworzymy żołnierza Sił Specjalnych. Do stworzenia każdego z żołnierzy używamy więcej niż jednego zestawu genów, więc technicznie rzecz biorąc to nie będzie jego klon. A jeśli ta świadomość nie zadziała, nie robi nam to wielkiej różnicy. Powstanie po prostu kolejny żołnierz Sił Specjalnych. Nie mamy nic do stracenia.

– Poza tym, że jeśli ta świadomość zadziała, będziemy mieć skłonnego do zdrady żołnierza Sił Specjalnych – mruknął Mattson. – To nie brzmi zbyt zachęcająco.

– Możemy się na to przygotować – odparł Szilard i znów chwycił za sztućce.

– Będziecie używać genów żyjącego kolonisty. Myślałem, że Siły Specjalne wykorzystują jedynie geny tych spośród rekrutów, którzy umarli przed rozpoczęciem służby.

Dlatego właśnie nazywa się je „Brygadami Duchów”. Szilard rzucił Robbinsowi ostre spojrzenie.

– Nie przepadam za tą nazwą. Geny zmarłych rekrutów KSO są jednym ze składników. I zwykle jako matrycy używamy materiału genetycznego rekruta. Ale Siły Specjalne do budowy swoich żołnierzy posługują się szerszym wachlarzem genów. Jeśli weźmie się pod uwagę charakter misji jakie wykonujemy dla KSO, jest to po prostu niezbędne. W każdym razie oficjalnie rzecz biorąc Boutin nie żyje; mamy przecież martwe ciało z jego

materiałem genetycznym. I nic nie wiemy o tym, żeby żył. Boutin zostawił jakąś rodzinę?

– Nie – odparł Mattson. – Miał żonę i dziecko, ale oboje umarli przed nim. Poza tym nie miał nikogo, żadnej rodziny.

– A więc nie ma problemu. Po śmierci nie jesteś już właścicielem swoich genów. Zdarzało nam się już wykorzystywać geny zmarłych kolonistów. Nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy tego zrobić znowu.

– Nie przypominam sobie, żebym słyszał o tym sposobie tworzenia waszych ludzi, Szi – rzucił z powątpiewaniem Mattson.

– Niezbyt chętnie mówimy o sobie, generale. Przecież nas znasz. – Odciął kawałek steku i wsunął sobie do ust. Robbinsowi zaburczało w brzuchu. Mattson chrząknął, oparł się wygodniej i spojrzał w górę na Feniksa, który w niedostrzegalnym dla ludzkich oczu tempie toczył się po niebie. Robbins podążył za jego spojrzeniem i poczuł kolejne ukłucie tęsknoty za domem.

Po chwili Mattson zwrócił się do Szilara.

– Boutin jest jednym z moich ludzi, na dobre i na złe. Nie mogę ci przekazać odpowiedzialności za niego, Szi.

– Dobrze. – Szilar skinął w stronę Robbinsa. – Więc pożycz mi na jakiś czas Robbinsa. Będzie naszym łącznikiem, a Dział Badań Wojskowych wciąż będzie brał w tym czynny udział. Będziemy dzielić się informacjami. Pożyczymy też sobie tego technika, Wilsona.

Będzie pracował z naszymi ludźmi nad zintegrowaniem technologii Consu z naszą. Jeśli wszystko się powiedzie, będziemy mieli wspomnienia i motywacje Charlesa Boutina, co pozwoli nam się przygotować do tej wojny. Jeśli się nie uda, będę miał po prostu kolejnego żołnierza Sił

Specjalnych. Jeśli nie straci się tego, co się ma, to w przyszłości nie będzie się tego chcieć.

Mattson skonsternowany spojrział na Szilarda.

– Bardzo się do tego palisz, Szi.

– Zbliża się wojna ludzi z sojuszem trzech obcych ras. Po raz pierwszy w historii. Z każdą z tych ras z osobna dalibyśmy sobie jakoś radę, ale nie ze wszystkimi trzema na raz!

Zadaniem Sił Specjalnych jest nie dopuścić do tej wojny. Jeśli to może nam w tym pomóc, powinniśmy to zrobić. A przynajmniej powinniśmy spróbować to zrobić.

– Co pan o tym sądzi, pułkowniku? – zapytał Mattson.

– Jeśli generał Szilard ma rację, to w ten sposób moglibyśmy obejść wątpliwości natury prawnej i etycznej. Myślę więc, że warto spróbować. Na dodatek wciąż trzymalibyśmy rękę na pulsie. – Robbins niezbyt chętnie myślał o swojej ewentualnej współpracy z żołnierzami i technikami Sił Specjalnych, ale starał się nie dać tego po sobie poznać. Mattson nie musiał być tak subtelny.

– Twoim ludziom zwykle niezbyt dobrze się układa z moimi, Szi. To jeden z powodów, dla których Dział Badań Wojskowych rzadko pracuje razem z Siłami Specjalnymi.

– Moi ludzie są przede wszystkim żołnierzami. Będą wykonywać rozkazy. Wszystko będzie dobrze, przerabialiśmy to już wcześniej. W czasie bitwy o Koral w misji Sił Specjalnych brał udział regularny żołnierz KSO. Jeśli to nam się udało, to nasi technicy będą mogli ze sobą pracować bez niepotrzebnego rozlewu krwi. Mattson w zamyśleniu bębnił palcami o stół.

– Jak dużo czasu to zajmie? – zapytał po chwili.

– Musimy zbudować dla tego ciała nową matrycę, nie możemy zaadaptować poprzedniej. Będę musiał ją dwukrotnie sprawdzić z moimi technikami, ale zwykle budowa według takiego brudnopisu zajmuje około miesiąca. Ciało będzie rosnać minimum szesnaście tygodni, potem będziemy potrzebować jeszcze trochę czasu na opracowanie sposobu transferu świadomości. Możemy zresztą zająć się tym w czasie powstawania ciała.

– Nie można tego jakoś przyspieszyć?

– Owszem, moglibyśmy przyspieszyć proces powstawania ciała, ale wtedy w jego wyniku otrzymalibyśmy trupa. Albo coś znacznie gorszego. Ciała waszych żołnierzy powstają dokładnie w ten sam sposób i myślę, że doskonale pamiętasz, co się dzieje, kiedy skrucasz tę procedurę.

Mattson skrzywił się i przez chwilę się nie odzywał. Robbins, który był jego oficerem łącznikowym zaledwie od osiemnastu miesięcy, po raz kolejny zdał sobie sprawę z tego, że Mattson jest na tym stanowisku od wielu, wielu lat. Niezależnie od tego, jak układały się relacje między nimi, wiedza Robbinsa na temat jego szefa wciąż była pełna luk i białych plam.

– No dobrze – odezwał się w końcu Mattson. – Przejmij to i spróbuj coś z tego wycisnąć. Ale uważaj na niego. Miałem z Boutinem swoje problemy, ale nigdy nie podejrzewałem go o zdradę. Oszukał mnie, a zresztą oszukał wszystkich. Charles Boutin znajdzie się w ciele jednego z żołnierzy Sił Specjalnych. Bóg jeden wie, co będzie w stanie z nim zrobić!

– Zgoda. Jeśli transfer się powiedzie, dowiemy się o tym wcześniej czy później. Jeśli się nie uda, umieszczę go w pewnym miejscu. Tak na wszelki wypadek.

– Dobrze – zgodził się Mattson i znów spojrzał na krążącego w górze Feniksa. – Feniks -powiedział patrząc na wirujący nad nimi świat. – Odradzające się stworzenie. No cóż, to odpowiednia nazwa. Wiecie, że

Feniks powstaje na nowo w płomieniach? Miejmy nadzieję, że ta zrodzona na nowo istota nie pogrąży w ogniu wszystkiego.

Wszyscy trzej wpatrywali się w krążącą nad nimi planetę.

TRZECI

– To właśnie to – powiedział pułkownik Robbins do porucznika Wilsona, kiedy zamknięte w kadzi ciało zostało wwieszone do laboratorium, w którym dokonywano dekantacji.

– Tak, to właśnie to – zgodził się Wilson, który przysunął się do monitora, na którym przedstawione były odczyty funkcji życiowych ciała. – Był pan kiedyś ojcem, pułkowniku?

– Nie. Nigdy nie miałem skłonności w tym kierunku.

– No cóż, w takim razie jest pan w tym momencie na tyle blisko bycia ojcem, na ile jest to w pańskim przypadku możliwe.

W normalnych warunkach w laboratorium dokonywano by dekantacji nawet szesnastu żołnierzy Sił Specjalnych jednocześnie – zostaliby oni równocześnie aktywowani i wyszkoleni, w celu wytworzenia więzi grupowej i zmniejszenia dezorientacji, tak naturalnej dla kogoś, kto budzi się w pełni świadomy, a jednak pozbawiony jakichkolwiek wspomnień.

Teraz w laboratorium znajdował się tylko jeden żołnierz – ten, w którym miała zamieszkać świadomość Charlesa Boutina.



Minęły już ponad dwa stulecia od czasów, kiedy nowo powstała Unia Kolonialna, stanąwszy w obliczu utraty najwcześniejszych ze swoich kolonii (nazwy dla planety Feniks nie wybrano bez powodu), zdała sobie sprawę z tego, że niezmodyfikowani genetycznie żołnierze nie mogą skutecznie bronić jej interesów. Ludzie tak łatwo nie tracili ducha – stawali

do nierównej walki znajdując się na z góry skazanej na klęskę pozycji. Tak było między innymi w wypadku bitwy o planetę Armstrong, której przebieg studiowano potem jako doskonały przykład przekształcenia nieuchronnego, zdawało się, pogromu w pyrrusowe, bolesne i szokujące dla obcej rasy, zwycięstwo. Jednak ciało ludzkie nie mogło podolać trudom takich wojen – było zbyt słabe. Wrogowie byli zbyt szybcy, zbyt zajadli w boju, zbyt bezlitośni i zbyt liczni. Nie chodziło tutaj o różnice w stopniu technologicznego rozwoju – pod względem uzbrojenia ludzie nie byli gorsi od większości swoich przeciwników. Jednak w ostatecznym rozrachunku najważniejszą bronią jest ten, kto pociąga za spust.

Najwcześniejsze modyfikacje były stosunkowo proste: zwiększono szybkość ruchów i reakcji, masę i siłę mięśni, oraz ogólną wytrzymałość. Trzeba jednak pamiętać o tym, że dawni inżynierowie genetyczni skrępowani byli problemami natury praktycznej i etycznej – technologia in vitro była wtedy, jeśli można tak powiedzieć, w powijakach. Na to, by ciało urosło i zmadrzało na tyle, by móc walczyć, musieli czekać około osiemnastu lat. Ku swemu ogromnemu niezadowoleniu Kolonialne Siły Obrony wkrótce przekonały się, że wielu spośród wstępnie genetycznie zmodyfikowanych żołnierzy nie odczuwa entuzjazmu na myśl, że wyrosli jako stosy mięsa armatniego – pomimo nachalnej propagandy i wszechobecnej indoktrynacji masowo odmawiali udziału w walce. Wysiłki te rodziły wśród niezmodyfikowanej genetycznie części populacji oburzenie i fale gwałtownych sprzeciwów; głównie przez skojarzenia z historycznymi, niesławnymi próbami stosowania eugeniki w rozwoju istoty ludzkiej.

Unia Kolonialna z trudem przetrwała wszystkie polityczne kryzysy, których przyczyną były najwcześniejsze próby genetycznego udoskonalenia jej żołnierzy. Dopiero, kiedy bitwa o planetę Armstrong dobitnie

uzmysłowiła kolonistom, w jakim wszechświecie przyszło im żyć, kiedy rozpad Unii stał się realnym zagrożeniem, dopiero wtedy opinia publiczna zaczęła' zmieniać swoje nastawienie.

Przetrwanie Unii umożliwiły także dwa, niemal równocześnie dokonane przełomowe odkrycia naukowe – przyspieszenie pełnego wzrostu ludzkiego ciała do zaledwie paru miesięcy i pojawienie się protokołu transferu świadomości, który umożliwiał przeniesienie osobowości i wspomnień danej jednostki do innego mózgu – pod dwoma warunkami: po pierwsze ten drugi mózg musiał powstać z tożsamego zapisu genetycznego, po drugie musiał zostać do transferu odpowiednio przygotowany, co polegało między innymi na wytworzeniu w nim niezbędnych bioelektrycznych ścieżek przepływu impulsów nerwowych. Te dwie nowe technologie otworzyły przed Unią Kolonialną nową, bogatą pulę potencjalnych rekrutów – ludzi starszych wiekiem. Wielu spośród nich chętniej zaakceptowałoby życie w wojsku niż śmierć ze starości; na dodatek ich (ewentualna) śmierć nie stwarzała takiego demograficznego zagrożenia, jak strata dużej ilości ludzi młodych i zdrowych, mogących dalej przekazywać swoje geny.

Obdarowane tak bogatym zbiorem potencjalnych rekrutów, Kolonialne Siły Obrony zorientowały się, że mogą sobie pozwolić na luksus dokonywania kadrowych wyborów. KSO nie musiały już prosić kolonistów o zasilanie swoich szeregów; miało to zbawczy skutek, ci ostatni mogli teraz w pełni poświęcić się uprawie i rozwojowi swoich nowych światów, a także płodzeniu i wychowywaniu dzieci, które będą światy te w przyszłości zamieszkiwać.

Zlikwidowało to również główną przyczynę napięć występujących do tej pory między Unią a kolonistami. Teraz, kiedy młodzi koloniści nie byli już zabierani ze swoich ojczystych planet, żeby umrzeć na znajdujących się w odległości trylionów mil polach bitew, ludzie nie przywiązywali już takiej

wagi do etycznych aspektów genetycznej modyfikacji żołnierzy; zwłaszcza tych, którzy zgłosili się na ochotnika. Przecież sami tego chcieli.

Zamiast spośród kolonistów, KSO zaczęło wybierać swoich rekrutów spośród mieszkańców ojczystej planety ludzi – Ziemi. Na Ziemi żyły miliardy ludzi – mieszkało ich tam więcej, niż na wszystkich skolonizowanych przez człowieka planetach razem wziętych.

Ilość potencjalnych rekrutów była tam ogromna – na tyle duża, że KSO zdecydowało się ją później ograniczyć, wybierając rekrutów jedynie spośród obywateli bogatszych i bardziej uprzemysłowionych krajów, gdzie ludzie zwykle w lepszej formie dożywali późnego wieku; na dodatek kulturowe wdrukowania nakazywały im jednocześnie większe umiłowanie młodości i głębszy strach przed starzeniem się i śmiercią. Ci starsi wiekiem obywatele, jako nieodrodne dzieci społeczeństw, w których żyli, okazali się dla KSO znakomitymi rekrutami; KSO szybko przekonały się, że chętnie wstępowały na służbę nawet wtedy, kiedy nie udzielano im na jej temat żadnych szczegółowych informacji – w istocie sprawy miały się tak, że liczba decydujących się na służbę rekrutów była odwrotnie proporcjonalna do wiedzy potencjalnych rekrutów na temat jej przebiegu. Ci ludzie zwykle zakładali, że służba w KSO będzie przypominała wojskową służbę na Ziemi. KSO za bardzo nie wyprowadzało ich z błędu.

Rekrutacja w krajach wysoko uprzemysłowionych przebiegała na tyle pomyślnie, że Unia Kolonialna, by zabezpieczyć sobie rzesze przyszłych ochotników, zaprzestała w nich poboru kolonistów – chętnych do osiedlenia się w kosmosie zaczęto wybierać spośród ludności krajów biedniejszych, skąd udręczeni codziennymi problemami młodzi, ambitni ludzie chcieli uciec dokądkolwiek, byle tylko nie pozostać w tych swoich pozbawionych przyszłości zaściankach. Ten podział rekrutacyjnego doboru żołnierzy i kolonistów okazał się dla Unii Kolonialnej korzystny i utrwalił się na stałe.

Jednak rekrutacja jedynie wśród obywateli starszych wiekiem stała się źródłem nieoczekiwanego problemu – spora ilość rekrutów umierała przed rozpoczęciem służby.

Swoje zniwo zbierały zawały, wylewy, zbyt duża ilość cheeseburgerów, ciastek i smażonego żółtego sera. KSO, które już pobrało od rekrutów próbki DNA, nagle stanęło wobec całych bibliotek ludzkich genomów, z którymi nic nie można było zrobić. Na dodatek KSO chciało jeszcze poeksperymentować z modelami ciał swoich żołnierzy, nie zważając na efektywność bojową, którą już dysponowało.

A potem nadszedł przełom – niezwykle potężny, niewielki, półorganiczny komputer, dogłębnie zintegrowany z ludzkim mózgiem, który w sposób wysoce niewłaściwy został pochopnie nazwany MózGościem. Mózgowi, już wypełnionemu pochodzącą z doświadczeń całego życia wiedzą, MózGościu oferował krytyczne wsparcie w umysłowych zdolnościach, poszerzenie zakresu pamięci i komunikacji.

Ale MózGościu oferował jeszcze więcej mózgowi, który był w istocie niezapisaną kartą, prawdziwą tabulą rasa.



Robbins zajrzał do wnętrza kadzi, w której spoczywało unieruchomione przez pole siłowe ciało. – Niespecjalnie przypomina Charlesa Boutina.

Wilson właśnie dokonywał ostatnich poprawek w regulacji urządzenia, które zawierało nagraną świadomość Boutina i nawet nie spojrzął w jego stronę.

– Boutin był niezmodyfikowanym człowiekiem. Kiedy go obaj poznaliśmy, był już w średnim wieku. Prawdopodobnie był podobny do tego gościa kiedy miał dwadzieścia lat.

Pomijając oczywiście zieloną skórę, kocie oczy i inne modyfikacje. No i prawdopodobnie nie był tak wysportowany jak to ciało tutaj. Ja w każdym razie, kiedy miałem dwadzieścia lat, nie byłem tak wysportowany jak teraz. A nawet nie muszę ćwiczyć.

– Pańskie ciało jest tak zaprojektowane, żeby samo zadbało o siebie – przypomniał Robbins.

– I dzięki Bogu. Uwielbiam pączki z dziurką.

– Będzie pan miał pączek z dziurką, kiedy w tym wrogim wszechświecie da się pan postrzelić jakiemuś przedstawicielowi obcej rasy.

– Dzięki, zapamiętam to sobie.

Robbins znowu odwrócił się w stronę spoczywającego w kadzi ciała.

– Czy te wszystkie zmiany nie spowodują zakłóceń transferu osobowości?

– Nie powinny. W nowym genomie tego kolesia geny odpowiadające za rozwój mózgu pozostały niezmienione. Tu w środku jest mózg Boutina, przynajmniej pod względem genetycznym.

– A w jakiej formie jest jego mózg?

– W dobrej. – Wilson postukał palcami w kontrolny monitor kadzi. – Jest zdrowy i gotowy.

– Myśli pan, że to się uda?

– Hm, no właśnie...

– Dobrze widzieć, że jesteśmy tak pełni wiary i nadziei – zażartował Robbins. Wilson już otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale nie zdążył, bo przez nagle otwarte drzwi weszli do środka generałowie Mattson i Szilard, w towarzystwie trzech techników dekantacji z Sił Specjalnych. Technicy podeszli prosto do kadzi, a Mattson skierował się do Robbinsa, który zasalutował mu razem z Wilsonem.

– Powiedzcie mi, że to się uda – zagaił Mattson, salutując im w odpowiedzi.

– Właśnie rozmawialiśmy na ten temat z porucznikiem Wilsonem – przyznał Robbins, po prawie niezauważalnej pauzie.

Generał spojrział na Wilsona.

– Poruczniku?

Wilson wskazał na ciało, spoczywające w otoczonej przez techników kadzi.

– Ciało jest zdrowe, mózg również. Mózg Gościu funkcjonuje doskonale, co nie jest żadną niespodzianką. Udało nam się zintegrować wzorzec świadomości Boutina z maszyną przesyłową bez poważniejszych problemów. Testy, które przeprowadziliśmy wskazują, że nie powinno być problemów z transmisją. W teorii powinniśmy być w stanie dokonać transferu świadomości tak samo, jak robimy to za każdym innym razem.

– Panie poruczniku, wymawia pan słowa pełne pewności siebie, tonem, w którym jej nie ma – zauważył Mattson.

– Wielu rzeczy nie możemy być pewni, panie generale. Zwykle w czasie dokonywania transferu osobnik pozostaje przytomny. To ułatwia cały proces. Tutaj nie mamy takiej możliwości. Nic będziemy wiedzieć, czy transfer się powiódł, dopóki nie obudzimy ciała. To będzie pierwsza próba transferu bez udziału dwóch mózgów. Jeśli ta zapisana tu w środku świadomość nie należy do Boutina, wzorzec jej nie przyjmie. A nawet, jeśli to jest świadomość Boutina, to i tak nie ma pewności, że się wczyta. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby to umożliwić. Czytał pan raporty. Ale w grę wchodzi tu zbyt wiele niewiadomych, byśmy mogli mieć pewność. Znamy wszystkie sposoby; dzięki którym cały proces może przebiec pomyślnie, lecz nie znamy wszystkich negatywnych wariantów rozwoju sytuacji.

- Myśli pan, że to się uda czy nie? – naciskał generał.
 - Myślę, że się uda, ale musimy starać się zachować zdrowy szacunek do tego, czego nie wiemy. W tym, co robimy, jest mnóstwo miejsca na błędy, sir.
 - Robbins? – Mattson zwrócił się do adiutanta.
 - Zgadza się z tym, co powiedział porucznik Wilson, panie generale.
- Technicy zakończyli badanie sprzętu i zameldowali o tym generałowi Szilardowi, który w odpowiedzi skinął głową i podszedł do Mattsona.
- Mówią, że jesteśmy gotowi.
- Mattson spojrział przeciągle na Robbinsa, potem na Wilsona.
- No dobrze – powiedział w końcu. – Miejmy to już za sobą.



Siły Specjalne KSO budują swoich żołnierzy według prostej receptury: najpierw trzeba zacząć od ludzkiego genomu. A potem trzeba odejmować.

Genom człowieka składa się z około dwudziestu tysięcy genów, stworzonych z trzech miliardów podstawowych par, rozsianych po dwudziestu trzech chromosomach. Większość genomu to „śmieci” – sekwencje, które nie są odpowiedzialne za nic, co znajdzie się w ostatecznym produkcie DNA – w istocie ludzkiej. Kiedy natura umieści już coś w łańcuchu DNA, to niezbyt chętnie to usuwa; nawet, jeśli okazuje się to zupełnie bezużyteczne.

Naukowcy Sił Specjalnych nie są tak konserwatywni. W przypadku budowy każdego nowego modelu ciała, ich pierwszym krokiem jest usunięcie zbytecznego, „nieczynnego” materiału genetycznego. W wyniku tej redukcji powstaje zubożona, bardziej skuteczna w doraźnym działaniu, ale na dłuższą metę bezużyteczna sekwencja DNA – takie zadiustowanie

ludzkiego genomu niszczy jego chromosomalną strukturę, uniemożliwiając mu dalsze powielanie się. Ale jest to tylko pierwszy z wielu kroków. Potem odbywa się ponowne złożenie w funkcjonalną całość i replikacja nowego genomu.

Nowa, krótka sekwencja DNA zawiera w sobie wszystkie geny, które sprawią, że posiadający je człowiek będzie tym, kim będzie – ale to jest o wiele za mało. Ludzki genotyp nie daje ludzkiemu fenotypowi wymaganej przez Siły Specjalne plastyczności; albo, inaczej rzecz ujmując: nasze geny nie są w stanie wytworzyć potrzebnych Siłom Specjalnym żołnierzy o nadludzkich właściwościach. To, co pozostaje z ludzkiego genomu, zostaje teraz wydzierzawione, zaprojektowane i złożone na nowo, żeby wytworzyć geny, które umożliwią znaczący wzrost możliwości przyszłego ciała. Proces ten może wymagać wprowadzenia do zestawu dodatkowego materiału genetycznego. Najczęściej bez trudu udaje się wcielić geny pochodzące od innych ludzi, ponieważ ludzki genom jest zaprojektowany tak, by przejmować informację genetyczną od innych ludzkich genomów (zwykle, naturalnie i entuzjastycznie, odbywa się to na drodze procesu zwanego „seksem”). Również stosunkowo łatwo można wdrukować materiał genetyczny pochodzący od któregoś z gatunków ziemskich zwierząt, ponieważ całe życie na Ziemi zbudowane jest z tych samych genetycznych cegiełek i wszystkie gatunki są ze sobą genetycznie spokrewnione.

Natomiast wdrukowanie materiału genetycznego pochodzącego od któregoś z pozaziemskich gatunków jest znacznie trudniejsze. Na niektórych planetach wyewoluowały genetyczne struktury z grubszą podobne do ziemskich, które zawierają niektóre albo i wszystkie nukleotydy charakterystyczne dla ziemskich organizmów żywych (być może nie jest przypadkiem fakt, że pochodzące z tych planet gatunki istot inteligentnych są znane z tego, że czasem zdarza im się skonsumować

człowieka; Raeyowie, na przykład, uważają ludzkie mięso za całkiem smaczne). Jednak większość gatunków inteligentnych istot ma struktury i części składowe budowy genetycznej bardzo różniące się od ziemskich stworzeń.

Używanie ich genomu nie sprowadza się do zwykłego wycinania i wklejania.

Siły Specjalne rozwiązały ten problem wczytując ekwiwalenty DNA obcych gatunków do kompilatora, który dokonuje genetycznego „przekładu” do formatu ziemskiego DNA – otrzymane w ten sposób DNA może stworzyć istotę na tyle podobną z wyglądu i funkcjonowania do przedstawiciela obcego gatunku, na ile tylko jest to możliwe. Geny transliterowanych istot zostają wtopione w DNA przyszłego żołnierza Sił Specjalnych.

W wyniku tego genetycznego projektowania powstaje DNA, które opisuje stworzenie powstałe na bazie człowieka, ale nim niebędące – na tyle nieludzkie, że gdyby mu pozwolić się w tym momencie rozwinąć, powstałaby nieprawdopodobna, będąca zlepkiem niepasujących do siebie części, przerażająca kreatura, na widok której jej duchowa matka chrzestna, Mary Wollstonecraft Shelley, uciekłaby z płaczem do kąta. Odciągnąwszy DNA tak daleko od człowieczeństwa, naukowcy Sił Specjalnych zaczynają rzeźbić otrzymany materiał genetyczny tak, by na powrót wtłoczyć istotę, którą formują, w rozpoznawalną ludzką postać. Wszyscy oni zgodnie twierdzą, że jest to najtrudniejszy krok ze wszystkich; niektórzy (po cichu) kwestionują jego użyteczność. Warto przy tym dodać, że żaden z tych naukowców nie różni się wyglądem od przeciętnego człowieka.

DNA, wyrzeźbione w ten sposób, by dać swojemu właścicielowi nadludzkie zdolności, zostaje w końcu ostatecznie ułożone we właściwym porządku. Nawet po dodaniu pochodzących z zewnątrz genów okazuje się

znacznie uboższe od oryginalnego ludzkiego DNA; dodany materiał genetyczny powoduje, że organizuje się on w pięć chromosomalnych par, a więc prawie pięciokrotnie mniej niż u niezmodyfikowanego człowieka, który ma dwadzieścia trzy takie pary; i tylko o jedną parę więcej od muszki owocowej. Podczas gdy żołnierze Sił Specjalnych zachowują płęć swojego dawcy (albo dawczyni) i geny odpowiedzialne za rozwój seksualności zostają zachowane po ostatecznej redukcji, to jednak nie posiadają chromosomu Y – fakt ten powodował niejasne uczucie niepokoju u dawnych naukowców Sił Specjalnych płci męskiej Sił Specjalnych.

DNA, już skonfigurowane, zostaje umieszczone we wnętrzu zygoty znajdującej się w kadzi rozwojowej, po czym zygota zostaje łagodnie nakłoniona do rozpoczęcia podziału mitotycznego. Przemiana zygoty w embrion zachodzi w dużym przyspieszeniu, w wyniku czego temperatura procesów metabolicznych zaczyna niebezpiecznie zbliżać się do granicy denaturacji DNA. Kadź wypełnia się przewodzącym ciepło płynem pełnym mikrorobotów, który wsiąka w rozwijające się komórki i gwałtownie przyspiesza rozwój embriona.

Naukowcom Sił Specjalnych najprawdopodobniej wydaje się, że wciąż jest za dużo procent człowieczeństwa w nowopowstającym żołnierzu. Po biologicznym remoncie kapitałnym przychodzi czas na technologiczne ulepszenia. Wyspecjalizowane mikroroboty wstrzyknięte do wnętrza embriona żołnierza Sił Specjalnych zmierzają w dwóch kierunkach.

Większość zmierza do bogatego w szpik wnętrza kości – tam mikroroboty trawią szpik i mechanicznie hodują w jego miejsce SprytnąKrew, która ma większą zdolność przenoszenia tlenu od normalnej krwi, lepszą krzepliwość i na dodatek jest prawie zupełnie odporna na wszelkie choroby zakaźne. Reszta mikrorobotów wędruje do szybko rosnącego mózgu, gdzie kładzie fundamenty pod komputer MózGościa,

który, po ukończeniu będzie miał wielkość dużej czereśni. Ta czereśnia, umieszczona w głębi czaszki, zostanie otoczona gęstą siecią anten, które będą odwzorowywać pole elektryczne mózgu, interpretując w ten sposób jego życzenia i odpowiadając na nie za pomocą wyjść zintegrowanych ze słuchem i wzrokiem żołnierza.

Są jeszcze inne modyfikacje, wiele z nich wciąż pozostaje na poziomie eksperymentu, testowanego na niewielkich grupach narodzeniowych. Jeśli okazuje się, że z ich wprowadzenia wynikają jakieś wymierne korzyści, zaczyna się je szerzej stosować w obrębie Sił Specjalnych i wpisuje się je na listę ulepszeń przyszłych generacji żołnierzy piechoty Kolonialnych Sił Obrony. Jeśli natomiast modyfikacje te żadnych korzyści nie przynoszą, to umierają razem z jednostkami, za pomocą których je testowano.

Żołnierz Sił Specjalnych dorasta do rozmiarów przeciętnego noworodka w ciągu mniej więcej dwudziestu dziewięciu dni; w ciągu szesnastu tygodni, zakładając optymalny metabolizm wewnątrz kadzi, osiąga wzrost dorosłego człowieka. KSO próbowało przyspieszyć ten cykl rozwojowy, w wyniku czego ciała usmażyły się we własnym sosie pod wpływem ciepła wytwarzanego przez procesy metaboliczne. Te spośród ciał, które nie umarły wewnątrz kadzi, cierpiały na choroby genetyczne, spowodowane wadliwą transliteracją DNA, w wyniku której dotykały je różne odmiany nowotworów i skomplikowane mutacje. Okres szesnastu tygodni (w normalnych warunkach rozwoju) stanowi granicę, poza którą DNA może ulec chemicznej dekompozycji. Pod koniec szesnastego tygodnia kadź wypełnia się syntetycznym hormonem, który obmywa całe ciało, przestawiając poziom natężenia procesów metabolicznych na normalny poziom.

W czasie procesu rozwojowego kadź ćwiczy rosnące w niej ciało, żeby je wzmocnić i umożliwić jego przyszłemu właścicielowi (albo właścicielce)

korzystanie z niego od chwili ocknięcia się świadomości. W głębi mózgu MózGościu pomaga rozwinąć główne arterie przepływu impulsów nerwowych, stymuluje centra przetwarzania danych i szykuje się na chwilę, w której jego właściciel zostanie wybudzony po raz pierwszy, by pomóc mu przejść z niczego do czegoś.

Dla większości spośród żołnierzy Sił Specjalnych w tym momencie pozostał jeszcze tylko jeden krok do wykonania – „narodziny”, czyli proces dekantacji, po którym następuje (zwykle) płynne wejście w rytm wojskowego życia. Jednak jeden z żołnierzy Sił Specjalnych musiał zrobić jeszcze jeden, dodatkowy krok.



Szilard polecił swoim technikom, żeby dokonali ostatecznego przeglądu sprzętu.

Wilson, pochylony nad urządzeniem z nagraniem, czekał na polecenie rozpoczęcia transferu.

Po chwili technicy zameldowali o pełnej gotowości sprzętu i Wilson zaczął przesyłać świadomość Boutina. Słysząc było ciche brzęczenie maszynierii. Zamknięte w kadzi ciało wciąż pozostawało nieruchome. Po paru minutach Wilson skonsultował się z technikami, a potem z Robbinsem, który podszedł do Mattsona i powiedział: – Zrobione.

– To wszystko? – zapytał generał i spojrział na spoczywające w kadzi ciało. – W jego wyglądzie nic się nie zmieniło. Wciąż wygląda, jakby był pogrążony w śpiączce.

– Jeszcze go nie wybudzili – wyjaśnił pułkownik. – Chcą wiedzieć, w jaki sposób mają to zrobić. Normalnie budzi się żołnierzy Sił Specjalnych z MózGościami włączonymi na świadomą integrację. To daje żołnierzowi

tymczasowe poczucie samego siebie, które pomoże mu przetrwać do momentu, w którym wytworzy swoje własne. Ale nie chcieli tego włączać, skoro tutaj może już być gotowa świadomość. To mogłoby wprowadzić tę osobę w zmieszanie.

Mattson prychnął; najwyraźniej rozbawił go ten pomysł.

– Obudźcie go bez włączania MózGościa. Jeśli tam w środku jest Boutin, to nie chcę, żeby poczuł się zmieszany. Chcę, żeby zaczął mówić.

– Tak jest, sir.

– Jeśli to rzeczywiście zadziałało, to będzie wiedział kim jest, od razu po przebudzeniu, mam rację? – dopytywał się Mattson.

Robbins spojrział na Wilsona, który przysłuchiwał się ich wymianie zdań. Ten zrobił coś pomiędzy wzruszeniem ramion i skinięciem głową.

– Myślimy, że tak właśnie będzie – odparł w końcu Robbins.

– To dobrze. Chcę być pierwszą osobą, którą zobaczy. – Generał podszedł do kadzi i ustawił się tuż przed nieprzytomnym ciałem. – Proszę im powiedzieć, żeby obudzili tego sukinsyna.

Robbins dał znak jednemu z techników, który dotknął palcem ekranu monitorującego kadź.

Ciałem targnął wstrząs, dokładnie taki sam, jaki targa ciałem zasypiającego człowieka, który nagle czuje jakby spadał w przepaść. Człowiek w kadzi zatrzepotał powiekami i otworzył oczy. Przez chwilę jego spojrzenie błędziło panicznie po wnętrzu laboratorium – najwyraźniej był zdezorientowany – po czym jego wzrok skupił się na Mattsonie, który przechylony w jego stronę szczyrzył zęby w uśmiechu.

– No cześć, Boutin – odezwał Mattson. – Pewnie nie spodziewałeś się mnie zobaczyć. Ciało naprężyło się i przysunęło głowę do głowy Mattsona, jakby chciało mu coś powiedzieć. Generał pochylił się jeszcze bardziej. I wtedy ciało zaczęło wrzeszczeć.



Generał Szilard znalazł Mattsona w toalecie na końcu korytarza przed laboratorium dekantacyjnym, gdzie poszedł, żeby sobie ulżyć.

– Jak twoje ucho? – spytał.

– Do cholery, co to za pytanie, Szi? – odwarknął Mattson, wciąż stojąc twarzą do ściany.

– A jak ma się czuć moje ucho, jeśli przed chwilą wydarł się do niego jakiś bełkoczący idiota?

– On nie jest żadnym bełkoczącym idiotą. Właśnie kazałeś obudzić nowonarodzonego żołnierza Sił Specjalnych z wyłączonym MózGościem. Nie miał poczucia samego siebie.

Zrobił to, co zrobiłby każdy noworodek. Czego się spodziewałeś?

– Spodziewałem się pieprzonego Charlesa Boutina. – Mattson potrząsnął głową. – Chyba nie muszę ci przypominać, że właśnie dlatego wyhodowaliśmy tego małego skurwiela.

– Wiedziałeś, że to może się nie udać. Ostrzegałem cię. Twoi ludzie też.

– Dzięki za przypomnienie, Szi. Zapiął rozporek i podszedł do zlewu. Ta cała awantura okazała się cholerną stratą czasu.

– On może okazać się użyteczny. Może świadomość potrzebuje czasu, żeby się zagnieździć.

– Robbins i Wilson powiedzieli, że jego świadomość będzie tam, kiedy tylko się obudzi.

– Podsunął dłonie pod kran. – Cholerne automatyczne krany – zaklął i w końcu przykrył czujnik całą dłonią. Woda zaczęła lecieć.

– Przedtem żaden inny się w ten sposób nie zachowywał. Może Robbins i Wilson nie mieli racji.

Mattson wydał z siebie krótki, burkliwy rechot.

– Ci dwaj na pewno nie mieli racji, nie ma co do tego żadnych wątpliwości, Szi. Tylko nie w tym sensie, o którym mówisz. Poza tym, czy twoi ludzie będą niańczyć noworodka wielkości dorosłego mężczyzny, podczas gdy ty będziesz czekał, aż świadomość się w nim zagnieździ? Nie sądzę, i sam nie zamierzam tego robić. Straciliśmy już na to za dużo czasu.

– Mattson skończył myć ręce i rozejrzał się w poszukiwaniu podajnika ręczników toaletowych.

Szilard wskazał na ścianę.

– Podajnika już tu nie ma.

– Oczywiście, że go już tu nie ma. Ludzkość jest w stanie budować żołnierzy z samego kodu DNA, ale nie jest w stanie zaopatrzyć toalet w cholerne papierowe ręczniki. – Gwałtownym ruchem otrząsnął dłonie z wody i wytarł je o nogawki spodni.

– Pozwolisz, że odłożymy na bok kwestię papierowych ręczników – zaproponował Szilard. – Czy to znaczy, że przekazujesz mi kontrolę nad tym żołnierzem? Bo jeśli tak, to zamierzam włączyć jego MózGościa i jak najszybciej wcielić go do plutonu szkoleniowego.

– Tak ci się spieszy?

– Jest w pełni ukształtowanym żołnierzem Sił Specjalnych. Nie wykazuję żadnego szczególnego pośpiechu, wiesz równie dobrze jak ja, jak dużą mamy płynność kadr w Siłach Specjalnych. Ciągłe nam brakuje żołnierzy. Powiedzmy, że wierzę w to, że ten konkretny żołnierz może się jeszcze okazać użyteczny.

– Jesteś zbytnim optymistą. Szilard uśmiechnął się.

– Wiesz, w jaki sposób nadajemy imiona i nazwiska żołnierzom Sił Specjalnych, generale?

– Nadajecie im nazwiska uczonych i artystów.

– Naukowców i filozofów – poprawił Szilard. – Imiona są zwykle i nadajemy je w sposób losowy. Ja noszę nazwisko Leo Szilarda. Był jednym z naukowców, którzy pomagali budować pierwszą bombę atomową, czego później przez resztę życia żałował.

– Wiem kim był Leo Szilard, Szi.

– Nie chciałem cię oskarżyć o ignorancję, generale. Chociaż z wami naprawdę nigdy nic nie wiadomo. Macie takie śmieszne luki w pamięci i wiedzy.

– Ponieważ większość lat poświęconych edukacji w naszym życiu spędzamy na poszukiwaniu seksu. To odwraca uwagę większości z nas od zbierania informacji na temat dwudziestowiecznych naukowców.

– A to ciekawostka – odrzekł Szilard i wrócił do wcześniej rozpoczętego wątku. – Poza licznymi talentami z zakresu nauk ścisłych, Szilard był także obdarzony zdolnością przewidywania zdarzeń. W dwudziestym wieku przewidział obie wojny światowe i wiele innych znaczących wydarzeń. Był przez to trochę nerwowy. Miał zasadę, żeby zawsze mieszkać w hotelach i zawsze być spakowanym. Tak na wszelki wypadek.

– To fascynujące. O co w tym wszystkim chodzi?

– Nie zamierzam w żaden sposób udawać, że jestem Leo Szilardem. Po prostu zostało mi przydzielone jego nazwisko. Ale sądzę, że tak jak on, mam talent do przewidywania rzeczy, szczególnie, jeśli chodzi o wojny. Myślę, że ta wojna, która właśnie nadchodzi, będzie naprawdę okropna. To nie jest czysta spekulacja; od dawna gromadzimy dane wywiadowcze, więc moi ludzie wiedzą już czego szukać. Zresztą nie trzeba być asem wywiadu, żeby zdawać sobie sprawę z tego, że w starciu z trzema sprzymierzonymi rasami istot inteligentnych ludzkość ma naprawdę marne szanse. – Szilard skinął głową w stronę laboratorium. – Być może ten żołnierz nie ma wspomnień Boutina, ale wciąż ma Boutina w sobie, w swoich genach.

Myślę, że to może mieć w przyszłości znaczenie. Zresztą będzie nam potrzebna wszelka dostępna pomoc. Możesz go nazwać moją spakowaną walizką.

– Chcesz go mieć z powodu swojego przeczucia – domyślił się Mattson.

– Między innymi.

– Wiesz co? Czasem naprawdę widać po tobie, że jesteś nastolatkiem, Szi.

Szilard zignorował tę uwagę.

– Przekazujesz mi tego żołnierza, generale?

Mattson machnął ręką.

– Należy do ciebie, generale Szilard. Ciesz się nim do woli. Przynajmniej nie muszę się martwić o to, że ten także stanie się zdrajcą.

– Dziękuję.

– Więc co zamierzasz zrobić ze swoją nową zabawką?

– Chyba zacznę... od nadania jej imienia.

CZWARTY

Przyszedł na ten świat jak większość nowonarodzonych – krzycząc.

Świat wokół niego był pozbawionym formy chaosem. Coś było blisko niego i wydawało do niego dźwięki – przstraszyło go to. Wtedy to coś znikło, wydając z siebie jeszcze głośniejsze dźwięki.

Krzyczał. Próbował poruszyć ciałem, ale nie mógł tego zrobić. Więc krzyczał jeszcze trochę.

Potem pojawiła się następna forma; bazując na dotychczasowym doświadczeniu zaczął wrzeszczeć z przerażenia i próbował się odsunąć. Forma wydała z siebie dźwięk i poruszyła się.

Klarowność.

Nagle jakby ktoś nałożył mu na świadomość soczewki korekcyjne. Świat przybrał swoją właściwą postać. Wszystko pozostało mu nieznane, ale jednocześnie wszystko jakby nabrało sensu. Wiedział, że chociaż nie potrafi nazwać ani zidentyfikować rzeczy, które widzi, to jednak wszystkie spośród nich mają swoje nazwy i swoją tożsamość; jakaś część jego umysłu nagle nabrała życia, chcąc to wszystko jakoś określić i uporządkować ~ a jednak nie mogła tego zrobić.

Cały nieskończony wszechświat był na koniuszku jego języka. ::Możesz to odebrać?:: – zapytała znajdująca się naprzeciw niego forma – osoba. Mógł to odebrać, przecież właśnie to robił. Słyszał zadane pytanie, ale wiedział, że nie wydano żadnego dźwięku; pytanie rozległo się bezpośrednio w jego mózgu. Nie miał pojęcia skąd to wie, ani jak to było możliwe. Nie wiedział także, w jaki sposób odpowiedzieć. W końcu, żeby to zrobić, otworzył usta.

::Nie tak:: – poinformowała znajdująca się przed nim osoba. –
::Spróbujprzesłać mi swoją odpowiedź. To szybsze niż wymawianie słów.
Wszyscy tak robimy. Zrób to w ten sposób...::

We wnętrzu jego głowy pojawiły się instrukcje, a także coś więcej – świadomość, że wszystko, czego nie rozumie zostanie zdefiniowane, wytłumaczone i postawione we właściwym kontekście; nawet, kiedy to myślał poczuł, że przesłane mu instrukcje rozszerzają się, poszczególne pojęcia i idee rozgałęziają się różnymi ścieżkami w poszukiwaniu swojego znaczenia, żeby dać mu strukturę, z której będzie mógł korzystać. W końcu połączyły się w jedną wielką ideę i przybrały postać, która pozwoliła mu na udzielenie odpowiedzi. Poczuł narastającą potrzebę odpowiedzenia osobie znajdującej się naprzeciw niego; jego umysł, wyczuwając tę chęć, podsunął mu zestaw różnych możliwych odpowiedzi. Każda rozpakowywała się, podobnie jak przedtem instrukcje, dostarczając mu zrozumienie sensu, kontekst i samą możliwą odpowiedź. Wszystko to zajęło niecałe pięć sekund. ::Odbieram cię:: – odezwał się w końcu.

::Doskonale:: – przekazała osoba znajdująca się naprzeciw niego. –
::Jestem Judy Curie::

::Cześć, Judy:: – przywitał się, po tym jak jego mózg rozpakował dla niego dane dotyczące pojęcia imion i nazwisk, a także sposoby odpowiadania tym, którzy przedstawiają się dla identyfikacji. Próbował podać swoje imię, ale nie odnalazł żadnych danych na ten temat. Nagle poczuł się zmieszany.

Curie zwróciła się do niego z uśmiechem:

::Trudno ci jest przypomnieć sobie jak masz na imię?::

::Tak:: – odparł.

::Dzieje się tak dlatego, bo jeszcze żadnego nie masz. Chciałbyś się dowiedzieć, jak się nazywasz?::

::Proszę::

::Jesteś Jared Dirac.

Jared poczuł jak imię rozpakowuje się w jego mózgu. Jared: imię biblijne (rozpakowała się definicja słowa biblijne, prowadząc go do definicji książki i samej Biblii, której nie przeczytał czując, że czytanie przy jednoczesnym rozpakowywaniu zajęłoby mu więcej niż parę sekund), syn Mahalaleela i ojciec Henoha. Był także przywódcą Jeredów w Księdze Mormona (kolejna książka, której nie rozpakował). Definicja: potomek. Słowo Dirac miało wiele definicji, większość spośród nich nawiązywała do nazwiska naukowca Paula Diraca.

Jared zdążył rozpakować znaczenie imion i implikacje konwencji nazewniczych; teraz zwrócił się do Curie:

::Czy jestem potomkiem Paula Diraca?::

::Nie. Twoje nazwisko zostało losowo wybrane z ogólnej puli nazwisk::

::Ale moje imię oznacza potomka:: – drążył dalej Jared. – ::A nazwiska są przypisane do rodzin::

::Nawet dla naprawdę urodzonych imiona zwykle nie mają żadnego szczególnego znaczenia. A dla nas podobnie jest także z nazwiskami. Nie staraj się zbyt wiele odczytać ze swojego imienia, Jared::

Przez chwilę się zastanawiał, pozwalając tym myślom rozpakować się. Jedno z pojęć, „naprawdę urodzeni”, nie chciało się rozpakować; Jared postanowił teraz je zostawić i zająć się jego znaczeniem potem.

::Jestem zmieszany:: – poinformował po dłuższej chwili milczenia.

Curie znów się uśmiechnęła.

::Na początku bardzo często będziesz czuł się zmieszany::

::Pomóż mi być mniej zmieszany::

::Będę ci pomagać:: – zgodziła się Curie. – ::Ale tylko przez krótką chwilę. Urodziłeś się poza kolejnością, Jared; twoi koledzy z drużyny

treningowej mają nad tobą dwa dni przewagi.

Musisz zintegrować się z nimi najszybciej jak to możliwe, w przeciwnym razie możesz doświadczyć opóźnienia, którego możesz się już nigdy nie pozbyć. Powiem ci tyle, ile będę mogła', zanim dołączysz do swoich kolegów. Oni wypełnią pozostałe luki. A teraz wyjmijmy cię z tej kadzi. Zobaczmy czy potrafisz chodzić, tak samo dobrze jak myśleć.::

Pojęcie „chodzenia” rozpakowywało się w czasie, kiedy zwalniały się elektromagnetyczne ograniczenia utrzymujące Jareda we wnętrzu kadzi. Jared zebrał się w sobie i przechylił do przodu, wynurzając się z kadzi. Jego stopa wylądowała na podłodze.

::Jeden mały krok dla człowieka...:: – zaczęła Curie. Jared zdziwił się, że przy tej frazie zostało umieszczone takie bogactwo danych.



::Zacznijmy od spraw służbowych.:: – Curie szła z Jaredem przez Stację Feniks. -::Myślisz, że myślisz, ale się mylisz.::

W pierwszym odruchu Jared chciał powiedzieć Nie rozumiem, ale powstrzymał się, po raz pierwszy doznając intuicyjnego przeczucia, że tak właśnie będzie wyglądać większość jego odpowiedzi w najbliższej przyszłości. Zamiast tego przekazał: ::Wy tłumacz to, proszę.::

:: Jesteś nowo narodzony. Twój mózg – twój aktualny mózg – nie zawiera żadnej wiedzy ani żadnego doświadczenia. W ich miejsce, umieszczony w twojej głowie komputer, znany jako MózGościu, dostarcza ci wiedzy i informacji. Wszystko, co w twoim pojęciu rozumiesz, zostaje przetworzone przez MózGościa i odesłane ci z powrotem w formie, którą możesz pojąć. To właśnie ten komputer podsuwa ci sugestie twoich

odpowiedzi. Uważaj na ludzi.: – Curie prześlizgnęła się między tarasującymi przejście żołnierzami KSO.

Jared prześlizgnął się za nią.

::Ale ja czuję się tak, jakbym to wszystko prawie wiedział. Jakbym wiedział to już kiedyś, ale nie teraz.::

::Zanim się narodzisz, MózGościu trenuje twój mózg. Pomaga budować wspólne dla wszystkich ludzi ścieżki przesyłu impulsów nerwowych i przygotowuje go do szybkiego uczenia się i przetwarzania informacji. Dlatego właśnie czujesz, jakbyś już wszystko kiedyś wiedział, ponieważ twój mózg został przygotowany, żeby się tego nauczyć. Przez pierwszy miesiąc życia cały czas będziesz miał wrażenie déjà vu. Potem, gdy się wszystkiego nauczysz, będzie to aktualnie dostępne w twoim mózgu i przestaniesz się podpierać MózGościem. Ponieważ my możemy gromadzić i przetwarzać informacje – a także uczyć się ich – o wiele szybciej niż naprawdę urodzeni.::

Jared przystanął, po części po to, by pozwolić rozpakować się wszystkiemu, co Curie właśnie mu powiedziała, po części z innego powodu. Curie, poczuła, że się zatrzymał i także przystanąła.

::O co chodzi?::

::Po raz drugi użyłaś wyrażenia „naprawdę urodzeni”. Nie mogę dojść do tego, co ono oznacza.::

::Na pewno nie umieścili go w twoim MózGościu. – Znów zaczęła iść, po chwili wskazała na grupkę mijanych żołnierzy. – ”Naprawdę urodzeni” to oni. Ci ludzie rodzą się jako dzieci i muszą rozwijać się przez bardzo długi czas – to trwa u nich całe lata. W wieku lat szesnastu każdy z nich nie wie nawet tyle, ile ty wiesz w tej chwili, a ty żyjesz teraz od mniej więcej szesnastu minut. To naprawdę nieefektywne – ale naturalne, więc oni myślą, że dobre.::

::A ty tak nie myślisz?:: – zapytał Jared.

::Nie uważam, żeby to było dobre albo złe; sądzę tylko, że jest nieefektywne. Jestem tak samo żywa jak oni. Określenie „naprawdę urodzeni” zostało błędnie przypisane – my też jesteśmy naprawdę urodzeni. Rodzimy się, żyjemy, umieramy. Zupełnie w ten sam sposób::

::A więc jesteśmy tacy sami jak oni::

Curie spojrzała do tyłu.

::Nie:: – zaprzeczyła. – ::Niezupełnie tacy jak oni. Zostaliśmy lepiej zaprojektowani pod względem fizycznym i mentalnym. Poruszamy się szybciej. Szybciej myślimy. Nawet mówimy szybciej od nich. Kiedy po raz pierwszy będziesz rozmawiał z naprawdę urodzonym, odniesiesz wrażenie, że oni poruszają się na zwolnionych obrotach. Zresztą zobacz sam....::

Curie zatrzymała się, przybrała minę osoby zagubionej i poklepała po ramieniu jednego z przechodzących żołnierzy.

– Przepraszam bardzo – odezwała się, i żeby to powiedzieć użyła swoich ust. – Ktoś mi powiedział, że gdzieś na tym poziomie jest kantyna, w której mają naprawdę świetne hamburgery, ale jakoś nie mogę jej znaleźć. Czy mógłby mi pan pomóc? – Curie mówiła głosem, który był odbiciem głosu dźwięczącego w głowie Jareda... tylko o wiele wolniejszym; mówiła na tyle powoli, że przez parę sekund Jared miał trudność ze zrozumieniem jej słów.

– Oczywiście – odpowiedział żołnierz. – Miejsce, o które pani pyta jest parę metrów stąd. Proszę iść dalej w tę samą stronę, co teraz i znajdzie ją pani bez trudu. To pierwsza kantyna od tej strony.

– Świetnie, dzięki. – Curie znów ruszyła do przodu. – ::Widzisz, o co mi chodziło? Zachowują się jakby byli opóźnieni w rozwoju::

Jared w roztargnieniu pokiwał głową. Jego mózg właśnie rozpakował pojęcie „hamburgera”, które doprowadziło go do rozpakowania znaczeń i

kontekstów słowa „jedzenie”, co z kolei uzmysłowiło mu coś zupełnie innego.

::Myślę, że jestem głodny::

::Później. Zjesz ze swoimi kolegami z drużyny. To część doświadczenia nawiązywania więzi grupowych. Ze swoimi współtrenującymi będziesz robił olbrzymią większość rzeczy::

::A gdzie są twoi współtrenujący?:: – zapytał Jared.

::Co za zabawne pytanie. Nie widziałam ich od lat. Po zakończeniu szkolenia rzadko widuje się swoich współtrenujących. Zresztą wtedy dostaniesz swój przydział i zintegrujesz się ze swoją drużyną i swoim plutonem. Ja jestem teraz zintegrowana z jednym z plutonów Sił Specjalnych, które dekantują nowonarodzonych żołnierzy:: Jared rozpakował w swoim mózgu pojęcie „integracja”, ale mimo to miał problemy ze zrozumieniem go. Zaczął próbować jeszcze raz, ale przerwała mu Curie.

::Obawiam się, że znajdziesz się w niekorzystnym położeniu w porównaniu z resztą twoich towarzyszy. Oni urodzili się zintegrowani i zdążyli już do siebie przywyknąć.

Przyzwyczajenie się do ciebie może im zająć parę dni. Powinieneś zostać dekantowany i zintegrowany w tym samym momencie co oni::

::Dlaczego tak się nie stało?:: – zapytał Jared.

::Nie wiem, ale czasami tak się zdarza. Może później ktoś ci to wyjaśni. No, dotarliśmy na miejsce:: – Curie zatrzymała się pod drzwiami.

::Co jest w środku?:: – dopytywał się Jared.

::Pokój pilotów wahadłowców. Czeka cię mała przejażdżka. Chodź:: – Otworzyła drzwi, przepuściła go przodem i weszła za nim do środka.

W środku było trzech pilotów, właśnie grali w pokera.

– Szukam porucznika Clouda – odezwała się Curie.

– To ten, który właśnie dostaje w dupę – odparł jeden z pilotów, wrzucając żeton do garnuszka. – Stawiam dziesięć.

– No to się wkopałeś. – Drugi z pilotów także wrzucił żeton. – Wchodzę.

– Twoje słowa raniłyby jak noże, gdybyśmy naprawdę grali na pieniądze – powiedział trzeci, który na drodze eliminacji musiał być porucznikiem Cloudem, i wrzucił do dzbanka trzy żetony. – Wchodzę i podwyższam stawkę o dwadzieścia.

– To jedna z wad naszej z góry opłaconej wycieczki do piekła – narzekał pierwszy z pilotów. – Jeśli za nic nie trzeba płacić, to nasze dowództwo nie widzi powodu, żeby nam dawać jakiegokolwiek pieniądze. Sprawdzam.

– Gdybym wiedział, że będę pracował dla socjalistów, na pewno bym się nie zaciągnął -wtórował mu drugi. – Sprawdzam.

– Wtedy nie byłbyś tylko głupi, ale i martwy, prawda? – zauważył Cloud. – Mówisz, że czujesz się w swojej pracy wyobcowany? Wtedy byłbyś wyobcowany pod każdym względem. I na dodatek musiałbyś zapłacić sporo dolarów za karty, które mam w ręku. – Wyłożył karty na stół. – Full na dziewiątkach. Patrzcie i szlochajcie, nieszczęśni niewolnicy!

– O, w mordę! – jęknął pierwszy pilot.

– Dziękujemy Panu za Karoola Marksa! – zaintonował drugi.

– Pierwszy raz w historii powiedziano coś takiego przy stole do pokera – zauważył Cloud. – Powinieneś być z tego dumny.

– No i jestem – potwierdził drugi. – Ale nie mów tego mojej mamie. To by złamało jej teksańskie serce.

– Twoje tajemnice są moimi tajemnicami – zapewnił Cloud.

– Poruczniku Cloud – wtrąciła się Curie. – Nasze stulecie też ma swoje zalety.

– Proszę mi wybaczyć, pani porucznik. Musiałem doprowadzić do końca rytuał upokorzenia moich przeciwników. Na pewno pani to rozumie.

– Nie bardzo. – Curie wskazała na Jareda. – To jest ten rekrut, którego musi pan dostarczyć do obozu Carson. Powinien pan już mieć rozkazy i pozwolenie.

– Być może. Cloud zamilkł na minutę, w czasie której sprawdzał pocztę swojego MózGościa. – Tak, już to mam. Wygląda na to, że mój wahadłowiec został już przyszykowany do lotu i zatankowany. Wypełnię tylko plan lotu i będziemy mogli ruszać. – Spojrzał na Jareda. – Bierzesz ze sobą coś, oprócz siebie samego, żołnierzu? Jared spojrzął na Curie, która potrząsnęła głową.

– Nie. Lecę tak, jak jestem. – Zaskoczyło go brzmienie własnego głosu, były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział. Zdziwiła go także powolność własnej mowy. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę z obecności i ruchów języka we własnych ustach, co przyprawiło go o lekkie mdłości.

Cloud mierzył ich przez chwilę uważnym spojrzeniem, zatrzymał wzrok na Jardzie i wskazał na krzesło.

– Przysiadź sobie na chwilę, kolego. Za parę minut będę gotowy. Jared usiadł i spojrzął na Curie.

::Co mam teraz robić?::

::Porucznik Cloud zawiezie cię na Feniksa, do obozu Carson, gdzie dołączysz do swoich współtrenujących. Są w stosunku do ciebie do przodu o parę dni szkolenia, ale pierwszych kilka dni zwykle poświęca się na integrację i stabilizację osobowości, więc prawdopodobnie nic szczególnie ważnego cię nie ominęło.::

::A ty gdzie będziesz?::

::Będę tutaj. A gdzie' niby miałabym być?::

::Nie wiem. Boję się. Nie znam nikogo oprócz ciebie.::

::Uspokój się.:: – Jared poczuł przychodzący od niej przekaz emocjonalny. Jego MózGościu przetworzył to kojące odczucie i rozpakował

pojęcie „empatii” skierowanej w jego stronę. – ::Za parę godzin zintegrujesz się ze swoimi współtrenującymi i wszystko będzie dobrze. Wszystko nabierze wtedy sensu.::

– ::Okay:: – przesłał Jared, chociaż nie pozbył się wątpliwości.

– ::Żegnaj, Jaredzie Dirac.:: – Curie lekko się uśmiechnęła, odwróciła się i odeszła. Umysł Jareda jeszcze przez chwilę odczuwał jej obecność – widać zostawiła otwarte połączenie. W końcu jednak połączenie zostało zamknięte. Jared zaczął ponownie odwiedzać krótki czas, który spędził razem z nią; MózGościu rozpakował dla niego pojęcie „pamięci”.

Pojęcie pamięci spowodowało emocję; MózGościu rozpakował definicję określenia „intrygujące”.



– Hej, mogę cię o coś spytać? – Cloud zwrócił się do Jareda zaraz po rozpoczęciu ich lotu na Feniksa.

Jared rozważył to pytanie i niejednoznaczność jego struktury, która pozwalała na wielorakie interpretacje. W pewnym sensie pilot odpowiedział na swoje pytanie zadając je; najwyraźniej mógł zadawać Jaredowi pytania. MózGościu Jareda zasugerował, z czym Jared się zgodził, że prawdopodobnie nie była to najbardziej adekwatna interpretacja tego pytania.

Przypuszczalnie Cloud wiedział, że proceduralnie rzecz biorąc, mógł zadawać Jaredowi pytania – a jeśli wcześniej nie był tego pewien, to teraz na pewno już to wiedział. Kiedy MózGościu Jareda rozpakowywał i sortował wszystkie możliwe interpretacje, Jared pomyślał z nadzieją, że któregoś dnia będzie w stanie trafić na właściwą interpretację zadanego mu pytania bez niekończącego się rozpakowywania jego wszystkich

możliwych sensów i kontekstów. Żył na tym świecie zaledwie od ponad godziny i to życie było już tak męczące.

Jared rozważył wszystkie możliwe opcje i po czasie, który jemu samemu wydał się nieznośnie długi, (podczas gdy dla pilota był chyba drobną chwilką), zaryzykował odpowiedź, która wydawała się w tym kontekście najodpowiedniejsza.

- Tak – zgodził się.
- Jesteś z Sił Specjalnych, prawda?
- Tak.
- W jakim jesteś wieku?
- W tym momencie?
- Oczywiście, że w tym momencie.

MózGościu poinformował Jareda, że został wyposażony w wewnętrzny czasomierz. Wszedł w niego.

- Siedemdziesiąt jeden.

Cloud obejrzał się na niego zaskoczony:

– Masz siedemdziesiąt jeden lat? Z tego, co wiem, to trochę dużo jak na żołnierza Sił Specjalnych.

- Nie mam siedemdziesięciu jeden lat. Mam siedemdziesiąt jeden minut.
- Bez jaj?!

To pytanie wymagało dokonania kolejnych interpretacyjnych wyborów.

- Bez jaj – potwierdził w końcu Jared.
- Cholera, to naprawdę dziwne.
- Dlaczego?

Cloud otworzył usta, zamknął je, po czym rzucił Jaredowi szybkie spojrzenie.

– Nie twierdę, że musisz o tym wiedzieć – odezwał się w końcu. – Ale dla większości ludzi rozmowa z kimś, kto ma niewiele ponad godzinę

wydawałaby się czymś trochę co najmniej dziwnym. Do diabła, ty nawet nie żyłeś jeszcze w momencie, w którym zaczęliśmy tamtą partyjkę pokera. W twoim wieku większość ludzi ledwo radzi sobie z oddychaniem i stawianiem klocka.

Jared skonsultował się ze swoim MózGościem.

– Jedną z tych rzeczy robię w tym momencie.

Wydobyło to z Clouda świadczący o rozbawieniu odgłos i słowa: – Po raz pierwszy spotkałem się z tym, żeby któryś z was zażartował. Jared rozważył ich znaczenie i odparł:

– Naprawdę robię w tym momencie jedną z tych rzeczy.

– Mam wielką nadzieję, że chodzi ci o oddychanie. – Tak.

– To dobrze. – Cloud znowu zachichotał. – Przez chwilę myślałem, że udało mi się znaleźć żołnierza Sił Specjalnych z poczuciem humoru.

– Przykro mi.

– Tylko mi tu nie przepraszaj, na miłość boską! – zaproponował Cloud. – Masz za sobą zaledwie godzinę życia. Niektórzy ludzie mogą dożyć setki nie wykazując ani śladu poczucia humoru. Jedna z moich byłych żon przeszła przez większą część naszego małżeństwa bez jednego uśmiechu. Ty przynajmniej możesz wytłumaczyć się tym, że jesteś noworodkiem.

Ona nie miała żadnej wymówki.

Jared przez chwilę rozważał sens tych słów.

– Może nie był pan zabawny.

– Teraz to naprawdę żartujesz. A więc rzeczywiście masz siedemdziesiąt jeden minut?

– Teraz już siedemdziesiąt trzy.

– I jak ci się to podoba?

– Jak co mi się podoba?

– To. – Cloud zatoczył ramieniem półokrąg. – Życie. Wszechświat. Wszystko.

– Jest pełne samotności.

– Hm, dojście do tego nie zabrało ci zbyt dużo czasu – ocenił Cloud.

– Dlaczego sądzi pan, że żołnierze Sił Specjalnych nie mają poczucia humoru?

– No cóż, nie twierdzę, że jest to w ogóle niemożliwe. Po prostu nigdy się z tym nie spotkałem. Weźmy tę twoją przyjaciółkę ze Stacji Feniks. Tę ładną pannę Curie. Od roku usiłuję ją rozśmieszyć. Widuję ją za każdym razem, kiedy przewożę stadka waszych ludzi z Sił Specjalnych do obozu Carson. Do tej pory mi się nie udało. Być może nie chodzi tylko o nią, bo czasem próbuję wydobyć coś w rodzaju śmiechu z tych żołnierzy Sił Specjalnych, których przewożę na powierzchnię Feniksa, albo ich stamtąd zabieram. Jak do tej pory, bez skutku.

– Może naprawdę nie jest pan zabawny – ponownie zasugerował Jared.

– Ty znowu wyjeżdżasz z tymi swoimi żartami. Ale prawdę mówiąc przyszło mi to do głowy. Ale przecież bez trudu rozśmieszam zwykłych żołnierzy, a przynajmniej ich część.

Zwykli żołnierze nie mają zbyt dużo kontaktów z wami ze Służb Specjalnych, ale ci, którym się to zdarza potwierdzają, że wy nie macie poczucia humoru. Naszym zdaniem wynika to z tego, że urodziliście się jako dorośli, a rozwinięcie poczucie humoru wymaga czasu i praktyki.

– Proszę opowiedzieć mi jakiś dowcip – zaproponował Jared.

– Mówisz poważnie? – Cloud wydawał się zaskoczony.

– Tak. Chciałbym usłyszeć jakiś dowcip.

– Hm... który by ci tu opowiedzieć? – Cloud zastanawiał się przez chwilę. – Okay, już wiem. Podejrzewam, że nie masz pojęcia kim był Sherlock Holmes?

– Wiem, kto to był – odparł Jared po paru sekundach.

– To, co zrobiłeś, było naprawdę przerażające... No dobrze, oto ten dowcip. Któregoś wieczoru Sherlock Holmes i jego pomocnik Watson decydują się pojechać na kemping.

Rozpalają tam ognisko, wypijają butelkę wina, pieką sobie kiełbaski. Jak wszyscy na kempingu. A potem kładą się spać. W środku nocy Holmes budzi Watsona i mówi: Watsonie, spójrz w niebo i powiedz mi, co widzisz. A Watson mówi: Widzę gwiazdy. Na to Holmes pyta: A co ci to mówi? Wtedy Watson zaczyna wymieniać różne rzeczy: że są miliony gwiazd, że bezchmurne niebo zapowiada na jutro dobrą pogodę, i że majestat kosmosu jest dowodem na istnienie przepotężnego Boga. Kiedy Watson kończy wymieniać, zwraca się do Holmesa i pyta: A tobie co mówi to nocne niebo, Holmesie? Na to Holmes odpowiada: Mówi mi, że jakiś drań ukradł nam namiot.

Pełen oczekiwania Cloud spojrział na Jareda i zmarszczył się, kiedy napotkał jego obojętne spojrzenie.

– Nie zrozumiałeś tego.

– Zrozumiałem. Ale to nie było zabawne. Ktoś rzeczywiście ukradł im namiot. Cloud patrzył na Jareda przez dłuższą chwilę, a potem się roześmiał.

– Być może ja nie jestem zabawny, ale za to ty jesteś na pewno – oświadczył po chwili.

– Nie staram się być zabawnym – zaprotestował Jared.

– To widać część twojego uroku osobistego. No dobra, wchodzimy w atmosferę. Powstrzymajmy się na chwilę od opowiadania sobie dowcipów, żebym mógł się skupić na dostarczeniu nas na dół w całości.



Pilot zostawił Jareda na lądowisku obozu Carson.

– Wiedzą już, że tu jesteś. Ktoś jest już w drodze, żeby cię przejąć. Po prostu poczekaj w tym miejscu, aż cię odnajdą.

– Dobrze. Dziękuję za podwiezienie i za dowcipy.

– Nie ma za co. Chociaż myślę, że to pierwsze bardziej ci się przydało niż to drugie. Cloud wyciągnął przed siebie rękę; MózGościu Jareda rozpakował protokoły powitania. Jared uchwycił dłoń Clouda i potrząsnął nią.

– A więc wiesz już, jak się witać i żegnać. To ważna umiejętność. Powodzenia, Dirac. Jeśli będę cię odwoził po szkoleniu, to może znów poopowiadamy sobie kawały.

– To by mi się podobało.

– W takim razie do tej pory musisz się nauczyć paru nowych. Nie będę za ciebie odwalał całej roboty. Spójrz, ktoś chyba już idzie po ciebie. Na razie, Jared. Trzymaj się z dala od kłopotów. – Zniknął w swoim wahadłowcu, żeby przygotować go do odlotu. Jared odsunął się na bezpieczną odległość.

::Jared Dirac?:: – zapytała zbliżająca się szybkim krokiem osoba.

::Tak:: – odparł Jared.

::Jestem Gabriel Brahe:: – przedstawił się mężczyzna. – ::Jestem instruktorem przydzielonym do twojej drużyny treningowej. Chodź ze mną. Czas, żebyś spotkał pozostałych uczestników szkolenia.:: – Kiedy tylko zbliżył się do Jareda, zawrócił i zaczął iść w stronę obozu. Jared pospiesznie podążył za nim.

::Przed chwilą rozmawiałeś z pilotem:: – zauważył Brahe, kiedy szli obok siebie. – ::Na jaki temat?::

::Opowiadał mi dowcipy. Powiedział, że większość żołnierzy uważa, iż ludzie z Sił Specjalnych nie mają poczucia humoru.::

::Większość żołnierzy nic nie wie o Siłach Specjalnych. Posłuchaj, Dirac, nie rób tego więcej. W ten sposób tylko podsycasz ich uprzedzenia. Kiedy naprawdę urodzeni mówią, że Siły Specjalne nie mają poczucia humoru, to w ten sposób chcą nas obrazić. Zasugerować, że jesteśmy mniej ludzcy od nich. Jeśli nie mamy poczucia humoru, to jesteśmy jak wszystkie inne podludzkie automaty, które ludzie stworzyli sobie dla zabawy. Jesteśmy kolejnymi pozbawionymi emocji robotami, od których mogą czuć się lepsi. Nie dawaj im na to szansy:: Kiedy MózGościu Jareda rozpakowywał tyradę Braha, sam Jared wrócił myślami do swojej rozmowy z Cloudem; nie wyczuwał, żeby Cloud w jakikolwiek sposób zasugerował swoją wyższość. Jednak Jared musiał przyznać, że jego życie trwało dopiero parę godzin. Wiele rzeczy mogło mu jeszcze umykać. Mimo to, Jared poczuł rozdźwięk pomiędzy słowami Braha a własnym (choć skromnym) doświadczeniem. Zaryzykował pytanie. ::Czy Siły Specjalne mają poczucie humoru?::

::Oczywiście, Dirac:: – Brahe rzucił mu szybkie spojrzenie. – ::Każdy człowiek ma poczucie humoru. My po prostu nie mamy ich poczucia humoru. Opowiedz mi jeden z dowcipów twojego pilota.::

::Dobrze, oto przykład...:: – Jared powtórzył dowcip o Sherlocku Holmesie.

::No widzisz, to jest po prostu głupie. Zupełnie jakby Watson nie wiedział, że nie ma nad sobą namiotu. To jest właśnie problem z poczuciem humoru naprawdę urodzonych – jest ono oparte na założeniu, że ktoś jest idiotą. To żaden wstyd, jeśli się nie ma takiego poczucia humoru.:: – Brahe promieniował uczuciem poirytowania i Jared postanowił nie ciągnąć dalej tego tematu. Zamiast tego zapytał:

::Czy wszyscy tutaj są z Sił Specjalnych?::

::Tak. Obóz Carson jest jednym z dwóch ośrodków treningowych Sił Specjalnych i jedyną w ogóle bazą treningową na Feniksie. Widzisz, cały obóz jest otoczony przez las:: – Brahe wskazał ruchem głowy w stronę skraju obozu, gdzie pochodzące z Ziemi drzewa walczyły o każdą piędź gruntu z przedstawicielami tutejszej megaflory. – ::W promieniu sześciuset kilometrów nie ma żadnych śladów cywilizacji.::

::Dlaczego?:: – Jared przypomniał sobie wcześniejsze komentarze Braha na temat naprawdę urodzonych. – ::Czy próbują trzymać nas z daleka od wszystkich innych?::

::Nie, próbują trzymać wszystkich innych z dala od nas. Szkolenie Sił Specjalnych nie przypomina szkolenia naprawdę urodzonych. Nie chcemy, żeby rozpraszali nas regułami żołnierze KSO, albo cywile, zresztą mogliby błędnie zinterpretować to, co by tu zobaczyli.

Dobrze, że zostawia się nas samych sobie, żebyśmy robiąc to, co robimy, mogli w spokoju przeprowadzać nasze szkolenie.::

::Słyszałem, że jestem opóźniony w moim szkoleniu.::

::Nie w szkoleniu, ale w integracji. Szkolenie zaczynamy jutro. Ale twoja integracja jest równie ważna. Niezintegrowany nie możesz rozpocząć szkolenia.::

::Jak mam się zintegrować?::

::Najpierw musisz spotkać się ze swoimi współtrenującymi.:: – Zatrzymali się przed drzwiami małego, koszarowego baraku. – ::Jesteśmy na miejscu. Powiedziałem im, że tu jesteś i czekają na ciebie.:: – Otworzył drzwi i wpuścił Jareda do środka.

Wnętrze baraku było skromnie umeblowane i przypominało wszystkie baraki budowane w przeciągu ostatnich paru stuleci. Po obu jego stronach biegły dwa rzędy łóżek. We wnętrzu znajdowało się piętnaścioro kobiet i mężczyzn, niektórzy stali, inni siedzieli, wszyscy patrzyli na Jareda. Poczul

siłę tej skupionej na sobie uwagi; jego MózGościu rozpakował pojęcie „zawstydzenia”. Poczł potrzebę przywitania się ze swoimi współtrenującymi i nagle zdał sobie sprawę z tego, że nie wie jak zwracać się do więcej niż jednej osoby za pomocą MózGościa; prawie równocześnie uświadomił sobie, że może po prostu otworzyć usta i przemówić. Różnorodność fonu komunikacji wprawiła go w zakłopotanie.

– Cześć – wydusił z siebie w końcu. Niektórzy z jego przyszłych współtrenujących uśmiechnęli się na tę prymitywną formę komunikacji. Żadne z nich nie zasalutowało mu w odpowiedzi.

: :Chyba nie zacząłem zbyt dobrze.: – Jared przesłał do Braha. ::Czekają, żeby ci się przedstawić dopiero wtedy, kiedy zostaniesz zintegrowany.::

::Kiedy to zrobię?::

: :Teraz: :: – odparł Brahe i zintegrował Jareda wraz z jego współtrenującymi.

Jared miał parę dziesiątych części sekundy, żeby poczuć miłe zaskoczenie, po których jego MózGościu poinformował go, że Brahe, jego oficer przełożony, ma ograniczony dostęp do jego MózGościa. Potem ilość danych nagle wielokrotnie wzrosła, ponieważ w głowie Jareda znalazło się piętnaście innych osób, jak również on sam znalazł się w głowach piętnastu innych osób. Przez świadomość Jareda przepłynęła trudna do skontrolowania rzeka informacji, niosących ze sobą piętnaście historii życia – rzeka rozlała się w nim, tworząc w skromnym krajobrazie jego doświadczeń piętnaście nowych strumieni. Żadne pozdrowienia i przedstawianie się nie było tu potrzebne; w jednej chwili Jared wiedział i czuł o tych piętnastu obcych osobach wszystko, co było mu potrzebne, by stali się nieodłączną częścią jego samego, w takim stopniu, w jakim to tylko

jest możliwe między ludźmi. To, że ich życia były tak krótkie, było dla niego prawdziwym błogosławieństwem. Jared zasłabł.



::To było interesujące:: – Jared usłyszał, że ktoś wymawia te słowa. Niemal natychmiast rozpoznał, że komentarz ten został wypowiedziany przez Briana Michelsona – wiedział to, chociaż nigdy wcześniej się ze sobą nie komunikowali.

::Mam nadzieję, że nie wejdzie mu to w nawyk:: – dodał kolejny głos. Steve Seabofg.

::Dajcie mu spokój:: – dołączył kolejny, trzeci głos. – ::On nie został zintegrowany przed narodzinami. Trudno jest nagle udźwignąć taki ciężar. Dalej, podnieśmy go z podłogi:: Sarah Pauling.

Jared otworzył oczy. Pauling klęczała tuż obok niego; Brahe i reszta jego współtrenujących pochyłali się nad nim z ciekawością.

::Nic mi nie jest:: – przesłał Jared do nich wszystkich, posługując się kanałem komunikacyjnym obejmującym całą drużynę, łącznie z Brahem. Dokonał tego wyboru w sposób naturalny; był to jeden z efektów potopu informacyjnego, który zalał go w chwili integracji. -::Nie wiedziałem, czego mam się spodziewać i nie wiedziałem, jak mam to znieść. Ale już jest mi lepiej::

Jego współtrenujący promieniowali emocjami, jakby otaczały ich różne aury – przejęcia, zmieszania, irytacji, obojętności, rozbawienia. Jared podążył do źródła odczucia rozbawienia.

Pauling nie tylko emanowała tym odczuciem od wewnątrz; na jej twarzy gościł szeroki uśmiech.

::Wygląda na to, że nie jest z tobą aż tak źle:: – Sarah Pauling wstała i wyciągnęła do niego rękę. – ::No wstawaj:: – zachęciła go. Jared chwycił ją za rękę i podciągnął się do góry.

::Sarah ma zwierzaka:: – zakpił Seaborg i fale rozbawienia rozeszły się od części członków drużyny, jak kręgi na tafli wody, w którą ktoś wrzucił parę kamieni. Jared „usłyszał” też dziwny emocjonalny sygnał, który rozpoznał jako ekwiwalent śmiechu.

::Zamknij się, Steve:: – zbeształa go Pauling. – ::Ty nawet nie wiesz, co to jest zwierzak::

::Co nie znaczy, że on nie jest zwierzakiem:: – odgryzł się Seaborg.

::Co nie znaczy, że ty nie jesteś durniem:: – odpaliła Pauling.

::Nie jestem zwierzakiem:: – wtrącił się Jared i oczy wszystkich skierowały się w jego stronę. Teraz nie onieśmiało go to już tak bardzo, jak za pierwszym razem. Skupił uwagę na Seaborgu. – ::Sarah po prostu była dla mnie miła. To nie robi ze mnie jej zwierzaka, ani nie robi z niej mojej pani. To po prostu znaczy, że była na tyle miła, żeby pomóc mi się podnieść::

Seaborg głośno prychnął i opuścił grupkę zebranych wokół Jareda w poszukiwaniu innego obiektu zainteresowania. Razem z nim odeszło parę innych osób.

::Czy tak się dzieje w każdej drużynie treningowej?: – Sarah zwróciła się do Brahe’a: ::Wydawało ci się, że wzajemne przebywanie wszystkich w głowach wszystkich ułatwi wam życie? W takiej sytuacji nie ma się gdzie ukryć. Zaskakuje mnie tylko, że na razie obyło się bez żadnych bójek. Na tym etapie integracji zwykle muszę już używać łomu do rozdzielania kursantów:: – odparł Brahe z uśmiechem i zwrócił się do Jareda. – ::Poradzisz sobie?::

::Myślę, że tak. Potrzebuję trochę czasu, żeby sobie to wszystko poukładać. Mam w głowie mnóstwo rzeczy i próbuję zorientować się, co z nimi zrobić.::

::Myślisz, że możesz mu trochę pomóc przy robieniu porządków?:: – Brahe ponownie zwrócił się do Pauling.

::Oczywiście:: – przesłała Pauling, uśmiechając się.

::Masz więc zmianę Diraca:: – zarządził Brahe. – ::Zaczynamy jutro rano. Zobaczymy, czy uda ci się do tego czasu przyspieszyć go do odpowiedniej prędkości.:: Brahe wyszedł, zostawiając ich samych.

::Chyba naprawdę jestem twoim zwierzakiem:: – oświadczył Jared.

Fala rozbawienia wypłynęła z Pauling w stronę Jareda.

::Zabawny z ciebie człowiek.::

::Jesteś drugą osobą, która mi to dzisiaj mówi.::

::Tak? A znasz jakieś dobre żarty?:: Jared opowiedział jej dowcip o Sherlocku Holmesie. Śmiała się z niego do rozpuku – na głos.

PIĄTY

Szkolenie żołnierzy Sił Specjalnych zajmuje dwa tygodnie. Gabriel Brahe zaczął trening drużyny Jareda – czyli, formalnie rzecz biorąc, Ósmej Drużyny Szkoleniowej – od skierowanego do wszystkich jej członków pytania: ::Co różni was od innych istot ludzkich? Jeśli ktoś będzie chciał odpowiedzieć, niech podniesie rękę.::

Członkowie drużyny, ustawionej wokół Braha w nierównym półokręgu, przez dłuższą chwilę milczeli. W końcu Jared podniósł rękę i prawie bez zmian powtórzył to, co wcześniej powiedziała mu Judy Curie:

::Jesteśmy bystrzejsi, silniejsi i szybsi od innych ludzi.::

::Trafna uwaga:: – pochwalił Brahe. – ::Ale ostatecznie niesłuszna. Zostaliśmy zaprojektowani jako silniejsi, szybsi i inteligentniejsi od innych ludzi. Ale cechy te są jedynie konsekwencją tego, co nas od nich odróżnia. A wyróżnia nas to, że jako jedyni przedstawiciele rodzaju ludzkiego urodziliśmy się w pewnym celu. Ten cel jest bardzo prosty – mamy chronić życie ludzi we wszechświecie.::

Członkowie drużyny spoglądali na siebie w milczeniu. Po chwili Sarah Pauling podniosła rękę do góry.

::Inni ludzie też biorą udział w obronie ludzkości. Widzieliśmy ich w drodze tutaj, na Stacji Feniks.::

::Ale oni nie urodzili się w tym celu. Ludzie, których widziałas – naprawdę urodzeni – przychodzą na świat bez żadnego planu na życie. Rodzą się, bo biologia nakazuje ludziom rozmnażanie; ale biologia w żaden sposób nie określa, co mają robić potem. Naprawdę urodzeni mogą przeżyć długie lata w najmniejszym stopniu nie wiedząc, co ze sobą począć. Z tego,

co wiem, niektórzy z nich nigdy się tego nie dowiadują. Po prostu przechodzą przez życie w oszołomieniu, żeby wpaść do czekającego ich na końcu grobu. To smutne. I nieefektywne. Możecie w swoim życiu robić wiele różnych rzeczy, ale na pewno nie przejdziecie przez nie w oszołomieniu:: – kontynuował Brahe. – ::Urodziliście się, by strzec ludzkości. Zostaliście zaprojektowani i stworzeni dla osiągnięcia tego celu. Wszystko, z czego się składacie, nawet wasze geny odzwierciedlają to uwarunkowanie. Dlatego właśnie jesteście silniejsi, szybsi i bystrzejsi od innych ludzi:: – Brahe skinął w stronę Jareda. – ::Dlatego rodzicie się jako ludzie dorośli, gotowi do szybkiej, skutecznej i zwycięskiej walki. Kolonialnym Siłom Obrony aż trzy miesiące zajmuje szkolenie naprawdę urodzonych żołnierzy. My przeprowadzamy szkolenie – na dodatek bogatsze – w dwa tygodnie:: Steve Seaborg podniósł rękę i zapytał:

::Dlaczego szkolenie zajmuje naprawdę urodzonym tak dużo czasu?::

::Pokażę wam to na przykładzie. Dzisiaj jest pierwszy dzień waszego szkolenia. Czy wiecie, jak stanąć na baczność, albo jak wykonać inne podstawowe elementy musztry?:: – Cała drużyna patrzyła na Brahe'a beznamiętnym wzrokiem. – ::No dobrze, oto wasze instrukcje::

Jared poczuł, że mózg zalewa mu fala nowych informacji. Wiedza ta od razu zapadła w głąb jego świadomości, jeszcze niezorganizowana; czuł, jak MózGościu rozkłada poszczególne wiadomości w odpowiednich miejscach, po czym rozpoczął się znany mu już proces rozpakowywania danych, wytyczający ścieżki łączące się z informacjami, które Jared, będący w wieku jednego, pełnego dnia, zdążył już poznać.

Po chwili Jared znał już wszystkie wojskowe protokoły musztry paradnej.

Równocześnie doznał nieoczekiwanego odczucia, które samorodnie narodziło się w jego własnym mózgu, po czym zostało wzmocnione i

rozszerzone przez zintegrowane myśli pozostałych członków jego drużyny; wszyscy poczuli, że stojąc, siedząc, a nawet półożąc na stopniach baraku w obliczu przełożonego oficera są w jakiś sposób nie w porządku. Nie okazują mu należnego szacunku. Każde z nich poczuło bolesne ukłucie wstydu. W trzydzieści sekund później stali już na baczność w czterech równych, czwórkowych rzędach.

Brahe uśmiechnął się.

::Załapaliście to za pierwszym razem. Spocznij!:: – Cała drużyna ustawiła się w pozycji spoczynku, wygodniej rozstawiając stopy. – ::Doskonale:: – pochwalił ich Brahe. – ::Gdybym wam powiedział, ile czasu zajmuje naprawdę urodzonym nauczenie się tego, co właśnie wykonaliście, nikt z was by mi nie uwierzył. Naprawdę urodzeni potrzebują musztry, powtarzania i regularnej praktyki by opanować jakieś umiejętności – żaby nauczyć się tego, co wy przyswoicie sobie w czasie jednej lub dwóch sesji.::

::Dlaczego naprawdę urodzeni nie szkolą się w ten sam sposób?:: – zapytał dowódcę Alan Millikan.

::Bo nie są w stanie. Wciąż mają swoje dawne umysły, poukładane w stary sposób.

Wystarczająco dużo kłopotu i wysiłku kosztuje ich nauczenie się korzystania z MózGościa.

Gdybym wysłał im protokoły musztry, tak jak przed chwilą przesłałem je wam, ich mózgi po prostu nie mogłyby sobie z tym poradzić. Poza tym oni nie są w stanie się zintegrować – tak jak wy mogą automatycznie wymieniać się informacjami, ale nie są do tego zaprojektowani.

Nie zostali w tym celu stworzeni.::

::Jesteśmy od nich lepsi, ale to oni są naprawdę urodzonymi żołnierzami?:: – spytał Steven Seaborg.

::Tak. W Siłach Specjalnych służy mniej niż jeden procent wszystkich żołnierzy KSO.::

:: Skoro jesteśmy tak dobrzy, to dlaczego jest nas tak niewiele?:: – ponownie dopytywał się Seaborg.

::Ponieważ naprawdę urodzeni się nas boją.::

::Co?!:: – Seaborga zaskoczyła taka odpowiedź.

::Nie ufają nam:: – kontynuował Brahe. – ::Wyhodowali nas, żebyśmy bronili ludzkości, ale nie są pewni, czy my sami jesteśmy w wystarczającym stopniu ludźmi. Zaprojektowali nas w taki sposób, byśmy byli możliwie najdoskonalszymi żołnierzami, ale obawiają się, że do tego projektu mogły wkraść się jakieś wady. Więc uważają nas za mniej ludzkich od siebie, i przydzielają nam zadania, które, jak się obawiają, mogłyby zubożyć ich własne człowieczeństwo. Wykorzystują nas jedynie do wykonywania tych zadań – nie zajmujemy się niczym innym. Nie ufają nam, ponieważ nie ufają sobie.::

::To głupie:: – ocenił Seaborg. ::To ironiczne:: – dodała Sarah Pauling.

::I takie, i takie:: – podsumował Brahe. – ::Racjonalność nie jest silną stroną ludzkości jako takiej.::

::Trudno jest zrozumieć, dlaczego oni myślą w ten sposób.:: – wtrącił Jared.

::Masz rację:: – Brahe spojrzał na niego. – ::Mimowolnie poruszyłeś temat przyrodzonej niedoskonałości Sił Specjalnych. Naprawdę urodzonym z trudem przychodzi zaufanie Siłom Specjalnym – a Siłom Specjalnym z równym trudem przychodzi zrozumienie naprawdę urodzonych. I jest tak od bardzo dawna. Ja mam jedenaście lat.:: – Ostry impuls zadziwienia przetoczył się rykoszetem przez całą drużynę; żaden z jej członków nie potrafił wyobrazić sobie, jak można być aż tak starym. – ::I daję wam słowo, że wciąż najczęściej nie rozumiem naprawdę urodzonych. Ich

poczucie humoru, o którym rozmawiałem z tobą, Dirac, jest tego doskonałym przykładem. Dlatego oprócz warunkowania na poziomie fizycznym i psychicznym, wasze szkolenie obejmować będzie naukę historii i kultury naturalnie urodzonych, co pozwoli wam zrozumieć ich samych, a także ich nastawienie do nas, ponieważ będziecie się z nimi często spotykać.::

::To strata czasu:: – oświadczył Seaborg. – ::Dlaczego mamy chronić naprawdę urodzonych, jeśli oni nam nie ufają?::

::Ponieważ właśnie po to się urodziliśmy:: – odparł Brahe.

::Nie prosiłem się na ten świat.::

::I na dodatek rozumiesz jak naprawdę urodzony:: – ocenił Brahe. – ::My także jesteśmy ludźmi. Kiedy walczyliśmy za ludzi, walczyliśmy za siebie samych. Nikt nie prosi, by się urodzić -ale rodzimy się, i rodzimy się jako ludzie. Walczymy we własnym interesie i w interesie wszystkich innych ludzi. Jeśli nie będziemy chronić ludzkości, zginiemy podobnie jak cała reszta naszego rodzaju. We wszechświecie panują twarde, nieubłagane prawa.:: Seaborg pogрузzył się w milczeniu, ale jego irytacja promieniowała na pozostałych członków drużyny.

::Czy nie możemy zrobić niczego innego?:: – zapytał Jared.

::Co masz na myśli?:: – odparł pytaniem na pytanie Brahe.

::Urodziliśmy się w tym celu, ale czy możemy też zrobić inne rzeczy?::

::Masz jakieś sugestie?::

::Sam nie wiem. Ale mam za sobą dopiero jeden dzień życia. Nie wiem jeszcze wszystkiego.::

Słowa te wzbudziły wiele dźwiękowych sygnałów rozbawienia, i uśmiech na twarzy Brahe'a.

::Przyszliśmy na świat w tym celu, ale nie jesteśmy niewolnikami:: – tłumaczył Brahe. – ::Mamy do odsłużenia określony czas. Dziesięć lat. Po

dziesięciu latach możemy odejść ze służby. Stać się tacy sami, jak naprawdę urodzeni i osiedlić się na jakiejś planecie. Jest nawet specjalna, przeznaczona tylko dla nas kolonia. Niektórzy udają się właśnie tam, inni wolą osiedlić się wśród naprawdę urodzonych na innych koloniach. Ale olbrzymia większość zostaje na służbie w Siłach Specjalnych. Ja również postąpiłem w ten sposób.::

::Dlaczego?:: -dopytywał się Jared.

::Bo po to właśnie przyszedłem na świat i jestem w tym dobry. Wy też jesteście w tym dobrzy. Albo wkrótce będziecie. Bierzmy się do roboty.::



::Wiele rzeczy robimy szybciej niż naprawdę urodzeni:: – przesłała Sarah Pauling, zanurzając łyżkę w zupie. – ::Ale jedzenie chyba nie jest jedną z nich. Gdyby się jadło za szybko, można by się zakrztusić. To byłoby nawet zabawne, ale byłoby również przykre.:: Jared siedział naprzeciw niej przy jednym z dwóch stołów przydzielonych w mesie Ósmej Drużynie Szkoleniowej. Alan Millikan, zaciekawiony różnicami sposobów prowadzenia szkoleń, dowiedział się, że naprawdę urodzeni odbywają szkolenie nie w drużynach, ale w plutonach, i że drużyny szkoleniowe Sił Specjalnych są innej wielkości niż drużyny KSO. Wszystko, czego Millikan dowiedział się na temat tych różnic, zostało przesłane do pozostałych członków ósmej drużyny i dodane do ich zasobów wiedzy. W ten sposób dała o sobie znać jeszcze jedna zaleta grupowej integracji -wystarczyło, że jeden z członków drużyny nauczył się czegoś, żeby natychmiast wiedzieli to wszyscy pozostali.

::Myślę, że jemy szybciej od naprawdę urodzonych:: – przekazał Jared, siorbiąc zupę. ::Czemu tak myślisz?:: – zapytała go Pauling. Jared nabrał

pełną łyżkę.

– Ponieważ gdyby jedli i mówili w tym samym momencie, wyglądałoby to w ten sposób. -Wymawiając te słowa wypluwał zupę z ust.

Pauling zakryła usta dłonią, żeby stłumić śmiech. ::O-ho-ho...:: – zauważyła po chwili. ::Co się stało?:: – zapytał Jared.

Pauling spojrzała w lewo, potem w prawo. Jared rozejrzał się po mesie i zorientował się, że wszyscy na niego patrzą. Z opóźnieniem zdał sobie sprawę z tego, że kiedy odezwał się w ten sposób, wszyscy mogli go usłyszeć. Od początku posiłku aż do tej chwili nikt się w mesie na głos nie odezwał. W tym momencie Jared nagle uzmysłowił sobie, że ostatni raz słyszał ludzki głos w momencie, kiedy zegnał się z porucznikiem Cloudem. Mówienie na głos było czymś dziwnym.

::Przepraszam:: – przekazał na ogólnej częstotliwości. Wszyscy znów zajęli się jedzeniem.

::Robisz z siebie głupka:: – zwrócił się do Jareda siedzący na końcu stołu Steven Seaborg. – ::Idiota::

::To był tylko żart:: – bronił się Jared.

::To był tylko żart:: – powtórzył Seaborg, przedrzeźniając Diraca.

::Nie jesteś zbyt miły:: – odpalił Jared.

::Nie jesteś zbyt miły:: – spapugował Seaborg.

::Jared może być idiotą, ale przynajmniej jest w stanie wymyślić własne słowa:: -Pauling wstawiła się za Jaredem.

::Zamknij się, Pauling:: – odburknął Seaborg. – ::Nikt cię do tej rozmowy nie zapraszał:: Jared zaczął odpowiadać, kiedy nagle w jego polu widzenia pojawił się obraz. Przysadziści, niekształtni ludzie kłócili się o coś piskliwymi głosami. Jeden z nich zaczął przedrzeźniać drugiego przez powtarzanie jego słów, podobnie jak przed chwilą Seaborg. ::Kim są ci

ludzie?:: – zapytał Seaborg. Pauling też wyglądała na zaintrygowaną. W ich głowach zabrzmiał głos Gabriela Brahe.

::To dzieci. Niedorośli ludzie. Właśnie się o coś spierają. Chyba zauważyliście, że kłóciliście się w ten sam sposób::

::To on zaczął:: – bronił się Seaborg, rozglądając się po mesie w poszukiwaniu Brahe'a.

Siedział w jej odległym końcu, jadł razem z innymi oficerami. Nie odwrócił się, żeby spojrzeć na ich trójkę.

::Naprawdę urodzeni nie ufają nam między innymi dlatego, ponieważ są przekonani, że jesteśmy dziećmi. Emocjonalnie powstrzymanymi dziećmi w ciałach dorosłych ludzi. I w pewnym sensie mają rację. Uczymy się panować nad sobą tak, jak robią to dorośli, jak robią to wszyscy ludzie. Ale mamy o wiele mniej czasu na to, żeby się tego nauczyć::

::Ale...:: – zaczął Seaborg.

::Milczeć:: – uciszył go Brahe. – ::Seaborg, po popołudniowej musztrze masz zadanie do wykonania. Za pomocą swojego MózGościa możesz wejść do bazy danych Feniksa. Zajmiesz się badaniem obowiązujących sposobów zachowania i rozwiązywaniem konfliktów międzyludzkich. Dowiedz się jak najwięcej. Przed wieczorem podzielisz się swoją wiedzą z resztą ósmej drużyny. Zrozumiałeś?::

::Tak:: – odparł Seaborg. Spojrzał oskarżycielsko na Jareda i zajął się jedzeniem. ::Dirac, ty też masz zadanie do wykonania. Przeczytaj „Frankensteina”. Zobaczymy, dokąd cię ta lektura zaprowadzi::

::Tak jest, sir:: – potwierdził rozkaz Jared.

::I nie wypluwaj już więcej zupy. Wyglądasz wtedy jak dupa:: – zakończył Brahe, przerywając połączenie.

Jared spojrział na Pauling i spytał:

::Dlaczego tobie udało się uniknąć kłopotów?::

Pauling zanurzyła łyżkę w zupie.

::Moje jedzenie znajduje się tam, gdzie być powinno:: – odparła, i przełknęła. – ::Poza tym nie zachowuję się jak dziecko:: – dodała, i wystawiła język.



Popołudniu tego samego dnia przedstawiono im broń, której będą używać – karabin szturmowy MP-35A, zwany w skrócie „Empakiem”. Karabin był przypisywany swojemu właścicielowi poprzez dokonywane przez jego MózGościa uwierzytelnienie; od tej pory mógł z niego strzelać jedynie jego właściciel, lub inny wyposażony w MózGościa człowiek.

Procedura ta uniemożliwiała użycie broni żołnierza KSO przeciwko niemu samemu. MP-35A został dodatkowo zmodyfikowany na potrzeby żołnierzy Sił Specjalnych, by w pełni wykorzystać zdolności wynikające z wysokiego stopnia ich integracji; między innymi, MP-35A mo zna było obsługiwać w sposób zdalnie sterowany. Siły Specjalne często korzystały z tej funkcji, ku śmiertelnemu zdziwieniu wielu ciekawskich obcych.

MP-35A nie był zwykłym karabinem. Był czymś więcej. Wedle uznania posługującego się nim żołnierza mógł strzelać zwykłymi kulami karabinowymi, śrutem, granatami, lub małymi, zdalnie sterowanymi pociskami raketowymi. Wyposażony był także w miotacz ognia i wiązki promieni mikrofalowych. Każdy z tych rodzajów amunicji tworzony był na oczekaniu z dołączonego do MP-35A ciężkiego, metalicznego bloku mikrorobotów. Jared pochopnie zaczął zastanawiać się, w jaki sposób karabin jest w stanie wykonać taką sztuczkę; jego MózGościu posłusznie rozpakował całą, stojącą za tym wiedzę naukową, co doprowadziło do masowego i bardzo uciążliwego rozpakowywania podstawowych zasad

fizyki – a wszystko to działo się na strzelnicy. W sposób naturalny wszystkie rozpakowane wiadomości zostały przekazane pozostałym członkom drużyny, którzy po chwili zaczęli spoglądać na Jareda z większą lub mniejszą irytacją.

::Sorry:: – przesłał Jared.

Pod koniec tego długiego popołudnia Jared opanował posługiwanie się MP-35A i poznał miliard jego opcji. Wraz z innym rekrutem, Joshuą Ledermanem, zaczęli zgłębiać wszelkie możliwości prowadzenia ostrzału zwykłymi pociskami karabinowymi, eksperymentując z ich różnymi rodzajami i rozważając wszystkie wady i zalety każdej z nich – wszystkie wnioski przesyłali oczywiście pozostałym członkom drużyny. Kiedy mogli już zająć się kolejnymi opcjami możliwych rodzajów amunicji, Jared i Lederman skorzystali z informacji zebranych na ten temat przez innych rekrutów. Jared musiał przyznać, że nawet jeśli osobiście niezbyt dobrze zgadzał się ze Stevenem Seaborgiem, to gdyby kiedykolwiek potrzebowałby położenia zapory ogniowej, na pewno skorzystałby z jego umiejętności posługiwania się miotaczem ognia. Jared powiedział mu o tym, kiedy wracali do baraków; Seaborg zupełnie go zignorował i ostentacyjnie pogrążył się w zupełnie prywatnej rozmowie z Andream Gell-Mannem.

Po kolacji Jared znalazł sobie wolne miejsce na schodach baraku. Po dokonaniu krótkiego przeglądu zawartości swojego MózGościa (i umieszczeniu pozyskanych na własny użytek danych w jego pamięci podręcznej, co miało zapobiec ich niepotrzebnemu rozprzestrzenianiu się), wszedł do głównej bazy danych Stacji Feniks i ściągnął kopię poprawionego, trzeciego wydania „Frankensteina, czyli nowoczesnego Prometeusza” z 1831 roku.

W osiem minut później, kiedy zakończył lekturę, znajdował się w stanie szoku – od razu się domyślił, dlaczego Brahe kazał mu to przeczytać: zarówno on, jak pozostali rekruci Ósmej, i w ogóle wszyscy żołnierze Sił Specjalnych, byli duchowymi spadkobiercami tego godnego pożałowania stworzenia, które Victor Frankenstein obdarzył życiem, poskładawszy je najpierw z ciał zmarłych ludzi. Frankenstein był dumny ze stworzenia nowego życia, potem jednak odtrącał już ożywioną kreaturę i obawiał się jej. Stworzenie wydostało się na wolność, zabijając członków rodziny i przyjaciół doktora. Na koniec twórca wraz z powołanym przez siebie do życia stworzeniem giną na wspólnym stosie – i tam, w odbierającym życie ogniu, ich losy i przeznaczenie ostatecznie się splatają. Podobieństwa między tworem doktora Frankensteina a żołnierzami Sił Specjalnych były aż nazbyt oczywiste.

A jednak, kiedy Jared zastanawiał się, czy przeznaczeniem Sił Specjalnych, podobnie jak przeznaczeniem stworzonego przez doktora potwora, jest doznawać niezrozumienia i wrogości ze strony naprawdę urodzonych, na chwilę wrócił myślami do swojego spotkania z porucznikiem Cloudem. Pilot najwyraźniej nie obawiał się Jareda, nie odczuwał również do niego wstrętu; wyciągnął do niego rękę, czego Victor Frankenstein ostentacyjnie odmówił stworzonemu przez siebie potworowi. Jared zauważył także, że podczas gdy twórca potwora, Victor Frankenstein, zachowywał się w ten sposób, to z kolei jego twórczyni – Mary Shelley – ofiarowywała potworowi swoje współczucie i litość. W całej tej historii rzeczywista postać była bardziej skomplikowana od fikcyjnej, bardziej też przychylna nowo powstałemu stworzeniu, niż jego fikcyjny twórca.

Myślał o tym przez całą, długą minutę.

Jared łąpczywie przejrzał linki dołączone do tego tekstu. Najpierw przeszedł do słynnego filmu z 1931 roku i odtworzył go z

dziesięciokrotnym przyspieszeniem; jednak bardzo się rozczarował wyrazistość stworzonego przez Shelley potwora została zastąpiona przez jakiegoś powłóczącego nogami mruka. Jared szybko przejrzał inne ekranizacje, ale wszystkie go rozczarowały. W żadnej z nich nie dostrzegł tego potwora, z którym się identyfikował – nawet w tych najwierniejszych oryginałowi. Z biegiem czasu potwór doktora Frankensteina stawał się coraz bardziej niepoważny; Jared zakończył przegląd filmowych historii, nie dochodząc do końca XXI wieku.

Zaczął wyszukiwać historii o innych stworzeniach sztucznie powołanych do życia.

Wkrótce już dobrze znał Piętaszka, R. Danecla Olivawa, Data, HAL-a, der Maschinenmenscha, Astro Boya, licznych Terminatorów, Channa Fortunę, Joe'go – Robota Bastarda i całe mnóstwo innych androidów, robotów, replikantów, komputery, klony i genetycznie wytworzonych jak im tam było – a więc wszystkich, którzy podobnie jak on, byli duchowymi spadkobiercami monstrum doktora Frankensteina. Ciekawość kazała Jaredowi cofnąć się w czasie od epoki Shelley, gdzie znalazł Pigmaliona, Golemy, homunkulusy i mechaniczne automaty.

Czytał i oglądał smutne i często niebezpiecznie pozbawione poczucia humoru historie wielu spośród tych stworzeń – zwykle doznawały one ze strony ludzi co najwyżej litości, same stając się obiektem szyderstw i kpin. Rozumiał teraz, dlaczego Brahe był tak przeczulony na punkcie poczucia humoru naprawdę urodzonych.

Ta drażliwość podszyta była przekonaniem, że Siły Specjalne w opisach naprawdę urodzonych były przedstawiane błędnie i krzywdząco. Jared zaczął poszukiwać w sieci literatury lub wszelkiego typu nagrań, w których jako główne postacie występowałyby żołnierze Sił Specjalnych.

Nie znalazł nic. W erze kolonialnej powstało mnóstwo programów rozrywkowych na temat Kolonialnych Sił Obrony – najchętniej wracano do bitwy o planetę Armstrong – jednak w żadnym z nich nie było nawet wzmianki na temat Sił Specjalnych. Znalazł tylko jedno, dalekie nawiązanie: w wydawanej na kolonii Rama serii popularnych powieści przedstawione były przygody libidalnie nadludzkich żołnierzy, którzy zwyciężają zmyślane obce gatunki, uprawiając z nimi orgiastyczny seks – aż do dobrowolnej kapitulacji. Jared, który w tym momencie pojmował seks jako aktywność czysto prokreacyjną, przez dłuższą chwilę zastanawiał się, kto mógł wpaść na tak absurdalny pomysł. W końcu uznał, że coś bardzo ważnego na temat tego całego seksu najwyraźniej mu umknęło i zanotował sobie, żeby skonsultować się później z Brahem.

Pojawiło się pytanie, dlaczego Siły Specjalne w ogóle nie istniały, z punktu widzenia powstającej w koloniach sztuki masowej.

Postanowił zastanowić się nad tym w któryś z kolejnych wieczorów. Teraz chciał jak najszybciej podzielić się swoimi odkryciami z innymi członkami swojej drużyny. Wypakował pozyskane informacje z pamięci podręcznej i przesłał je pozostałym. Kiedy to robił uzmysłowił sobie, że nie on jeden dzielił się swoimi odkryciami z resztą; Brahe zadał prace domowe większości spośród rekrutów Ósmej, teraz ich wyniki zaczęły zalewać jego świadomość. Odebrał od Seborga obowiązujące sposoby zachowania i psychologiczne zasady rozwiązywania konfliktów międzyludzkich (Jared mógł wyczuć permanentne lekceważenie nadawcy wobec przesyłanego materiału); od Briana Michaelsona odebrał główne bitwy Kolonialnych Sił Obrony; animowane kreskówki od rekruta Jerry'ego Yukawy i fizjologię człowieka od Sarah Pauling. Jared zanotował sobie, żeby ponaiigrywać się z niej potem, przypominając jej o tym, jak wyśmiewała temat zadanej mu pracy. Jego MózGościu beztrósco zaczął rozpakowywać wiedzę pozyskaną

przez kolegów i koleżanki. Oparł się wygodniej i patrzył na zachód słońca, podczas gdy nowe informacje rozgałęziały się i rozprzestrzeniały w jego mózgu.

Kiedy rozpakowywanie nowych wiadomości dobiegło końca, słońce Feniksa zniknęło już za horyzontem. Jared siedział w małej oazie oświetlającego baraki światła i przyglądał się krążącym wokół lamp tutejszym odpowiednikom owadów. Jedno z bardziej ambitnych małych stworzeń wylądowało na jego ramieniu i zanurzyło pod jego skórę przypominającą igłę trąbkę – w parę sekund później było już martwe. Zawarte w Sprytnej Krwi Jareda mikroroboty, zaalarmowane przez jego MózGościa, dokonały we wnętrzu drobniutkiego zwierzęcia samospalenia, wykorzystując jako paliwo tlen, który przenosiły. Biedne stworzonko usmażyło się od środka; z pokrywających jego ciało kolców wydobyły się ledwo widoczne gołym okiem strużki dymu. Jared zaczął zastanawiać się nad tym, kim był człowiek, który zaprogramował jego MózGościa i jego SprytnąKrew do takiej reakcji; wydawało się, że musiał nienawidzić życia jako takiego.

A może naprawdę urodzeni słusznie się nas obawiają, pomyślał.

Z wnętrza baraku Jared odbierał napięcie – jego współtrenujący kłócili się na temat pozyskanych dziś wieczór wiadomości; Seaborg właśnie ogłosił, że potwór doktora Frankensteina to jedno wielkie nudziarstwo. Jared wpadł do wnętrza baraku, żeby bronić honoru potwora.



W pierwszym tygodniu szkolenia, w czasie porannych i popołudniowych zajęć, rekruci Ósmej uczyli się jak walczyć, bronić się i

zabijać. Wieczorami uczyli się innych rzeczy, w tym również takich, które Jaredowi wydawały się zupełnie bezużyteczne.

Drugiego dnia wczesnym wieczorem Andrea Gell-Mann przedstawiła Ósmej definicję pojęcia „przekleństwo” – zaczęła zbieranie informacji w czasie obiadu i tuż przed kolacją rozesłała wyniki reszcie. W czasie kolacji rekruci Ósmej z entuzjazmem neofitów kazali sobie podać pieprzoną sól (temu pierdolonemu workowi gówna) itd. Wreszcie Brahe kazał im (pojebańcom) skończyć z tym gównem, bo to się cholernie szybko robi nudne. Wszyscy uznali, że Brahe miał rację – zmienili zdanie dopiero wtedy, kiedy Gell-Mann nauczyła ich przeklinać po arabsku.

Trzeciego dnia rekruci Ósmej dostali zgodę na korzystanie z pomieszczeń kuchennych i znajdującego się tam sprzętu. Następnego dnia rano wszystkie drużyny szkoleniowe obozu Carson zostały obdarowane ilością ciasteczek wystarczającą dla każdego z jej członków (i oficerów przełożonych).

Czwartego dnia członkowie Ósmej próbowali opowiadać sobie dowcipy znalezione w sieci danych Feniksa. Zwykle bez spodziewanego rezultatu – kiedy ich MózGoście kończyły rozpakowywanie wszystkich kontekstów, sam żart nie był już ani trochę śmieszny. Tylko Sarah Pauling śmiała się prawie za każdym razem – jednak najwyraźniej śmieszył ją fakt, że nikt spośród nich nie był w stanie opowiedzieć żadnego żartu, a nie same opowiadane dowcipy. Nikt inny nie uważał tego za coś śmiesznego – na co Pauling roześmiała się tak bardzo, że spadła ze swojej pryczy.

Wszyscy zgodnie stwierdzili, że to było śmieszne.

Aha, kalambury też były zabawne.

Piątego dnia popołudniowa sesja poświęcona była rozmieszczeniu ludzkich kolonii i ich stosunkom z innymi gatunkami istot inteligentnych (które z reguły nie układały się najlepiej).

Pod wieczór Ósma krytycznie oceniła fikcję spekulatywną ery prekolonialnej dotyczącą międzygwiazdnych wojen z obcymi. Różnice zdań były naprawdę niewielkie. „Wojna Światów” spotkała się z aprobatą; Ósmej nie podobało się tylko zakończenie, które zgodnie uznano za nieprzekonującą, tanią sztuczkę. W „Żołnierzach kosmosu” było parę dobrych scen akcji, jednak całość wymagała rozpakowywania zbyt wielu idei z zakresu filozofii; bardziej od gry spodobał im się film, chociaż wydał im się głupszy. „Wieczna Wojna” wprawiła większość spośród rekrutów w ponury nastrój; ludziom, którzy nie mieli za sobą więcej niż tydzień życia, sam pomysł tak długo trwającej wojny jawił się jako niezgłębiona otchłań. Po obejrzeniu „Gwiazdnych Wojen” każde z nich chciało mieć własny miecz świetlny – wszystkich denerwował fakt, że w rzeczywistości nie istniała technologia pozwalająca na produkcję takiej broni. Wszyscy zgodnie uznali też, że Ewoków należałoby pozabijać.

Dwie spośród klasycznych pozycji przypadły im do gustu. Wszyscy zachwycili się „Grą Endera”; żołnierze, którzy tam występowali byli zupełnie tacy sami jak oni, tylko trochę mniejsi. Główny bohater został nawet, tak samo jak oni, specjalnie wyhodowany do walki z obcymi istotami. Następnego dnia rekruci Ósmej witali się ze sobą pozdrowieniem ::Hej Hnder!:: – do czasu, aż Brahe powiedział im, żeby dali sobie z tym spokój i skupili się na nauce.

Drugim z tytułów było „Charlie wraca do domu”, jedna z ostatnich książek, jakie ukazały się przed rozpoczęciem ery kolonialnej, a co za tym idzie, jedna z ostatnich książek, w której podjęto trud przedstawienia innego wszechświata niż ten, który zastali – takiego, w którym ludzkość witałaby gatunki obcych istot dobrym słowem, a nie bronią. Książka w końcu została przeniesiona na ekran – wtedy było już jasne, że nie jest to żadne science fiction, tylko gorzkie w wymowie dzieło fantasy. To była

zupełna klapa. Jednak rekruci Ósmej dali się uwieść zarówno książce, jak i nakręconemu na jej podstawie filmowi, zauroczył ich wszechświat, jakiego nigdy nie mieli zobaczyć – zresztą gdyby miał zaistnieć, to bez nich, bo nie byłiby w nim potrzebni.

Szóstego dnia Jared wraz z całą resztą Ósmej w końcu dowiedzieli się, na czym polega rzecz zwana seksem.

Siódmego dnia, w prostej konsekwencji tego, czego dowiedzieli się poprzedniego dnia, odpoczywali.

::Każda z rzeczy, których się uczymy ma jakąś wartość:: – oświadczyła Pauling Jaredowi późnym wieczorem, kiedy leżeli objęci na jej prycy. – ::Być może brane z osobna niektóre z nich są bezużyteczne, ale wzięte razem wszystkich nas do siebie zbliżają::

::My już jesteśmy ze sobą blisko::

::Nie tylko o to mi chodziło:: – Pauling mocno przycisnęła się do Jareda, a potem zwolniła uścisk. – ::Zbliżają nas jako ludzi. Jako grupę ludzi. Wszystko to, o czym wspomniałeś to głupstwa. Ale właśnie te głupstwa uczą nas, jak być ludźmi:: Teraz Jared przytulił się do Pauling i zaczął gładzić ją po piersiach.

::Lubię być człowiekiem::

::Ja też lubię być człowiekiem:: – zgodziła się z nim Pauling, a potem słyszalnie zachichotała.

::Ej, wy dwoje. Do kurwy nędzy!:: – wrzasnął im w głowach Seaborg. – ::Ja tu próbuję spać::

„::Zrzęda:: – dogryzła mu Pauling. Spojrzała w dół na Jareda, żeby sprawdzić czy i on jakoś to skomentuje, ale on zdążył już zasnąć. Pocałowała go delikatnie w czubek głowy i sama ułożyła się do snu.



::W ciągu pierwszego tygodnia szkolenia ćwiczyliście wykonywanie wszystkich tych rzeczy, które mogą również zrobić naprawdę urodzeni żołnierze:: – zakomunikował Brahe.

– ::Teraz nadszedł czas, żebyście poćwiczyli rzeczy, które jesteście w stanie zrobić tylko wy:: Ósma stała na początku długiego toru przeszkód.

::Przerabialiśmy już ten tor parę dni temu:: – zauważył Luke Gullstrand.

::Dobrze, że to dostrzegłeś, Gullstrand:: – przesłał Brahe. – ::W uznaniu twojej spostrzegawczości, dzisiaj przebiegniesz go jako pierwszy. Zostań tam gdzie stoisz a reszta niech rozstawi się wzdłuż całej długości toru, i proszę się ustawić w równych odległościach:: Kiedy rekruci Ósmej pośpiesznie rozstawili się na miejscach, Brahe zwrócił się do Gullstranda:

::Widzisz tor przed sobą?::

::Tak::

::Myślisz, że mógłbyś go przebiec z zamkniętymi oczami?::

::Nie. Nie pamiętam położenia wszystkich elementów. Na pewno potknąłbym się o coś i skręcił sobie kark::

::Zgadza się z tym?:: – zwrócił się do pozostałych Brahe i uzyskał odpowiedź twierdzącą. – ::A jednak jeszcze dzisiaj wszyscy przebiegniecie ten tor z zamkniętymi oczami.

Stanie się tak, ponieważ macie pewną zdolność, która pozwoli wam to zrobić – jesteście zintegrowani z pozostałymi członkami waszej drużyny:: Spośród rekrutów zaczęły dochodzić sygnały świadczące o mniejszym lub większym sceptycyzmie.

::Używamy naszego zintegrowania, żeby rozmawiać i dzielić się danymi:: – oświadczył Brian Michelson. – ::A to jest coś zupełnie innego::

::Nie. To dokładnie to samo:: – odparł Brahe. – ::Nocne ćwiczenia w zeszłym tygodniu nie wynikały tylko z naszego kaprysu. Wiecie już, że dzięki MózGościom i waszemu prenatalnemu treningowi jesteście w stanie

szybko uczyć się nowych umiejętności samodzielnie. W ciągu ostatniego tygodnia – nie zdając sobie z tego sprawy – nauczyliście się, jak dzielić się między sobą i przyswajać sobie olbrzymie ilości danych. Ta sytuacja pod żadnym względem nie różni się od tamtych. A teraz uważajcie:: Jared w sposób słyszalny nabrał powietrza, podobnie jak reszta rekrutów Ósmej. W jego głowie była teraz wyczuwalna nie tylko sama obecność Gabriela Brahe, ale również intymne, niemal dotykalne wrażenie jego fizyczności i osobowości, nałożone na świadomość Jareda.

::Popatrzcie moimi oczami:: – powiedział Brahe.

Jared skupił się na treści rozkazu, po czym doznał przyprawiającego o mdłości zawrotu głowy, kiedy jego perspektywa zmieniła się diametralnie, stając się perspektywą postrzeganą z punktu widzenia Brahe'a. Brahe spojrział w lewo, potem w prawo i Jared zobaczył siebie, patrzącego na Brahe'a. Wtedy Brahe przerwał połączenie.

::W miarę praktyki będzie to coraz łatwiejsze. A poczynając od tej chwili, będziecie to robić w czasie każdych ćwiczeń bojowych. Wasze zintegrowanie daje wam unikalną we wszechświecie świadomość sytuacyjną. Wszystkie inteligentne istoty w sytuacjach bojowych w miarę możliwości dzielą się informacjami – wszyscy naprawdę urodzeni żołnierze w czasie bitew utrzymują kontakt za pomocą otwartego kanału swoich MózGościów. Jednak tylko żołnierze Sił Specjalnych mogą dzielić się informacjami w tak dużym stopniu, który umożliwia im niespotykaną świadomość taktyczną. To sama istota naszej pracy i sposobu, w jaki walczymy. Tak, jak powiedziałem, w zeszłym tygodniu ćwiczyliście podstawy walki w sposób, w jaki robią to naprawdę urodzeni – uczyliście się walczyć jako oddzielne jednostki.

Teraz nadeszła pora, żebyście nauczyli się walczyć jak żołnierze Sił Specjalnych, żebyście zintegrowali wasze zdolności bojowe z resztą waszej

drużyny.

Nauczycie się dzielić i nauczycie się ufać temu, czym inni dzielą się z wami. To uratuje życie wam i pozostałym członkom waszej drużyny. Będzie to najtrudniejsza i zarazem najważniejsza z rzeczy, których się nauczycie. Więc uważajcie dobrze.: Brahe znów zwrócił się do Gullstranda:

::A teraz zamknij oczy.::

Gullstrand najwyraźniej się wahał.

::Nie wiem, czy uda mi się ich nie otworzyć.::

::Musisz zaufać swojej drużynie.::

::Ufam swojej drużynie. Po prostu nie ufam sobie samemu.: – Ta wypowiedź wywołała wiele okazujących współczucie sygnałów dźwiękowych.

::To również jest częścią tego ćwiczenia. Ruszaj!:: Gullstrand zamknął oczy i postawił pierwszy krok. Ze swojego stanowiska w połowie długości toru, Jared mógł widzieć stojącego na pierwszej pozycji Jerry’ego Yukawę, który pochylił się lekko do przodu, jakby usiłował fizycznie zmniejszyć odległość między swoim umysłem a Gullstrandem. Gullstrand pokonywał tor przeszkód powoli, ale z biegiem czasu nabierał pewności ruchów; zanim dotarł do Jareda, tuż po pokonaniu zawieszanej nad błotem drewnianej belki, zaczął się uśmiechać. Najwyraźniej uwierzył w siebie – i w innych.

Jared poczuł, że Gullstrand dociera do granic jego pola widzenia i dał mu pełen dostęp do swoich zmysłów, co wsparł dodatkowym przesłaniem odczuć zachęty i bezpieczeństwa.

Poczuł, że Gullstrand odbiera jego przekaz i przesyła mu szybkie podziękowanie; potem Gullstrand skupił się na ocenie wysokości i budowie uplecionej z lin ściany, u boku której stał Jared. Kiedy Gullstrand znalazł się na szczycie przeszkody, Jared poczuł, jak kieruje on swoją uwagę w

stronę kolejnego członka drużyny, teraz już pewny wartości świadectwa cudzych zmysłów. Przy końcu toru Gullstrand poruszał się prawie z pełną możliwą prędkością.

::Doskonale, Gullstrand. Staniesz teraz na ostatniej pozycji:: – polecił Brahe. – ::Wszyscy przesuwają się o jedną pozycję w górę. Teraz twoja kolej, Yukawa:: Po trzecim z rzędu pokonaniu toru przeszkód poszczególni członkowie drużyny nie tylko dzielili się swoim postrzeganiem z pokonującym właśnie tor członkiem drużyny; ten ostatni dzielił się swoim otrzymanym od któregoś z nich postrzeganiem z nimi wszystkimi, dając w ten sposób pewne wyobrażenie o całym skomplikowaniu sytuacji tym, których kolej jeszcze nie nadeszła. W czasie czwartej próby rekruci dzielili się danymi wizualnymi z tymi, którzy stali o jedno stanowisko wyżej – w ten sposób mogli jeszcze bardziej pomóc osobie, która właśnie pokonywała tor. Do czasu, kiedy miała nadejść kolej Jareda, cała drużyna w pełni zintegrowała swoje postrzeganie – rekruci nauczyli się sprawnie samplować z czyjejś perspektywy i przekazywać istotne informacje bez zaburzania własnego punktu widzenia. To przypominało bycie w dwóch miejscach jednocześnie.

Kiedy Jared sam pokonywał tor przeszkód, opanowało go radosne odczucie uczestnictwa w bystrym przepływie informacji – przynajmniej do chwili, kiedy pożyczone postrzeganie zawieszona nad bagnem belki, po której właśnie kroczył, nagle umknęło mu spod stóp. Jared zrobił krok w powietrze i płasko spadł do błotnistej kałuży.

::Sorry:: – przekazał Steven Scaborg w parę sekund później, kiedy Jared, już z otwartymi oczami, wyczołgał się na brzeg.

::Jakiś owad mnie ukąsił. To mnie rozproszyło::

::Gównoprawda:: – Prywatnym połączeniem przesłał Jaredowi Alan Millikan. – ::Stałem o jedno stanowisko niżej i patrzyłem prosto na niego.

Nic go nie ukąsiło.:: Do rozmowy włączył się Brahe.

::Seaborg, jeśli w czasie walki zdarzy ci się poświęcić życie kolegi z powodu ukąszenia jakiegoś robala, to na pewno wkrótce znajdziesz się w kosmosie po niewłaściwej stronie śluzy powietrznej. Zapamiętaj moje słowa. A ty ruszaj dalej, Dirac.:: Jared zamknął oczy i ostrożnie postawił jedną stopę przed drugą.



::Dlaczego Seaborg tak mnie nie lubi?:: – Jared zapytał Pauling. Ćwiczyli we dwoje walkę na noże bojowe. Członkowie drużyny ćwiczyli ze sobą w parach po pięć minut, z maksymalnie natężonym odczuciem integracji. Walka z kimś, kto niemal tak dobrze jak ty sam znał aktualny stan twojego umysłu, stanowiła nie lada wyzwanie.

::A więc naprawdę nie wiesz?:: – Krążąca wokół niego Pauling wywijiała młynka trzymanym od niechcienia w lewej dłoni nożem. – ::Przyczyną tego są dwie rzeczy. Po pierwsze -to zwykły dureń. Po drugie – podobam mu się.:: Jared stanął w miejscu. ::Co?:: – Pauling zaatakowała szybko jak zmija; wykonała mylący ruch prawą ręką i wyprowadziła lewą cięcie w kierunku jego szyi. Jared zrobił krok do tyłu i w prawo, żeby uniknąć trafienia; Pauling przerzuciła nóż do prawej ręki i dźgnęła nim w dół, mijając nogę Jareda w odległości mniej więcej centymetra. Jared wyprostował się i przyjął pozycję obronną.

::Rozproszyłaś mnie.:: – Jared znów zaczął krążyć dookoła niej.

::Sam się rozproszyłeś. Ja po prostu z tego skorzystałam.::

::Nie zaznasz szczęścia, dopóki nie otworzysz jakiejś arterii.::

::Nie zaznam szczęścia, dopóki się nie zamkniesz i nie skupisz na próbie zabicia mnie za pomocą tego noża.::

::No wiesz...:: – zaczął Jared i nagle odchylił się do tyłu; wyczuł, że Pauling ma zamiar wyprowadzić kolejne cięcie ułamek sekundy przed tym, jak zrobiła wypad do przodu. Zanim zdążyła się wycofać, Jared znów przechylił się do przodu, i pozostając wewnątrz długości jej wyciągniętej ręki, ostrzem trzymanego w prawej dłoni noża sięgnął w kierunku jej klatki piersiowej. Zanim zdążył jej dotknąć, Pauling uniosła głowę i uderzyła nią w jego brodę – słychać było głośne stuknięcie, kiedy zęby Jareda zderzyły się ze sobą; pociemniało mu przed oczami. Pauling wykorzystała jego zamroczenie i wycofała się, podcinając mu nogi. Upadł płasko na plecy. Kiedy doszedł do siebie, Pauling trzymała jego ramiona w żelaznym uścisku swoich nóg a czubek jej noża znajdował się tuż nad jego tętnicą szyjną.

::No wiesz...:: – powiedziała, przedrzeźniając jego ostatnie słowa. – ::Gdyby to była prawdziwa walka, zdążyłabym już pokroić na plasterki twoje cztery arterie i zająć się czymś innym.:: – Schowała nóż do pochwy i zwolniła uścisk swoich nóg.

::A więc dobrze, że to nie była prawdziwa walka. A co do Seaborga...:: Pauling walnęła go prosto w nos; głowa znów opadła mu na podłogę. Jej nóż znów znalazł się na jego gardle; a w ułamek sekundy później jego ramiona znów znalazły się w uścisku jej nóg.

::Co, do diabła?::

::Nasze pięć minut jeszcze nie minęło. Wciąż powinniśmy ze sobą walczyć.::

::Ale ty...:: -zaczął Jared. Pauling dźgnęła go w szyję, raniąc do Sprytnej Krwi. Jared głośno krzyknął.

::Nie ma tu miejsca na żadne „ale ty...”. Jared, lubię cię, ale zauważyłam, że nie jesteś dostatecznie skoncentrowany. Jesteśmy przyjaciółmi i pewnie myślisz, że z tego powodu możemy sobie uciąć miłą pogawędkę w czasie

ćwiczeń. Ale przysięgam ci, że podetnę ci gardło, jeśli po raz kolejny otworzysz gardę i dasz mi ku temu sposobność. Twoja SprytnaKrew prawdopodobnie nie pozwoli ci umrzeć. To cię oduczy myślenia, że nie jestem w stanie cię poważnie zranić tylko dlatego, bo się przyjaźnimy. Ja też ciebie bardzo lubię. I nie chcę, żebyś zginął w czasie prawdziwej walki, ponieważ pomyślisz o czymś innym.

Rzeczy, z którymi będziemy walczyć, nie będą sobie robiły krótkich przerw na konwersację.::

::Ale przecież strzegłabyś mnie w czasie prawdziwej walki.::

::Oczywiście, że bym cię strzegła. Ale cała ta integracja działa tylko do pewnej granicy.

Musisz sam siebie strzec.::

Brahe poinformował, że ich pięć minut dobiegło końca. Pauling podała Jaredowi rękę. ::Mówię poważnie, Jared:: – powiedziała, kiedy już podniosła go do pionu. -::Następnym razem musisz się mieć na baczności, albo naprawdę ciężko cię zranię.::

::Wiem. Albo walniesz mnie pięścią.::

::To prawda. Nie jestem zbyt wybredna.::

::A więc powiedziałaś, że podobasz się Seaborgowi tylko po to, żeby mnie rozkojarzyć.::

::Nie, to szczerą prawdą.::

::Och...:: – westchnął Jared.

Pauling roześmiała się na głos.

::To cały ty, znowu się dałeś rozkojarzyć.::



Sarah Pauling została trafiona jako jedna z pierwszych; razem z Andream Gell-Mann wpadła w zasadzkę, kiedy przeprowadzały zwiad w niewielkiej dolinie. Pauling padła od razu, trafiona w szyję i głowę; Gell-Mann zdołała namierzyć położenie strzelców, zanim trzy strzały w brzuch i klatkę piersiową powaliły ją na ziemię. W obu przypadkach ich integracja z resztą drużyny nagle implodowała; pozostali członkowie drużyny mieli wrażenie, jakby zostały wyrwane żywcem z ciała ich zbiorowej świadomości. Po chwili padły kolejne strzały, dziesiątkując drużynę i zmuszając pozostałych do rozbicia szyku.

To była dla Ósmej naprawdę niekorzystna gra wojenna.

Jerry Yukawa jeszcze tylko pogorszył całą sytuację, dostając postrzał w nogę. Kostium treningowy, który miał na sobie, zarejestrował „trafienie” i unieruchomił całą kończynę; Yukawa, powłócząc sztywną nogą, dotarł do głazu narzutowego w parę sekund po tym jak schroniła się za nim Katharine Berkeley.

::Powinnaś położyć ogień zaporowy:: – oświadczył Yukawa oskarżycielskim tonem.

::Zrobiłam to:: – odparła Berkeley. – ::Ciągle staram się to robić. Ale ja jestem jedna, a ich jest pięciu. Spróbuj to zrobić lepiej.::

Pięcioro członków Trzynastej Drużyny Szkoleniowej, którzy zapędzili Yukawę i Berkeley za osłonę głazu, posłało w ich stronę kolejną serię. Rekruci Trzynastej poczuli symulowane odrzuty szkoleniowych karabinów, podczas gdy ich MózGoście wizualnie i dźwiękowo symulowały lot kul przesywających powietrze ślepo zamkniętej dolinki; MózGoście Yukawy i Berkeley odpowiednio symulowały, jak niektóre z tych kul uderzają w ogromną bryłę głazu, podczas gdy inne gwizdzą przelatując im nad głowami. Kule nie były prawdziwe, ale były na tyle realne, na ile było to

możliwe.: Przydałaby się nam tu pomoc.: – przekazał Yukawa do Stevena Seaborga, który dowodził drużyną w czasie tego ćwiczenia.

::Słyszemy was.: – zakomunikował Seaborg, a potem odwrócił się w stronę Jareda, ostatniego z ocalałych przy jego boku żołnierzy, który przyglądał mu się w milczeniu.

Przeżyło zaledwie czterech członków Ósmej (wliczając w to problematyczny przypadek Yukawy), podczas gdy po lesie wciąż wło czyło się siedmiu członków Trzynastej. Przyszłość nie wyglądała zbyt różowo.

::Przestań patrzeć na mnie w ten sposób.: – przesłał Seaborg. – ::To nie moja wina.:

::Nic nie powiedziałem.:

::Ale pomyślałeś.:

::Nic też nie pomyślałem. Po prostu przeglądałem dane.:

::Jakie dane?.::

::Dane na temat tego, jak myśli i porusza się Trzynasta. Dane pozostałe po tych spośród Ósmej, którzy do tej pory zginęli. Staram się znaleźć coś, co może nam się przydać.:

::Mógłbyś to robić trochę szybciej?.: – wtrącił się Yukawa, – ::Tutaj mamy dość niewesołą sytuację.: Jared spojrzał na Seaborga. Ten westchnął.

::No dobrze, jestem otwarty na sugestie. Co tam masz.:

::Mo że pomyślisz, że oszalałem, ale zauważyłem jedną rzecz. Jak do tej pory ani oni, ani my, nie patrzyliśmy za bardzo do góry.: Seaborg spojrzał w górę. Światło słońca przebijało się z trudem przez sklepienie lasu złożonego z pochodzących z ziemi drzew i ich feniksjańskich odpowiedników; grubych, przypominających bambusy łodyg, z których wyrastały imponujących rozmiarów pióropusze gałęzi. Te dwa rodzaje flory nie rywalizowały ze sobą – były genetycznie niekompatybilne, ponieważ

rozwinęły się na różnych światach – walczyły jednak ze sobą o światło; wyciągając się ku niebu tak bardzo, jak to tylko było możliwe, rozgałęziały się wysoko w górze, by umożliwić liściom, lub ich odpowiednikom, fotosyntezę.

::Nie patrzymy do góry, bo tam nie ma nic oprócz gałęzi drzew:: – powiedział po namyśle Seaborg.

Jared zaczął w myślach odliczać sekundy. Doszedł do siedmiu, kiedy Seaborg w końcu załapał:

::Aha::

::Aha:: – zgodził się Jared i zwizualizował mapę. – ::Jesteśmy w tym miejscu. Yukawa i Berkeley są tutaj. Między nami przez całą drogę ciągnie się las::

::I myślisz, że możemy do nich dotrzeć, przemieszczając się po drzewach?:: – powątpiewał Seaborg.

::Co do tego nie ma wątpliwości. Pytanie tylko, czy uda nam się to zrobić na tyle szybko, żeby Berkeley i Yukawa nie zostali do tej pory zabici. I czy zrobimy to na tyle cicho, żeby nas nie zabito w czasie tej przeprawy::



Jared wkrótce zorientował się, że chodzenie po drzewach było prostsze w teorii niż w praktyce. W ciągu pierwszych dwóch minut dwa razy omal nie pospadali na ziemię; przechodzenie z gałęzi na gałąź wymagało większej koordynacji ruchów, niż się spodziewali.

Gałęzie fenicjańskich drzew z ledwością utrzymywały ich ciężar, a na ziemskich drzewach napotykali zadziwiające ilości suchych gałęzi. Posuwali się wolniej i głośniej, niż chcieli.

Ze wschodu dobiegł ich jakiś szelest; znajdujący się na oddzielnych drzewach Jared i Seaborg objęli ich pnie i znieruchomieli. Dwóch członków Trzynastej wynurzyło się z kępy krzaków, znajdującej się w odległości trzydziestu metrów (i sześciu metrów w dół) od pozycji Jareda. Obaj zachowywali się czujnie, w pełnej gotowości rozglądali się za swoją zdobyczą.

Jednak nie spojrzeli do góry.

Jared kątem oka zauważył, że Seaborg sięga po swojego Empaka.

::Poczekaj:: – powstrzymał go. – ::Wciąż jesteśmy w zakresie ich widzenia obwodowego. Poczekajmy aż obrócą się do nas plecami.:: – Dwaj żołnierze szybko parli do przodu i po chwili zostawili Jareda i Seaborga za sobą; Seaborg skinął do Jareda. Po cichu zdjęli z ramion swoje Empaki i wymierzili je w plecy obu żołnierzy. Seaborg dał rozkaz; kule poleciały krótką serią. Żołnierze zeszywnieli i przewrócili się.

::Pozostali przyskrzynili Yukawę i Berkeley:: – rzekł Seaborg.

– ::Musimy się pospieszyć.:: – dodał, i ruszył na kolejne drzewo. Jareda rozbawił fakt, że dowódczy duch towarzysza, tak niedawno stępiony, powrócił w pełnej krasie.

W dziesięć minut później Yukawie i Berkeley zostały już resztki amunicji, a Jared i Seaborg zdołali namierzyć pozostałych członków Trzynastej. Po ich lewej stronie, osiem metrów poniżej, dwóch żołnierzy kryło się za pniem zwałonego drzewa; w odległości około trzydziestu metrów, po ich prawej, kolejna dwójka kryła się za stosem kamieni. Ta czwórka trzymała Yukawę i Berkeley w szachu, podczas gdy piąty żołnierz po cichu zachodził ich od flanki. Wszyscy odwróceni byli plecami do Jareda i Seaborga.

::Ja zdejmę tych przy pniu; ty zajmij się tymi przy kamieniach.:: – przekazał Seaborg.

– ::Powiem Berkeley o tym na flance, ale niech nie strzela do niego dopóki my nie załatwimy naszych. Nie ma potrzeby zdradzać im naszej pozycji.:: – Jared pokiwał głową; teraz, kiedy Seaborg odzyskał pewność siebie, jego planowanie od razu stało się lepsze. Jared zachował sobie te dane do późniejszego rozważenia i przybrał stabilniejszą pozycję strzelecką – oparł się plecami o pień, dodatkowo zahaczając się lewą stopą o znajdującą się poniżej niego gałąź.

Seaborg zsunął się o metr niżej, ponieważ jedna z gałęzi zasłaniała mu pole widzenia.

Sucha gałąź, na której postawił stopę, pękła. Zaczął zsuwać się z drzewa robiąc tyle hałasu, ile tylko było możliwe. W końcu, dziko wymachując rękami, złapał za jedną z niższych gałęzi; w czasie tych ekwilibrystycznych wyczynów wypuścił z rąk swojego Empaka. Czterej leżący na ziemi żołnierze obrócili się, spojrzeli do góry i dostrzegli go, bezsilnie zwisającego w połowie wysokości drzewa. Unieśli lufy swoich karabinów.

::Kurwa mać:: – zaklął Seaborg i spojrział w górę na Jareda.

Jared zaczął strzelać automatycznymi seriami w stronę żołnierzy kryjących się za kamieniami. Jeden z nich wyprostował się i upadł, drugi tygrysim skokiem ukrył się z drugiej strony głązów. Jared obrócił się i skierował ogień na żołnierzy leżących obok pnia; nie trafił ich co prawda, ale przydusił ich do ziemi na czas, w którym zdążył przestawić swojego Empaka na tryb sterowanych pocisków raketowych. Wycelował pomiędzy obu żołnierzy i wystrzelił – symulowany wybuch głowic małych rakiet naszpikował ich wirtualnymi odłamkami. Obaj upadli na ziemię. Jared odwrócił się w stronę głązów i zobaczył, że kryjący się za nimi żołnierz właśnie składa się do strzału. Odpalił w jego stronę raketę w momencie, kiedy tamten pociągał za spust. Jared poczuł bolesne zeszywnienie żeber, kiedy jego treningowy kostium zaczął zaciskać się na jego ciele – po chwili

wypuścił z rąk swojego Empaka. Został trafiony, ale fakt, że nie spadł z korony drzewa mówił mu, że trafienie nie było śmiertelne.

Ćwiczenia bojowe! Jared był tak napakowany adrenaliną, że mógłby posikać się w spodnie!

::Pomogę ci:: – Seaborg wyciągnął w stronę Jareda swoją lewą rękę. W tym momencie piąty żołnierz, który najwyraźniej zawrócił w ich stronę, trafił go w prawe ramię. Cała prawa ręka Seaborga zeszywniała we wnętrzu jego kostiumu treningowego i puścił gałąź, na której do tej pory zwisał. Jared w ostatniej chwili złapał go za lewą rękę. Lewa stopa Jareda, wciąż zahaczona o wystającą poniżej gałąź, napięła się boleśnie od dodatkowego ciężaru.

W dole piąty żołnierz składał się do strzału; nieważne, czy miał strzelać prawdziwymi, czy wirtualnymi kulami – Jared wiedział, że w razie trafienia sztywnienie kostiumu sprawi, że puści Seaborga i prawdopodobnie sam spadnie na ziemię. Jared sięgnął prawą ręką po swój nóż bojowy i rzucił nim z całej siły. Nóż wbił się głęboko w lewe udo żołnierza, który przewrócił się, krzycząc i chwytając się za wystającą z nogi rękojeść noża – w końcu Berkeley podeszła do niego od tyłu i unieruchomiła go jednym strzałem.

::Grę wojenną wygrywa Ósma:: – Jared usłyszał głos Brahe'a. – ::Rozluźniam kostiumy treningowe. Początek następnej gry wojennej za trzydzieści minut:: – Nagle znikł nacisk na prawą stronę ciała Jareda; podobnie zniknęła sztywność kostiumu Seaborga. Jared podciągnął go do góry i powoli zeszli na ziemię, żeby poszukać upuszczonych karabinów.

Na dole czekali na nich rozmrożeni rekruci Trzynastej, skupieni wokół ранego kolegi, który wciąż pojękiwał leżąc na ziemi.

::Ty chuju:: – wrzasnął jeden z nich, patrząc Jaredowi w oczy. – ::Rzuciłeś nożem w Charliego. A przecież nie mieliśmy narażać niczyjogo

życia. Dlatego właśnie ta zabawa nazywa się grami wojennymi – to gra, a nie wojna!:: Seaborg wcisnął się między tego żołnierza i Jareda.

::Powiedz to swojemu przyjacielowi, dupku:: – warknął. – ::Gdyby nas trafił, spadłbym osiem metrów w dół bez żadnego zabezpieczenia. Raczej nie obchodziło go moje życie, kiedy mierzył do nas ze swojego karabinu. Rzut nożem Jareda uratował mi życie. A twój przyjaciel na pewno przeżyje. Więc pieprzę jego i ciebie, palancie!:: Seaborg i żołnierz Trzynastej mierzyli się przez parę sekund wzrokiem – po chwili tamten odwrócił głowę, splunął na ziemię i wrócił do swoich kolegów.

::Dzięki!:: – przesłał Jared do Seaborga.

Seaborg tylko spojrział na niego, potem przeniósł wzrok na Yukawę i Berkeley. ::Wynośmy się stąd. Niedługo zaczyna się kolejna gra wojenna!:: – Ruszył w kierunku miejsca zbiórki. Pozostała trójka ruszyła za nim.

W drodze powrotnej Seaborg zwolnił, żeby zrównać się z Jaredem.

::To był dobry pomysł z tymi drzewami. I cieszę się, że złapałeś mnie zanim spadłem.

Dziękuję!::

::Nie ma za co!::

::Wciąż za tobą nie przepadam!:: – dodał Seaborg. – ::Ale nie będziesz już miał ze mną problemów!::

::Jak dla mnie, może być. Przynajmniej na początek!:: Seaborg pokiwał głową i przyspieszył, żeby wrócić na przód ich małego oddziału. Przez resztę drogi powrotnej milczał.



– Patrzcie, kogo tu mamy! zawołał porucznik Cloud, kiedy Jared wszedł na pokład wahadłowca wraz z pozostałymi byłymi rekrutami Ósmej.

Wracali na Stację Kosmiczną Feniks, żeby dostać swoje pierwsze przydziały bojowe. – Mój kolega Jared we własnej osobie!

– Witam, poruczniku Cloud. Dobrze znowu pana zobaczyć.

– Mów mi Dave – zaproponował pilot. – Widzę, że już skończyłeś swoje szkolenie. Cholera, chciałbym, żeby moje szkolenie trwało tylko dwa tygodnie.

– A jednak dużo w tym czasie przerobiliśmy.

– W żadnym razie w to nie wątpię. A więc, jaki jest twój pierwszy przydział, szeregowy Dirac? Dokąd zostaniesz wysłany?

– Dostałem przydział na „Latawca”. Razem z dwójką moich przyjaciół, Sarah Pauling i Stevenem Seaborgiem. – Jared wskazał na Pauling, która już siedziała na swoim miejscu; Seaborga jeszcze nie było na pokładzie wahadłowca.

– Widziałem tego „Latawca” – przyznał. – To nowy okręt. Ma ładny kształt kadłuba. Rzecz jasna nigdy nie byłem na jego pokładzie. Wy w Siłach Specjalnych trzymacie swój sprzęt tylko dla siebie.

– Tak mówią. – Na pokład weszła Andrea Gell-Mann, przechodząc przypadkiem potrafiła Jareda w ramię. Przesłała mu dźwiękowy sygnał przeprosin; obejrzał się za nią z uśmiechem.

– Wygląda na to, że będzie komplet na pokładzie. Jeśli chcesz, możesz znowu usiąść w fotelu drugiego pilota.

– Dzięki – Jared spojrzał na Pauling. – Myślę, że tym razem zostanę ze swoimi przyjaciółmi.

Cloud podążył za wzrokiem Diraca.

– To zupełnie zrozumiałe – oświadczył po chwili. – Chociaż o ile pamiętam, jesteś mi winien parę nowych dowcipów. Mam nadzieję, że w czasie tego waszego szkolenia poświęciliście trochę czasu na ćwiczenia nad waszym poczuciem humoru.

Jared milczał przez chwilę, przypominając sobie swoją pierwszą rozmowę z Gabrielem Brahe.

– Poruczniku Cloud, czytał pan kiedyś „Frankensteina”? – Nie czytałem tego, ale znam tę historię. Widziałem jedną z ostatnich ekranizacji nie tak dawno temu. W tym filmie potwór potrafił mówić, co podobno jest zgodne z książkową wersją historii.

– I co pan o tym sądzi?

– Film był całkiem niezły. Aktorstwo było trochę przesadzone. Było mi żal tego potwora. A ten doktor Frankenstein był prawdziwym dupkiem. Dlaczego pytasz?

– Z ciekawości. Jared skinął głową w stronę przedziału pasażerskiego, który już prawie się zapełnił. – Wszyscy przeczytaliśmy tę książkę. Dała nam dużo do myślenia.

– Chyba cię rozumiem, Jared. Pozwól, że podzielę się z tobą moją filozofią rodzaju ludzkiego. Można ją ująć w trzech słowach: lubię dobrych ludzi. Ty wydajesz się być dobrym człowiekiem. Nie twierdzą, że wszyscy mają tak myśleć, ale dla mnie to jest najważniejsze.

– Dobrze to wiedzieć. Myślę, że moja własna filozofia także hołduje tej zasadzie.

– No to się odnaleźliśmy jak w korcu maku. Znasz jakieś nowe dowcipy?

– Parę się znajdzie.

SZÓSTY

– Będziemy tutaj rozmawiać na głos, jeśli to pani nie przeszkadza – zaproponował generał Szilard. – Tutejsza obsługa robi się nerwowa, jeśli widzi dwoje ludzi wpatrujących się w siebie i nie wydających żadnych dźwięków. Jeśli nie będą widzieć, że rozmawiamy, będą tutaj podchodzić dosłownie co minutę żeby spytać, czy niczego nam nie potrzeba. To bardzo rozprasza.

– Jak pan sobie życzy – zgodziła się Jane Sagan.

Siedzieli w generalskiej mesie, nad nimi obracał się ogrom planety Feniks. Spojrzała do góry; wzrok generała podążył za jej spojrzeniem.

– Jest niezwykle piękna, prawda?

– Tak, ma pan rację.

– Można spojrzeć na planetę z każdego portalu stacji, przynajmniej co jakiś czas. Ale nikt nigdy na nią nie patrzy. A potem przychodzi się tutaj, i po prostu nie można oderwać od niej oczu. Przynajmniej ja nie mogę. – Wskazał palcem na przykrywającą mesę kryształową kopułę. – Wie pani, że tę kopułę otrzymaliśmy w darze? – Sagan potrząsnęła głową. – Dali ją nam Alowie, kiedy budowaliśmy tę stację. Cała konstrukcja jest z diamentu. Powiedzieli, że wyrzeźbili ją z jeszcze większego kawałka naturalnego diamentu, który wyciągnęli z rdzenia jednego z gazowych olbrzymów ich systemu. Alowie byli doskonałymi inżynierami, tak przynajmniej piszą w książkach. Ta historia może nawet być prawdziwa.

– Nigdy nie słyszałam o tych Alach.

– Ponieważ dawno wyginęli – wyjaśnił Szilard – Sto pięćdziesiąt lat temu wdali się z Obinami w wojnę o jakąś kolonię. Dysponowali armią

klonów i mogli te klony bardzo szybko reprodukować. Przez jakiś czas wyglądało na to, że Alowie zwyciężą. Jednak Obinowie umieścili w genach klonów jakiegoś wirusa. Na początku był nieszkodliwy i przenosił się drogą kropelkową, jak grypa. Nasi naukowcy ustalili, że rozprzestrzenił się po całej armii Alów w ciągu około miesiąca. Po upływie kolejnego miesiąca wirus osiągnął postać dojrzałą i zaczął atakować cykl reprodukcyjny komórek organizmu każdego z alijskich klonów– żołnierzy. Ofiary się dosłownie rozpuszczały, jak cukier w gorącej wodzie.

– Wszystkie w jednej chwili?

– Zajęło to mniej więcej miesiąc. Dlatego właśnie nasi naukowcy zakładają, że tyle samo czasu zajęło zarażenie wirusem całej armii. Po zlikwidowaniu armii klonów, Obinowie natychmiast przystąpili do eksterminacji ludności cywilnej. To był szybki, brutalny, masowy mord. Obinowie nie są zbyt miłosiernym gatunkiem. W tej chwili wszystkie były alijskie planety należą do Obinów, a Unia Kolonialna nauczyła się dwóch rzeczy. Po pierwsze, armia klonów to bardzo marny pomysł. Po drugie, nie należy wchodzić w drogę Obinom. Aż do tej chwili przestrzegaliśmy obu tych zasad.

Sagan przytaknęła. Krążownik Sił Specjalnych „Latawiec” zaczął już na terytorium Obinów potajemne, rekonesansowe wypadki, które miały wybadać ich siłę uderzeniową i możliwości techniczne. Było to niebezpieczne zadanie, ponieważ Obinowie znani byli z tego, że nie wybaczały żadnych ataków; na dodatek, oficjalnie rzecz biorąc, Obinowie nie byli wrogami Unii Kolonialnej. O sojuszu Obinów z Eneshanami i Rraeyami wiedziała garstka zaufanych osób; olbrzymia większość kolonistów i żołnierzy KSO nie miała pojęcia o tym przymierzu i nie zdawała sobie sprawy z zagrożenia, jakie stanowiło ono dla całej ludzkości.

Eneshanowie nawet utrzymywali swoją placówkę dyplomatyczną w stolicy Unii Kolonialnej na planecie Feniks. Oficjalnie rzecz biorąc, byli sprzymierzeńcami Unii.

– Chce pan ze mną porozmawiać o skierowanych przeciw Obinom atakach rozpoznawczych? – Oprócz tego, że była dowódcą oddziału szturmowego „Latawca”, pełniła też funkcję głównego oficera wywiadowczego okrętu i odpowiadała za rozpoznanie sił przeciwnika. Większość spośród oficerów Sił Specjalnych miało więcej niż jedno stanowisko; oprócz tego dowodzili także oddziałami bojowymi. Pozwalało to uszczuplić liczbę znajdujących się na pokładzie okrętu ludzi, na dodatek utrzymywało oficerów służących na stanowiskach bojowych, w ścisłym związku z poczuciem misji Sił Specjalnych. Jeśli przyszło się na ten świat, żeby bronić ludzkości, to uczestnictwo w rzeczywistej walce jest najdoskonalszym wyrazem tego dążenia.

– Nie w tym momencie. To nie jest właściwe miejsce. Chciałem z panią porozmawiać na temat jednego z pani nowych żołnierzy. Na „Latawiec” zostało przydzielonych troje nowych rekrutów, a dwoje spośród nich będzie służyć pod pani rozkazami.

Sagan skrzywiła się.

– I w tym problem. W moim oddziale miałam tylko jedno wolne miejsce, ale przydzielono mi dwoje rekrutów. Żeby zrobić miejsce, odebraliście mi jednego z moich najbardziej zasłużonych weteranów. – Przypomniała sobie pełen ponurej bezsilności wyraz twarzy Willa Listera, kiedy otrzymał rozkaz przeniesienia na pokład „Sokoła Wędrownego”.

– „Sokół” jest nowym okrętem i na pewno przyda się na nim para doświadczonych rąk. Zapewniam panią, że na innych okrętach można znaleźć innych dowódców oddziałów poirytowanych dokładnie tak samo jak pani. „Latawiec” musiał się pozbyć jednego ze swoich weteranów, ale

tak się składa, że chciałem umieścić jednego z tych rekrutów pod pani rozkazami. Więc „Sokół Wędrowny” musiał wziąć waszego weterana.

Sagan otworzyła usta, żeby dalej narzekać; przemyślała to jeszcze raz i zamknęła je, dusząc pretensje w sobie. Szilard obserwował grę emocji na jej twarzy. Większość żołnierzy Sił Specjalnych powiedziałyby pierwszą rzecz, jaka przyszłaby im do głowy, ponieważ nie włączano im do głów subtelności *savoir-vivre*'u w dzieciństwie i w szczenięcych latach dojrzewania. Samokontrola Sagan była jednym z czynników, które zwróciły na nią uwagę Szilarda; jednym, chociaż nie jedynym.

– O którym z rekrutów mówimy? – zapytała w końcu.

– O Jaredzie Diracu – odparł.

– Co jest w nim takiego szczególnego?

– Ma w głowie mózg Charlesa Boutina i znowu przyglądał się, jak Sagan walczy z pokusą natychmiastowej, instynktownej odpowiedzi.

– Myśli pan, że to dobry pomysł? – wydusiła z siebie wreszcie.

– Wszystko to wygląda coraz lepiej. – Szilard przesłał jej ściśle tajne akta Diraca, wraz z załączoną dokumentacją techniczną. Sagan siedziała w milczeniu, trawiając olbrzymią ilość materiału; Szilard, również milcząc, przyglądał się młodszemu stopniem oficerowi. Po minucie podszedł do ich stolika jeden z kelnerów i spytał, czy może im coś podać. Szilard zamówił herbatę. Sagan kelnera zignorowała.

– No dobra, jakoś sobie poradzę – oświadczyła Sagan, kiedy skończyła już. przeglądanie danych. – Ale dlaczego wciska mi pan do oddziału zdrajcę?

– Boutin nie jest zdrajcą – zaprzeczył. – Dirac jedynie ma jego mózg.

– Mózg, w który próbował pan wdrukować osobowość zdrajcy.

– Tak – przyznał generał.

– Myślę, że powinien to pan jeszcze raz przemyśleć – zasugerowała.

– Zrobiłem to po namyśle, ponieważ miała już pani do czynienia z podobnymi rzeczami.

– Ze zdradą? – spytała Sagan, trochę wytrącona z równowagi.

– Z niekonwencjonalnymi żołnierzami Sił Specjalnych. Przez pewien czas miała pani w swoim oddziale naprawdę urodzonego żołnierza KSO, Johna Perry’ego. – Sagan znieruchomiała, słysząc to nazwisko; Szilard postanowił w żaden sposób tego nie komentować. – Całkiem nieźle się sprawował pod pani rozkazami. – Ostatnie stwierdzenie miało najwyraźniej ironiczny charakter; w czasie bitwy o Koral, Perry wyniósł poranione ciało nieprzytomnej Sagan poza linię ognia, a potem, mimo tego, że budynek, w którym się właśnie znajdował dosłownie walił mu się na głowę, udało mu się zlokalizować wytworzone przez wroga urządzenie o strategicznym znaczeniu.

– To zasługa Perry’ego, nie moja. – Szilard dostrzegł, że samo wymówienie nazwiska Perry’ego rodzi w Sagan silne emocje, jednak znowu nie powiedział na ten temat ani słowa.

– Jest pani zbyt skromna. – Zamilkł na czas, w którym kelner stawiał na stole herbatę. – Chodzi mi o to, że Dirac jest pewnego rodzaju hybrydą – kontynuował. – Jest żołnierzem Sił Specjalnych, ale może również okazać się czymś innym. Potrzebuję kogoś, kto ma doświadczenie z czymś innym.

– Z czymś innym – powtórzyła Sagan. – Panie generale, czy sugeruje pan, że świadomość Boutina znajduje się w tym momencie gdzieś we wnętrzu Diraca?

– Tego nie powiedziałem. – Ton Szilarda sugerował coś wręcz przeciwnego. Sagan poprawnie odczytała intonacyjną subtelność tonu jego wypowiedzi.

– Zdaje sobie pan, oczywiście, sprawę, że w czasie swoich najbliższych misji „Latawiec” będzie miał do czynienia zarówno z Rraeyami, jak i z

Eneshanami. Trzeba wziąć pod uwagę, że misje przeciw Eneshanom będą wymagały szczególnej delikatności. – I obecności Willa Listera, pomyślała Sagan, jednak nie powiedziała tego głośno.

– Oczywiście, że zdaję sobie z tego sprawę – przyznał i sięgnął po swoją herbatę.

– I nie uważa pan, że zabranie na taką misję kogoś, w kim może ujawnić się osobowość zdrajcy, może być ryzykowne? Może zaszkodzić nie tylko powodzeniu samej misji, ale również służącym wraz z nim żołnierzom?

– Rzecz jasna istnieje takie zagrożenie, ale zdaję się w tej sprawie na pani doświadczenie. Ten żołnierz może również okazać się źródłem cennych informacji. Należy liczyć się również z takim rozwojem wydarzeń. Poza wszystkim innym, jest pani oficerem wywiadu. Jest pani idealnym oficerem przełożonym dla tego żołnierza.

– A co Crick miał na ten temat do powiedzenia? – zapytała Sagan, mając na myśli majora Cricka, oficera dowodzącego „Latawcem”.

– Nie miał na ten temat nic do powiedzenia, ponieważ jeszcze nic o tym nie wie. To są ściśle tajne wiadomości i uznałem, że on nie musi ich znać. Wie tylko, że ma na pokładzie troje nowych żołnierzy.

– To mi się nie podoba. To mi się w ogóle nie podoba.

– Nie prosiłem, żeby się to pani podobało. Ma się pani po prostu tym zająć. – Wypił łyk herbaty.

– Nie chcę, żeby występował w jakiejś ważnej roli w misjach, podczas których będziemy mieli do czynienia z Rraeyami lub Eneshanami.

– Musi go pani traktować tak samo, jak wszystkich innych żołnierzy pod swoim dowództwem.

– Więc może zostać zabity, podobnie jak każdy z żołnierzy.

– Dla pani własnego dobra byłoby lepiej, gdyby nie zginął z ręki któregoś z naszych ludzi – ostrzegł Szilard i odstawił filiżankę.

Sagan na chwilę zamilkła. Kelner znów podszedł do stolika; Szilard odgonił go niecierpliwym machnięciem dłoni.

– Chcę komuś pokazać te dane – oświadczyła Sagan, wskazując na własną głowę.

– To są tajne dane, z oczywistych powodów. Wszyscy, którzy powinni je znać, już je znają i nie chcemy, żeby się dalej rozprzestrzeniały. Nawet Dirac nie zna swojej własnej historii. I tak ma pozostać.

– Prosi mnie pan o przejęcie żołnierza, który może się okazać niezwykle poważnym zagrożeniem. Więc może pan przynajmniej pozwolić mi się do tego właściwie przygotować.

Znam specjalistę od funkcjonowania ludzkiego mózgu i integracji MózGościa. Jego wiedza mogłaby się okazać dla nas użyteczna. Szilard rozważył jej propozycję.

– Może pani mu w pełni zaufać?

– Mogę mu zaufać w tej sprawie.

– Zna pani jego stopień dostępu do tajnych danych?

– Znam.

– Czy jest wystarczająco wysoki?

– No cóż... To trochę skomplikowane...



– Witam, poruczniku Sagan zwrócił się do niej po angielsku administrator Cainen. Nie miał bezbłędnej wymowy, ale to nie była jego wina; jego usta nie były przystosowane do większości ludzkich języków.

– Witam, administratorze Cainen. Widzę, że uczy się pan naszego języka.

– Tak. Mam czas na naukę i niezbyt wiele innych rzeczy do roboty. – Cainen wskazał na książkę napisaną po Ckanneńsku, głównym języku Rraeyów, podpiętą do palmtopa. – Znalazłem tu jedynie dwie pozycje w języku Ckann. Mogłem wybierać między książką o języku a książką o religii. Wybrałem tę o języku. Religia ludzi jest... – Cainen musiał znaleźć właściwe słowo w swoim skromnym zbiorze angielskich określeń – ...trudniejsza.

Sagan skinęła w stronę palmtopa.

– Teraz, kiedy ma już pan komputer, powinien pan znaleźć więcej rzeczy do czytania.

– Tak. Dziękuję za dostarczenie mi tego. To mnie uszczęśliwia.

– Nie ma za co. Ale ten komputer ma swoją cenę.

– Wiem. Przejrzałem dane, o których przeczytanie mnie pani prosiła.

– Muszę przejść na Ckann. Mój angielski ma zbyt mało słów.

– W porządku. – Zapoznałem się dogłębnie z aktami dotyczącymi szeregowego Diraca. Cainen wymawiał twardo, gęsto zbite spółgłoski języka Ckann. – Charles Boutin był geniuszem, ponieważ udało mu się znaleźć sposób przechowania fal swojej świadomości poza mózgiem.

A wy, ludzie, jesteście idiotami, skoro próbowaliście wcisnąć tę świadomość z powrotem do wnętrza mózgu.

– Jesteśmy idiotami – Sagan powtórzyła z najbledszym z bladych uśmiechów. Tłumaczenie języka Ckann na angielski docierało do niej poprzez mały głośniczek przyczepiony do zawieszzonego na jej szyi paska. – Czy to pański osąd jako naukowca, czy też komentarz redakcyjny?

– I to, i to.

– Proszę mi powiedzieć, dlaczego pan tak sądzi.

Cainen ruszył w kierunku swojego palmtopa, żeby przesłać jej dane, ale powstrzymała go ruchem ręki.

– Nie muszę znać wszystkich technicznych szczegółów. Chcę tylko wiedzieć, czy Dirac może stanowić zagrożenie dla moich żołnierzy i dla powodzenia całej misji.

– No dobrze. – Cainen zrobił krótką pauzę. – Mózg, nawet mózg człowieka, przypomina komputer. Nie występuje tu doskonała analogia, ale takie porównanie wystarczy na potrzeby mojej wypowiedzi. Komputery mają trzy operacyjne komponenty: sam sprzęt, oprogramowanie i pliki danych. Oprogramowanie działa na sprzęcie, a pliki danych działają w oprogramowaniu. Sprzęt, bez oprogramowania, nie będzie mógł otworzyć żadnych plików.

Jeśli umieści się jakieś dane w pamięci komputera pozbawionego niezbędnego oprogramowania, to te dane będą tam jedynie bezużytecznie spoczywać. Rozumie mnie pani?

– Jak dotąd rozumiem.

– To dobrze. – Cainen wyciągnął rękę i postukał Sagan w czubek głowy; z trudem stłumiła w sobie pragnienie strząśnięcia z siebie jego palca mocnym uderzeniem dłoni. – Więc proszę słuchać dalej. Mózg jest sprzętem. Świadomość to pliki danych. Ale w wypadku naszego przyjaciela Diraca, brakuje nam oprogramowania.

– Co jest tym oprogramowaniem?

– Pamięć, doświadczenie, aktywność sensoryczna. Kiedy umieściliście świadomość Boutina we wnętrzu jego mózgu, mózgowi zabrakło doświadczenia, żeby ją jakkolwiek wykorzystać. Jeśli ta świadomość wciąż znajduje się w mózgu Diraca, to jest zupełnie odizolowana i nie ma żadnego sposobu, żeby do niej wejść.

– Nowonarodzeni żołnierze Sił Specjalnych są świadomi od momentu wybudzenia. A również nie mamy pamięci ani doświadczenia.

– To, czego doświadczają, nie jest świadomością. – Sagan wyczuła w jego głosie obrzydzenie. – Siły tych waszych przeklętych MózGościów sztucznie otwierają kanały sensoryczne, dając złudzenie świadomości. I wasze mózgi to wiedzą. – Cainen znów wskazał na swojego palmtopa. – Pani ludzie dali mi pełen dostęp do wyników badań nad funkcjonowaniem ludzkiego mózgu i MózGościa. Wiedziała pani o tym?

– Wiedziałam. Poleciałam im dać panu wgląd we wszystkie dane, których będzie pan potrzebował, żeby mi pomóc.

– Ponieważ wiedziała pani, że pozostanę więźniem do końca życia; zresztą nawet, jeśli udałoby mi się uciec, to i tak wkrótce bym umarł na chorobę, którą mi wszczepiliście. Więc umożliwienie mi pełnego dostępu nie może wyrządzić wam żadnej szkody.

Sagan nie skomentowała tego, tylko wzruszyła ramionami.

– Hmm... Czy wie pani, że nie ma żadnego możliwego do racjonalnego uzasadnienia powodu, dla którego mózgi żołnierzy Sił Specjalnych miałyby o tyle szybciej przyswajać informacje od mózgów zwykłych żołnierzy KSO? W obu wypadkach mamy do czynienia z nieprzetworzonymi mózgami ludzkimi; oba są wyposażone w ten sam rodzaj komputera – w MózGościa. Mózgi żołnierzy Sił Specjalnych są, co prawda, wstępnie uwarunkowywane w inny sposób, niż mózgi zwykłych żołnierzy, ale to nie powinno w zauważalny sposób przyspieszać procesu przetwarzania informacji. A jednak mózgi żołnierzy Sił Specjalnych zasysają i przetwarzają informacje w niesamowitym tempie. Czy wie pani dlaczego, pani porucznik? Ponieważ się bronią. Przeciętny żołnierz KSO miał już własną świadomość i doświadczenie w posługiwaniu się nią. Wasi żołnierze Sił Specjalnych nie mają nic. Wasze mózgi mają sztuczne poczucie świadomości, stworzone przez MózGościów, i w pośpiechu

usiłują zbudować własną świadomość, zanim ta sztuczna jej w sposób permanentny nie odkształci, albo nie zabije.

– Ani jeden z żołnierzy Sit Specjalnych nie umarł z powodu swojego MózGościa.

– Nie w obecnych czasach. Ale zastanawiam się, co można by znaleźć, gdyby cofnąć się w czasie odpowiednio daleko.

– Co pan wie na ten temat?

– Nic nie wiem. To czyste spekulacje. Ale rzecz w tym, że nie można porównywać „świadomości” wybudzanych żołnierzy Sił Specjalnych z tym, co próbowaliście zrobić z szeregowym Dirakiem. To dwie zupełnie różne rzeczy.

– Powiedział pan, że być może w mózgu Diraca nie ma już świadomości Boutina.

– Jest taka możliwość. Świadomość potrzebuje danych wejściowych; pozbawiona ich, zanika. To jeden z powodów, dla których prawie niemożliwością jest utrzymanie wzorca świadomości poza mózgiem; dlatego właśnie nazywam Boutina geniuszem. Podejrzewam, że nawet jeśli świadomość Boutina wcześniej się tam znajdowała, to zdążyła już wyciec, i macie po prostu kolejnego żołnierza do dyspozycji. Ale nie ma sposobu, żeby dowiedzieć się, czy ona tam jest, czy jej nie ma. Jej wzorzec mógł zostać uwnętrzniony przez świadomość szeregowego Diraca.

– A jeśli ona tam jednak jest, to co mogłoby ją obudzić?

– Mogę spekulować? – Sagan przytaknęła. – Głównym powodem, dla którego nie udało wam się uzyskać dostępu do świadomości Boutina był fakt, że nowy mózg nie miał doświadczeń ani pamięci. Może, gdy wasz szeregowy Dirac nabiera więcej doświadczeń, to w swej substancjalności na tyle zbliży się do tej „uspionej” świadomości, że uda mu się otworzyć choćby jej część.

– A potem stanie się Charlesem Boutinem.

– Może tak, a może nie. Szeregowy Dirac ma teraz własną świadomość. Własne poczucie samego siebie. Gdyby świadomość Boutina przebudziła się, nie byłaby tam jedyną świadomością. Sama musi to pani osądzić, poruczniku Sagan, osądzić i zdecydować, czy to dobrze, czy źle. Ja nie podejmę się tego osądu za panią. Podobnie zresztą, jak nie powiem pani, co się naprawdę stanie, kiedy Boutin się obudzi.

– Już mi pan powiedział to, co chciałam usłyszeć. Cainen wydał z siebie rraeyski odpowiednik chichotu.

– Dajcie mi laboratorium, to być może uda mi się znaleźć odpowiedzi na parę dręczących was pytań.

– Przecież powiedział pan wcześniej, że nigdy nam nie pomoże?

– Miałem mnóstwo czasu na myślenie. – Cainen z powrotem zaczął mówić po angielsku.

– Za dużo czasu. Nauka języka nie wystarczy. – Następnie znów przestawił się na język Ckann. Poza tym to nie pomoże wam w walce z moim ludem. To może pomóc jedynie pani.

– Pomóc mi? – zdziwiła się Sagan. – Wiem, czemu tym razem mi pan pomógł; ponieważ umożliwiłam panu korzystanie z komputera. Ale czemu miałby pan robić coś więcej? To ja zamknęłam pana w więzieniu.

– I zaraziła mnie pani chorobą, która mnie zabije, jeśli nie dostanę codziennej dawki antidotum od swoich wrogów. – Z niewielkiego biurka wystającego ze ściany celi wyciągnął mały iniektor. – To moje lekarstwo. Pozwolili mi samemu nim administrować. Kiedyś postanowiłem nie zrobić sobie zastrzyku, żeby zobaczyć, czy pozwolą mi umrzeć. Wciąż jestem tutaj, i to jest odpowiedź na tamto pytanie. Ale najpierw przez długie godziny pozwolili mi się wić na podłodze. Tak samo, jak pani kiedyś, jeśli już o tym mowa.

– Jednak nic z tego, co pan powiedział, nie tłumaczy, dlaczego miałby mi pan pomóc.

– Ponieważ pani mnie zapamiętała. Dla wszystkich innych jestem tylko kolejnym z waszych licznych wrogów, ledwo wartym tego, żeby dać mi jakąś książkę, kiedy zaczyna wariować z nudów. Któregoś dnia mogli po prostu zapomnieć o antidotum i dać mi umrzeć, byłoby to dla nich zupełnie obojętne. Dla pani przynajmniej mam jakąś wartość. W bardzo małym wszechświecie, w jakim teraz przyszło mi żyć, czyni to z pani moją najlepszą i jedyną przyjaciółką; chociaż jesteśmy wrogami.

Sagan wpatrywała się w Cainena, przypominając sobie hardość jego postawy, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Teraz był bojaźliwy i godny pożałowania, nagle wydało jej się to najsmutniejszą rzeczą, jaką w życiu widziała.

– Przepraszam, jest mi naprawdę przykro. – Sagan zdziwiła się własnym słowom. Cainen znowu zachichotał po rraeysku.

– Planowaliśmy całkowite wyniszczenie waszego ludu, pani porucznik. I wciąż możemy to zrobić. Nie musi mnie pani przepraszać.

Sagan w żaden sposób nie odpowiedziała na te słowa. Dała znak prowadzącemu areszt oficerowi, że jest gotowa do wyjścia; pod drzwiami czekał strażnik z bronią gotową do strzału. Zanim drzwi się za nią zamknęły, ponownie zwróciła się do więźnia.

– Dziękuję za pomoc. Zobaczę, co da się zrobić w sprawie laboratorium.

– Dziękuję. Nie będę żywił większych nadziei.

– To prawdopodobnie dobry pomysł.

– Aha, pani porucznik – zatrzymał ją jeszcze na chwilę. – Jeszcze jedno.

Czy szeregowy Dirac będzie brał udział w akcjach bojowych?

– Tak – przyznała.

– Proszę go pilnować. Zarówno u ludzi, jak i u Rraeyów stres bitewny pozostawia w mózgach trwałe ślady. To pierwotne, silne doświadczenie. Jeśli Boutin wciąż tam jest, to właśnie wojna może mu ułatwić wyjście na świat. Może to zrobić samorodnie, bądź w wyniku pewnej kombinacji doświadczeń zewnętrznych.

– W jaki sposób, pańskim zdaniem, miałabym go pilnować w czasie bitwy?

– To pani dziedzina. Ja nigdy nie byłem na wojnie, pomijając oczywiście sytuację, w której wzięła mnie pani do niewoli. Nie mam pojęcia o tych sprawach. Ale jeśli martwi się pani o Diraca, to właśnie tak bym na pani miejscu postąpił. Wy, ludzie, macie takie powiedzenie: bądź blisko swoich przyjaciół, ale jeszcze bliżej swoich wrogów. Wygląda na to, że szeregowy Dirac może być zarówno wrogiem, jak i przyjacielem. Na pani miejscu nie spuszczałbym go z oczu.



„Latawcowi” udało się całkowicie zaskoczyć krążownik Rraeyów.

Napęd skokowy był bardzo subtelnym wytworem nowoczesnej technologii. Umożliwił podróże międzygwiazdne nie poprzez zwiększenie szybkości okrętów kosmicznych do prędkości nadświatłowej, co było praktycznie niemożliwe do wykonania, lecz poprzez ingerencję w samej czasoprzestrzeni, która pozwalała umieścić okręt (lub jakikolwiek inny obiekt wyposażony w napęd skokowy) w dowolnym miejscu wszechświata.

W gruncie rzeczy prawda wyglądała trochę inaczej; na skali logarytmicznej przemieszczenie z użyciem napędu skokowego traciło na niezawodności, w miarę zwiększania się odległości między punktem wyjściowym a docelowym. Ta zawodność systemu, nazwana „problemem

horyzontalnym napędu skokowego”, nie była do końca zrozumiała – jednak w jej wyniku ginęły całe okręty i ich załogi.

Z tego powodu zarówno ludzie, jak i inne, posługujące się napędem skokowym rasy, najchętniej korzystali z tej technologii w „najbliższej”, międzygwiazdnej okolicy swoich ojczystych planet. Jeśli dana rasa chciała mieć kontrolę nad swoimi koloniami, a prawie wszystkie rasy tego chciały, to jej ekspansja kolonialna ograniczona była do sfery opisanej przez horyzont napędu skokowego. Granica ta mogła stać się linią sporną; w wyniku dużego współzawodnictwa o nieruchomości planetarne w bliskim sąsiedztwie zamieszkałego przez ludzi kosmosu, zasięg żadnej rasy inteligentnych istot nie wypełniał obrysu granic wytyczonych przez jej horyzont napędu skokowego. Wyjątek stanowili Consu. Ich technologia była tak zaawansowana w stosunku do technologii innych, sąsiadujących z nimi ras, że nawet nie wiadomo było, czy Consu w ogóle używają napędu skokowego.

Napęd skokowy był bardzo kapryśną technologią. Korzystający z jego dobrodziejstw musieli tolerować jego dziwactwa i kaprysy. Jednym z nich były wymogi dotyczące miejsca wyjścia i miejsca przeznaczenia. W czasie procedury wyjściowej, napęd skokowy wymagał stosunkowo „płaskiej” czasoprzestrzeni, to znaczy, że mógł być aktywowany jedynie w sytuacji, jeśli korzystający z niego okręt znajdował się w dużej odległości od tworzonych przez ciała niebieskie studni grawitacyjnych; wymagało to podróży w przestrzeni kosmicznej z użyciem konwencjonalnych silników. Z drugiej strony okręt używający napędu skokowego mógł przybyć na miejsce przeznaczenia w dowolnej odległości od danej planety – teoretycznie mógł nawet, gdyby znalazł się idealny, nieomylny nawigator zdolny tego dokonać, przybyć na samą powierzchnię planety. Więc chociaż lądowanie wychodzących z przeskoku statków kosmicznych bezpośrednio

na docelowych planetach było oficjalnie źle widziane przez Unię Kolonialną, to jednak Kolonialne Siły Obrony doceniały strategiczne zalety nagłego, niespodziewanego wychodzenia z przeskoku.

Kiedy „Latawiec” przybył w pobliże planety, którą pochodzący z Ziemi osadnicy nazwali Gettysburg, pojawił się w przestrzeni w odległości zaledwie jednej czwartej sekundy świetlnej od rraeyskiego krążownika. Dwulufowe działa kinetyczne „Latawca” były rozgrzane i gotowe do strzału, załoga w ciągu niecałej minuty namierzyła i wzięła na cel bezradny okręt wroga, który dopiero pod koniec tej minuty w jakikolwiek sposób zaczął próbować na niego odpowiadać, podczas gdy magnetyzowane pociski dział kinetycznych „Latawca” na dotarcie do zdobyczy potrzebowały niecałych dwóch trzecich sekundy. Sama prędkość pocisków magnetycznych w zupełności wystarczała, żeby przebić pancierz rraeyskiej jednostki i przeniknąć do jej wnętrza z łatwością rewolwerowej kuli przebijającej kostkę masła. Jednak twórcom tych pocisków to nie wystarczało; zostały zaprojektowane w taki sposób, by zacząć rozprzestrzeniać się przy najmniejszym kontakcie z ciałem stałym.

W nieskończenie mały ułamek sekundy po przebiciu pancierza rraeyskiego okrętu, pociski rozpadły się na kawałki – ich odłamki zaczęły rozprzestrzeniać się pod różnymi dzikimi kątami i pocisk zadziałał jak oddana z bliska salwa z największego obrzyna we wszechświecie. Wydatek energii potrzebny na zmianę trajektorii odłamków był rzecz jasna ogromny, więc w stosunku do prędkości wyjściowej pocisku ich prędkość była odpowiednio mniejsza. Jednak odłamkom nie brakowało energii, a oznaczało to, że każdy z nich miał więcej czasu na niszczenie wnętrza rraeyskiego okrętu, przed rozpoczęciem długiej, pozbawionej wstrząsów podróży przez prawie niematerialną przestrzeń kosmiczną.

W wyniku odpowiedniego ustawienia „Latawca” względem wrogiej jednostki, pierwszy pocisk działa kinetycznego trafił rraeyski krążownik w przednią część prawej burty; jego fragmenty zagłębiły się we wnętrzu celu wzdłuż wektorów biegnących w górę po przekątnej, przedzierając się przez parę pokładów okrętu i mieląc pewną ilość Rraeyów na krwawą mgłę.

Przebijając pancierz pocisk ten pozostawił po sobie otwór o średnicy siedemnastu centymetrów; uszkodzenie wyjściowe miało postać poszarpanej na brzegach, dziesięciometrowej jamy, przez którą wylatywały w próżnię opary metalu i zmielonych ciał.

Drugi z pocisków trafił bliżej rufy niż pierwszy, zachowując równoległą trajektorię, jednak zawiodła jego fragmentacja; otwór, którym opuścił kadłub okrętu, był niewiele mniejszy od otworu wejściowego. Fragmentacja nie powiodła się, ponieważ uderzył w jeden z silników rraeyskiej jednostki. System kontrolny krążownika automatycznie opuścił przegrody, izolując uszkodzony silnik od reszty okrętu, i jednocześnie wyłączył dwa pozostałe silniki, żeby uniknąć ich uszkodzenia. Rraeyski okręt działał teraz na zasilaniu awaryjnym, które dawało mu minimalne możliwości ofensywne i defensywne. Zresztą i tak nic już nie mogło mu pomóc.

Moc „Latawca” była teraz znacznie osłabiona przez użycie dział kinetycznych.

Wystrzelono więc w rraeyski krążownik pięć konwencjonalnych pocisków atomowych, które na dotarcie do celu potrzebowały ponad minuty – jednak „Latawiec” mógł sobie teraz pozwolić na luksus swobodnego dysponowania czasem. Krążownik był jedynym rraeyskim okrętem w okolicy; przed jego dziobem pojawił się niewielki, błyszczący obiekt – Rraeyowie wystrzelili zdalnie sterowaną jednostkę z napędem

skokowym, która, po oddaleniu się na dostateczną skokową odległość, miała powiadomić ich dowództwo o losie krążownika.

„Latawiec” odpalił szósty, ostatni z pocisków, który miał dogonić i zniszczyć bezzałogową jednostkę w odległości niecałego tysiąca kilometrów przed osiągnięciem wystarczającej do dokonania przeskoku odległości. Kiedy Rraeyowie dowiedzą się o tym ataku, „Latawiec” będzie się znajdował w odległości wielu lat świetlnych.

Rraeyski krążownik był już jedynie rozprzestrzeniającą się w próżni chmurą odpadków. Drugi pluton porucznik Sagan dostał rozkaz przystąpienia do wykonania powierzonego im zadania.



Jared próbował opanować zdenerwowanie, będące naturalną reakcją kogoś, kto uczestniczy w pierwszej w życiu misji; i lekką obawę, wywołaną turbulencjami, jakie wstrząsały transportowcem w czasie wchodzenia w atmosferę Gettysburga. Starał się nie rozpraszać i skupić na swoim wnętrzu, co utrudniał siedzący obok niego Daniel Harvey.

::Cholerni dzicy koloniści:: – przesłał Harvey, kiedy transportowiec piechoty na dobre już zanurzył się w atmosferze. – ::Oddzielają się samowolnie, zakładają nielegalne kolonie, a potem wypłakują się nam, że jakieś, kurwa, obce istoty pełzają po tym ich zadupiu!::

::Uspokój się, Harvey:: – zganił go Alex Roentgen. – ::Bo się migreny nabawisz::

::Chciałbym wiedzieć, jak ci skurwiele się tu w ogóle dostali:: – nie odpuszczał Harvey.

– ::Na pewno nie przywiozła ich tutaj Unia Kolonialna. A zresztą i tak bez jej pozwolenia nie możesz się nigdzie wybrać::

::Oczywiście, że możesz:: – zaprotestował Roentgen. – ::UK nie kontroluje wszystkich podróży międzygwiazdnych, tylko te organizowane przez ludzi.::

::Ci koloniści są ludźmi, Einsteinie:: – odpalił Harvey.

::Hej !:: – wtrąciła się Julie Einstein. – ::Nie mieszajcie mnie do tego.::

::To tylko takie wyrażenie, Julie:: – wyjaśnił Harvey.

::Koloniści są ludźmi, w przeciwieństwie do tych, którzy ich przewożą, idioto:: – bronił swego zdania Roentgen. – ::Dzicy koloniści płacą za transport obcym, z którymi UK utrzymuje stosunki handlowe, i obcy zawożą ich, dokąd tylko zechcą.::

::To głupie.:: -Harvey rozejrzał się w poszukiwaniu aprobaty. Większość żołnierzy plutonu odpoczywała z zamkniętymi oczami – często tylko po to, by uniknąć udziału w rozmowie; Harvey cieszył się reputacją trudnego rozmówcy. – ::UK mogłaby ich powstrzymać, gdyby tylko zechciała. Wystarczyłoby powiedzieć obcym, żeby nie brali dzikich pasażerów. To by uchroniło nasze dupy od niepotrzebnego ryzyka.:: Siedząca na przednim siedzeniu Jane Sagan odwróciła się w stronę Harveya.

::UK nie chce powstrzymywać migracji dzikich kolonistów:: – rzekła znudzonym tonem. ::A to dlaczego?:: – zapytał Harvey.

::Bo stanowią oni potencjalne źródło kłopotów. Ludzie, którzy są w stanie sprzeciwić się woli Unii i założyć dziką kolonię, mogą sprawiać na miejscu wiele kłopotów, jeśli nie pozwolą im się odejść. UK doszła do wniosku, że nie warto ich zatrzymywać. Więc pozwala im się odejść i osiąść na swoim.::

::Dopóki nie wpakują się w kłopoty.:: – Harvey uśmiechnął się szyderczo.

::Wtedy też zwykle pozostawia się ich samym sobie. Dzicy osadnicy wiedzą, w co się pakują.::

::Więc co my tutaj robimy?:: – zapytał Roentgen. – ::Nie chodzi o to, że zgadzam się z Harveyem, ale to przecież są dzicy koloniści.::

::Takie mamy rozkazy:: – odparła Sagan i zamknęła oczy, tym samym kończąc dyskusję. Harvey wzruszył ramionami i najwyraźniej miał jeszcze zamiar coś powiedzieć, kiedy transportowiec wszedł w szczególnie mocne turbulencje.

::Wygląda na to, że Rraeyowie tam na dole zorientowali się, że tu jesteśmy:: – zakomunikował siedzący w fotelu pilota Chad Assisi. – ::W naszą stronę zmierzają trzy kolejne pociski. Trzymajcie się, spróbuję je zlikwidować zanim za bardzo się zbliżą.:: – Parę sekund później usłyszeli niski, basowy huk; transportowiec wystrzelił z masera, który miał rozprawić się z pociskami.

::Dlaczego po prostu nie rozprawimy się z tymi gośćmi z orbity?:: – zapytał Harvey. – ::Przecież robiliśmy już tak wcześniej.::

::Tam na dole są ludzie, nie pamiętasz?:: – Jared w końcu wtrącił się do rozmowy. – ::Więc nie będziemy używać środków taktycznych, które mogłyby ich zranić lub zabić.:: Harvey rzucił Jaredowi szybkie spojrzenie i pogрузzył się we własnych rozmyślaniach.

Jared spojrzał na Sarah Pauling, która widząc to, wzruszyła ramionami. W tym tygodniu oboje zostali przydzieleni do Drugiego plutonu, przyjęto ich, delikatnie mówiąc, chłodno.

Pozostali członkowie plutonu, kiedy musieli, byli wobec nich w nieufny sposób uprzejmi; jednak, kiedy tylko mogli, po prostu ich ignorowali. Dowodząca plutonem Jane Sagan zdawkowo oznajmiła im, że takie zachowanie wobec rekrutów, którzy nie brali jeszcze udziału w żadnej akcji, jest czymś jak najbardziej normalnym.

::Po prostu musicie sobie z tym poradzić:: – oświadczyła i wróciła do swoich zajęć.

Zarówno dla Jareda, jak i dla Pauling nie była to łatwa sytuacja. Zwykle ignorowanie ich było jedną rzeczą, ale na dodatek odmówiono im pełnej integracji z resztą plutonu. Co prawda, zostali wstępnie podłączeni i używali wspólnej częstotliwości do omawiania i wymiany danych dotyczących bieżącej misji, jednak nie dopuszczono ich na bardziej intymne poziomy integracji. Jared znów spojrzał na Harveya; po raz kolejny przyszło mu do głowy pytanie, czy integracja jest jedynie elementem szkolenia. Jeśli tak, to okrucieństwem było ofiarowanie jej komuś, tylko po to, żeby później ją odebrać. Dostrzegał oznaki integracji w zachowaniu pozostałych żołnierzy plutonu: subtelne poruszenia, świadczące o prowadzonym w ciszy dialogu i sensoryczne zdolności percepcyjne, przekraczające możliwości pojedynczego człowieka. Jaredowi i Pauling bardzo tego brakowało; jednak oboje wiedzieli, że pozbawiono ich tego, żeby sprawdzić, jak na to zareagują.

Żeby zrównoważyć brak pełnej integracji z plutonem, integracja Jareda i Pauling jeszcze bardziej się pogłębiła; spędzali nawzajem we wnętrzach swoich głów tyle czasu, że pod koniec tygodnia, pomimo łączącej ich intymnej więzi, mieli siebie już powyżej uszu.

Odkryli, że istnieje coś takiego, jak nadmierna integracja. Osłabiali jej natężenie, zapraszając do nieformalnego zintegrowania się z nimi Stevena Seaborga. Seaborg, który został przez Pierwszy Pluton przyjęty równie chłodno i nie miał tam żadnych znajomych ze szkolenia, którzy mogliby dotrzymać mu towarzystwa – zgodził się na ich propozycję z niemal żalną skwapliwością.

Jared spojrzał na Jane Sagan, zastanawiając się, czy dowódca powinien tolerować niepełną integrację ich dwójki z resztą plutonu – to mogło być niebezpieczne, przynajmniej dla niego i Pauling.

Jakby w odpowiedzi na jego myśli, Sagan odwróciła się w jego stronę.

::Jeśli chodzi o nasze zadanie:: – zaczęła i przesłała całemu plutonowi mapę malutkiej kolonii Gettysburg. – ::Pamiętajcie, że musimy działać po cichu. Nie wykryto żadnych śladów aktywności bezzałogowych statków o napędzie skokowym, więc albo wszyscy nie żyją, albo zostali zapędzeni w miejsce, z którego nie mogą wysyłać wiadomości. Naszym zadaniem jest oczyścić kolonię z Rraeyów, przy minimalnych szkodach na jej terenie. Naprawdę minimalnych, Harvey.:: – Drwiąco wpatrywała się w żołnierza, który wiercił się zakłopotany pod jej spojrzeniem. – ::Nie mam nic przeciwko wysadzaniu jakichś rzeczy, kiedy to jest niezbędne – ale w tym wypadku, tego, co zniszczymy, będzie potem osadnikom brakowało.::

::Co?!:: – Roentgen wydawał się zaskoczony. – ::Mówisz poważnie?! Pozwolimy tym ludziom tu zostać? Zakładając oczywiście, że przeżyli.::

::Osiedlili się tu na dziko. Nie możemy ich zmusić, żeby zachowywali się w sposób inteligentny.::

::No cóż, jednak moglibyśmy ich zmusić:: – przekonywał Harvey.

::Ale ich nie zmusimy:: – przekazała z naciskiem Sagan. – ::Musimy się zaopiekować nowymi. Roentgen, ty będziesz odpowiedzialny za Pauling. Ja zajmę się Dirakiem. Reszta niech się ograniczy do swoich obowiązków. Lądujemy tutaj...:: – Na mapie podświetlił się niewielki obszar. – ::pozwolę wam wszystkim wykazać się pomysłowością w dotarciu na miejsce. Pamiętajcie, żeby zapisywać dane otoczenia i miejsca, w których spotkacie wroga; wszyscy będą korzystać z waszych oczu.::

::A przynajmniej niektórzy z nas:: – przesłała Pauling Jaredowi prywatnym połączeniem. Potem oboje poczuli wartki nurt postępującej integracji, rodzaj nadświadomości, wynikającej z jednoczesnego posiadania wielu punktów widzenia, nałożonych na ich własną perspektywę. Jared z trudem opanował głośnie westchnienie.

::Tylko się nie zmoczcie:: – zakpił Harvey i paru spośród członków plutonu wydało z siebie świadczące o rozbawieniu sygnały. Jared zignorował to i pogrążył się w emocjonalnych i informacyjnych danych dostarczonych przez żołnierzy plutonu: odczuł ich pewność siebie wobec nadchodzącej konfrontacji z Rraeyami; przejrzał szczerkowe plany dotyczące ścieżek wiodących ich do miejsc przeznaczenia; doznał odczucia zwróconej w przyszłość ekscytacji, która wydawała się mieć niewiele wspólnego z nadchodzącą walką; wreszcie zaczął dzielić z nimi wspólne uczucie sprzeciwu wobec rozkazu zachowania w całości budowli kolonistów – przecież wszyscy koloniści prawie na pewno byli już martwi.



::Za wami:: – ostrzegła ich Sarah Pauling.

Jared i Jane Sagan odwrócili się i otworzyli ogień; w tym samym czasie odbierali obraz przesłany z odległego punktu widzenia Pauling – trzech rraeyskich żołnierzy skradających się ostrożnie wokół niewielkiego budynku z zamiarem zaatakowania ich dwójki od tyłu. Cała trójka weszła w deszcz kul wystrzeliwanych przez Jareda i Sagan; jeden padł martwy, pozostali dwaj rozdzielili się i rozbiegli w różne strony.

Jared i Sagan szybko przejrzeni punkty widzenia pozostałych członków plutonu żeby zobaczyć, kto mógłby przejąć jednego albo obu z uciekających żołnierzy. Wszyscy inni prowadzili w tej chwili walkę; także Pauling wróciła do swojego poprzedniego zajęcia – usiłowała namierzyć i zlikwidować rraeyskiego snajpera, który ukrywał się gdzieś na obrzeżach zabudowań Gettysburga. Sagan głośno westchnęła.

::Zajmij się tym:: – rozkazała i po sekundzie ruszyła z miejsca. – ::I postaraj się przeżyć::

Jared podążył za rraeyskim żołnierzem, któremu znaczną przewagę dawały potężne, trochę podobne do ptasich nogi. Kiedy Jared przyspieszył, Rraey obrócił się w jego stronę i zaczął strzelać, trzymając broń jedną ręką; odrzut poderwał jego karabin do góry i Rraey wypuścił go z ręki. Kule wzbily obłoczki kurzu tuż przed stopami Jareda, który skręcił w prawo, żeby uniknąć trafienia. W tym czasie broń opadała na ziemię. Rraey nie zatrzymał się, żeby ją odzyskać i po chwili zniknął w głównym garażu kolonii.

::Przydałaby mi się tu pomoc:: – Jared stał przed bramą garażu.

::Witaj w klubie:: – odezwał się skądś Harvey. – ::Tych skurwieli jest co najmniej dwa razy tyle, co nas::

Jared wszedł do garażu przez bramę. Jedno szybkie spojrzenie wystarczyło mu, żeby zauważyć, że nie było stąd innej drogi wyjścia oprócz drzwi umieszczonych na tej samej ścianie, co brama, i rzędu okien, które prawdopodobnie miały służyć wentylacji pomieszczenia. Okna były małe i umieszczone wysoko w górze; prawdopodobnie żaden Rraey by się nie przecisnął. Wciąż musiał być gdzieś we wnętrzu garażu. Jared przysunął się do ściany i zaczął metodycznie przeszukiwać wnętrze budynku.

Z leżącego na jednej z niższych półek zwoju brezentu wystrzelił nóż i uderzył Jareda w łydkę. Nanobotyczna tkanina jego kombinezonu bojowego zeszywniała w miejscu, w którym dotknęło jej ostrze noża. Jared nie został nawet draśnięty. Jednak zaszkodziło mu własne, paniczne poruszenie się – potknął się i przewrócił na podłogę, a upadając skręcił sobie kostkę i wypuścił z rąk swojego Empaka. Rraey ześlizgnął się z półki, przeskoczył nad Jaredem i odepchnął jego broń dłonią, z której nie wypuszczał noża. Empak znalazł się poza zasięgiem ich obu.

Rraey dźgnął Jareda w twarz, głęboko rozcinając mięśnie policzka, z których natychmiast pociekła ciepła struga SprytnejKrwii. Jared krzyknął; Rraey zostawił go i rzucił się w stronę Empaka.

Kiedy Jared obrócił się w tamtą stronę, Rraey mierzył już do niego z jego własnej broni; jego wielocłonowe palce nieśmiało, ale pewnie spoczywały na kolbie i spuście. Jared znieruchomiał. Rraey zaskrzeczał coś w swoim języku i pociągnął za spust.

Nic się nie stało. Jared przypomniał sobie, że Empak został przypisany do jego MózGościa; nie mógł wystrzelić w rękę nieczłowieka. Na twarz wypłynął mu uśmiech ulgi; Rraey znowu coś zaskrzeczał i z całej siły uderzył Empakiem w twarz Jareda, jeszcze bardziej rozrywając wcześniejszą ranę. Jared krzyknął z bólu i odskoczył do tyłu. Rraey wrzucił Empaka na jedną z górnych półek – broń znowu znalazła się poza zasięgiem ich obu. Zamiast tego chwycił za leżącą na jednej z półek łyżkę do opon i wściekle nią wymachując natarł na Jareda.

Jared zablokował pierwsze z uderzeń ramieniem; jego kombinezon ponownie zeszywniał, ale siła uderzenia mimo to spowodowała wybuch mocnego bólu. Za następnym razem wyciągnął rękę, żeby złapać niebezpieczne narzędzie, ale źle ocenił prędkość ruchu; łyżka uderzyła w wierzch jego dłoni, łamiąc kości środkowego i serdecznego palca. Rraey przechylił metalową półkę i uderzył Jareda w głowę jej górną krawędzią; ten upadł na kolana, zupełnie oszołomiony uderzeniem, wykonując prawie lustrzane odbicie swojego poprzedniego upadku. Niepewnym ruchem lewej ręki sięgnął po swój nóż bojowy; Rraey z rozmachem kopnął go w dłoń, wytrącając z niej nóż. Kolejne kopnięcie trafiło Jareda w dolną szczękę – w jego wyniku przegryzł sobie język i SprytnaKrew zaczęła zalewać wnętrze jego ust. Rraey odepchnął go, wyciągnął swój nóż i pochylił się nad Jaredem, żeby podciąć mu gardło. W tym momencie umysł Jareda

rykoszetem powrócił do walki, którą ćwiczył z Sarah Pauling – przyłożyła mu wtedy nóż do gardła i powiedziała, że brak mu koncentracji.

Teraz był wystarczająco skoncentrowany.

Zebrał płyn w ustach i wypluł na twarz i umieszczone w szeregu oczy Rraeya nieduży łyk SprytnejKrwii. Stworzenie odsunęło się w gwałtownym odruchu, co dało Jaredowi czas na poinstruowanie swojego MózGościa, żeby SprytnaKrew zrobiła z twarzą Rraeya to samo, co zrobiła, kiedy została wessana przez odżywiającego się krwią robala na Feniksie – miała ją wypalić.

Rraey zaczął krzyczeć, kiedy SprytnaKrew zaczęła wżerać się w jego twarz i oczy; wypuścił z ręki nóż i zakrył twarz dłońmi. Jared podniósł jego nóż i wbił go w bok głowy Rraeya. Ten wydał z siebie pełne zdziwienia cmoknięcie i przewrócił się na plecy jak pozbawiony kości worek mięsa. Jared podążył za jego przykładem. Leżał w ciszy, pozwalając odpocząć swoim oczom. Coraz wyraźniej dochodził do niego cierpki, gryzący smród dopalającego się ciała wroga.

::Wstawaj:: – ktoś odezwał się do niego w jakiś czas potem i trącił go czubkiem buta.

Jared skrzywił się i spojrzał do góry. To była Sagan. – ::Dalej, Dirac. Dopadliśmy ich wszystkich. Możesz już stąd wyjść::

::Jestem ranny::

::Do diabła, Dirac. Ja też cierpię, kiedy na ciebie patrzę:: – Zwróciła się w stronę zwłok obcego. – ::Następnym razem po prostu do nich strzelaj::

::Będę miał to na uwadze::

::A skoro już o tym mowa, to gdzie jest twój Empak?:: Jared spojrzał na półkę, na którą Rraey wrzucił jego broń.

::Chyba będę potrzebował drabiny::

::Będziesz potrzebował szycia. Zaraz ci szczeka wypadnie::

::Pani porucznik:: – odezwała się Julie Fiinstein. – ::Chyba powinna pani tu przyjść. Znaleźliśmy osadników::

::Czy któryś z nich jeszcze żyje?::

::W żadnym razie:: odparła Einstein; dzięki integracji Sagan i Jared odczuli jej dreszcz przerażenia.

::Gdzie jesteś? Pokaż mi to, co widzisz::

::Hm, chyba powinna to pani zobaczyć na własne oczy:: – zasugerowała dowódcy. W minutę później Sagan i Jared znaleźli się w pobliżu miejscowej rzeźni.

::Pieprzeni Rraeyowie:: – zaklęła Sagan, kiedy podchodzili do budynku. Potem zwróciła się do Einstein, która czekała na nią przed wejściem. – ::Są w środku?::

::Tak. Są w chłodni z tyłu budynku::

::Są tam wszyscy?::

::Tak sądzę. Trudno powiedzieć. Większość z nich jest w częściach:: Chłodnia była zapełniona mięsem.

Żołnierze Sił Specjalnych gapili się na oskórowane torsy wiszące na hakach. Pod nimi stały beczki wypełnione podrobami i odpadkami. Na stołach leżały stosy bardziej lub mniej oprawionych kończyn. Na oddzielnym stole leżała kolekcja głów; miały odpiłowane pokrywy czaszek, co umożliwiało ekstrakcję mózgow. Opróżnione głowy wypełniały stojącą przy tym stole beczkę.

Pod płachtą impregnowanego brezentu leżał spiętrzony stos nieprzetworzonych ciał.

Jared podszedł i odchylił płachtę. Leżały pod nią ciała dzieci.

::Chryste:: – jęknęła przerażona Sagan. A potem znów zwróciła się do Einstein. – ::Wyślij kogoś do siedziby administracyjnej tej kolonii. Trzeba odszukać wszystkie dane medyczne i genetyczne kolonistów, a także ich

zdjęcia. Będziemy ich potrzebować do identyfikacji. A potem niech paru ludzi poszpera w koszach na śmieci i śmietnikach.::

::Czego mają szukać?::

::Resztek tych, których Rraeyowie już zjedli:: – wyjaśniła porucznik.

Rozkazy wydawane przez Sagan brzmiały w głowie Jareda jak brzęczenie. Przykucnął i jak sparaliżowany wpatrywał się w stos małych ciał. Na jego szczycie leżało ciało małej dziewczynki – jej drobna twarzyczka była spokojna i piękna. Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka. Był zimny jak lód.

Nagle Jared poczuł dotkliwe ukłucie przejmującego smutku. Odwrócił się z wyrazem tłumionego szlochu na twarzy.

Nad Jaredem stanął Daniel Harvey, który razem z Einstein odkrył zawartość tej chłodni.

::To pierwszy raz?::

Jared spojrział do góry i spytał nieprzytomnie:

::Co masz na myśli?::

Harvey skinął głową na stos ciał.

::Po raz pierwszy w życiu widzisz dzieci. Mam rację?::

::Tak, masz rację.::

::Tak to już z nami jest. Kiedy po raz pierwszy widzimy kolonistów, oni już nie żyją.

Kiedy widzimy dzieci po raz pierwszy, one nie żyją. Kiedy po raz pierwszy widzimy inteligentną istotę, która nie jest człowiekiem, to ona też już nie żyje albo próbuje nas zabić, więc my musimy zabić ją. A potem i ona nie żyje. Przez pierwsze miesiące swojego życia w ogóle nie widywałem żywych kolonistów. I nigdy nie widziałem żywego dziecka.:: Jared z powrotem obrócił się w stronę stosu.

::W jakim wieku jest to dziecko?::

::Kurwa, nie wiem:: – warknął Harvey, ale jednak spojrział. – ::Myślę, że ma z trzy, cztery lata. Najwyżej pięć. Wiesz, co jest w tym wszystkim zabawne? Ona była starsza od nas obu razem. Była starsza niż my razem wzięci, jeśli pożyjemy jeszcze drugie tyle, ile żyjemy do tej pory. Ten wszechświat jest naprawdę porąbany, mój przyjacielu.:: Harvey odszedł. Jared jeszcze przez minutę wpatrywał się w ciało małej dziewczynki, potem przykrył ją (i całą resztę stosu) płachtą brezentu. Poszedł szukać Sagan, którą znalazł przed budynkiem administracji kolonii.

::Dirac:: – zaczepiła go Sagan, kiedy się do niej zbliżał. – ::Co myślisz o swojej pierwszej misji?::

::Myślę, że jest całkiem okropna.::

::To prawda:: – przyznała Sagan. – Wiesz, czemu tu jesteśmy? – niespodziewanie spytała go na głos. – Dlaczego jesteśmy tutaj, w tej założonej na dziko osadzie?

Dopiero po upływie całej sekundy zorientował się, że zwróciła się do niego używając ust.

– Nie wiem – odezwał się w ten sam sposób.

– Ponieważ przywódca tej osady był synem pani Sekretarz Stanu Unii Kolonialnej. Durny pętał chciał udowodnić swojej matce, że przepisy Unii Kolonialnej zabraniające dzikiego osadnictwa stanowią obrazę praw jednostki.

– A stanowią?

– Dlaczego pytasz?

– Z czystej ciekawości.

– Być może stanowią, być może nie. W każdym razie ostatnim miejscem służącym dowiedzeniu słuszności tej tezy powinna być ta planeta. Rraeyowie roszczą sobie do niej prawa od wielu lat, chociaż nigdy się tu nie osiedlili. Ten dupek myślał chyba, że po ostatniej przegranej wojnie z

Unią Rraeyowie, z obawy przed odwetem, przymkną na to oczy. Ale dziesięć dni temu ten krążownik, którego na początku zdjęliśmy, zestrzelił znad planety naszego satelitę. I dlatego tu jesteśmy.

– Niezły bajzel – podsumował Jared. Sagan zaśmiała się ponuro.

– Teraz muszę wrócić do tej pieprzonej chłodni i badać ciała, dopóki nie znajdę syna pani sekretarz. Potem będę miała przyjemność powiadomienia jej o tym, że Rraeyowie poszatkowali go wraz z całą jego rodziną, żeby przyrządzić sobie gulasz.

– Z rodziną?

– Z żoną – odparła. – I z córką, mniej więcej czteroletnią.

Jared wzdrygnął się nagle, pomyślawszy o leżącej na szczycie stosu dziewczynce. Sagan przyglądała mu się uważnie.

– Dobrze się czujesz?

– Nic mi nie jest... To taka niepotrzebna strata.

– Życie jego żony i ich dziecka to niepotrzebna strata. Ten dumny gnojek, który je tu przywiózł dostał to, na co sobie zasłużył.

– Skoro pani tak twierdzi – zgodził się Jared, wstrząśnięty kolejnym dreszczem.

– Tak właśnie twierdzą... Do roboty. Trzeba zidentyfikować kolonistów. Albo to, co z nich zostało.



::No cóż:: – Sarah Pauling zwróciła się do Jareda, kiedy wyszedł z ambulatorium medycznego „Latawca”. – ::Wynika z tego, że nie lubisz rozwiązywać swoich problemów w najłatwiejszy z mo żliwych sposobów.::
– Dotknęła palcami jego policzka, na którym, pomimo mikroszycia

widniała całkiem spora blizna. – ::Wciąż widać miejsce, w którym była rana.::

::Grunt, że już nie boli, w przeciwieństwie do kostki i dłoni. Kostka nie była złamana, ale palce będą zupełnie zdrowe dopiero za kilka dni.::

::Lepsze to, niż zostać zabitym.::

::To prawda.::

::I na dodatek nauczyłeś wszystkich nowej sztuczki. Nikt nie wiedział, że można w ten sposób posłużyć się SprytnąKrwia. Teraz wszyscy nazywają cię Gorącokrwistym Jaredem.::

::Wszyscy wiedzą, że można rozgrzać SprytnąKrew do wrzenia. Na Feniksie wiele razy widziałem, jak ludzie za jej pomocą likwidowali tamtejsze robale smażąc je od środka.::

::Smażenie małych robali to jedna sprawa, ale zastosowanie jej do smażenia dużych robali wymaga pewnej otwartości umysłu.::

::Jakoś zbyt dużo na ten temat nie myślałem. Po prostu nie chciałem umrzeć.::

::To zabawne, jak bardzo może to wzmóc ludzką kreatywność. – oświadczyła.

::Zabawne jest to, jak bardzo to pomaga ci się skoncentrować. Przypomniałem sobie wtedy, jak mówiłaś, że muszę nad tym popracować. Być może uratowałaś mi życie.::

::To dobrze. Nie zapomnij odwzajemnić tej przysługi, jeśli zajdzie taka potrzeba.:: Jared nagle przystanął.

::Co jest?:: – zapytała.

::Też to czujesz?::

::Niby co?::

::Czuję, że naprawdę mam teraz ochotę na seks.:: – Jared spojrzał zalotnie na swoją towarzyszkę.

::No wiesz, Jared. Uważasz, że jeśli nagle zatrzymujesz się na środku korytarza, to mam się od razu domyślić, że w tej chwili naprawdę masz ochotę na seks?::

::Pauling, Dirac:: -przerwał im Alex Roentgen. – ::Przyjdźcie do świetlicy.

Natychmiast. Pora na małe pobitewne świętowanie.: :Oho-ho!:: – ucieszyła się Pauling. – ::Świętowanie. Może będzie jakieś ciasto i lody.: Nie było lodów ani ciasta. Była orgia. W świetlicy byli wszyscy żołnierze drugiego plutonu (oprócz jednego), bardziej lub mniej rozebrani. Pary i trójki leżały na sofach i poduszkach, całując się i przytulając.

::Więc to jest pobitewne świętowanie?:: – spytała Pauling.

::Tak, to jest pobitewne świętowanie:: – przyznał Alex Roentgen. – ::Robimy tak po każdej bitwie.::

::Dlaczego?:: – dopytywał się Jared.

Alex Roentgen spojrzał na Jareda trochę nieufnie.

::A więc potrzebujesz powodu, żeby wziąć udział w orgii?:: – Jared otworzył usta, by odpowiedzieć, ale Roentgen powstrzymał go gestem otwartej dłoni. – ::Po pierwsze, przeszliśmy na drugą stronę przez dolinę cienia śmierci. I nie ma lepszego sposobu, żeby poczuć, że się żyje. Po tym całym syfie, który dzisiaj widzieliśmy, musimy w jakiś sposób odciągnąć od tego nasze myśli. Po drugie, chociaż seks i tak jest świetną rzeczą, to staje się jeszcze lepszy, kiedy robisz to razem z ludźmi, z którymi jesteś zintegrowany.::

::A więc nie zamierzacie postawić szlabanu dla naszej integracji?:: – zapytała Pauling.

Mówiła to zalotnie, ale Jared wyczuł w jej pytaniu niepokój.

::Nie:: – łagodnie odparł Roentgen. – ::Jesteście teraz jednymi z nas. Poza tym nie chodzi tylko o seks. To idące z głębi człowieka wyrażenie

wspólnoty i zaufania. To kolejny poziom integracji.::

::To, co mówisz jest trochę podejrzane i wygląda na stek bzdur.:: – z uśmiechem na ustach oznajmiła Pauling.

Roentgen wydał z siebie wysoki, przenikliwy dźwięk mózgościowego rozbawienia.

::No cóż, sama rozumiesz. Skłamałbym, jeśli bym powiedział, że nie robimy tego także dla samego seksu. Ale sama zobaczysz.:: – Wyciągnął do Pauling rękę. – ::Pozwolisz?:: Pauling spojrzała na Jareda, puściła do niego oko i wzięła Roentgena za rękę.

::Proszę bardzo.:: – zgodziła się szybko.

Jared patrzył jak odchodzą. Po chwili poczuł na ramieniu dotknięcie czyjejś dłoni. Odwrócił się. Za nim stała Julie Einstein, naga i wyzywająca.

::Chciałabym sprawdzić, czy naprawdę jesteś taki gorącokrwisty jak mówią, Jared. ::



W jakiś czas potem Pauling odnalazła Jareda i położyła się obok niego. ::To był interesujący wieczór.:: – podsumowała z uśmiechem.

::Można tak to ująć.:: – zgodził się Jared. Stwierdzenie Roentgena, że seks jest inny, kiedy uprawia się go z ludźmi, z którymi jest się zintegrowanym, nabrało radykalnego wydźwięku. -::Zastanawiam się, dlaczego nie było tu Sagan.::

::Alex powiedział, że dawniej brała w tym udział, ale jakiś czas temu przestała.

Przestała w tym uczestniczyć po bitwie, w której o mało co nie zginęła. To było parę lat temu.

Alex powiedział, że to nie jest w żaden sposób obowiązkowe i nikt nie ma do niej o to pretensji.::

Na dźwięk imienia „Alex” Jared poczuł ukłucie zazdrości; wcześniej przez chwilę widział ich oboje razem – w momencie, kiedy Einstein była na nim.

::To może wszystko tłumaczyć:: – rzekł z zażenowaniem. Pauling oparła się na łokciach. ::Dobrze się bawiłeś?::

::Wiesz, że tak::

::Wiem. Czułam cię w swojej głowie::

::Ja też:: – przyznał Jared.

::A jednak nie sprawiasz wrażenia szczęśliwego:: Jared wzruszył ramionami. :: Sam nie wiem dlaczego::

Pauling przechyliła się w jego stronę i pocałowała go lekko w usta. ::Jesteś naprawdę uroczy, kiedy robisz się zazdrosny::

::Nie mam zamiaru być zazdrosny::

::Myślę, że nikt nie ma zamiaru być zazdrosnym::

::Przepraszam::

::Nie przepraszaj. Cieszę się, że się zintegrowaliśmy i że stałam się częścią tego plutonu. Poza tym, to była dobra zabawa. Ale ty jesteś dla mnie kimś wyjątkowym, Jared, i zawsze byłeś. Jesteś moim najbardziej ukochanym::

::Najbardziej ukochanym:: – powtórzył Jared. – ::Na zawsze:: – Pauling uśmiechnęła się szeroko.

::Cieszę się, że to ustaliliśmy. A teraz pora, żebym wreszcie skorzystała z przywileju posiadania najbardziej ukochanego::

SIÓDMY

::Trzydzieści kilometrów:: – zakomunikowała Jane Sagan. –
::Wysiadamy:: Żołnierze Drugiego plutonu opuścili transportowiec piechoty i wyskoczyli w nocne niebo nad Dirluew, stolicą ludu Eneshanów. Niebo pod nimi rozbłysło wybuchami – nie były to gwałtowne eksplozje pocisków wystrzeliwanych przez baterie obrony powietrznej, mogące zagrozić transportowcowi, tylko ładne wielokolorowe rozbłyski fajerwerków. To był ostatni wieczór Chafalanu, eneshańskiego święta ponownych narodzin i odnowy. Na całym świecie Eneshanowie wylegli na ulice, świętując i bawiąc się w sposób odpowiedni dla tego dnia; większość spośród nich była lekko nietrzeźwa i napalona.

W Dirluew ten Chafalan obchodzono wyjątkowo hucznie. Oprócz zwykłych festynów i uroczystości, tegoroczna celebracja obejmowała także Poświęcenie Następczyni, w czasie którego Fhileb Ser, eneshańska Hierarchini, oficjalnie ogłosiła, że przyszłą władczynią Eneshy zostanie jej córka, Vyut Ser. Żeby upamiętnić tę konsekrację, Fhileb Ser nakarmiła Vyut Ser dawką pszczelego mleczka. Pozwoliła również na masową produkcję syntetycznej, rozcieńczonej postaci mleczka, która po zapakowaniu w małe słoiczki, posłużyła jako dary dla mieszkańców Dirluew w ostatnią noc Chafalanu.

W swojej naturalnej postaci, podane Eneshanom, którzy nie przeszli jeszcze metamorfozy, pszczele mleczko powodowało głębokie zmiany rozwojowe, których rezultatem było zwiększenie zdolności psychofizycznych Eneshan po osiągnięciu dojrzałego stadium rozwoju. W swojej rozcieńczonej, syntetycznej postaci pszczele mleczko dawało

dorośląm Eneshanom naprawdę wyśmienity, halucynogenny odłot. Większość spośród obywateli Dirluew skonsumowała swoją porcję mleczka tuż przed miejskim pokazem sztucznych ogni. Siedzieli teraz w swoich ogrodach lub publicznych parkach, zgodnie klekocząc swoimi narządami mowy eneshańskie odpowiedniki achów i ochów, podczas gdy naturalnie urokliwe, wyraziste piękno fajerwerków narkotycznie rozszerzało zakres ich doznań zmysłowych.

Trzydzieści kilometrów wyżej (wciąż szybko spadając), Jared nie mógł widzieć ani słyszeć oszołomionych Eneshan. Widoczne w dole fajerwerki były jasne, lecz odległe, odgłosy ich wybuchów były przytłumione przez odległość i rzadką stratosferę Eneshy.

Zresztą Jared był zajęty innymi rzeczami: położeniem pozostałych żołnierzy plutonu, pozostałą odległością od powierzchni planety i manewrowaniem w taki sposób, żeby skierować się w stronę miejsca lądowania i jednocześnie znaleźć się w dostatecznej odległości od pewnych zdarzeń, które wkrótce miały nastąpić.

Najłatwiejszym zadaniem było zlokalizowanie jego kolegów. Wszyscy żołnierze Drugiego Plutonu byli niewidoczni dla postrzegania wzrokowego, jak również w większości elektromagnetycznego spektrum, dzięki działaniu nanobotycznych kostiumów, wykorzystujących właściwości „ciała czarnego”. Wyjątek stanowił noszony przez każdego z członków plutonu mały, wąskozakresowy nadajnik z odbiornikiem, który wskazywał położenie każdego z żołnierzy w mikrosekundowych odstępach. Jared wiedział, że Sarah Pauling znajduje się czterdzieści metrów przed nim po prawej stronie, Daniel Harvey sześćdziesiąt metrów niżej, a Jane Sagan dwieście metrów powyżej, ponieważ wyskoczyła z transportowca jako ostatnia. Kiedy Jared po raz pierwszy brał udział w nocnym desancie z dużej wysokości, a od akcji na Gettysburgu nie minęło wtedy zbyt dużo

czasu, udało mu się zgubić wąskozakresowy sygnał i wylądować w odległości paru kilometrów od reszty oddziału. Był wtedy zdezorientowany i samotny. Na dodatek został przez wszystkich skrytykowany.

Miejsce, w stronę którego zmierzał leżało teraz dwadzieścia pięć kilometrów w dół, podświetlone przez jego MózGościa, który również wyświetlił mu optymalną drogę zejścia prowadzącą do miejsca docelowego. Trasa była aktualizowana w czasie lotu, ponieważ MózGościu musiał wziąć pod uwagę podmuchy wiatru i inne zjawiska atmosferyczne; droga została wytyczona w bezpiecznej odległości od wiązki trzech wirtualnych kolumn, nałożonych na pole widzenia Jareda. Kolumny te rozciągały się z samych szczytów nieba, żeby skończyć się w trzech miejscach jednego, konkretnego budynku; Pałacu Hierarchini, który był zarówno rezydencją Fhileb Ser i otaczającego ją dworu, jak i oficjalną siedzibą rządu.

To, co przedstawiały wirtualne kolumny stało się rzeczywistością, kiedy Jared wraz z całą resztą Drugiego Plutonu opadł na wysokość poniżej czterech kilometrów od powierzchni planety. Na niebie pojawiły się trzy wiązki promieni, wystrzelone w dół z satelitów umieszczonych przez Siły Specjalne na niskiej orbicie Eneshy. Jeden ze strumieni był zamglony, drugi niezwykle jasny, a trzeci jeszcze mętniejszy od pierwszego, pełen dziwnego migotania. Mieszkańcy Dirluew z rozkoszą zagruchali na ten widok i towarzyszącą mu, złożoną z grzmotów, potężną ścianę dźwięku. Mimo rozszerzenia świadomości byli jednocześnie oszołomieni i pomyśleli, że te strumienie są częścią miejskiego pokazu świateł.

Tylko najezdźcy i bezpośredni organizatorzy dirluewskiego pokazu świateł natychmiast wiedzieli, że jest to coś innego. Satelity produkujące strumienie cząstek elementarnych nie są czymś, czego nie zauważyłby eneshański system obrony planetarnej, do tego przecież został stworzony.

W tym konkretnym przypadku satelity zostały bardzo dobrze zamaskowane – wszystkie trzy udawały naprawcze holowniki. Holowniki zostały rozmieszczone wiele miesięcy wcześniej – wkrótce po incydencie na Gettysburgu, jako część rutynowej floty serwisowej Unii Kolonialnej przy jednej z trzech głównych stacji kosmicznych Eneshan. I rzeczywiście, jako holowniki sprawowały się doskonale. Ich niezwykle zmodyfikowane silniki nie były widoczne z zewnątrz; nie można było również za pomocą zwykłych systemowych kontroli wykryć sprytnych modyfikacji oprogramowania, które ukrywały prawdziwe możliwości silników, nawet przed najbardziej dociekliwymi badaczami.

Te trzy holowniki zostały wyznaczone do holowania „Latawca” po tym, jak okręt pojawił się w eneshańskiej przestrzeni kosmicznej i poprosił o zezwolenie na naprawę uszkodzeń kadłuba i systemów operacyjnych po niedawnym starciu z rraeyskim krążownikiem. „Latawiec” co prawda wygrał tę wymianę ognia, ale musiał oddalić się stamtąd, zanim jego uszkodzenia mogły zostać całkowicie naprawione (walka odbyła się nad jedną ze średnio uzbrojonych rraeyskich kolonii, która miała wystarczającą siłę ogniową, by odeprzeć pojedynczą jednostkę Sił Specjalnych, jednak nie dość dużą, by zestrzelić ją z nieba). Dowódca „Latawca” zaproponował eneshańskiemu wojsku rutynowy grzecznościowy przegląd okrętu, jednak eneshańscy dowódcy uznali, że nie jest to konieczne, ponieważ ich wywiad zdążył już potwierdzić prawdziwość historii „Latawca”. „Latawiec” poprosił także i dostał zgodę na udzielenie ludziom z załogi okrętu krótkiej przepustki w Tresh, miejscowości wypoczynkowej goszczącej dyplomatów Unii Kolonialnej, stacjonujących na Eneshy. Tresh leżało na północny wschód od Dirluew, które z kolei znajdowało się na północ od trasy przelotu transportowca, wiozącego dwa oddziały „spragnionych wakacji” członków Drugiego plutonu.

Kiedy transportowiec przelatywał w pobliżu Dirluew, zameldował o wystąpieniu zaburzeń atmosferycznych i zmienił kurs na północny, szybko docierając do skraju przestrzeni powietrznej Dirluew, w której obowiązywał całkowity zakaz lotów. Eneshańskie dowództwo przyjęło do wiadomości dokonaną poprawkę kursu, zobowiązując transportowiec do powrotu na poprzedni kurs natychmiast po ustąpieniu turbulencji. W parę minut później transportowiec rzeczywiście wykonał to polecenie, lżejszy o dwa oddziały żołnierzy.

To interesujące, czego można dokonać, kiedy twój wróg jest oficjalnie twoim sprzymierzeńcem. I na dodatek pozostaje nieświadomy tego, że ty wiesz, że w rzeczywistości jest twoim wrogiem.

Strumienie cząstek elementarnych wystrzeliły z towarzyszących „Latawcowi” holowników i uderzyły w Pałac Hierarchini. Pierwszy, najpotężniejszy ze strumieni, przedarł się przez sześć poziomów pałacu, aż do trzewi planety – spowodował wyparowanie zapasowego generatora mocy pałacu i leżącej dwadzieścia metrów poniżej głównej linii zasilania. Odcięcie od głównego źródła zasilania przełączyło systemy elektryczne pałacu na zasilanie zapasowe, które zostało zniszczone parę milionowych części sekundy wcześniej.

Wobec braku scentralizowanego zasilania, włączyły się różne pomniejsze systemy awaryjne, które za pomocą systemu zabezpieczających drzwi odcięły pałac od reszty świata. Projektanci systemów elektrycznych i zabezpieczeń pałacu zakładali, że jeżeli wyłączone zostaną zarówno główne, jak i zapasowe źródła zasilania, będzie to prawdopodobnie oznaczało, że cały pałac został zaatakowany. Jak do tej pory rozumowali poprawnie; nie przewidzieli tylko, że zdecentralizowany system lokalnych źródeł zasilania może odegrać ważną rolę w planach atakujących. Strumień ten spowodował stosunkowo niewielkie zniszczenia drugiego stopnia;

energia pozostawała skoncentrowana wewnątrz jego obwodu, żeby mógł wgryźć się jak najgłębiej w ziemię Eneshy. Powstała w wyniku jego działania wyrwa miała około dwudziestu pięciu metrów głębokości – po chwili powpadały do niej szczątki zniszczonego pałacu i wypełniły ją do głębokości kilku metrów.

Drugi ze strumieni uderzył w administracyjne skrzydło pałacu. W przeciwieństwie do pierwszego został nastrojony szeroko – tak, by uwalniał duże ilości niszczącego gorąca.

Rozgrzane powietrze, wyważając drzwi i wybijając okna, przedarło się przez biura, zapalając po drodze wszystko, co miało temperaturę zapłonu niższą niż dziewięćset trzydzieści dwa stopnie Celsjusza. Co najmniej czterdziestu eneshańskich pracowników rządowych z nocnej zmiany, strażników i portierów, poświęciło swoje życie, smażąc się żywcem wewnątrz swoich skorup. Znajdujące się w samym środku, na osi wzdłużnej strumienia, prywatne biuro Hierarchini (wraz z całą zawartością) obróciło się w popiół zaledwie ułamki sekundy przed tym, zanim burza wywołana uderzeniem gorącego strumienia porwała świeżo powstałe prochy i rozrzuciła je po kątach gwałtownie odkształcającego się skrzydła budynku.

Drugi ze strumieni miał największą siłę niszczącą i najmniejsze znaczenie strategiczne spośród wszystkich trzech. Siły Specjalne nie zamierzały zastać, ani tym bardziej zabić Hierarchini w jej prywatnym biurze; zwykle rzadko bywała w nim wieczorami, a tego wieczoru na pewno nie mogło jej tu być, ponieważ brała udział w obchodach ostatniego dnia Chafalanu. W tym momencie była dokładnie po przeciwnej stronie miasta Dirluew. Byłaby to doprawdy niezdarna próba zamachu. Ale Siły Specjalne chciały, żeby wyglądało to na nieudaną próbą zamachu na życie Hierarchini; zarówno ona, jak i cała jej liczna i śmiertelnie groźna gwardia

przyboczna, miała się trzymać z dala od pałacu – podczas gdy Drugi Pluton mógłby wykonać swoje właściwe zadanie.

Trzeci ze strumieni był najsłabszy ze wszystkich. Z jego wnętrza wydobywały się błyski przypominające okazałych rozmiarów iskry, kiedy z precyzją chirurga jednocześnie wypalającego i zdejmującego warstwę tkanki, uderzył w dach pałacu. Ten strumień nie miał siał przerażenia ani powodować całościowych zniszczeń – miał wyciąć bezpośrednio dojście do jednej z komnat pałacu, w której rezydował właściwy cel misji Drugiego Plutonu -osoba, w której pokładano wielkie nadzieje. Osoba, która miała spowodować wystąpienie Eneshan ze skierowanego przeciw ludzkości trójprzymierza.



::Jaki jest cel misji?:: – zapytał na odprawie Daniel Harvey.

::Zamierzamy porwać Vyut Ser:: – wyjaśniła Jane Sagan. –
::Następczynię eneshańskiego tronu.::

Podwładny spojrział na nią z nieskrywanym niedowierzaniem – to przypomniało Jaredowi, dlaczego żołnierze Sił Specjalnych, pomimo swojej integracji, powinni fizycznie uczęszczać na odprawy. Język ciała nie mógł kłamać.

Sagan przesłała im dane wywiadowcze na temat czekającego ich zadania i jego dokładną specyfikację, jednak Harvey znów się odezwał, zanim dane skończyły się rozpakowywać.

::To coś nowego. Od kiedy to zajmujemy się porwaniami?::

::To żadna nowość. Zdarzało już nam się uprowadzać ludzi:: – tłumaczyła.

::Ale zawsze porywaliśmy dorosłych. Na dodatek byli to ludzie, którzy mieli wobec nas jakieś wrogie zamiary. A teraz zamierzamy porwać dziecko.::

::To bardziej przypomina larwę, niż dziecko:: – wtrącił się Alex Roentgen, który zdążył już rozpakować wszystkie dane dotyczące misji i właśnie zaczął je przeglądać.

::Mniejsza z tym:: – nie dawał za wygraną Harvey. – ::Larwa, pisklę czy dziecko. Rzecz w tym, że zamierzamy użyć jakiejś młodej, niewinnej istoty w charakterze karty przetargowej. Po raz pierwszy w naszej historii. Mam rację? To podłe.::

::I to mówi gość, któremu zwykle trzeba powtarzać, żeby nie robił tyle niepotrzebnego smrodu:: – odparł Roentgen.

::To prawda, czasem trochę się zagalopuję. Ale mówię wam, że ta misja cuchnie na odległość. Do kurwy nędzy, naprawdę tego nie widzicie?::

::Nasi wrogowie nie trzymają tak wysokich standardów moralnych jak ty, Harvey.:: – Julie Einstein dołączyła do dyskusji i rozesłała wszystkim zdjęcie stosu dziecięcych ciał z Gcttysburga. Jaredem znowu wstrząsnął tamten dreszcz.

::Czy to znaczy, że mamy się zniżać do ich poziomu?:: – zapytał Harvey.

::Posłuchaj:: – ucięła dyskusję Sagan. – ::Nie będziemy w tej sprawie robić głosowania.

Nasz wywiad twierdzi, że Rraeyowie, Eneshanowie i Obinowie połączyli siły i zamierzają nas zaatakować. Zaczęliśmy nękać zbrojnymi wypadami Rraeyów i Obinów, ale nie mogliśmy wyruszyć przeciwko Eneshanom, ponieważ oni wciąż żyją w przekonaniu, że uważamy się za ich sprzymierzeńców. To dało im czas na przygotowania, i pomimo całej dezinformującej maszyny wywiadowczej, jaką na ich użytek uruchomiliśmy, oni wciąż znają wiele naszych słabych punktów. Z

wiarygodnych źródeł wiemy, że Eneshanowie są przygotowani na każdy scenariusz rozwoju wydarzeń z naszej strony. Jeśli otwarcie ich zaatakujemy, to będziemy mieli na karku wszystkich trzech sojuszników, i po prostu nie wystarczy nam wszelkiego rodzaju środków, żeby ich pokonać. Harvey ma rację – ta misja jest dla nas czymś nowym.

Ale żaden z alternatywnych planów nie był tak skuteczny. Nie możemy zwyciężyć Eneshanów w zwykłej wojnie – możemy ich pokonać w wojnie psychologicznej.:: W międzyczasie Jared zdążył sobie już przyswoić całą treść raportu.

::Nie poprzestaniemy tylko na porwaniu:: – zwrócił się do Sagan.

::Nie. Samo uprowadzenie nie skłoniłoby Hierarchini do przyjęcia naszych warunków.::

::Chryste:: – nie wytrzymał Harvey. – ::Ta sprawa naprawdę cuchnie.::

::To najlepsze z moich złiwych rozwiązań:: – oświadczyła Sagan. –
::Chyba, że naprawdę myślisz, że Unia Kolonialna mogłaby prowadzić zwycięską wojnę z trzema wrogami naraz.::

::Chcę zadać jedno pytanie:: -dociekał Harvey. – ::Dlaczego w ogóle mamy się tym głównym zajmować?::

::Bo służymy w Siłach Specjalnych i właśnie takimi rzeczami się zajmujemy.::

::Gówno prawda:: – warknął Harvey. – ::Sama pani to powiedziała. Zwykle nie robimy takich rzeczy. Nikt ich nie robi. Mamy to zrobić, bo nikt inny nie chce się tym zająć.:: – Harvey rozejrzył się po pokoju odpraw. –
::No dalej, przyznajmy to przynajmniej przed sobą.

Jakiś naprawdę urodzony dupek z wywiadu wojskowego opracował ten plan, potem zatwierdziło go stado naprawdę urodzonych generałów, a teraz naprawdę urodzeni dowódcy Kolonialnych Sił Obrony nie chcą mieć z tym nic wspólnego. Więc każą wykonać go nam, bo myślą, że jesteśmy bandą

pozbawionych moralności dwuletnich morderców. Ale ja mam swoją moralność, podobnie jak wy wszyscy. W żadnym razie nie cofnąłbym się przed zwykłą, honorową walką. Znamie mnie, i wiecie, że to prawda. Ale to nie jest normalna, honorowa walka. To jakaś chora bzdura.::

::No dobrze, to jest chora bzdura:: – zgodziła się Sagan. – ::Ale to także zadanie, które mamy wykonać.::

::Tylko niech mnie pani nie prosi, żebym to właśnie ja schwytał tę rzecz. Mogę osłaniać tych, którzy to zrobią, ale naprawdę wolałbym, żeby ta kolejka mnie ominęła.::

::Nie martw się, nie poproszę cię o to. Znajdę kogoś, kto zrobi to za ciebie.::

::Ma pani na myśli kogoś konkretnego?:: – zapytał Alex Roentgen.

::Zajmę się tym osobiście. Potrzebuję tylko dwóch ochotników, którzy będą mi towarzyszyć.::

::Powiedziałem już, że będę panią osłaniał.:: – oświadczył Harvey.

::Chcę, żeby ktoś mógł porwać tę istotę, jeśli Ja dostanę kulkę w łeb, Harvey.::

::Ja z panią pójdę.:: – zgłosiła się Sarah Pauling. – ::Chociaż zgadzam się z Harveyem, że to śmierdząca sprawa.::

::Dzięki, Pauling.:: – przesłał Harvey.

::Nie ma za co. Tylko niech ci to za bardzo nie uderzy do głowy.::

::Więc mamy jedną osobę. Kto jeszcze jest chętny?:: Wszyscy spojrzeli na Jareda.

::No, co?:: – Jared wyglądał, jakby się przed czymś bronił.

::Nic.:: – odezwała się Julie Einstein. – ::Po prostu zwykle tworzą z Pauling zgraną parę.::

::To nieprawda.:: – bronił się Jared. – ::Jesteśmy w plutonie od siedmiu miesięcy i nieraz już chronięm wasze dupy.::

::Nie denerwuj się niepotrzebnie:: – uspokajała go Einstein. – ::Nikt nie powiedział, że jesteście małżeństwem. To prawda, chroniłś nasze dupy. Ale w czasie misji niektórzy chętniej dobierają się w pary, inni nie. Ja zwykle tworzę parę z Roentgenem. Porucznik Sagan bierze na siebie Harveya, bo nikt inny nie chce mieć z nim do czynienia. Ty zwykle tworzysz parę z Pauling. To wszystko::

::Przestańcie męczyć Jareda:: – Pauling wzięła go w obronę. – ::To miły chłopak, w przeciwieństwie do was, degeneraci::

::Jesteśmy miłymi degeneratami:: – zażartował Roentgen.

::Raczej jesteście zdegenerowani, aż miło:: – dodała Einstein.

::No dobra, skończcie już tę zabawę:: – przerwała im Sagan. – ::Potrzebuję jeszcze jednego ochotnika:: , , ::Dirac!:: – podsunął Harvey.

::Koniec z tym! :: – zdenerwowała się Sagan.

::Nie, zrobię to:: – zgodził się w końcu Jared.

Sagan wahała się przez chwilę, ale jednak się zgodziła i przeszła do dalszej części odprawy.

::Znowu to zrobiła:: – Jared przesłał do Pauling prywatnym połączeniem. – ::Sama widziałaś, prawda? Wyraźnie miała ochotę powiedzieć „nie”::

::Widziałam. Ale jednak się zgodziła. Kiedy przychodzi co do czego, zawsze traktuje cię na równi z wszystkimi innymi::

::Wiem. Chciałbym tylko wiedzieć, czemu mnie nie lubi::

::Wygląda na to, że ona za bardzo nikogo nie lubi. Nie popadaj w paranoję. Ja cię lubię -chyba, że popadasz w paranoję::

::Popracuję nad tym. ::

::I dobrze zrobisz. Dzięki, że się zgłosiłeś::

::No wiesz. Trzeba zaspokajać żądania ciemnych mas:: – Pauling zaśmiała się na głos. Sagan rzuciła jej ostre spojrzenie. – ::Przepraszam:: –

przesłała Pauling na wspólnym kanale.

Po chwili Jared znów wywołał ją prywatnym połączeniem: ::A więc uważasz, że z tą misją jest coś nie w porządku?::

::Ta misja śmierdzi na kilometr::



Strumienie cząstek elementarnych wygasły. Jared i reszta Drugiego otworzyli swoje parolotnie. Mikroroboty, do tej pory zapakowane w plecakach, wysnuły się wijąc jak cienkie pnącza i uformowały lotnie. Jared przestał swobodnie spadać w dół; skierował się w stronę pałacu, a dokładnie w stronę czarnej dziury, pozostawionej przez trzeci strumień – otwór ten prowadził do dziecięcego pokoju następczyni tronu.



Pałac Hierarchini był dużym gmachem – w przybliżeniu wielkości Bazyliki Świętego Piotra. Nie-Eneshanowie mogli przebywać jedynie w głównym holu, w którym urzędował dwór Hierarchini, i w skrzydle administracyjnym, (które teraz leżało w gruzach) – do pozostałych części pałacu mieli wstęp jedynie rodowici Eneshanowie. Nie było żadnych publicznie dostępnych planów architektonicznych budynku, a sam pałac, zbudowany w płynnym, chaotycznym eneszańskim stylu klasycznym, którego realizacje przypominały najbardziej bezładne zgrupowanie kopców termitów, nie pozwalał na łatwe odnalezienie konkretnych pomieszczeń i przestrzeni funkcyjnych. Przed przystąpieniem do porwania następczyni tronu, trzeba się było zorientować, gdzie znajdują się jej prywatne komnaty.

Wywiad wojskowy uznał to za trudną, lecz możliwą do rozwiązania zagadkę.

Rozwiązaniem okazało się myślenie w małej skali, wręcz w skali jednokomórkowej – trzeba było wziąć pod uwagę *C. xavierii*, prokariotyczny organizm, ewolucyjnie pokrewny ziemskim bakteriom. Podobnie jak w ludzkim organizmie, w którym żyją szczepy symbiotycznych bakterii, tak *C. xavierii* żyją w symbiozie z organizmami Eneshanów – przede wszystkim w ich wnętrzach, lecz czasem także na zewnątrz. Podobnie jak wielu ludzie, część Eneshanów nie jest zbyt drobiazgowa w kwestiach higieny osobistej.

Naukowcy Działu Badań Wojskowych Unii Kolonialnej otworzyli *C. xavierii* i dokonali jego resekwencji, tworząc podgatunek *C. xavierii movere*, który miał zakodowane konstruowanie w swoim wnętrzu radiowych nadajników z odbiornikami wielkości mitochondrium. Te małe organiczne urządzenia zapisywały ruchy swoich gromad, ustalając swoją pozycję wobec innych gromad *C. xavierii movere*, przenoszonych przez innych Eneshanów, znajdujących się w zasięgu ich odbiorników. Mikroskopijne urządzenia nie miały dużej pamięci – mogły zarejestrować niecałą godzinę ruchów swoich nosicieli – jednak w wyniku każdego podziału komórkowego powstawały nowe urządzenia nagrywające, które na nowo zaczynały śledzić ruch Eneshanów.

Dział Badań Wojskowych wprowadził genetycznie zmodyfikowane organizmy do pałacu Hierarchini za pomocą kremu do rąk, którego użyła niczego niepodważająca przedstawicielka dyplomatyczna Unii Kolonialnej, mająca częsty fizyczny kontakt ze swoimi eneshańskimi partnerami; ci z kolei, rozprowadzili drobnoustrój wśród reszty pałacowych urzędników przez zwykłe, codzienne kontakty. Proteza mózgu przedstawicielki dyplomatycznej (i wszystkich jej pracowników), została

potajemnie zmodyfikowana, by móc nagrywać przekazy z małych transponderów, które wkrótce zaczęły emanować z pracowników służby pałacowej, dworzan, a w końcu nawet z Hierarchini i jej następczyni. W ciągu niecałego miesiąca Dział Badań Wojskowych skompletował dokładną mapę wewnętrznego rozplanowania Pałacu Hierarchini, opierając się na ruchach przebywających w nim Eneshanów.

Dział Badań Wojskowych nigdy nie zawiadomił służby dyplomatycznej Unii Kolonialnej o tym, że jej członkowie mimowolnie szpiegowali na potrzeby KSO. Po pierwsze tak było dla dyplomatów bezpieczniej; po drugie, na pewno nie spodobałby się im sposób, w jaki ich wykorzystano.



Jared dotarł do dachu i zwinął swoją lotnię. Wylądował w pewnej odległości od wyrwy w dachu, na wypadek, gdyby zawaliła się większa powierzchnia, niż zamierzano. Pozostali żołnierze Drugiego już wylądowali, albo lądowali w tej samej chwili – wszyscy zaczęli przygotowywać się do zejścia, mocując liny do spuszczenia się w dół. Jared dostrzegł Sarah Pauling, która podeszła do krawędzi ziejącej w dachu wyrwy i patrzyła w dół, przez kłęby dymu i pyłu.

::Nie patrz w dół:: – ostrzegł przyjaciółkę poniewczasie.

::Za późno na ostrzeżenia:: – Sarah przesłała mu przyprawiający o zawrót głowy obraz, postrzegany z jej punktu widzenia. Dzięki ich integracji Jared mógł odczuć jej niepokój i napięcie; sam czuł dokładnie to samo.

Liny do zjazdu zostały odpowiednio zabezpieczone.

::Pauling, Dirac:: – wywołała ich Sagan. – ::Pora ruszać:: Kolumny strumieni cząstek elementarnych rozdarły niebo niecałe pięć minut

wcześniej.

Każda mijająca sekunda zwiększała możliwość tego, że ich zwierzyna mogła zostać gdzieś przeniesiona. W każdej chwili mogli się także pojawić żołnierze wroga albo jakiś odpowiednik sił szybkiego reagowania. Zniszczenie skrzydła administracyjnego mogło opóźnić reakcję Eneshan, jednak tylko na jakiś czas.

Cała trójka przypięła się do lin i opuściła cztery poziomy w dół, prosto do apartamentów, w których rezydowała Hierarchini. Pokój dziecięcy był tuż za nimi; uznali, że lepiej będzie nie kierować strumienia cząstek elementarnych w dach dokładnie nad pokojem dziecięcym, żeby uniknąć przypadkowego zapadnięcia się stropów.

W miarę opuszczania się Jared uznał słuszność tej decyzji; działający z „chirurgiczną precyzją” strumień cząstek spowodował na tyle duże zniszczenia w trzech, położonych nad apartamentami Hierarchini, kondygnacjach, że duża część gruzu pospadała na sam dół.

::Włączcie podczerwień:: – rozkazała Sagan, kiedy zjeżdżali w dół. – ::Światła nie działają, a w powietrzu jest mnóstwo pyłu.:: Jared i Pauling zrobili, jak im kazano. Mglista poświata wypełniła powietrze, rozgrzane natężeniem wiązki promieni i dopalającymi się w dole resztkami.

Strażnicy pilnujący apartamentów Hierarchini wpadli do komnat, kiedy ich trójka wciąż znajdowała się w powietrzu – żeby dopaść napastników wybili drzwi taranem. Jared, Sagan i Pauling odpięli się od lin i spadli ciężko na znajdującą się pod nimi stertę gruzu, ponagleni silniejszą grawitacją Eneshy. Jared poczuł, że zaraz nabije się na odłamki gruzu, na które trafiło jego ciało, jednak jego kostium bojowy zeszywniał w odpowiednich miejscach i nic mu się nie stało. Cała trójka przeszukała pomieszczenie z pomocą wzbogaconego o postrzeganie w podczerwieni wzroku, żeby zlokalizować strażników, po czym przesłała zebrane

informacje do góry. W parę sekund później z dachu dobiegły ich trzy ostre odgłosy wystrzałów. Strażnicy zostali zlikwidowani.

::Droga wolna:: – poinformował ich Alex Roentgen. – ::Całe skrzydło jest szczelnie odcięte od reszty pałacu i nie widzimy żadnych innych strażników. Większość z nas schodzi na dół:: – Ledwo wymówił te słowa, Julie Einstein i dwóch innych członków plutonu zaczęło zjeżdżać po linach.

Pokój dziecięcy przylegał do prywatnej komnaty Hierarchini. Ze względów bezpieczeństwa oba pomieszczenia tworzyły jedną całość, do której w żaden sposób nie można było włamać się na siłę (chyba, że używając wystrzelonych z przestrzeni kosmicznej wiązek elementarnych wielkiej mocy). Ponieważ uważano, że oba pomieszczenia są wystarczająco zabezpieczone z zewnątrz, nie zadbano o jakieś szczególne zabezpieczenie przejścia między nimi oddzielały je od siebie jedynie wyposażone w jeden rygiel, kunsztownie rzeźbione drzwi. Jared przestrzelił zamek i wszedł do środka; Pauling i Sagan zabezpieczały tyły.

Coś wyskoczyło w stronę Jareda, kiedy skierował się w stronę rogu pomieszczenia; obrócił się, przykucnął i spojrzał do góry, żeby zobaczyć Eneshanina, który zamierzał zmiażdżyć mu głowę za pomocą jakiegoś pospiesznie chwyconego drąga. Jared zablokował uderzenie przedramieniem i wyprowadził mocne kopnięcie, które trafiło Eneshanina pomiędzy przednie dolne kończyny. Przeciwnik zaryczał, kiedy kopnięcie zmiażdżyło pancerz jego odwłoka. Kątem oka Jared zauważył, że w przeciwległym kącie komnaty przykucnął drugi Eneshanin, który tulił coś, co krzyczało.

Pierwszy z Eneshan z rykiem znowu rzucił się w jego stronę, potem przestał ryczeć, ale dalej się poruszał – w końcu wpadł na Jareda, przewrócił go swoim ciężarem i znieruchomiał.

Dopiero w tym momencie Jared uzmysłowił sobie, że przed chwilą słyszał odgłos wystrzałów. Wyjrzał zza przygniatającego go ciała i zobaczył Sarah Pauling, chwytającą za krawędź tylnej pokrywy przygniatającego go ciała, żeby uwolnić go od ciężaru.

::Mogłaś spróbować to zabić, kiedy nie biegło w moją stronę:: – zasugerował.

::Jak nie przestaniesz narzekać, to zostawię cię pod tym cholerstwem:: – zasyczała złowrogo Pauling. – ::Może tak byś mi trochę pomógł, to szybciej spod tego wyleziesz:: Pauling ciągnęła, a Jared pchał od dołu; w końcu Eneshanin przewrócił się na bok.

Jared oswobodził się do końca i dokładnie obejrzał napastnika.

::Czy to on?:: – zapytała Pauling.

::Trudno powiedzieć. Oni wszyscy wyglądają tak samo::

::Odsuń się:: – Pauling podeszła bliżej, żeby przyjrzeć się Eneshanowi. Weszła do danych otrzymanych w czasie odprawy. – ::To on. To jej ojciec. Małżonek Hierarchini:: Jared twierdząco pokiwał głową.

Jahn Hio, małżonek Hierarchini, wybrany z politycznych powodów by spłodzić następczynię. Matriarchalna tradycja eneshańskiej władzy królewskiej wymagała, żeby ojciec następczyni opiekował się nią w stadium larwalnym. Tradycja wymagała również, by ojciec czuwał przy boku następczyni po jej konsekracji przez trzy eneshańskie dni, co miało symbolizować jego akceptację rodzicielskich obowiązków. Właśnie to było powodem – oprócz innych, również związanych z ceremonią konsekracji czynników – dla którego zaplanowano porwanie właśnie w tym konkretnym momencie. Zabicie Jahna Hio było sprawą drugorzędną, chociaż istotną dla powodzenia misji.

::Zginął w obronie swojego dziecka:: – rzekł Jared.

::To sposób, w jaki zginął, ale nie prawdziwa przyczyna jego śmierci::

::Myślę, że to rozróżnienie nie ma dla niego znaczenia.::

::Ta misja to cuchnąca sprawa.::

Z kąta pomieszczenia dobiegi ich odgłos wystrzelwanej serii. Wrzask, który słyszeli odkąd weszli do środka umilkł na chwilę, a potem rozległ się jeszcze głośniejszy, jeśli to w ogóle było możliwe. Z kąta pokoju dzieciennego wyszła Sagan – w jednej ręce trzymała swojego Empaka; w drugiej, w zgięciu łokcia, jakąś białą, wijącą się masę. Drugi z Eneshan osunął się na podłogę w miejscu, w którym dosięgły go pociski.

::To niania:: – wyjaśniła porucznik. – ::Nie chciała mi oddać następczyni.::

::Poprosiła ją pani o to?:: – zapytała Pauling.

::Poprosiłam.:: Wskazała na mały, przymocowany do paska translator, który miał się przydać w dalszej części misji. – ::W każdym razie próbowałam.::

::To, że zabiliśmy na jej oczach królewskiego małżonka, prawdopodobnie nie polepszyło sprawy.::

Wrzeszcząca rzecz, którą trzymała Sagan, nagle skrzyła się gwałtownie i o mało co nie wyzwoliła się z jej uścisku. Żeby ją lepiej chwycić, Sagan upuściła swojego Empaka na ziemię. Kiedy umieściła zawiniątko bezpiecznie między ramieniem i bokiem swojego ciała, mała rzecz zaczęła krzyczeć jeszcze głośniejszym głosem. Jared wyteńczył wzrok, żeby się jej lepiej przyjrzeć. ::Więc to jest następczyni:: – rzekł po chwili.

::To ona:: – potwierdziła Sagan. – ::Premetamorficzne stadium rozwoju Eneshanina. A właściwie Eneshanki. Coś jak duża, wrzeszcząca gąsienica.::

::Nie moglibyśmy jej dać jakichś środków uspokajających?:: – spytała Pauling. – ::Jest dosyć głośnym dzieckiem.::

::Nie:: – odparła Sagan. – ::Hierarchini musi zobaczyć, że mała wciąż żyje.:: – Następczyni znowu skrzyła całe ciało. Żeby ją uspokoić, Sagan

zaczęła gładzić ją wolną ręką. – ::Weź. mojego Empaka, Dirac.:: – Jared schylił się, żeby podnieść jej karabin.

Nagle zapaliły się wszystkie światła.

::O, kurwa:: – zakląła Sagan. – ::Znowu jest zasilanie.::

::Myślałem, że rozwaliliśmy zapasowy generator.::

::Rozwaliliśmy go. Wygląda na to, że mieli jeszcze jeden. Idziemy stąd.::

-Cała trójka wycofała się z pokoju dziecinnego. Sagan trzymała w rękach następczynię, a Jared dwa Empaki – swój i Sagan – oba w gotowości do strzału.

W głównym apartamencie dwaj żołnierze plutonu chybotliwie wspinali się po linach.

Julie Einstein zajęła pozycję, z której mogła kryć ogniem obie pary wiodących do apartamentu drzwi.

::Te dwa poziomy nad nami powinny być bezpieczne:: – powiedziała Einstein. -::Dziura zrobiona przez wiązkę promieni przechodzi na nich przez pomieszczenia z jednym tylko wejściem. Przynajmniej tak wynika z planu. Za to najwyższy poziom jest otwarty na wszystkie strony.::

::Transport jest już w drodze:: – zasygnalizował Alex Roentgen. – ::Namierzyli nas tutaj i zaczynają do nas strzelać.::

::Potrzebujemy kogoś, kto będzie nas osłaniał w czasie wspinaczki:: – przekazała mu Sagan. – ::Trzeba położyć ogień zaporowy na górnym poziomie. Jest otwarty, więc na pewno tam się pojawią.::

::Zrozumiałem.::

Sagan przekazała następczynię Pauling, rozpięła torbę ze sprzętem i wyjęła z niej nosidełko z sakiewką dostosowaną do rozmiarów następczyni. Z trudem udało jej się wcisnąć głośno kwilącą następczynię do sakiewki; zabezpieczyła nosidełko i przewiesiła je sobie przez prawe ramię.

::Ja będę pośrodku:: – ustaliła Sagan. – ::Dirac, ty po lewej, Pauling, po prawej. Einstein będzie nas osłaniała w czasie wspinaczki, a potem wy dwoje będziecie osłaniać ją i pozostałą dwójkę w czasie ich drogi na górę. Jasne?::

::Jasne:: – potwierdzili Pauling i Dirac.

::Przeładuj mojego Empaka i daj go Einstein:: – Sagan poleciła Jaredowi. – ::Ona nie będzie miała czasu na przeładowywanie::

Jared wyciągnął magazynek z Empaka Sagan, załadował go jednym ze swoich zapasowych i wręczył karabin Einstein.

::Czekamy na was:: – z góry odezwał się Roentgen. – ::Lepiej się pospieszcie::: Kiedy podeszli do swoich lin, usłyszeli ciężkie kroki Eneshanów. Einstein otworzyła ogień w chwili, kiedy zaczęli się wspinać. Na każdym z dwóch znajdujących się nad nimi pięter czekali spokojnie żołnierze drugiego plutonu, wpatrując się w prowadzące do środka wejścia. Dzięki integracji Jared odczuł, że mają ochotę zesrać się ze strachu i czekają tylko, aż stanie się coś złego.

Nad Jaredem wybuchła strzelanina – Eneshanowie pojawili się na górnym poziomie. Sagan niosła co prawda następczynię, ale nie miała ze sobą karabinu ani torby ze sprzętem; w porównaniu z nimi wspinała się naprawdę szybko i wkrótce znacznie wyprzedziła Jareda i Pauling. Dwie kule przeszły jej ramię w momencie, kiedy prawie dotarła już do dachu i właśnie sięgała po rękę Juliana Lowella, który miał zamiar wciągnąć ją na górę. Trzecia z kul przeleciała nad jej ramieniem i trafiła Juliana Lowella nad lewym okiem, przebiła mózg na wylot i odbiwszy się rykoszetem od tylnej ściany czaszki utkwiała we wnętrzu jego karku, rozrywając tętnicę szyjną. Głowa Lowella odskoczyła do tyłu, a potem znowu w przód, jego ciało zwiotczało i zważyło się trzy pietra w dół. Spadając zderzyło się z Sagan, rozdzierając ostatnie włókna tkaniny paska, na którym trzymało się

nosidełko z następczynią. Sagan poczuła, że nosidełko odrywa się od niej i spada, ale była zbyt zajęta walką o utrzymanie się na linie i nie mogła nic zrobić.

::Łapcie następczynię:: – krzyknęła upuszczając nosidełko, a mocne dłonie Alexa Roentgena wciągnęły ją do góry.

Jared wyciągnął rękę i nie zdołał chwycić zawiniątka – było zbyt daleko. Nosidełko prawie minęło Pauling. W ostatniej chwili wychyliła się tak mocno, że jednak zdołała je chwycić.

Jared poczuł z dołu bolesne zdziwienie i szok Julie Einstein. Jej Empak umilkł. Po czym dały się słyszeć jakieś szelesty – to Eneshanowie wchodzili do komnat Hierarchini.

Pauling spojrzała w górę na Jareda.

::Wspinaj się!:: – ponagliła go.

Jared zaczął się wspinać nie patrząc w dół. Kiedy mijał górny poziom pałacu dostrzegł kątem oka, że w jego stronę strzelają Eneshanowie ukryci za stosami ciał swoich współpracowników, podczas gdy koledzy Jareda ostrzeliwują ich pociskami karabinowymi i granatami.

Potem w końcu ich minął i ktoś, kogo nie rozpoznał, wyciągnął go na dach pałacu. Odwrócił się w stronę zwisającej na linie Sarah Pauling. Z dołu mierzyli do niej eneshańscy żołnierze, nie mogła się wspinać, bo w jednej ręce trzymała nosidełko z następczynią. Pauling spojrzała na Jareda i uśmiechnęła się.

::Mój ukochany:: – przesłała i rzuciła mu nosidełko w chwili, kiedy uderzyły ją pierwsze kule. Jared wyciągnął rękę, kiedy tańczyła na linie, poruszana uderzeniami pocisków, które przewyciężyły opór jej kostiumu bojowego i przeorały jej nogi, klatkę piersiową, plecy i głowę. Złapał nosidełko, kiedy spadała i wyciągnął je na dach, kiedy uderzyła o dno dziury. Poczuł ostatnią sekundę jej życia, a potem jej życie się skończyło.

Nie mógł przestać krzyczeć kiedy wciągali go do transportowca.



Eneshańska kultura jest zarówno matriarchalna, jak i plemienna, co jest zupełnie zrozumiałe w wypadku rasy, której odlegli przodkowie byli przypominającymi owady, żyjącymi w ulach stworzeniami. Hierarchini dochodziła do władzy w wyniku głosowania przywódczyń głównych eneshańskich plemion; brzmi to w bardziej cywilizowany sposób, niż wygląda w rzeczywistości, ponieważ proces zbierania głosów często przyjmuje postać wieloletniej, okrutnej wojny domowej, w czasie której poszczególne plemiona walczą o władzę dla swoich przywódczyń. Żeby zapobiec niepokojom pod koniec panowania każdej kolejnej Hierarchini, hierarchat stał się instytucją dziedziczną: by zapewnić ciągłość władzy w przyszłości, Hierarchini musi wytworzyć i konsekrować wiarygodną następczynię w ciągu pierwszych dwóch eneshańskich lat pełnienia obowiązków – jeśli jej się to nie uda, jej plemię traci władzę.

Eneshańskie przywódczynie plemienne, karmione bogatym w hormony mleczkiem pszczelim, powodującym głębokie zmiany w ich organizmach (kolejny element ich owadziego dziedzictwa), zachowują płodność do późnej starości. Wyprodukowanie następczyni rzadko następuje jakiegokolwiek trudności; trudniej im zdecydować, z którego plemienia ma pochodzić ojciec następczyni. Przywódczynie nie wychodzą za mąż z miłości (w istocie Eneshanowie w ogóle nie zawierają małżeństw) – o wszystkim decyduje polityka.

Plemiona, spośród których nie wybrano Hierarchini, współzawodniczą (w bardziej subtelny, mniej okrutny sposób) o to, by dostarczyć władczyni królewskiego małżonka – nagrodą w tym współzawodnictwie są przywileje

dla wybranego szczepu i możliwość pewnego wpływu na politykę Hierarchini, co stanowi rodzaj posagu. Nowo mianowane Hierarchinie zwykle wybierają sobie małżonka z tradycyjnie sprzymierzonego z ich szczepem plemienia, co jest nagrodą za wierną służbę, albo też z plemienia swoich największych wrogów – dzieje się tak zazwyczaj wtedy, kiedy wojny domowe poprzedzające elekcję są wyjątkowo krwawe i eneshański lud potrzebuje zjednoczenia. Hierarchinie pochodzące z od dawna panujących plemion zwykle mają dużo więcej swobody w wyborze królewskiego małżonka. Fhileb Ser była szóstą z kolei Hierarchinią z linii Ser (szczep ten trzykrotnie dzierżył władzę w ciągu ostatnich kilkuset eneshańskich lat). Po wstąpieniu na tron wybrała małżonka z plemienia Hio -ekspansjonistyczne, kolonialne ambicje tego właśnie szczepu doprowadziły do skierowanego przeciw ludzkości tajnego sojuszu z Rraeyami i Obinami. Dzięki znaczącej roli, jaką Eneshanowie mieli odegrać w nadchodzącej wojnie, ich lud miał (po jej zakończeniu) przejąć niektóre z głównych posiadłości Unii Kolonialnej – między innymi Feniksa, ojczystą planetę Unii. Rracyowie mieli otrzymać mniej planet, jednak zapewniono im przejęcie Koralu, planety, na której Unia Kolonialna upokorzyła ich rasę.

Jak zwykle tajemniczy Obinowie, których wkład w działania wojenne miał być niewiele mniejszy od eneshańskiego, zażądali w zamian jednej jedynej planety: przeludnionej i ogołoconej z bogactw naturalnych Ziemi, która była w tak złej kondycji, że Unia Kolonialna trzymała ją pod kwarantanną. Eneshanowie i Rraeyowie odstąpili im tę planetę z radością.

Polityka Hierarchini, w dużej mierze wynikająca z nacisków plemienia Hio, konsekwentnie prowadziła do wojny z ludźmi. Jednak pomimo jednoczącego wszystkie plemiona hierarchatu, każdy ze szczepów miał prawo do własnego zdania, którego wyrazicielką była rada plemienia.

Plemię Geln stanowczo występowało przeciwko atakowaniu Unii Kolonialnej – ich zdaniem ludzie byli zbyt silnym przeciwnikiem, zadziwiająco wytrwałym w walce i niezbyt honorowym w razie zagrożenia. Plemię Geln uważało, że Rraeyowie byłiby o wiele lepszym celem, biorąc pod uwagę odwieczną wrogość między nimi a Eneshanami, a także ich marną kondycję militarną po tym, jak zostali rozgromieni przez ludzi na Koralu.

Hierarchini Fhileb Ser postanowiła zignorować zdanie rady plemienia Geln w tej sprawie, jednak zauważając wyraźną przychylność Gelnów dla ludzkości, mianowała ambasadorem przy Unii Kolonialnej Hu Gelna, jednego z członków rady tego plemienia. Hu Gelna, który został ostatnio ściągnięty na Eneshę, żeby wziąć udział w uroczystej konsekracji następczyni i by świętować Chafalan u boku Hierarchini. Hu Gelna, który towarzyszył Hierarchini, kiedy Dragi Pluton zaatakował pałac, i który był z nią w tej chwili, kiedy została wywołana przez ludzi, którzy zamordowali jej małżonka i porwali jej następczynię.



::Przestali do nas strzelać:: – powiedział Alex Roentgen. – ::Chyba zorientowali się, że mamy następczynię::

::To dobrze:: – odparła Sagan. Pauling i Einstein zginęły, ale inni, wciąż żywi żołnierze czekali na dachu pałacu i Sagan chciała ich stamtąd wydostać. Dała rozkaz wejścia na pokład transportowca. Wzdrygnęła się, kiedy Daniel Harvey dotknął jej ramienia; jej kostium bojowy zablokował pierwsze trafienie, jednak druga kula jakoś przedarła się przez osłonę i spowodowała poważne uszkodzenia tkanek. W tym momencie w ogóle nie

mogła poruszyć prawą ręką. Wskazała lewą ręką na stojące pośrodku transportowca małe łóżko na kółkach.

Wiła się na nim Vyut Ser, bezpiecznie zapięta w uprzęży. Następczyni już nie krzyczała, tylko cicho kwiliła, jej przerażenie osłabło pod wpływem wyczerpania.

::Ktoś musi jej zrobić zastrzyk:: – rzuciła Sagan.

::Ja to zrobię:: – zaofiarował się Jared, wstał, zanim ktokolwiek zdążył się zgłosić na ochotnika i z apteczki umieszczonej nad fotelem Sagan wyciągnął strzykawkę z długą igłą.

Podszedł do Vyut Ser i popatrzył na nią z nienawiścią. Na jego pole widzenia nałożył się, generowany przez MózGościa, schemat ukazujący miejsce, w które ma wbić igłę i głębokość, na jaką miał ją zanurzyć w ciele tej larwy.

Z dziką przyjemnością wbił igłę w ciało następczyni, która krzyknęła z bólu, jaki zadał jej kawałkiem ostrego jak żądło zimnego metalu. Nacisnął tłoczek strzykawki na tyle, by wstrzyknąć połowę jej zawartości do jednego z dwóch niedojrzałych woreczków reprodukcyjnych następczyni. Wyciągnął igłę, wbił ją w drugi z woreczków i opróżnił strzykawkę. Mikroroboty pokryły wewnętrzne ściany woreczków i dokonały samozapłonu, zabijając wszystkie komórki swoim gorącym. Następczyni została nieodwracalnie wysterylizowana.

Vyut Ser wyła z bólu i zdenerwowania.

::Mam na linii Hierarchinię:: – poinformował Roentgen.

::Przekaz audio i wideo:::

::Przełącz ją na ogólną częstotliwość:: – poleciła Sagan.

::I stań przy jej łóżku. Będziesz naszą kamerą, Alex:::

Roentgen skinął głową i stanął obok łóżka, koncentrując się na Sagan przekształcał dochodzące do jego MózGościa doznania dźwiękowe i

wizualne w taki sposób, by mógł służyć jako kamera wyposażona w mikrofon.

:: Przełączam ją na ogólną częstotliwość.: – W polu widzenia Jareda i wszystkich innych znajdujących się w transportowcu żołnierzy – pojawiła się Hierarchini Eneshy. Nawet dla kogoś, kto nie znał eneshańskiej mowy ciała, jasne było, że Hierarchini aż gotuje się z wściekłości.

– Wy pieprzone ludzkie gówna! – wykrzyczała Hierarchini (a raczej zrobił to translator, rezygnując z dosłownego tłumaczenia na rzecz oddania intencji stojącej za słowami). – Macie trzydzieści sekund na oddanie mi córki, albo wypowiem wojnę każdemu z waszych światów.

I przysięgam wam, że pozostaną po nich tylko gruzy.

– Zamknij się – uciszyła ją Sagan; tłumaczenie jej słów dobiegało z przyczepionego do jej paska głośnika translatora.

Z drugiej strony linii dobiegły odgłosy głośnego klekotania, oznaczające pełen niedowierzania szok wszystkich obecnych tam dworzan. Nie do pomyślenia było, żeby ktokolwiek mógł zwracać się do Niej w ten sposób.

– Nie za bardzo rozumiem... – powiedziała po krótkim zastanowieniu Hierarchini, najwyraźniej również zszokowana.

– Powiedziałam, „zamknij się”. Jeśli jesteś mądra, to wysłuchasz tego, co mam ci do powiedzenia i zaoszczędzisz obu naszym ludom niepotrzebnych cierpień. Hierarchini, nie wypowiesz teraz wojny Unii Kolonialnej, bo już tę wojnę wypowiedziałas. Razem z Rraeyami i Obinami.

– Nie mam najmniejszego... – zaczęła Hierarchini.

– Okłam mnie jeszcze raz, to odetnę twojej córce głowę – zagroziła Sagan. Znowu klekotanie dworu. Hierarchini się zamknęła. – Więc zacznę jeszcze raz. Czy jesteście w stanie wojny z Unią Kolonialną?

– Tak. Albo wkrótce będziemy.

– Myślę, że jednak nie – rzekła Sagan.

– Kim jesteś? – zapytała Hierarchini. – I gdzie jest ambasador Hartling? Dlaczego mam negocjować z kimś, kto grozi mi śmiercią mojego dziecka?

– Wyobrażam sobie, że ambasador Hartling siedzi teraz w swoim gabinecie próbując zorientować się, co się naprawdę dzieje. My, tak samo jak wy, nie odczuliśmy potrzeby poinformowania jej o waszych militarnych planach. Negocjujesz z osobą, która grozi śmiercią twojemu dziecku, ponieważ ty zagroziłaś, że pozabijasz wszystkie nasze dzieci, Hierarchini. I negocjujesz ze mną, bo w tym momencie jestem takim negocjatorem, na jakiego zasługujesz.

I możesz być pewna, że, kiedy skończymy tą rozmowę, nie będziesz miała więcej okazji do prowadzenia negocjacji z Unią Kolonialną.

Hierarchini odezwała się dopiero po dłuższej chwili milczenia.

– Pokażcie mi moją córkę.

Sagan skinęła do Roentgena; Alex odwrócił się i pokazał Vyut Ser, która znów przestawiła się na kwilenie. Jared zobaczył reakcję Hierarchini – z przywódczyni całego świata, stała się najzwyczajszą, zboląłą matką, obawiającą się o los swojego dziecka.

– Jakie są wasze żądania?

– Odwołajcie wojnę.

– Mamy dwóch sojuszników. Jeśli się teraz wycofamy, będą chcieli wiedzieć dlaczego.

– Więc kontynuujcie przygotowania do wojny. A potem zaatakujcie jednego z waszych sprzymierzeńców. Sugerowałabym Rraeyów. Są słabi, i moglibyście ich pokonać przez zaskoczenie.

– A co z Obinami?

– My się rozprawimy z Obinami.

– Doprawdy?

– Tak.

– Więc sugerujesz, żebyśmy po prostu ukryli to, co dzisiaj wieczorem się tu stało? Wiązki cząstek, których użyliście do zniszczenia mojego pałacu widać było z odległości setek mil.

– Nie trzeba tego ukrywać, trzeba przeprowadzić śledztwo. Unia Kolonialna chętnie pomoże w zbadaniu tej sprawy swoim eneshańskim przyjaciołom. A kiedy wyjdzie na jaw, że to sprawka Rraeyów, będziecie mieli uzasadnienie do wypowiedzenia im wojny.

– Jakież dalsze żądania?

– Wiemy o istnieniu człowieka, który nazywa się Charles Boutin. Wiemy, że wam pomaga. Macie go nam przekazać.

– Nie mamy go. Mają go Obinowie. Możecie ich o niego poprosić, jeśli o mnie chodzi. Coś jeszcze?

– Chcemy zapewnienia, że odwołacie tę wojnę.

– Chcecie podpisać traktat?

– Nie. Chcemy nowego królewskiego małżonka, wybranego przez nas. Te słowa wzbudziły wśród dworu najgłośniejszy klekot.

– Najpierw mordujecie mojego małżonka, a potem chcecie mi wybrać następnego? – z niedowierzaniem zapytała Hierarchini.

– Zgadza się. Dokładnie tego żądamy.

– Co wam z tego przyjdzie? – Hierarchini odezwała się błagalnym tonem. – Moja Vyut została konsekrowana! Jest teraz legalną następczynią tronu. Jeśli spełnię wasze żądania i uwolnicie moją córkę, to wciąż będzie ona należeć do klanu Hio, który, zgodnie z naszą tradycją, dalej będzie miał wpływ na naszą politykę. Żeby odebrać im te wpływy, musielibyście moją córkę zabić. – Nagle na chwilę zamilkła, a potem zaczęła mówić dalej. – A jeśli to zrobicie, to nie ma powodu, żebym spełniła którekolwiek z waszych żądań.

- Hierarchini, twoja córka została wysterylizowana. Zapadła cisza.
- Nie zrobiliście tego – Hierarchini odezwała się po chwili błagalnym tonem.
- Zrobiliśmy to.

Hierarchini potarła o siebie swoje przypominające szczękoczułki odpowiedniki warg i wydała z siebie przesywający odgłos. Rozpłakała się. Wstała z tronu, wyszła poza kadr i po chwili znów się w nim pokazała, za blisko kamery.

- Jesteście potworami! – wrzasnęła. Sagan nie odpowiedziała.

Nie można odwołać konsekracji następczyni. Bezpłodna następczyni tronu oznaczała koniec dynastii. Koniec dynastii oznaczał długie lata krwawej wojny domowej, w wyniku której plemiona chciałyby ustanowić panowanie nowej dynastii. Jeśli wszystkie plemiona dowiedzą się, że następczyni tronu została wysterylizowana, nie będą czekać z rozpoczęciem wyniszczającej wojny do czasu naturalnego objęcia władzy przez następczynię. Najpierw zamordowano by urzędującą Hierarchinię, żeby władzę mogła przejąć jej następczyni. Potem próbowano by zamordować nową władczynię. Kiedy władza znajduje się w zasięgu ręki, nikt nie chce cierpliwie na nią czekać.

Sterylicując Vyut Ser, Unia Kolonialna skazała dynastię Ser na zapomnienie, a całą Eneshę na anarchię. Chyba, że Hierarchini zgodziłyby się na żądania Unii i wydała zgodę na coś niewymownie okropnego. Hierarchini dobrze o tym wiedziały.

A jednak dalej z tym walczyła.

- Nie pozwolę na to, żebyście wybrali mi małżonka.
- W takim razie, poinformujemy przywódczynię wszystkich klanów, że twoja córka jest bezpłodna.

– Więc zniszczę wasz transportowiec w tym miejscu, w którym się teraz znajduje i zginiecie razem z moją córką! – Hierarchini zaczęła wrzeszczeć.

– Proszę bardzo. I wszystkie przywódczynie dowiedzą się, że twoja niekompetencja doprowadziła nas do zaatakowania was i spowodowała śmierć twojego małżonka i twojej następczyni. A potem, kiedy będziesz chciała wybrać sobie nowego małżonka, plemiona mogą ci nie pozwolić wybrać żadnego ze swoich mężczyzn. I zostaniesz bez małżonka, i bez następczyni. Nie będzie następczyni, nie będzie też pokoju. Dobrze znamy historię Eneshy, Hierarchini. Zdarzało się tak w przeszłości, że plemiona odmawiały władczyniom królewskiego małżonka z błahszych powodów; i zwykle te szukające chłopca władczyni nie rządziły potem zbyt długo.

– Teraz tak się nie stanie – zapewniła Hierarchini. Sagan wzruszyła ramionami.

– Więc nas zabij. Albo odrzuć nasze żądania, a my zwrócimy ci wysterylizowaną córkę. Albo zrób tak, jak radzimy i zapewnij sobie naszą współpracę w utrzymywaniu twojej dynastii przy władzy, co pozwoli ci uniknąć wyniszczającej wojny domowej. To ty dokonasz wyboru. Ale twój czas na podjęcie decyzji właśnie mija.

Jered obserwował grę emocji na twarzy i ciele Hierarchini; była dziwna, bo obca, ale niezwykle wyrazista. Było to ciche, rozrywające serce zmaganie. Jared przypomniał sobie, jak w czasie odprawy Sagan poinformowała ich, że ludzie nie zamierzają zwyciężyć Eneshan na polu bitwy; będą musieli złamać ich psychologicznie. Jared obserwował, jak Hierarchini zgina się, i zgina, i zgina – aż w końcu się złamała.

– Kogo mam pojąć za męża? – zapytała w końcu.

– Hu Gelna.

Hierarchini obróciła się w stronę stojącego za nią Hu Gelna i wydała z siebie eneshański odpowiednik gorzkiego śmiechu.

– Nie jestem zaskoczona – odparła po chwili.
– To dobry Eneshanin – zapewniła Sagan. – I będzie ci służył radą.
– Jeśli jeszcze raz spróbujesz mnie pocieszać, ludzka istoto, pošlę nas wszystkich na straszną wojnę.
– Przepraszam, Hierarchini. A więc przyjmujesz nasze warunki?
– Tak – odparła Hierarchini i znów zaczęła płakać. – O Boże! – krzyknęła. – Moja Vyut!

O Boże!

– Wiesz, co musimy zrobić? – zapytała Sagan.
– Nie mogę! Nie mogę! – Słyszając krzyki Hierarchini, Vyut Ser, do tej pory cicha, ożywiła się i zaczęła wzywać matkę. Hierarchini znów się załamała.

– Musimy to zrobić.
– Proszę – błagała najpotężniejsza istota na tej planecie. – Nie mogę tego zrobić. Proszę, pomóż mi, ludzka istoto!

::Dirac, zrób to:: – rozkazała Sagan.

Jared wyjął nóż z pochwy i podszedł do tej rzeczy, za którą umarła Sarah Pauling. Przypięta do łóżeczka wiała się i płacząc wołała swoją matkę. Umrze tu samotna i przerażona, z dala od tych, którzy ją kochali.

Jared też się załamał. Sam nie wiedział dlaczego.

Jane Sagan podeszła do Jareda, wyjęła mu nóż z dłoni i uniosła go do góry. Jared odwrócił się, żeby tego nie widzieć. Płacz ucichł.

CZĘŚĆ II

ÓSMY

Wszystko to spowodowały czarne żelowe cukierki.

Jared zobaczył je, kiedy szperał na stoisku w jednej z kantyn Stacji Kosmicznej Feniks.

Najpierw nie zwrócił na nie uwagi, bardziej zainteresowany czekoladą. Ale jego wzrok ciągle do nich wracał; leżały w małym pojemniku, oddzielone od reszty zmieszanych ze sobą żelków.

– Dlaczego leżą oddzielnie? – Jared spytał sprzedawczynię, kiedy jego wzrok po raz piąty wrócił do czarnych żelków. – Co jest w nich takiego szczególnego?

– Ludzie albo je uwielbiają, albo ich nie znoszą. Ci, którzy ich nie znoszą – a jest ich większość – nie lubią ich nawet oddzielać od reszty żelków. A ludzie, którzy za nimi przepadają, lubią mieć osobną torebkę swoich ulubionych cukierków. Więc zawsze trzymam je osobno.

– A do którego rodzaju ludzi pani należy?

– Nie znoszę ich. Ale mój mąż nigdy nie ma ich dość. Żeby mnie zdenerwować, zawsze specjalnie chucha na mnie, kiedy ma je w ustach. Kiedyś skopałam go za to z łóżka. A pan nigdy nic jadł czarnych żelków?

– Nie miałem dotąd okazji. – Trochę śliny naciekło mu do ust. – Ale chyba spróbuję.

– Jest pan dzielnym człowiekiem. – Ekspedientka nappełniła cukierkami przezroczystą plastikową torebkę. Jared wziął ją do ręki i wyjął z niej dwa żelki, podczas gdy sprzedawczyni nabijała zamówienie na kasę; będąc w KSO, Jared nie musiał płacić za słodczyce (podobnie jak wszystko inne, według słów w samych żołnierzy KSO były one z góry opłacone w tej

darmowej podróży do piekła), jednak sprzedawcy zawsze zapisywali, co sprzedają żołnierzom, żeby potem obciążyć rachunkami konto KSO.

Jared włożył dwa żelki do ust, rozgniół je zębami trzonowymi i potrzymał je chwilę w ślinie pod językiem, żeby dobrze poczuć ich smak, który poprzez podniebienie rozprzestrzenił się, aż do jego zatok. Zamknął oczy i uzmysłowił sobie, że są tak samo dobre, jak pamiętał.

Wziął pełną garść i wpakował sobie do ust.

– I jak smakują? – zapytała kobieta, widząc jego entuzjastyczną konsumpcję.

– Są dobre – odpowiedział Jared z pełnymi ustami. – Naprawdę dobre.

– Powiem mężowi, że jego drużyna zyskała kolejnego członka.

– Dwoje członków – poprawił ją. – Moja mała dziewczynka też je lubi.

– To jeszcze lepiej – rzekła sprzedawczyni, ale Jared zdążył już odejść, zatopiony w myślach, kierując się z powrotem w stronę swojego biura. Zrobił dziesięć kroków, przełknął wypełniające mu usta cukierki, sięgnął po kolejne i stanął.

Moja mała dziewczynka, pomyślał i nagle poczuł straszliwy żal; powracające wspomnienie wzbudziło w nim konwulsje. Zakrztusił się i wymiotował żelki na podłogę korytarza. Kiedy z ust wypadały mu ostatnie cukierki, w jego głowie pojawiło się imię.

Zoe, pomyślał Jared. Moja córeczka. Moja córeczka nie żyje.

Czyjaś ręka dotknęła jego ramienia. Jared odsunął się i poślizgnął na własnych wymiocinach, torba z cukierkami wypadła mu z ręki. Spojrzał na ubraną w jakiś rodzaj munduru KSO kobietę, która go dotknęła. Popatrzyła na niego dziwnie i usłyszał w głowie ostre, szybkie brzęczenie, przypominające dziesięciokrotnie przyspieszoną ludzką mowę.

Brzęczenie powtórzyło się jeszcze raz, i jeszcze raz, jak dwa policzki wymierzone komuś we wnętrzu jego głowy.

- Co jest?! – Jared wrzasnął na kobietę.
- Dirac, uspokój się. Powiedz mi, co się dzieje.

Jared był zdezorientowany i przestraszony. Szybko odszedł od kobiety, potrącając w pośpiechu innych przechodniów.

Jane Sagan obserwowała, jak Dirac się oddala, potem spojrzała na ciemną plamę zwymiotowanych żelków, przeniosła wzrok na stoisko z cukierkami i podeszła do niego.

- Ej, ty – zwróciła się do sprzedawczyni. – Powiedz mi, co się stało.
- Podeszedł jakiś koleś i kupił trochę czarnych żelków. Powiedział, że je uwielbia i wziął do ust pełną garść. Potem zrobił parę kroków i zwymiotował.
- To wszystko? – zapytała Sagan.
- Tak, to wszystko. Powiedziałam parę słów o tym, że mój mąż lubi czarne żelki, a on powiedział, że jego córka też je lubi, wziął cukierki i odszedł.
- A więc mówił o swoim dziecku?
- Tak. Powiedział, że ma małą córkę.

Sagan rozejrzała się po korytarzu. Diraca nie było już widać. Zaczęła biec w stronę miejsca, w którym widziała go po raz ostatni, jednocześnie próbując otworzyć połączenie z generałem Szilardem.



Jared doszedł do windy w chwili, w której wychodzili z niej ludzie. Nacisnął guzik poziomu swojego laboratorium i nagle spostrzegł, że jego ręka jest zielona. Odsunął ją od siebie tak gwałtownie, że uderzyła w ścianę windy – ostry ból uzmysłowił mu, że to jednak jego ręka, i że nie uda mu się od niej uciec. Ludzie w windzie spojrzeli na niego ze zdziwieniem, a

jedna z kobiet wręcz z jadowitą złością – o mało co nie uderzył jej w twarz, kiedy przestraszył się własnej ręki.

– Przepraszam – wymamrotał. Kobieta wzruszyła ramionami i znów zaczęła patrzeć przed siebie nieobecny wzrokiem, jak zwykle robią to ludzie w windzie. Jared zrobił to samo i dostrzegł rozmazane odbicie swojej zielonej postaci w wypolerowanej powierzchni metalowej ściany windy. Pełen zmieszania niepokój dosięgał w nim w tym momencie granic przerażenia; wiedział tylko jedno – nie zamierzał narobić w spodnie w windzie pełnej obcych ludzi. Społeczne uwarunkowania okazały się silniejsze niż panika wynikająca z pomieszania tożsamości. Gdyby tam, we wnętrzu windy, spokojnie czekając na swoje piętro, Jared zadał sobie pytanie o to, kim jest, musiałby przyznać, że nie zna dokładnej odpowiedzi. Jednak nie zadał sobie tego pytania; w toku zwykłej codzienności, ludzie nie kwestionują swojej tożsamości. Wiedział, że bycie zielonym nie jest czymś prawidłowym, jego laboratorium znajdowało się trzy poziomy niżej od miejsca, w którym znajdował się w tej chwili. Wiedział też, że jego córka Zoe nie żyje.

Winda w końcu dojechała na właściwe piętro. Wszedł z niej na szeroki korytarz. Na tym poziomie Stacji Kosmicznej Feniks nie było stoisk z cukierkami ani kantyn – był to jeden z dwóch poziomów stacji oddany w całości Działowi Badań Wojskowych. Pod ścianami korytarza, w odległości mniej więcej trzydziestu metrów od siebie, porozstawiani byli monitorujący przechodniów żołnierze KSO. Na początku każdego z kolejnych odcinków korytarza umieszczone były skanery biometryczne, sprawdzające również protezy mózgowie MózGościów i kontrolujące przechodzących obok nich ludzi. Jeśli dana osoba nie miała prawa wstępu do danego korytarza, strażnicy KSO mogli przechwycić ją, zanim tam weszła.

Jared wiedział, że powinien mieć wstęp do większości z tych korytarzy, wątpił jednak w to, żeby jego dziwne zielone ciało zostało tam wpuszczone. Ruszył pewnym krokiem w stronę korytarza, w którym znajdowało się jego biuro i laboratorium. Może do czasu, gdy tam dotrze, uda mu się wymyślić, co robić dalej. Był prawie na miejscu, kiedy spostrzegł, że wszyscy strażnicy KSO, których mijał, odwracają się i patrzą w jego stronę.

Cholera, pomyślał Jared. Jego korytarz znajdował się niecałe piętnaście metrów od niego. Powodowany impulsem ruszył biegiem w jego stronę i zdziwił się, z jaką prędkością jego ciało usłuchało jego rozkazów. Pilnujący korytarza żołnierz również się zdziwił; podniósł do góry swojego Empaka, ale nie zdążył go użyć, bo Jared był od niego o wiele szybszy. Jared popchnął go z całą siłą rozpędu. Żołnierz odbił się od ściany korytarza i upadł.

Jared przeskoczył nad nim, nie zaburzając rytmu kroków i pobiegł w kierunku znajdujących się w odległości sześćdziesięciu metrów w głąb korytarza drzwi laboratorium. Kiedy biegł, zaczęły wyc syreny i automatycznie zamknęły się zasuwawy awaryjnych drzwi; Jared z ledwością przeskoczył próg wysuwających się ze ścian korytarza drzwi, które mogły go oddzielić od jego celu w niecałe pół sekundy.

Jared dopadł do drzwi swojego laboratorium i otworzył je z rozmachem. W środku znajdował się technik działu badań wojskowych KSO i jeden Rraey. Jared znieruchomiał pod wpływem poznawczego dysonansu, spowodowanego przez przebywającego w jego własnym laboratorium Rraeya. Po chwili po ciele przebiegł mu dreszcz przenikliwego strachu – nie bał się Rraeya, tylko nie chciał, żeby przyłapano go na robieniu czegoś niebezpiecznego, strasznego i podlegającego srogiej karze. Mózg Jareda wyteżył swoje siły, szukając w pamięci wytłumaczenia tego strachu, jednak jego wysiłek spełził na niczym.

Rraey poruszył głową w jego stronę, obszedł biurko, za którym stał do tej pory i podszedł do Jareda. – Ty jesteś nim, prawda? – zapytał Rraey dziwnie wymawianą, choć zrozumiałą angielszczyzną.

– Kim?

– Żołnierzem, którego stworzyli, żeby złapać zdrajcę w pułapkę. Ale im się to nie udało.

– Nie wiem, o czym mówisz. To moje laboratorium. Kim jesteś? Rraey znowu dziwnie poruszył głową.

– A może jednak ostatecznie im się udało. Jestem Cainen wskazał na siebie. -Naukowiec i więzień. Teraz już wiesz, kim jestem. A czy wiesz, kim ty jesteś?

Jared otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale zdał sobie sprawę, że nie wie kim jest. Stał tam, jak głupek, z otwartymi ustami, do chwili, kiedy parę sekund potem otworzyły się awaryjne drzwi. Kobieta w mundurze, z którą wcześniej rozmawiał, weszła przez nie, uniosła pistolet i strzeliła mu w głowę.



::Pierwsze pytanie:: – rozpoczął generał Szilard. Jared leżał w izbie chorych Stacji Kosmicznej Feniks, dochodząc do siebie po ogłuszającym strzale. W nogach jego łóżka stało dwóch żołnierzy KSO, Jane Sagan stała pod ścianą. – ::Kim jesteś?::

::Jestem szeregowy Jared Dirac.:: – Nie spytał, kim jest Szilard; jego MózGościu natychmiast go zidentyfikował. MózGościu Szilarda bez najmniejszego trudu mógł zrobić to samo, więc w tym pytaniu nie chodziło o prostą identyfikację. – ::Stacjonuję na „Latawcu”.

Moim oficerem przełożonym jest porucznik Sagan, która stoi pod ścianą,::

::Drugie pytanie. Czy wiesz, kim jest Charles Boutin?::

::Nie wiem, sir. A powinienem?::

::Być mo że. To właśnie w jego laboratorium cię znaleźliśmy. Tamtemu Rraeyowi powiedziałeś, że to twoje laboratorium. Z czego wynika, że przynajmniej przez minutę uważałeś, że jesteś Charlesem Boutinem. Porucznik Sagan powiedziała, że nie reagowałeś na swoje nazwisko, kiedy próbowała się z tobą porozumieć.::

::Pamiętam, że nie wiedziałem, że jestem sobą. Ale nie przypominam sobie, żebym myślał, że jestem kimś innym.::

::Ale udało ci się dotrzeć do laboratorium Boutina, chociaż nigdy przedtem tam nie byłeś. Wiemy, że za pomocą swojego MózGościa nie wszedłeś na stronę mapy stacji, a jednak trafiłeś tam bez chwili wahania.::

::Nie potrafię tego wytłumaczyć. Ta wiedza po prostu pojawiła się w mojej głowie.:: – Jared zobaczył, że usłyszawszy to, Szilard znacząco spojrział na Sagan.

Drzwi otworzyły się i weszło przez nie dwóch mężczyzn. Jeden z nich pochylił się nad Jaredem, zanim jego MózGościu zdążył go zidentyfikować i zapytał: – Wiesz, kim jestem?

Cios pięści Jareda posłał go na podłogę. Strażnicy unieśli lufy swoich Empaków a Jared podniósł do góry obie ręce, czując, że opada uderzająca mu do głowy fala adrenaliny.

Mężczyzna wstał a MózGościu Jareda w końcu go zidentyfikował. To był generał Greg Mattson, szef Działu Badań Wojskowych KSO.

– To jest odpowiedź na moje pytanie – rzekł Mattson, zakrywając dłonią prawe oko i poszedł je obejrzeć do znajdującej się tuż obok toalety.

– Nie bądź tego taki pewien – zapewnił Szilard i zwrócił się do Jareda. – Szeregowy, znacie tego człowieka, którego właśnie uderzyliście?

– Teraz już wiem, że to generał Mattson. Ale nie wiedziałem tego, kiedy go uderzyłem.

– A dlaczego go uderzyłeś?

– Nie wiem, sir. Po prostu...

– Szeregowy, proszę odpowiedzieć na pytanie! – nalegał Szilard. – Wydawało mi się, że była to najodpowiedniejsza rzecz, jaką mogłem w tym momencie zrobić. Sam nie wiem, dlaczego.

– Wygląda na to, że pewne rzeczy mu się przypominają – Szilard zwrócił się do Mattsona. – Ale nie pamięta wszystkiego. I nie pamięta kim był.

– Bzdura – zawołał Mattson z łazienki. – Przypomniał sobie wystarczająco dużo, żeby walnąć mnie na powitanie w twarz. Ten sukinsyn czekał na to od lat.

– Być może już przypomniał sobie wszystko, ale stara się nas przekonać, że wcale tak nie jest, panie generale – powiedział do Szilarda drugi z nowoprzybyłych mężczyzn.

MózGościu Jareda zidentyfikował go jako pułkownika Jamesa Robbinsa.

– To możliwe – zauważył Szilard. Ale jak dotąd jego zachowanie tego nie potwierdza. Gdyby naprawdę był Boutinem, to nie leżałoby w jego interesie zawiadomienie nas o tym, że cokolwiek sobie przypomniał. A zwalenie generała z nóg także nie byłoby zbyt sprytnym posunięciem.

– To nie miało być sprytne, tylko oczyszczające – powiedział Mattson, wychodząc z toalety. – Odwrócił się do Jareda i wskazał na swoje oko, otoczone szarym siniakiem, powstałym w wyniku międzynaczyniowego wysięku Sprytnej Krwi. – Na Ziemi nosiłbym to limo przez parę tygodni. W gruncie rzeczy powinienem cię za to zastrzelić.

– Generale... – zainteresował Szilard.

– Spokojnie, Szi. Zgadzam się z tobą. Boutin nie byłby na tyle głupi, żeby mnie uderzyć, więc to nie jest Boutin. Jednak wychodzą z niego jakieś części Boutina i chciałbym wiedzieć, ile uda nam się z tego wyciągnąć.

– Wojna, którą usiłował wywołać Boutin, nie wybuchnie, panie generale – wtrąciła się Jane Sagan. – Eneshanowie zwrócą się teraz przeciwko Rraeyom.

– No cóż, pani porucznik, to naprawdę cudownie – rzekł sarkastycznie Mattson. – Ale to oznacza eliminację zagrożenia ze strony dwóch spośród trzech wrogów. Obinowie wciąż mogą planować coś przeciwko nam i skoro Boutin jest z nimi, to być może nie powinniśmy przedwcześnie ogłaszać zwycięstwa i odwoływać badań. Wciąż musimy się zorientować, ile tak naprawdę Boutin wie. W czasie tego szeregowego kołaczą się dwie osobowości i być może powinniśmy tylko jakoś bardziej zachęcić tę drugą do wyjścia na zewnątrz.. – odwrócił się w stronę Jareda. – Co wy na to, szeregowy? Nazywają was Brygadami Duchów, ale tylko ty jeden naprawdę masz czyjś ducha w głowie. Chcesz, żeby stamtąd wyszedł?

– Z całym należnym szacunkiem, sir, nie mam zielonego pojęcia, o czym pan mówi.

– Oczywiście, że nie masz. Najwyraźniej nie wiesz nic o Charlesie Boutinic oprócz tego, gdzie znajduje się jego cholerne laboratorium.

– Wiem jeszcze jedną rzecz. Wiem, że miał córkę. Generał Mattson ostrożnie dotknął swojego prawego oka.

– Tak, kiedyś miał córkę – opuścił rękę i zwrócił się do Szilarda. – Chcę, żebyś mi go oddał z powrotem, Szi – Zauważył, że porucznik Sagan rzuca Szilardowi spojrzenie; bez wątpienia przesyłała mu właśnie jedną z tych telegraficznie skrótowych mentalnych wiadomości, którymi Siły Specjalne

posługują się zamiast mowy. – Tylko na jakiś czas, pani porucznik. Kiedy skończymy, oddamy go wam z powrotem. Obiecuję, że go nie uszkodzę.

Ale nie wydobędziemy z niego nic użytecznego, jeśli zginie w czasie jakiejś misji.

– Przedtem nie przeszkadzało panu, że mógł zginąć w czasie którejś z misji, Sir.

– No tak, ta zasmarkana hardość Sił Specjalnych. Ciekawe, co z pani wyrośnie, kiedy będzie pani miała sześć lat.

– Mam dziewięć lat – poprawiła generała.

– A ja sto trzydzieści, więc proszę słuchać swojego pra-pra-pradziadka. Wcześniej nie obchodziło mnie, czy zginie, bo nie sądziłem, że może nam się do czegoś przydać. Teraz może okazać się użyteczny, więc wolałbym, żeby nie zginął. Jeśli jednak okaże się, że w niczym nam nie pomoże, to będzie pani go mogła sobie zabrać z powrotem i wtedy może sobie zginąć dziesięć razy, jeśli o mnie chodzi. I tak nie ma pani w tej sprawie nic do powiedzenia. A teraz proszę się łaskawie zamknąć i pozwolić dorosłym porozmawiać. Sagan zdusiła w sobie odpowiedź i zamilkła.

– Co zamierzasz z nim zrobić? – zapytał Szilard.

– Rzecz jasna zamierzam mu się przyjrzeć pod mikroskopem. Dowiedzieć się, czemu wyciekają z niego wspomnienia i zobaczyć, czy nie uda się tej nieszczelności powiększyć. – Wskazał kciukiem na stojącego z tyłu adiutanta. – Oficjalnie będzie asystentem Robbinsa.

Nieoficjalnie, jak myślę, będzie spędzał dużo czasu w laboratorium. Ten rraeyski naukowiec, którego od was dostaliśmy, całkiem dobrze sobie tam radzi. Zobaczmy, co uda nam się zrobić z jego pomocą.

– Myślisz, że można zaufać Rraeyowi?

– Kurwa, Szi. Nie pozwalamy mu się wysrać bez kamery w dupie. A bez tego swojego lekarstwa umrze w ciągu jednego dnia. To jedyny spośród

moich naukowców, któremu mogę bezgranicznie zaufać.

– No dobrze. Dałeś mi go, kiedy o niego poprosiłem, więc teraz ja dam go tobie. Ale pamiętaj, że on jest jednym z nas, generale. Wiesz, jaki mam stosunek do wszystkich moich ludzi.

– Tak, i obiecuję, że będę o tym pamiętał.

– Rozkaz transferu leży w twojej gestii. Kiedy tylko go zatwierdzisz, będzie twój. -Szilard skinął Robbinsowi i Sagan, spojrzął na Jareda i wyszedł.

Mattson zwrócił się do Sagan:

– Jeśli macie sobie coś do powiedzenia na pożegnanie, to zróbcie to teraz.

– Dziękuję, panie generale. ::Co za dupek!:: – przesłała do Jareda.

::Wciąż nie wiem, co się dzieje, ani kim jest Charles Boutin. Próbowałem wejść do danych na jego temat, ale wszystkie są tajne.::

::Niedługo wszystko zrozumiesz. Ale chciałabym, żebyś zapamiętał jedną rzecz, niezależnie od tego, czego się dowiesz. Ostatecznie jesteś Jaredem Dirakiem. Nikim innym.

Niezależnie od tego, jak i dlaczego cię stworzono. Niezależnie od tego, co się stanie. Czasem ja sama o tym zapomniałam, i jest mi teraz z tego powodu przykro. Ale chcę, żebyś o tym pamiętał.::

::Będę o tym pamiętał.::

::To dobrze. Kiedy zobaczysz się z tym Rraeyem, o którym mówili, to ma on na imię Cainen. Powiedz mu, że porucznik Sagan prosi go, żeby się tobą zajął. Powiedz mu, że uznam to za przysługę.::

::Już się z nim spotkałem, ale powtórzę mu to.::

::Przepraszam, że postrzeliłam cię ładunkiem ogłuszającym w głowę, ale sam wiesz, jak to jest.::

::Wiem. I dziękuję za wszystko. Do widzenia, pani porucznik.:: Sagan wyszła. Mattson wskazał palcem strażników.

– Wy dwaj jesteście wolni. – Strażnicy wyszli. – Szeregowy – zwrócił się do Jareda. -Zamierzam pracować w przeświadczeniu, że twój dzisiejszy mały atak nie będzie się powtarzał. Od tej chwili twój MózGościu jest ustawiony w taki sposób, że możemy za jego pomocą lokalizować cię i nagrywać wszystkie twoje aktywności, więc nie zrobisz nam żadnych niespodzianek i zawsze będziemy wiedzieć, jak cię znaleźć. Jeśli choć raz zmienisz ustawienia, to każdy żołnierz na Stacji Feniks dostanie rozkaz zabicia cię na miejscu. Nie będziesz mógł mieć żadnych prywatnych myśli dopóki nie dowiemy się dokładnie, co i kogo masz w głowie. Zrozumiano?

– Tak jest.

– Doskonale. Witam w Dziale Badań Wojskowych, synu.

– Dziękuję, sir. A teraz może ktoś w końcu mógłby mi powiedzieć, o co w tym wszystkim do cholery chodzi?

Mattson uśmiechnął się i odwrócił w stronę Robbinsa.

– Ty mu powiedz – powiedział, i wyszedł.

– Hm... – Robbins odchrząknął. – Cześć.



– Ma pan tutaj całkiem ładnego siniaka – Cainen wskazał na skroń Jareda. Mówił w swoim ojczystym języku, a MózGościu Jareda tłumaczył to na angielski.

– Dziękuję. Zostałem postrzelony. – Jared także mówił w swoim języku. Po tylu miesiącach Cainen opanował angielski w co najmniej zadowalającym stopniu i dzięki temu, bez konieczności korzystania z tłumacza, rozumiał co się do niego mówi.

– Przypominam sobie. Przecież tam byłem. Tak się składa, że też zostałem kiedyś ogłuszony przez porucznik Sagan. Moglibyśmy we dwóch założyć Klub Ogłuszonych – Cainen odwrócił się do Harry’ego Wilsona, który stał w pobliżu. – Możesz do nas dołączyć, Wilson.

– Chyba się nie zdecyduję. Pewien mądry człowiek powiedział kiedyś, że nigdy nie wstąpi do żadnego klubu, który będzie chciał przyjąć na członka kogoś takiego jak on. Poza tym, nie chcę dostać w łeb.

– Tchórz – rzekł Cainen.

– Do usług.

– Przejdźmy do rzeczy – kontynuował Rraey, znów odwracając się w stronę Jareda. – Ma pan jakieś pojęcie o tym, dlaczego się pan tu znalazł?

Jared przypomniał sobie odbytą poprzedniego dnia, trudną i ogólnikową rozmowę z pułkownikiem Robbinsem.

– Pułkownik Robbins wyjaśni! mi, że powołano mnie do życia po to, aby przenieść świadomość tego Charlesa Boutina do mojego mózgu, ale mój mózg jej nie przyjął.

Powiedział mi też, że Boutin prowadził tu jakieś badania naukowe, a potem stał się zdrajcą.

Powiedział mi także, że te moje „nowe” wspomnienia, tak naprawdę są dawnymi wspomnieniami Boutina i że nikt nie wie, dlaczego pojawiają się dopiero teraz, a nie wcześniej.

– Czy podał panu jakieś szczegółowe informacje dotyczące życia osobistego i zawodowego Boutina? – zapytał Wilson.

– Właściwie to nie. Powiedział tylko, że jeśli dowiem się zbyt dużo na jego temat, to być może wpłynie to niekorzystnie na naturalny proces odzyskiwania pamięci. Czy to prawda?

Wilson tylko wzruszył ramionami. Zamiast niego odezwał się Cainen.

– Ponieważ jest pan pierwszym człowiekiem, któremu przydarzyło się coś takiego, więc nie mamy precedensów, z których moglibyśmy czerpać doświadczenia, pozwalające zaplanować dalsze postępowanie. Pański przypadek najbardziej przypomina pewne typy amnezji. Wczoraj udało się panu znaleźć to laboratorium i przypomnieć sobie imię córki Boutina, chociaż zrobił pan to nieświadomie. To przypomina amnezję źródłową. Jednak podstawową różnicę stanowi fakt, że nie wraca panu pańska pamięć, tylko pamięć kogoś innego. – A więc także nie wiecie, w jaki sposób wydobyć ze mnie więcej wspomnień?

– Mamy na ten temat pewne teorie – rzeki Wilson.

– Teorie... – powtórzył Jared.

– Lepiej byłoby powiedzieć, hipotezy – uściślił Cainen. – Wiele miesięcy temu powiedziałem porucznik Sagan, że świadomość Boutina nie przyjęła się w panu, bo była świadomością osoby dorosłej, a usiłowano ją wtłoczyć do niekształtowanego, pozbawionego własnych doświadczeń mózgu, w którym po prostu nie mogła znaleźć punktu zaczepienia.

Ale teraz przecież ma już pan życiowe doświadczenia, prawda? Siedem miesięcy spędzonych na wojnie zapewni dojrzałość każdemu umysłowi. Być może któreś z pańskich doświadczeń zadziałało jak most prowadzący do wspomnień Boutina.

Jared wrócił myślami do niedawnej przeszłości.

– W czasie mojej ostatniej misji – zaczął po chwili – zginęła bardzo ważna dla mnie osoba. Natomiast Boutin stracił córkę. – Jared nie powiedział Cainenowi o zamordowaniu Vyut Ser, i o tym, jak się załamał, trzymając w ręku nóż, którym miał ją zabić. Ale sam doskonale o tym pamiętał.

Cainen ze zrozumieniem pokiwał głową, świadomy tego, że ludzie porozumiewają się również za pomocą znaków niewerbalnych.

- Tak, to mógł być ten moment – potwierdził.
- Więc dlaczego wspomnienia nie powróciły właśnie w tamtym momencie, tylko w chwili, kiedy po powrocie na Stację Feniks, jadłem czarne żelki?
 - „Pamięć rzeczy minionych” – odpowiedział Wilson.
 - S łucham? – Jared spojrział na Wilsona.
 - Właściwie lepszym tłumaczeniem oryginalnego tytułu jest „W poszukiwaniu straconego czasu”. To powieść Marcela Prousta. Książka zaczyna się od tego, że główny bohater, po zjedzeniu zamoczonego w herbacie ciastka, doświadcza niezwyklej aktywności pamięci i zostaje wprost zalany przez wspomnienia z dzieciństwa. W ludzkim wnętrzu istnieją głębokie powiązania między zmysłami i wspomnieniami. Zjedzenie tamtych żelków mogło uwolnić przykre wspomnienia, szczególnie, jeśli żelki te były kiedyś dla Boutina w jakiś sposób znaczące.
 - Przypominam sobie, jak powiedziałem, że to były ulubione cukierki Zoe, córki Boutina. Miała na imię Zoe.
 - To mogło w zupełności wystarczyć – zgodził się Cainen.
 - Więc być może po prostu powinien pan zjeść więcej żelków – zażartował Wilson.
 - Zjadłem ich więcej – przyznał Jared, zupełnie poważnie. Poprosił pułkownika Robbinsa o przyniesienie mu nowej torebki. Zawstydzony tym, że przedtem wymiotował parę metrów od stoiska z cukierkami, nie zdobył się na to, żeby pójść po nie samemu. Potem siedział w swojej nowej kwaterze z torebką w rękę i powoli jadł czarne żelki przez godzinę.
 - I co? – zapytał Wilson. Jared tylko potrząsnął głową.
 - Coś panu pokażę, panie szeregowy – rzekł Cainen i nacisnął jeden z klawiszy swojej klawiatury. Na wmontowanym w biurko ekranie pokazały się trzy świetlne punkty. Cainen wskazał na jeden z nich. – To jest

przedstawienie świadomości Charlesa Boutina, której kopię, dzięki jego zmyślności i pracowitości, mamy nagraną. Następne światełko to przedstawienie pańskiej własnej świadomości, pobrane od pana w czasie szkolenia. – Jared wyglądał na zaskoczonego. – Tak jest, panie szeregowy, cały czas mieli pana na oku; od chwili swoich narodzin był pan ich królikiem doświadczalnym. Ale to tylko przedstawienie, w przeciwieństwie do świadomości Boutina, pańska nie została zarejestrowana. Trzeci obraz pokazuje pańską świadomość w tej chwili – kontynuował Cainen. – Nie ma pan wiedzy potrzebnej do właściwego odczytania tych przedstawień, ale nawet dla niewyszkolonego oka wyraźnie różni się od dwóch pozostałych. Myślimy, że wczoraj pański mózg po raz pierwszy dał znać o tym, co odebrał ze świadomości Boutina. Wczorajszy incydent pana zmienił, prawdopodobnie już na zawsze. Czuje pan to?

Jared przez chwilę się zastanawiał.

– Nie czuję żadnej różnicy – odezwał się w końcu. – Mam nowe wspomnienia, ale nie wydaje mi się, żebym zachowywał się inaczej, niż zwykle.

– Jeśli pominiemy powalenie generała jednym ciosem pięści – wtrącił Wilson.

– To był niefortunny wypadek.

– Nieprawda! – z nagłym ożywieniem zaprotestował Cainen. – Moim zdaniem sprawy mają się tak: urodził się pan, żeby być jedną osobą. Stał się pan inną. A teraz, staje się pan trzecią osobą, będącą kombinacją pierwszych dwóch. Jeśli poprowadzimy ten proces dalej, jeśli nam się to uda, pojawi się w panu więcej tego, co kiedyś było Boutinem. Zmieni się pan.

Zmieni się cała pańska osobowość, być może w dramatyczny sposób. Stanie się pan kimś zupełnie innym od tego, kim jest pan teraz. Chcę się

upewnić, że pan to rozumie, ponieważ zamierzam pozwolić panu wybrać, czy chce pan, żeby to się stało, czy też nie.

– Ja mam o tym zdecydować?

– Tak jest, pan sam ma dokonać wyboru. A nie robi pan tego zbyt często.

– Wskazał na Wilsona. – Porucznik Wilson sam zdecydował, że chce tak żyć; z własnej woli zaciągnął się do Kolonialnych Sił Obrony. Panu, podobnie jak wszystkim innym żołnierzom Sił Specjalnych nie dano możliwości dokonania takiego wyboru. Czy zdaje sobie pan sprawę z tego, że żołnierze Sił Specjalnych są w istocie niewolnikami? Nie decydujecie kiedy i o co chcecie walczyć. Nie macie prawa odmówić. Nie macie nawet prawa wiedzieć o tym, że odmowa jest możliwa.

Ten tok rozumowania sprawiał, że Jared czuł się nieswojo.

– My to widzimy inaczej. Jesteśmy dumni z tego, co robimy.

– Oczywiście, że jesteście z tego dumni. Tak właśnie warunkowano wasz mózg od chwili narodzin, od chwili aktywacji waszych mózgów, kiedy wasi MózGoście myśleli za was, wybierając te a nie inne gałęzie na drzewie decyzji. Kiedy wasze mózgi były już zdolne do samodzielnego myślenia, ścieżki rozumowania poza obrębem obszarów, w których dokonuje się wyborów, były już wytyczone.

– Cały czas dokonuję jakichś wyborów – sprzeciwił się Jared.

– Ale nie tych istotnych. Wcześniejsze uwarunkowanie i tryb wojskowego życia same w sobie stanowią wybory, które zaciążą nad całym waszym krótkim życiem. Ktoś inny zdecydował się pana stworzyć – tak samo jak innych. A potem zdecydowano, że do pańskiego mózgu zostanie wdrukowana świadomość innej osoby. Potem pewni ludzie zdecydowali, że zrobią z pana wojownika. Wybrali bitwy, w których wziął pan udział. I kiedy było im wygodnie, zdecydowali się przekazać pana nam. I chętnie

zdecydowałoby się zgnieść pański mózg jak jajko, pozwalając świadomości Charlesa Boutina rozlać się po pańskiej. A ja chcę dać panu wybór.

– Dlaczego?

– Ponieważ mogę to zrobić. I ponieważ pan powinien móc dokonać tego wyboru, a nikt inny na to nie pozwoli. To pańskie życie, szeregowy. Jeśli zdecyduje się pan kontynuować ten proces, zasugerujemy panu sposoby, które – jak sądzimy – uwolnią więcej wspomnień i innych aspektów osobowości Boutina.

– A jeśli się nie zgodzę? Co się wtedy stanie?

– Wtedy powiemy Działowi Badań Wojskowych, że odmawiamy zrobienia z panem czegokolwiek – wyjaśnił Wilson.

– Znajdą kogoś innego, kto zrobi to za was. – Bez wątpienia – przyznał Cainen. – Ale najpierw pan dokona wyboru, zresztą my również.

Jared zdał sobie sprawę z tego, że Cainen miał rację. Wszystkie decydujące o jego życiu wybory zostały podjęte przez kogoś innego. Jego własną decyzyjność ograniczono do codziennych drobiazgów i do sytuacji bojowych, w których dokonanie niewłaściwego wyboru mogło oznaczać jego śmierć. Nie uważał się za niewolnika, ale musiał przyznać, że nigdy nie wziął pod uwagę takiej możliwości, że nie byłby żołnierzem Sił Specjalnych.

Gabriel Brahe powiedział im w czasie szkolenia, że po trwającej dziesięć lat służbie będą mogli zostać kolonistami i nikt nigdy nawet nie spytał o to, dlaczego właściwie muszą te dziesięć lat odsłużyć. Całe szkolenie i rozwój osobowości żołnierzy Sił Specjalnych podporządkowane były potrzebom drużyny albo plutonu; nawet integracja – dająca Siłom Specjalnym taką przewagę w czasie walki – polegała na rozprowadzeniu indywidualnych doznań i ekspresji w obrębie grupy żołnierzy.

Na myśl o integracji Jared nagle poczuł się bardzo samotny. Kiedy przysłyły nowe rozkazy, jego integracja z Drugim Plutonem została wyłączona. Ciągły, basowy pomruk myśli i emocji innych żołnierzy jego plutonu zniknął w przepastnej pustce. Gdyby nie był w stanie skupić się na pierwszych doświadczeniach swojej odizolowanej jeszcze wtedy świadomości, chyba by zwariował w chwili, kiedy nagle przestał odczuwać swój pluton. Ale i tak trudno mu było się pozbierać. Większą część pierwszego dnia spędził pogrążony w głębokiej depresji. To była amputacja, brutalna i krwawa, jedynie świadomość tymczasowości tej sytuacji pozwalała mu jakoś znieść ten ból.

Z rosnącym zaniepokojeniem coraz lepiej zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo jego życie było zaplanowane, nakazane i dowodzone przez innych. Zdał sobie również sprawę z tego, jak nieprzygotowany był do dokonania wyboru, którym obciążył go Cainen. W pierwszym odruchu chciał się natychmiast zgodzić kontynuować proces, żeby dowiedzieć się więcej o Charlesie Boutinie, o człowieku, którym miał być, i którym (w pewien sposób) się stanie. Ale nie był pewien, czy naprawdę tego chciał, czy tylko chciał zrobić coś, czego od niego oczekiwano. Poczul żal – ale nie do Unii Kolonialnej, czy do Sił Specjalnych, tylko do Cainena -za postawienie go w sytuacji, w której musiał poddawać w wątpliwość siebie samego i swoje wybory, albo brak tych ostatnich.

– A co pan by zrobił? – Jared spytał Cainena.

– Nie jestem panem – odparł i odmówił dalszej rozmowy na ten temat. Wilson również w żaden sposób mu nie pomógł. Obaj odeszli do swoich zajęć. Jared myślał, wpatrując się w trzy przedstawienia świadomości, które były nim samym, każda na swój sposób.

– Dokonałem wyboru – powiedział Jared, ponad dwie godziny później. – Chcę to kontynuować.

– Może mi pan powiedzieć dlaczego?

– Bo chcę się więcej o tym wszystkim dowiedzieć. – Wskazał na obraz trzeciej świadomości. – Mówi pan, że się zmieniam. Że staję się kimś innym. Wierzę panu. Ale wciąż czuję się sobą. I myślę, że niezależnie od tego, co się stanie, wciąż będę sobą. Chcę wiedzieć więcej. Mówi pan, że my z Sił Specjalnych jesteśmy niewolnikami. Nie będę się z panem spierał. Ale powiedziano nam także, że jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy przyszli na ten świat w jakimś celu: mamy dbać o bezpieczeństwo innych ludzi. Nie dano mi możliwości wybrania sobie tego celu wcześniej, ale wybieram go teraz, zupełnie świadomie.

– Wybiera pan bycie niewolnikiem.

– Nie. Przestałem być niewolnikiem w chwili, w której dokonałem tego wyboru.

– Ale i tak wybrał pan drogę, którą wybraliby dla pana ci, którzy stworzyli pana niewolnikiem.

– To mój wybór. Jeśli Boutin chce nam zaszkodzić, to ja chcę go powstrzymać.

– To oznacza, że może się pan stać podobny do niego – wtrącił się Wilson.

– Pierwotnie miałem po prostu być nim. Bycie podobnym do niego zostawia mi miejsce na bycie mną.

– Więc to jest pański wybór – rzeki Cainen.

– To jest mój wybór – potwierdził Jared.

– Boże, dzięki! – z wyraźną ulgą westchnął Wilson. Cainen także wyglądał na zadowolonego. Jared spojrzał na nich obu ze zdziwieniem.

– Nie rozumiem.

– Rozkazano nam wyciągnąć z pana tak dużo Charlesa Boutina, ile tylko będzie można -wyjaśnił Cainen. – Gdyby powiedział pan nie, a my

odmówilibyśmy wykonania rozkazów, to prawdopodobnie byłoby to dla mnie wyrokiem śmierci. Jestem jeńcem wojennym. Obdarzono mnie pewną, skądinąd niewielką, swobodą działania tylko dlatego, bo zdecydowałem się być użyteczny. W chwili, w której przestanę być użyteczny, KSO pozbawi mnie codziennych dostaw lekarstwa, które trzyma mnie przy życiu. Albo zdecydują się zabić mnie w jakiś inny sposób. Porucznik Wilson prawdopodobnie nie zostanie rozstrzelany za niewykonanie rozkazów, ale z tego, co słyszałem, więzienia KSO nie należą do najprzyjemniejszych.

– Skazani za niesubordynację zameldowują się, ale się nie odmeldowują – dodał Wilson.

– Dlaczego mi tego wcześniej nie powiedzieliście?

– Bo to mogłoby utrudnić panu dokonanie samodzielnego wyboru – oświadczył Wilson.

– Ustaliliśmy między sobą, że pozwolimy panu podjąć decyzję i poniesiemy jej konsekwencje – mówił dalej Cainen. – Kiedy już sami dokonaliśmy w tej kwestii wyboru, chcieliśmy mieć pewność, że pan będzie miał w tej sprawie tak samo wolny wybór, jak my.

– Dzięki, że zdecydował się pan kontynuować – rzekł Wilson. – Prawie się zesrałem czekając, aż dokona pan tego cholernego wyboru.

– Przykro mi – bąknął Jared.

– Proszę już o tym nie myśleć. Teraz musi pan dokonać kolejnego wyboru.

– Przygotowaliśmy dwa sposoby, które naszym zdaniem wydobędą z obecnej w panu świadomości Boutina obfitszy strumień wspomnień – zaczął tłumaczyć Cainen. – Pierwszy jest wariacją na temat protokołu transferu świadomości, użytego na początku do umieszczenia w pańskim

mózgu Boutina. Możemy powtórzyć protokół i osadzić świadomość po raz drugi.

Teraz, kiedy pański mózg jest o wiele dojrzałszy, jest szansa, że przyjmie się znaczna część świadomości, być może nawet cała; to także jest możliwe. Jednak może to spowodować naprawdę poważne zmiany.

– Na przykład? – zapytał Jared.

– Pańska świadomość może zostać zupełnie wymazana w momencie osadzania się nowej -wyjaśnił Wilson.

– Aha, rozumiem.

– Sam pan widzi, że to problematyczne – dodał Cainen.

– Chyba chciałbym tego uniknąć – mruknął Jared.

– Też wolelibyśmy tego uniknąć – odparł Cainen. – W takim razie pozostaje nam mniej inwazyjny plan B.

– Który polega na...?

– ...podróży po krętej drodze pamięci – wyjaśnił Wilson. – Żelki to dopiero początek.

DZIEWIĄTY

Pułkownik James Robbins spojrział w górę na planetę Feniks, unosząc się ponad nim, pośrodku czarnego nieba. Znowu tu jestem, pomyślał. Generał Szilard zauważył jego dyskomfort.

– Nie przepada pan zbyt za generalską mesą, prawda pułkowniku? – zapytał i włożył do ust kolejny kawałek steku.

– Nienawidzę jej – przyznał Robbins, zanim zdążył zastanowić się nad słowami, które wychodzą z jego ust. – Sir – dodał pośpiesznie.

– Trudno mi pana za to winić – odezwał się Szilard znad swojej wołowiny. – Cały ten pomysł, żeby zabronić tu jedzenia oficerom poniżej generalskiego stopnia jest bezdennie głupi. A tak przy okazji, jak pańska woda?

Robbins spojrział na stojącą przed nim szklanę lodowatej wody.

– Rozkosznie orzeźwiająca, Sir.

Szilard zatoczył widelcem krąg pokazujący całe wnętrze generalskiej mesy.

– Wie pan, że to przez nas? Mam na myśli Siły Specjalne.

– Jak to?

– Generałowie Sił Specjalnych chętnie przyprowadziliby tu wszystkich podwładnych -nie tylko oficerów, ale i zwykłych szeregowców. Ponieważ poza sytuacjami bojowymi, nikt w Siłach Specjalnych nie dba o szarżę i stopnie. Więc przychodzili tu wszyscy żołnierze Sił Specjalnych, jedli smaczne steki i gapili się w Feniksa nad swoimi głowami. To denerwowało innych generałów – wkurzało ich nie tylko to, że przebywali tu żołnierze niżsi stopniem; drażnił ich także fakt, że ci szeregowcy należeli do Brygad

Duchów. Tak było dawno temu, w czasach, kiedy sama myśl o żołnierzach liczących sobie mniej niż rok życia, przyprawiała was, naprawdę urodzonych, o ciarki.

– Wciąż przyprawia nas o ciarki. Przynajmniej czasami.

– Tak, wiem. Ale teraz lepiej to ukrywacie. W każdym razie, po jakimś czasie, naprawdę urodzeni generałowie orzekli, że ta piaskownica należy tylko do nich. Od tej pory wszyscy inni dostają tutaj co najwyżej szklanki takiej rozkosznie orzeźwiającej wody. Tak więc w imieniu Sił Specjalnych, przepraszam pana za tę niewygodę, pułkowniku.

– Dziękuję, panie generale. I tak nie jestem głodny.

– To dobrze. – Znow odkroił kawałek steku. Pułkownik Robbins pożerał oczami zawartość generalskiego talerza. Prawdę mówiąc, był głodny, ale uznał, że nie wypada mu się do tego przyznawać. Robbins zanotował sobie w pamięci na wypadek następnego spotkania w generalskiej mesie: najpierw coś zjeść. Szilard przełknął kęs steku i znow zwrócił uwagę na Robbinsa. – Słyszał pan o systemie Esto, pułkowniku? Niech pan nie szuka go w górze, tylko powie, czy o nim słyszał?

– Chyba o nim nie słyszałem.

– A o Krana? Mauna Kea? Sheffield?

– Znam Mauna Kea na Ziemi. Ale zakładam, że mówi pan o czymś innym.

– To prawda – Szilard znowu użył swojego widelca jako wskaźnika, kierując go w punkt położony nad wschodnią odnogą stacji. – Tam znajduje się system Mauna Kea, tuż poza horyzontem skokowym Feniksa. Jest tam nowa kolonia.

– Hawajska?

– Oczywiście, że nie. W większości tamilska, z tego, co mówią moje dane. To nie koloniści nazwali ten system, oni po prostu tam mieszkają.

- Co jest w tym systemie takiego interesującego?
- Fakt, że niecałe trzy dni temu zniknął tam krążownik Sił Specjalnych.
- Został zaatakowany? Zniszczono go?
- Nie. Po prostu zniknął. Straciliśmy z nim kontakt, kiedy tylko przybył do systemu. – Czy zdążył skontaktować się z kolonią?
- Nie miał tego robić – oświadczył generał płaskim tonem, sugerującym Robbinsowi, że nie powinien domagać się zbyt szczegółowych informacji. Robbins zrozumiał sugestię i nie zadał kolejnego pytania.
- Być może coś przydarzyło się temu okrętowi, w chwili ponownego wejścia w rzeczywistą przestrzeń – powiedział zamiast tego.
- Posłaliśmy tam bezzałogowy skokowy statek badawczy. Nie znalazł ani krążownika, ani czarnej skrzynki, ani żadnych szczątków na domniemanej trasie jego lotu. Nie znalazł zupełnie nic. Okręt po prostu zniknął.
- To dziwne.
- Nie. Naprawdę dziwne jest to, że to już czwarty okręt Sił Specjalnych, który zniknął w tym miesiącu.
- Robbins tępo wpatrywał się w Szilarda.
- Straciliście cztery krążowniki? W jaki sposób?
- No cóż, pułkowniku, gdybyśmy to wiedzieli, już byśmy siedzieli komuś na karku. To, że w tym momencie siedzę przed panem i jem ten stek, świadczy o tym, że podobnie jak wszyscy inni, nie znamy odpowiedzi na to pytanie.
- Ale uważacie, że ktoś za tym stoi. Przecież to nie jest tylko sprawa samych okrętów i ich napędu skokowego.
- Oczywiście. Zniknięcie jednego okrętu uznalibyśmy za niefortunny przypadek. Zniknięcie czterech w ciągu miesiąca to już pieprzona prawidłowość. To nie jest sprawa okrętów ani ich napędu.

– Więc jak pan myśli, kto za tym stoi? Szilard zirytowany odłożył swoje sztucce.

– Chryste, Robbins. Myślisz pan, że rozmawiam z panem, bo nie mam przyjaciół? Robbins krzywo się uśmiechnął, wbrew sobie samemu.

– A więc, Obinowie.

– Tak, Obinowie. Ci sami, którzy ukrywają gdzieś Charlesa Boutina. Wszystkie systemy, w których zniknęły nasze okręty są albo blisko rodzimej przestrzeni Obinów, albo planet, o które Obinowie walczyli. Mamy tylko ten wątek, to niewiele, ale to wszystko, co mamy w tym momencie. Nie wiemy dlaczego, ani w jaki sposób to się stało. Miałem nadzieję, że pan pomoże nam to wyjaśnić.

– Więc pewnie chce pan wiedzieć, gdzie jesteśmy w sprawie szeregowego Diraca.

– Jeśli można. – Szilard znów chwycił swoje sztucce.

– Powoli nam to idzie – przyznał Robbins. Myślimy, że tamten wyłom w pamięci pojawił się pod wpływem stresu i pewnych bodźców zmysłowych. Nie możemy sztucznie postawić go w stanie takiego napięcia, jakie daje walka, ale stopniowo wprowadzamy go w różne dziedziny życia Boutina.

– Za pomocą jego dokumentów?

– Nie. A przynajmniej nie za pomocą dokumentów napisanych, lub nagranych na temat Boutina przez innych ludzi. Nie pochodzą od niego samego, a my nie chcemy wprowadzać punktu widzenia zewnętrznego obserwatora. Cainen i porucznik Wilson pracują za pomocą danych źródłowych, czyli nagrań, zapisków i rzeczy Boutina.

– Ma pan na myśli przedmioty, które do niego należały?

– Przedmioty, które do niego należały, rzeczy, które lubił – proszę sobie przypomnieć tamte czarne żelki – a także przedmioty należące do innych ludzi, których znał. Zabraliśmy także Diraca w miejsca, w których Boutin

dorastał i żył. Jak pan wie, pochodził z Feniksa. To krótki rejs wahadłowcem.

– To miło, że urządzacie mu wycieczki krajoznawcze – powiedział Szilard, odrobinę uszczypliwie. – Ale sam pan powiedział, że nie idzie wam to zbyt szybko.

– Wychodzi z niego coraz więcej Boutina. Ale większość z tego wyjawia się w jego osobowości. Czytałem profil psychologiczny szeregowca Diraca; do tej pory był raczej typem biernym i pasywnym. To raczej jemu przydarzały się różne rzeczy, nie on je powodował. W czasie pierwszego tygodnia pobytu u nas też tak się zachowywał. Ale w ciągu ostatnich trzech tygodni stał się bardziej asertywny i zdecydowany w swoich dążeniach. A to bardziej pasuje do psychologicznego profilu Boutina.

– A więc coraz bardziej zaczyna przypominać Boutina. To dobrze. Zaczął sobie coś więcej przypominać?

– I właśnie o to chodzi. Pamięć wraca mu w bardzo niewielkim stopniu. Wracają najczęściej wspomnienia dotyczące jego życia rodzinnego, nie zawodowego. Odtwarzaliśmy mu dotyczące spraw zawodowych nagrania głosu Boutina, ale wysłuchał ich obojętnie i nic się nie stało. Ale wystarczy mu pokazać zdjęcie córki Boutina, to przez minutę jest dziwnie niespokojny, a potem zaczyna opowiadać, w jakich okolicznościach to zdjęcie zostało zrobione. To frustrujące.

Szilard przez chwilę żuł mięso, myśląc nad czymś. Robbins skorzystał z okazji i napił się wody ze szklanki. W rzeczywistości nie była tak orzeźwiająca, jak twierdził.

– Wspomnienia córki nie wywołują żadnych innych, niezwiązanych z nią bezpośrednio wspomnień?

– Czasami to się zdarza. Zdjęcie Boutina z córką, zrobione w jakiejś placówce badawczej, w której stacjonował, przywołało parę wspomnień na

temat projektów, nad jakimi tam pracował. Chodziło o wczesne stadium badań nad buforowaniem świadomości, zanim wrócił na Stację Feniks i zaczął pracować nad tym wykorzystując pochodzącą od Consu technologię. Ale nie przypomniało mu się nic użytecznego, nic, co pomogłoby nam zrozumieć, dlaczego Boutin stał się zdrajcą.

– Pokażcie mu inne zdjęcia córki Boutina.

– Pokazaliśmy mu już wszystko, co udało nam się znaleźć. Nie ma tego zbyt dużo. Niestety nie mamy też żadnych związanych z nią przedmiotów, żadnych zabawek ani rysunków, niczego w tym rodzaju.

– Dlaczego?

Robbins wzruszył ramionami.

– Umarła przed powrotem Boutina na Stację Feniks, chyba po prostu nie chciał przywozić tu ze sobą jej rzeczy.

– To naprawdę interesujące. – Wyglądał, jakby skupiał wzrok na czymś znajdującym się w dużej odległości, co znaczyło, że odczytywał jakieś dane za pomocą swojego MózGościa.

– Co takiego?

– Kiedy pan mówił, wyciągnąłem sobie akta Boutina. Boutin jest Kolonialnym, ale jego praca dla Unii Kolonialnej wymagała stacjonowania w oddziałach Działu Badań Wojskowych. Ostatnim miejscem, w jakim pracował przed powrotem tutaj była Stacja Badawcza Covell.

S łyssał pan o niej?

– Nazwa brzmi znajomo. Ale jakoś nie mogę jej sobie umiejscowić.

– Tu jest napisane, że była to placówka przystosowana do badań w stanie nieważkości. Prowadzili tam jakieś prace z zakresu biomedycyny, dlatego Boutin tam się znalazł, jednak głównie zajmowali się różnymi rodzajami broni i systemami nawigacyjnymi. O, tutaj jest coś interesującego: stacja była umieszczona dokładnie nad planetarnym systemem pierścieniowym.

Unosiła się zaledwie kilometr nad jego powierzchnią. Używali szczątek pierścienia do testowania systemów nawigacji na bliską odległość.

Robbins wreszcie załapał. Skaliste planety z systemami pierścieni były rzadkością, a jeszcze rzadziej ludzie zakładali na nich kolonie. Większość kolonistów wolała nie mieszkać w miejscach, w których częstym zjawiskiem były spadające z nieba kawałki skał wielkości stadionu. Tylko nad jedną z takich planet orbitowała stacja Działu Badań Wojskowych.

– Omagh.

– Omagh – potwierdził Szilard. – Która już nie należy do nas. Nigdy nie udało nam się udowodnić, że Obinowie bezpośrednio zaatakowali stację i kolonię. Być może najpierw Rraeyowie zdobyli kolonię, a potem z kolei, kiedy byli osłabieni po tamtej wojnie z nami, zaatakowani zostali przez Obinów. To jeden z powodów, dla których nie chcieliśmy potem odbierać im Omagh siłą. Wiemy zresztą, że uznali system za swoją własność całkiem szybko, zanim zdążyliśmy na serio pomyśleć o jego odbiciu.

– I córka Boutina była w tej kolonii – dodał pułkownik.

– Z listy ofiar wynika, że przebywała na stacji. – Szilard przesłał Robbinsowi listę do wglądu. – Stacja była na tyle duża, że znalazło się na niej miejsce dla kwater rodzinnych.

– O Jezu!

– No wie pan – niedbale mruknął Szilard, wkładając sobie do ust ostatni kawałek steku. -W czasie ataku Stacja Badawcza Covell nie została całkowicie zniszczona. Dysponujemy danymi, z których wynika, że przetrwała atak prawie bez szwanku.

– Okay.

– Kwatery rodzinne także.

– Okay, okay. Już mogę panu powiedzieć, że nie podoba mi się, w jaką stronę to zmierza.

– Powiedział pan, że pamięć Diraca najsilniej odpowiada na stres i bodźce zmysłowe. Wzięcie go w miejsce, w którym umarła jego mała córeczka, w miejsce, w którym być może zachowały się jeszcze jakieś rzeczy po niej, trzeba by uznać za doznanie zmysłowe o silnym natężeniu.

– Jest tylko mały problem; cały ten system znajduje się w tym momencie w rękach Obinów.

Szilard wzruszył ramionami.

– I w tym miejscu na scenę wchodzi stres. – Generał położył sztucę na talerzu w pozycji „zrobione” i odsunął go od krawędzi stołu.

– General Mattson przejął szeregowego Diraca, ponieważ nie chciał, żeby zginął w czasie walki. Wysłanie go do przestrzeni Omagh stoi raczej w sprzeczności z tym pragnieniem, panie generale.

– No cóż, pragnienie generała by trzymać Diraca z dala od wszelkiego niebezpieczeństwa, musi zostać utemperowane przez fakt, że zniknęły cztery moje okręty z ponad tysiącem moich ludzi na pokładach. Ostatecznie Dirac wciąż jest żołnierzem Sił Specjalnych. Mógłbym wymusić takie rozwiązanie.

– Mattsonowi by się to nie spodobało.

– Mnie również. Moje stosunki z generałem układają się całkiem dobrze, pomimo jego protekcyjnego stosunku wobec Sił Specjalnych i mnie samego.

– Tu nie chodzi tylko o pana – powiedział Robbins. – On wszystkich traktuje protekcyjnie.

– Tak, dla wszystkich jest takim samym dupkiem. Ale jest tego świadomy, co w jego oczach jest powodem do dumy. I niech tak będzie, bo nie mam ochoty poznawać bliżej jego gorszej strony. Ale zrobię to, jeśli będę musiał. Jednak nie sądzę, żeby to było konieczne. Podszedł kelner,

żeby zabrać talerz Szilara. Generał zamówił deser. Robbins poczekał na odejście kelnera i zapytał:

– Dlaczego pan tak uważa?

– A jakby pan zareagował, pułkowniku, gdybym powiedział panu, że mamy już w okolicy Omagh żołnierzy Sił Specjalnych, którzy zaczynają przygotowywać ponowne przejęcie systemu?

– Podszedłbym do tego sceptycznie. Ten rodzaj aktywności prędzej czy później zostałby zauważony, a Obinowie są bezwzględni i bezlitośni. Na pewno nie tolerowaliby ich obecności w swojej przestrzeni.

– Co do tego ma pan rację. Ale pański sceptycyzm byłby nieuzasadniony. Siły Specjalne mają w Omagh swoich ludzi od ponad roku. Byli nawet we wnętrzu Stacji Coveil. Myślę, że możemy tam zabrać szeregowego Diraca tam i z powrotem nie zwracając niczyjej uwagi.

– W jaki sposób?

– Będziemy bardzo ostrożni. I użyjemy paru nowych zabawek.

Kelner przyniósł generałowi deser – dwa duże ciastka z płatkami czekolady. Robbins nie mógł przestać się na nie gapić. Uwielbiał ciastka z płatkami czekolady. Przełknął ślinę.

– Zdaje pan sobie z tego sprawę, panie generale, że jeśli nie uda się panu ukryć Diraca przed Obinami, to na pewno go zabiją, pański tajny plan odzyskania Omagh wyjdzie na jaw, a wszystkie informacje na temat Boutina, jakie nosi w sobie jeszcze Dirac, zginą razem z nim.

– Istnieje takie ryzyko. – Szilard zabrał się za ciastko. – Ale ryzyko zawsze jest wliczone w cenę. Jeśli weźmiemy się za to i spartaczymy robotę, to zostaniemy wydymani jak się patrzy. Ale jeśli tego w ogóle nie spróbujemy zrobić, to być może Dirac nigdy nie odzyska wspomnień Boutina i będziemy bezbronni wobec tego, co Obinowie zaplanowali wobec nas. I też zostaniemy wydymani jak się patrzy. Ale jeśli rzeczywiście ma się

nam to przydarzyć, to wolę zostać wydymanym na stojąco, a nie klęcząc na kolanach, pułkowniku.

– Ma pan bardzo żywą wyobraźnię, panie generale.

– Dziękuję, pułkowniku. – Szilard podsunął w stronę Robbinsa drugie ciastko. – Proszę to zjeść. Widziałem, jak pożerał je pan oczami.

Robbins przez chwilę wpatrywał się w ciastko, a potem rozejrzał się po mesie.

– Nie mogę tego przyjąć – powiedział w końcu.

– Ależ oczywiście, że pan może.

– Nie powinienem tu niczego jeść – jęknął Robbins.

– I co z tego? Pieprzyć ich. To głupia zasada i pan o tym wie. Więc proszę ją złamać. Proszę zjeść to ciastko.

Robbins przysunął ciastko do siebie i wpatrywał się w nie ponuro.

– Dobry Boże! Czy muszę panu wydać rozkaz, żeby pan to zjadł?

– To mogłoby pomóc przyznał Robbins.

– No dobrze. Panie pułkowniku, rozkazuję panu zjeść to pieprzone ciastko! Robbins wykonał rozkaz. Kelner był oburzony.



– Proszę spojrzeć – Harry Wilson zwrócił się do Jareda, kiedy weszli do ładowni „Shikry”. – Oto pański rydwan.

Wspomniany „rydwan” składał się z plecionego z włókna węglowego siedzenia z osłoną, dwóch, umieszczonych po jego bokach niezwykle małych silników jonowych o słabej mocy i ograniczonej manewrowości, oraz z umieszczonego tuż za siedzeniem obiektu o rozmiarach niewielkiej łódówki. – To bardzo brzydki rydwan – ocenił Jared.

Wilson zachichotał. W ciągu ostatnich tygodni poczucie humoru Jareda znacznie się poprawiło, a przynajmniej zaczęło bardziej trafiać w upodobania Wilsona – przypominało mu sarkastyczność Charlesa Boutina, którą dawniej tak sobie cenił. Przemiana ta wzbudzała w Wilsonie zarówno radość, jak i nieufność; radość z faktu, że wysiłki jego i Cainena przynoszą w końcu zauważalne efekty; nieufność, ponieważ Boutin był, mimo wszystko, odszczepieńcem i zdrajcą swojego gatunku. Wilson na tyle zdążył polubić Jareda, że nie życzył mu podobnego losu.

– To prawda, jest brzydki, ale to ostatni krzyk techniki. Poklepać przypominający lodówkę obiekt. – Oto najmniejszy z dotychczas stworzonych napędów skokowych. Jeszcze gorący, dopiero co wyszedł z montażowni. Jego zaletą jest nie tylko wielkość; tworząc go dokonaliśmy największego od dziesięcioleci skoku w technologii napędu skokowego.

– Niech zgadnę, to urządzenie powstało w oparciu o technologię Consu, którą skradliśmy Rraeyom.

– Mówi to pan w ten sposób, jakby to było coś złego.

– No cóż – Jared postukał się palcem w głowę. – Jak pan wie, znalazłem się w tej trudnej sytuacji z powodu technologii Consu. Można więc powiedzieć, że w tej kwestii brakuje mi neutralności.

– Świetnie pan to ujął, ale to cudo jest naprawdę słodkie. Pracował nad nim mój przyjaciel i dużo z nim o tym rozmawiałem. Większość napędów skokowych można uruchamiać tylko w płaskiej czasoprzestrzeni. Trzeba się odpowiednio oddalić od planet, poza bezpośredni zasięg ich pól grawitacyjnych. Ten tutaj jest mniej wybredny: mo że wykorzystywać punkt Lagrange’a. Jeśli ma pan planetę z odpowiednio masywnym księżycem, to w jej bezpośrednim otoczeniu znajdzie pan w przestrzeni kosmicznej pięć punktów na tyle „płaskich grawitacyjnie”, żeby móc w

nich uruchomić ten napęd. Jeśli uda im się rozwiązać jeszcze parę drobnych problemów, to dokonają rewolucji w podróżach kosmicznych.

– Drobnych problemów? – powtórzył Jared. – Przecież zaraz będę tego używał. To brzmi dosyć groźnie.

– Problemy wynikają z tego, że napęd jest dość wrażliwy na punkcie doczepionej do niego masy. Zbyt duża masa powoduje zbyt duże miejscowe odkształcenie czasoprzestrzeni.

W wyniku tego napęd skokowy może robić dziwne rzeczy.

– Na przykład?

– Na przykład eksplodować.

– To nie brzmi zachęcająco.

– No cóż, „eksplodowanie” nie jest w tym wypadku najwłaściwszym słowem. Zapewniam pana, że prawa fizyki odpowiedzialne za to, co się wtedy naprawdę dzieje, są o wiele dziwniejsze.

– Może pan już nie mówić dalej.

– Ale nie musi się pan tym martwić. Napęd zaczyna się zachowywać niestabilnie, kiedy masa doczepionego ciężaru osiąga mniej więcej pięć ton. Dlatego właśnie ten pojazd jest taki drobny. Jego masa jest o wiele mniejsza od masy krytycznej, nawet po dołączeniu pańskiego ciężaru. Wszystko powinno działać bezproblemowo.

– Powinno... – jęknął Jared.

– Och, proszę przestać zachowywać się jak dziecko – zirytował się Wilson.

– Nie mam jeszcze roku. Mogę się zachowywać jak dziecko, kiedy tylko zechcę. A teraz proszę mi pomóc do tego wejść, jeśli by pan mógł.

Jaredowi udało się umiejscowić w plecionym siedzeniu pojazdu. Wilson zapiął mu pasy, umieścił jego Empaka w schowku znajdującym się z boku siedzenia i powiedział: – Niech pan sprawdzi systemy.

Jared aktywował MózGościa i połączył się z pojazdem. Sprawdził działanie napędu skokowego i silników jonowych; wszystko było w normie. Pojazd nie miał fizycznie istniejących przyrządów kontroli; Jared mógł w pełni kontrolować go za pomocą swojego MózGościa.

– Wszystko działa.

– Jak kombinezon?

– W porządku. – Pojazd miał otwarty kokpit; kombinezon Jareda był przystosowany do przebywania w próżni kosmicznej. W jego skład wchodził kaptur, który mógł nasuwać się w całości na jego twarz, szczelnie zamykając go w środku. Mikrorobotyczna tkanina kombinezonu była światłoczuła i przekazywała wizualne i inne elektromagnetyczne informacje prosto do MózGościa Jareda. Dzięki temu Jared był w stanie „widzieć” lepiej z oczami zakrytymi kapturem niż za ich pomocą. Wokół pasa Jareda umieszczony został system respiracyjny, który mógł, w razie potrzeby, dostarczać zdatnego do oddychania powietrza przez tydzień.

– No więc jest pan gotowy do drogi. Pańskie koordynaty zostały zaprogramowane na przeskok w tamtą stronę; tam pojawią się panu koordynaty powrotne. Proszę po prostu je wprowadzić, wygodnie usiąść, a pojazd sam zrobi całą resztę. Szilard powiedział, że ekipa ratunkowa Sił Specjalnych będzie czekać na pana po tamtej stronie. Musi się pan rozglądać za kapitanem Martinem. Prześle panu klucz potwierdzający jego tożsamość. Szilard mówi, żeby spełniać jego rozkazy co do joty. Zrozumiał pan wszystko?

– Zrozumiałem.

– Okay. Ja już idę. Zaraz wyleci stąd całe powietrze. Niech pan założy kaptur. Kiedy otworzy się śluza powietrzna, niech pan włączy program nawigacyjny, który pana stąd wyprowadzi.

– Zrozumiałem – powtórzył Jared.

– Powodzenia, Dirac. Mam nadzieję, że znajdzie pan coś użytecznego. – Wyszedł z ładowni i system podtrzymujący życie „Shikry” zaczął wysysać z niej powietrze. Jared aktywował swój kaptur; natychmiast zapadła zupełna ciemność, po czym system wysyłający sygnały wizualne kombinezonu gwałtownie ruszył, w wyniku czego znacznie poprawiło się widzenie peryferyjne Jareda.

Odgłos uciekającego powietrza ucichł całkowicie; Jared siedział w próżni. Przez metal kadłuba statku kosmicznego i włókno węglowe siedzenia poczuł, że śluza powietrzna otwiera się na oścież. Aktywował program nawigacyjny pojazdu; pojazd uniósł się nad podłogę ładowni i gładko wyślizgnął się przez bramę śluzy. W polu widzenia Jareda znajdował się również wykres trasy jego lotu i miejsce przeznaczenia, odległe o ponad tysiąc kilometrów: pozycja L4 pomiędzy planetą Feniks a jej księżycem Benu. W tym momencie w tej pozycji nie znajdował się żaden inny obiekt. Włączyły się silniki jonowe; pod wpływem rosnącego przyspieszenia, Jared poczuł stopniowy wzrost swojego ciężaru.

Napęd skokowy aktywował się, kiedy pojazd osiągnął pozycję L4. Jared zauważył nagłe i niezwykle niepokojące pojawienie się systemu szerokich pierścieni, znajdujących się w odległości niecałego kilometra ponad jego aktualnym punktem widzenia, otaczających obrzeżoną błękitem, podobną do Ziemi planetę po jego lewej. Pojazd Jareda, który wcześniej poruszał się do przodu z dużą prędkością, teraz był nieruchomy. Silniki jonowe zgasły tuż przed przeskokiem i inercyjna energia pojazdu została po tamtej stronie. Jared był z tego zadowolony. Wątpił, czy małe jonowe silniki zdołałyby zatrzymać pojazd przed uderzeniem w którąś z tworzących pierścienie skał.

::Szeregowy Dirac:: – usłyszał Jared i jego MózGościu odebrał elektroniczny sygnał klucza weryfikującego.

::Tak?::

::Tu kapitan Martin. Witamy w Omagh. Cierpliwie na nas poczekaj, już po ciebie lecimy.::

: Jeśli prześlecie mi namiary, to mogę podlecieć do was: – zaproponował Jared.

:: Wolelibyśmy, żebyś tego nie robił. Ostatnio Obinowie przeszukiwali tę okolicę dokładniej niż zwykle. Nie chcielibyśmy, aby coś zauważyli. Proszę się stamtąd nie ruszać.:: Mniej więcej minutę później, Jared zauważył, że z pierścienia lecą powoli w jego stronę trzy skały.

:: Wygląda na to, że jakieś odłamki zmierzają w moją stronę: – przesłał do Martina. – ::Zaraz usunę im się z drogi.::

::Proszę tego nie robić.::

::Dlaczego?::

::Ponieważ nie przepadamy za pościgami.::

Jared rozkazał swojemu kombinezonowi skupić się na nadlatujących skałach i powiększyć ich obraz. Po chwili zauważył, że skały mają kończyny; jedna z nich ciągnęła za sobą coś, co wyglądało na linę holowniczą. Jared patrzył, jak się zbliżają – w końcu dotarły do jego pojazdu. Jedna z nich ustawiła się naprzeciw Jareda, podczas, gdy dwie pozostałe podłączyły dwie liny. Skała była wielkości człowieka, nieregularnie półkolistą; z bliska wyglądała jak skorupa żółwia pozbawiona otworu na głowę. Z jej czterech stron wystawały symetrycznie rozmieszczone kończyny równej długości. Kończyny miały po dwa stawy obrotowe i kończyły się szerokimi dłońmi o dwóch przeciwstawnych kciukach po obu stronach. Dolna powierzchnia skały była płaska i cętkowana, przez jej środek biegła linia, która sugerowała, że może się otwierać. Na górnej powierzchni skały widać było płaskie, połyskliwe łaty; Jared podejrzewał, że są światłoczułe.

::Nie tego się spodziewałeś, panie szeregowy?:: – zapytała skała, używając głosu Martina.

::Nie, sir:: – Wszedł do swojej wewnętrznej bazy danych w poszukiwaniu gatunków inteligentnych istot przyjaznych ludziom (albo przynajmniej nie otwarcie wrogich), ale nie znalazł w niej nic, co choćby w przybliżeniu przypominałoby to stworzenie. – ::Ponieważ nie przepadamy za pościgami::Spodziewałem się jakiegoś człowieka:: Jared odczuł przeszywający, elektroniczny odgłos rozbawienia.

::My jesteśmy ludźmi, szeregowy. Tak samo jak ty::

::Nie wyglądacie jak ludzie:: – Jared natychmiast pożałował swoich słów.

::Oczywiście, że nie, ale nie żyjemy też w zwykłych dla ludzi warunkach. Zostaliśmy przystosowani do odmiennych warunków::

::A gdzie żyjecie?::

Jedna z kończyn Martina zatoczyła krąg wokół niego.

::Tutaj. Zostaliśmy przystosowani do życia w przestrzeni kosmicznej. Mamy ciała odporne na próżnię. Fotosyntetyczne pręgi dostarczają nam energii:: – Martin poklepał się po dolnej pokrywie. – ::A tutaj, mamy organ zawierający zmodyfikowane algi, które dostarczają nam tlenu i niezbędnych składników organicznych. Możemy spędzać w przestrzeni kosmicznej całe tygodnie, szpiegując i sabotując Obinów, a oni nawet nie wiedzą, że tu jesteśmy. Wciąż szukają okrętów KSO. To doprowadza ich do szału::

::No myślę::

::Okay, Stross mówi mi, że możemy ruszać. Wciągniemy cię do środka jak po nitce.

Trzymaj się:: – Jared poczuł szarpnięcie, a potem delikatną wibrację nawijanej liny holowniczej, która wciągała jego pojazd do wnętrza

pierścienia. Skały dotrzymywały mu kroku, manipulując małymi silnikami odrzutowymi za pomocą tylnych kończyn. ::Urodziliście się w takiej postaci?::

::Ja nie. Pierwsze ciało tego typu stworzyli trzy lata temu. Wszystko zupełnie nowe.

Potrzebowali ochotników do wypróbowania go. Nie można było zacząć wrzucać do nich świadomości, nie testując przedtem ich działania. Musieliśmy się przekonać, czy ludzie przystosują się do tych ciał i nie zwariują. To ciało jest prawie zupełnie zamkniętym systemem. Mój algowy organ dostarcza mi tlen, pożywienie i wilgoć, a moje odpadki i nieużytki wędrują z powrotem do niego, żeby nakarmić algi. Nie musisz jeść i pić w taki sposób, w jaki ludzie to robią. Nawet nie sikasz normalnie. A jeśli nie robisz rzeczy, do których zostałeś naturalnie zaprogramowany, to odbija ci palma. Nigdy byś nie pomyślał, że nie oddawanie moczu może dręczyć twój umysł. Musieli to jakoś obejść, zanim przystąpili do produkcji na większą skalę.::

Martin wskazał na dwie pozostałe skały.

::Stross i Pohl urodzili się w tych ciałach i czują się w nich jak u siebie w domu. Kiedy opowiadam im o jedzeniu hamburgera, albo o stawianiu klocka, patrzą na mnie jak na wariata. A próba opisanie im zwykłego seksu to zupełna strata czasu.::

::Czy uprawiają seks?:: – zapytał Jared, zaskoczony.

::Nie chciałbyś się pieprzyć z wcielonym popędem seksualnym, panie szeregowy. To wada tego gatunku. Uprawiamy seks przez cały czas.:: – Wskazał na swoją dolną powierzchnię. -::Tutaj się otwieramy. Krawędzie naszego kaptura mogą się szczelnie połączyć z krawędziami innych. Wobec tego ilość pozycji, w jakich możemy to robić, jest trochę bardziej ograniczona. Wasze ciało jest bardziej giętkie niż nasze. Jednak z drugiej

strony, możemy się pieprzyć w zupełnej próżni. To naprawdę niezła sztuczka.:

::Pewnie tak.:: – Jared czuł, że kapitan zmierza w stronę obszaru „zbyt wiele informacji”.

::Ale jesteśmy oddzielnym gatunkiem, nie ma co do tego wątpliwości. Mamy nawet inny system nazewniczy niż reszta Sił Specjalnych. Nosimy nazwiska dawnych pisarzy science-fiction, a nie nazwiska naukowców. Ja też zmieniłem sobie nazwisko kiedy się przełączyłem.:

::A zamierzasz się przełączyć z powrotem? Do normalnego ciała?::

::Nie. Kiedy przełączyłem się po raz pierwszy, miałem na to ochotę. Ale do tego można się przyzwyczaić. Teraz to dla mnie norma. To także przyszłość. KSO stworzyły nas, żeby dać sobie przewagę w walce, podobnie jak stworzyły pierwszych żołnierzy Sił Specjalnych. I to się sprawdza. Jesteśmy ciemną materią. Możemy się podkraść do okrętu, a wróg myśli, że jesteśmy jakimiś meteorami, aż do chwili, kiedy nie wybuchnie pozostawiona przez nas na jego kadłubie kieszonkowa bomba atomowa. A potem wróg nie myśli już o niczym. Ale jesteśmy czymś więcej. Jesteśmy pierwszymi ludźmi organicznie przystosowanymi do życia w przestrzeni kosmicznej. Wszystkie systemy naszych ciał są organiczne, nawet MózGościu – jako pierwsi mamy w pełni organiczne MózGoście. To udoskonalenie stanie się powszechną normą, kiedy przyjdzie na świat nowa wersja ciała żołnierza Sił Specjalnych. Wszystko czym jesteśmy, wyraża się w naszym DNA. Jeśli znajdą sposób, żebyśmy mogli rozmnażać się naturalnie, wtedy naprawdę powstanie nowy gatunek: homo astrum, który będzie mógł żyć w przestrzeni międzygwiazdnej, pomiędzy planetami. Wtedy nie trzeba będzie już z nikim walczyć o posiadłości. A to będzie oznaczało zwycięstwo ludzkości.:

::Chyba, że się nie chce wyglądać jak zółw.:: – zażartował Jared.

Martin wydał z siebie ostry sygnał rozbawienia.

::Niech będzie. Tak już jest i my o tym wiemy. Sami siebie nazwaliśmy Gamcami.:: Jared myślał przez chwilę, w końcu przypomniał sobie wieczory w obozie Carson, w czasie których oglądał dziesięciokrotnie przyspieszone filmy science-fiction. ::Tak jak ten japoński potwór Gamera?:: – zapytał.

::Właśnie tak.::

::Czy też strzelacie ogniem?::

:: Spytaj o to Obinów.::

Pojazd wszedł w obręb pierścienia.



Jared zobaczył martwe ciało niemal natychmiast po tym, jak wślizgnęli się przez dziurę w ścianie Stacji Covell.

Gamery poinformowały Siły Specjalne, że Stacja Covell przetrwała atak prawie nietknięta, ale „prawie nietknięta” najwyraźniej znaczyło coś zupełnie innego dla żołnierzy, którzy dobrze się czują w absolutnej próżni. W Stacji Covell nie było powietrza, grawitacji ani żadnego życia, jedynie niektóre systemy elektryczne nadal działały dzięki panelom baterii słonecznych i solidnemu wykonaniu. Gamery dobrze znały stację; były już tu nie raz, odzyskując akta, dokumenty i przedmioty, które nie zostały zniszczone, albo przejęte przez Obinów. Nie zabierali stąd tylko martwych ciał; Obinowie wciąż co jakiś czas odwiedzali stację i mogliby zauważyć, że ilość trupów się zmniejsza. Tak więc zmarli zostali tutaj, żeby bez końca dryfować zimnymi korytarzami stacji.

Martwy mężczyzna zaklinował się w przegrodzie korytarza. Jared podejrzewał, że nie było go tutaj, kiedy powstała wyrwa w ścianie stacji,

przez którą dostali się do środka – wybuchowa dekompresja wysłałaby go w przestrzeń kosmiczną. Jared odwrócił się, żeby spytać o to Martina.

::On jest nowy:: – potwierdził Martin. – ::W każdym razie w tej sekcji. Tutaj dryfuje dużo zwłok, innych rzeczy też. Czy właśnie tego człowieka szukałeś?:: Jared skierował się w stronę trupa. Ciało mężczyzny było suche i skurczone, cała jego wilgoć dawno wyparowała. Byłby nierozpoznawalny, nawet gdyby Boutin go kiedyś znał.

Jared spojrzał na laboratoryjny fartuch mężczyzny; na tabliczce napisane było Uptal Chatterjee. Jego cienka jak pergamin skóra była zielona. Nazwisko mogło należeć do kolonisty, ale z drugiej strony mógł być przecież obywatelem któregoś z zachodnich państw.

::Nie wiem, kto to jest.::

::Więc chodźmy dalej.:: – Martin chwycił poręcz obiema lewymi rękami i ruszył w głąb korytarza. Jared szedł za nim, co jakiś czas puszczając poręcz, żeby ominąć któreś z walających się w korytarzu martwych ciał. Zastanawiał się, czy natknie się na unoszącą się w którymś z korytarzy Zoe Boutin.

Nie, powiedziała myśl. Nigdy nie znaleźli jej ciała. W ogóle znaleźli bardzo mało ciał kolonistów.

::Stop:: – przesłał Jared do Martina. ::Co się stało?::

::Usiłuję sobie coś przypomnieć.:: – Jared zamknął oczy, chociaż i tak były zasłonięte kapturem. Kiedy je otworzył, miał wyostrzone zmysły i był bardziej skoncentrowany. Wiedział już też dokładnie, dokąd chce iść.

::Chodź za mną:: – powiedział po chwili.

Jared i Martin weszli do stacji przez jej skrzydło bojowe. Bliżej jej środka znajdowało się centrum nawigacyjne i dział badań biomedycznych; w samym środku stacji znajdowało się olbrzymie laboratorium do badań w stanie nieważkości. Jared poprowadził Martina w stronę środka stacji, a

potem okrężnie korytarzami zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Co jakiś czas przepuszczał Martina i tamten otwierał zablokowane grodzie awaryjne przypominającym lewarek tłokiem. Światła w korytarzu, zasilane energią baterii słonecznych, ledwo się jarzyły; ale dzięki czułości kombinezonu Jared nie potrzebował lepszego oświetlenia.

::Jesteśmy:: – poinformował Jared. – ::To moje laboratorium. Tutaj właśnie pracowałem.: Laboratorium było pełne różnego rodzaju szczątków. Wszędzie widać było dziury po kulach. Ktoś, kto je ostatnio odwiedził na pewno nie myślał o zabezpieczeniu badawczego dorobku; raczej chciał wszystko zniszczyć. Na blatach stołów i biurek widać było ciemne plamy zaschniętej krwi. Zastrzelono tu przynajmniej jedną osobę, ale nigdzie nie widać było martwych ciał.

Jerome Kos, pomyślał Jared. Tak się nazywał mój asystent. Z pochodzenia był Gwatemalczykiem, ale jmigrował do Stanów Zjednoczonych jeszcze jako dziecko. To on miał rozwiązać problem przepełniania się pamięci buforowej...

::Kurwa!:: – zaklął Jared. Wspomnienie o Jerry'emu Kosie unosiło się w jego głowie, szukając kontekstu. Jared rozejrzał się po laboratorium w poszukiwaniu komputerów, albo innych urządzeń służących do przechowywania danych; nie znalazł tego, czego szukał, więc spytał Martina:

::Czy twoi ludzie brali stąd komputery?::

::Nie z tej pracowni. Niektóre laboratoria ogołoco z komputerów i innego sprzętu zanim udało nam się do nich dotrzeć. Obinowie musieli je zabrać wcześniej.: Jared podciągnął się do biurka, które, jak wiedział, należało do Boutina. Cokolwiek wcześniej znajdowało się na jego blacie, zdążyło już z niego odpłynąć. W szufladach biurka znalazł zapasy różnych materiałów biurowych, skoroszyty i inne, niezbyt ciekawe przedmioty tego

typu. Kiedy zamykał szufladę ze skoroszytami, dostrzegł w jednym z nich jakieś papiery.

Wyciągnął jeden; to był rysunek Zoe Boutin, z jej entuzjastycznym podpisem.

Co tydzień, po środowych zajęciach z plastyki dawała mi jeden rysunek, przypomniał sobie Jared. Przypinałem go wtedy pinezką do tablicy, a stary odkładałem do którejś ze specjalnych teczek. Nigdy żadnego nie wyrzuciłem. Spojrzał na wiszącą nad biurkiem korkową tablicę; była pełna pinezek, ale nie było na niej obrazka. Ostatni obrazek prawie na pewno unosił się gdzieś w próżni laboratorium. Jared musiał stoczyć ze sobą wewnętrzną walkę, żeby nie tracić czasu na szukanie go aż do skutku. Zamiast tego odepchnął się od biurka w stronę drzwi i znalazł się na korytarzu, zanim Martin zdążył go spytać dokąd idzie.

Martin bez słowa pospiesznie podążył za nim.

Korytarze części pracowniczej Stacji Covell były proste i sterylne; kwatery rodzinne usilnie starały się być ich przeciwieństwem. Ich podłogi pokryte były wykładzinami. W czasie zajęć z plastyki zachęcano dzieci do ozdabiania ścian korytarzy – namalowały na nich wiele słoneczek, kotów i pokrytych kwiatami wzgórz; obrazki te nie były prawdziwą sztuką; chyba, że było się rodzicem. Zalegające korytarze szczątki i ciemne plamy na ścianach działały przeciw naiwnemu urokowi tych malowideł.

Jako posiadający dziecko szef placówki badawczej, Boutin dostał większą kwaterę niż inni, choć i tak jej rozmiary były co najmniej skromne; przestrzeń na stacjach kosmicznych zawsze jest na wagę złota. Mieszkanie Boutina znajdowało się na końcu korytarza K (K jak Kot -na jego ścianach dzieci namalowały koty różnych ras i rozmiarów), mieszkał pod numerem dziesiątym. Jared udał się wzdłuż poręczy aż do drzwi z numerem dziesięć.

Drzwi były zasunięte, ale nie zamknięte na klucz. Jared otworzył je i wślizgnął się do środka.

Tak jak wszędzie indziej, w cichym pomieszczeniu nad podłogą unosiły się różne przedmioty. Jared rozpoznał niektóre z nich – książkę, która była prezentem od kolegi z uczelni. Jakiś oprawiony w ramkę obrazek. Pióro. Dywan który kupili z Cheryl w czasie ich miesiąca miodowego.

Cheryl. Jego żona, która zginęła wskutek upadku w czasie wyprawy w góry. Umarła tuż przed tym, zanim przyjechał na tę stację. Jej pogrzeb odbył się dosłownie w przeddzień wyjazdu. Przypomniawszy sobie, jak w czasie ceremonii Zoe, mocno ściskając go za rękę, co chwilę pytała go, dlaczego mama musiała odejść. Kazała mu też wtedy obiecać, że nigdy jej nie opuści. Obiecał jej to, oczywiście.

Sypialnia Boutina była naprawdę niewielka; położona tuż obok sypialnia Zoe byłaby stanowczo za mała dla kogoś, kto miałby więcej niż pięć lat. Malutkie dziecięce łóżko stało wzdłuż jednej ze ścian pomieszczenia, tak mocno wciśnięte między dwie ściany, że nawet nie uniosło się nad podłogę; materac także wciąż leżał na swoim miejscu. W całej sypialni upiornie pływały w próżni otwarte na którejsz z wesołych stron książki z kolorowymi obrazkami, zabawki i wypchane pluszaki różnej wielkości. Jeden z nich przyciągnął spojrzenie Jareda – wyciągnął rękę i chwycił go za trąbę.

To był słoń Babar. Feniks został skolonizowany zanim Unia Kolonialna przestała rekrutować kolonistów w bogatszych krajach Zachodu. Wielu spośród kolonistów miało francuskie korzenie, Boutin był jednym z nich. Babar był bardzo popularny wśród dzieci na Feniksie, podobnie jak Asterix, Miko łajek i Tin-tin, bohaterowie pochodzący z tak odległej od Feniksa planety, że dzieciarnia już prawie w ogóle nie wymieniała jej nazwy. Zoe nigdy na żywo nie widziała słońca – słońce rzadko uprawiały podróże kosmiczne – jednak od razu zakochała się w Babarze, kiedy Cheryl dała go

jej na czwarte urodziny. Po śmierci Cheryl, Babar stał się dla Zoe wiążącym ją ze zmarłą matką totemem i nigdzie się bez niego nie ruszała.

Pamiętał jak Zoe płakała za swoją maskotką, kiedy zegnał się z nią w kwaterze Helene Greene. Wyjeżdżał wtedy na Feniksa, gdzie miał odbyć parotygodniowy staż przed objęciem nowego stanowiska. Był już spóźniony, wahadłowiec miał zaraz odlecieć, więc nie miał czasu przynieść jej ukochanego słonia. W końcu uspokoił ją obietnicą, że znajdzie dla jej Babara Królową Celestynę. Udobruchana dała mu całusa i poszła bawić się ze swoim przyjacielem, Kayem Greenem. Potem zupełnie zapomniał o Babarze i Celestynie, przypomniał sobie o złożonej córce obietnicy dopiero w dniu powrotu na Stację Covell. Właśnie próbował wymyślić jakąś przekonującą wymówkę, kiedy ktoś odciągnął go na bok i powiedział, że Omagh i Covell zostały zaatakowane, że wszyscy mieszkańcy stacji i kolonii zostali zabici, że jego ukochana córka umarła samotnie, przerażona, z dala od ludzi, którzy ją kochali.

Jared trzymał Babara w rękach, kiedy runął mur oddzielający jego świadomość od wspomnień Boutina. Poczł żal i gniew Boutina, jakby to były jego własne uczucia. To było właśnie to. To było wydarzenie, które uczyniło z niego zdrajcę, śmierć jego córki, jego Zoe Jolie, radości jego życia. Jared, niezdolny dłużej się przed tym bronić, poczuł to, co czuł Boutin; przerażającą potworność mimowolnych wyobrażeń chwili śmierci jego dziecka, pusty, straszny ból, który pojawił się w jego życiu w miejscu, w którym przedtem była jego córka, i szaloną, przeżerającą go od środka chęć, by zrobić z tym coś więcej, nie tylko oddawać się rozpacz i żałobie.

Jareda zalał wezbrany potok pamięci; wzdychał głęboko za każdym razem, kiedy pojawiała się kolejna nowa rzecz i zapadała w głąb jego świadomości. Wrażenia przewalały się przez niego zbyt szybko, żeby mógł je objąć lub zrozumieć do końca, wewnętrzne drogi Boutina

odmalowywane były we wnętrzu Jareda szybkimi, gwałtownymi pociągnięciami pędzla. Jared nie odnalazł wspomnienia jego pierwszego kontaktu z Obinami; jedynie odczucie ulgi, jakby podjęcie tej decyzji uwolniło go od dręczącego bólu i ślepej wściekłości – zobaczył jednak siebie samego, jak zawiera z Obinami umowę, według której ofiarują mu bezpieczne schronienie w zamian za jego wiedzę na temat MózGościa i badań nad świadomością człowieka.

Umykały mu szczegóły dotyczące pracy naukowej Boutina; niewyszkolony umysł Jareda po prostu nie mógł w jednej chwili objąć tak wyspecjalizowanej, opisanej fachowym językiem wiedzy. Za to świetnie odbierał zmysłowe i emocjonalne aspekty powracających wspomnień; zakazaną przyjemność planowania własnej, fingowanej śmierci i ucieczki, ból rozłąki z Zoe, pragnienie opuszczenia świata ludzi i zemsty na nich.

W tym wrzącym kotle pełnym wrażeń i emocji co chwilę jak klejnoty błyskały konkretne wspomnienia. Poszczególne dane powtarzały się na rozległym polu pamięci – były to wspomnienia rzeczy, które zdarzyły się więcej niż jeden raz. W pamięci błyskały mu też iskierki innych wspomnień, tuż poza zasięgiem jego świadomości. Wiedząc, że Zoe była kluczem do jego odstępstwa nie wiedział, dlaczego właściwie ten klucz został użyty. Czuł, że odpowiedź wymyka mu się z ręki, za każdym razem kiedy po nią sięgał. To było dręczące jak wymyślna tortura.

Jared wrócił więc do jasno błyszczących, solidnych okruchów wspomnień, które miał w bezpośrednim zasięgu swojej nowej . pamięci. Jego świadomość zaczęła krążyć wokół jednego z tych samorodków; była to pobieżna transkrypcja nazwy pewnego miejsca, pochodzącej z języka istot, które mówiły zupełnie inaczej niż ludzie.

I Jared wiedział już, dokąd udał się Boutin.

Frontowe drzwi mieszkania otworzyły się i wgramolił się przez nie Martin. Zorientował się, że Jared jest w pokoju dzieciennym, odepchnął się od framugi i popłynął w tamtą stronę.

::Pora ruszać, Dirac. Varley właśnie powiedział mi, że Obmowie są już w drodze. Muszą jakoś monitorować to miejsce, może założyli podsłuch. Głupi jestem, że o tym nie pomyślałem.::

::Daj mi jeszcze minutę.::

::Nie mamy już nawet minuty.::

Zoe Dobrze.:: – Jared skierował się w stronę wyjścia, biorąc ze sobą Babara.

::To nie najlepsza pora na pamiątki z wycieczki.:: – przesłał Martin.

::Zamknij się.:: – uciszył go Jared. – ::Chodźmy.:: – Wyślizgnął się z mieszkania Boutina nie zwracając uwagi na to, czy Martin za nim nadąży.

Uptal Chatterje wciąż był w tym miejscu, w którym go przedtem zastali. Zmieniło się jedno – na zewnątrz zięjącej w kadłubie stacji wyrwy unosił się okręt zwiadowczy Obinów.

::Możemy opuścić stację inną drogą.:: – zasugerował Jared kiedy przycupnęli za ciałem Chatterjee. Jared i Martin mogli widzieć okręt pod pewnym kątem, jednak Obinowie najwyraźniej jeszcze ich nie dostrzegli.

::Pewnie, że są inne wyjścia ze stacji. Pytanie tylko, czy do nich dotrzemy, zanim pojawi się tutaj więcej tych kolesi. Z jednym damy sobie radę, jeśli będziemy musieli. Jeśli będzie ich więcej, to możemy mieć poważne problemy.::

::Gdzie jest reszta twojego oddziału?::

::W drodze tutaj. Wszelkie wyprawy poza obręb pierścieni staramy się ograniczać do niezbędnego minimum.::

::To słuszna zasada, ale nie w tej konkretnej sytuacji.:: – ocenił Jared.

::Nie rozpoznaję tego okrętu. Wygląda na nowy typ zwiadowcy. Nie wiem nawet, czy jest uzbrojony. Jeśli nie jest, to może uda nam się zlikwidować go za pomocą naszych Empaków::

Jared pomyślał przez chwilę. Po czym chwycił ciało Chatterjee i delikatnie popchnął je w stronę wyrwy w kadłubie stacji. Chatterjee powoli popłynął w jej kierunku.

::Póki co, wszystko gra:: – oświadczył Martin, kiedy trup był już w połowie na zewnątrz ściany stacji. Zamrożonym na kamień ciałem wstrząsnęły uderzenia pocisków wystrzelonych przez zwiadowczą jednostkę. Trup gwałtownie rozłożył sztywne kończyny. Po chwili kolejna seria wpadła przez ziejącą w kadłubie wyrwę. Jared poczuł plecami wibracje wzbudzone przez pociski uderzające o przeciwległą ścianę korytarza.

Jared nagle poczuł coś naprawdę dziwnego, jakby rodzaj wiercenia w mózgu.

Zwiadowca odrobinę zmienił swoją pozycję.

::Padnij!:: – usiłował powiedzieć do Martina, ale nie mógł się z nim skontaktować. Jared padł na podłogę korytarza, chwycił Martina za rękę i przyciągnął go do siebie w chwili, kiedy kolejna seria pocisków rozerwała kadłub stacji jeszcze szerzej, niebezpiecznie blisko miejsca, gdzie się teraz znajdowali.

Na zewnątrz rozjarzył się jasnopomarańczowy blask. Jared ze swojego miejsca mógł widzieć, jak okręt zwiadowczy gwałtownie się przechylił. Wystrzelony gdzieś spod niego pocisk nadleciał ostrym łukiem i uderzył w spód kadłuba zwiadowcy, rozłamując go na pół.

Jared zanotował sobie w pamięci, że Gamery naprawdę potrafią strzelać ogniem.

::...była niezła zabawa:: – powiedział Martin. – ::Teraz będziemy musieli spędzić w ukryciu tydzień albo dwa, podczas gdy Obinowie będą szukać tego, kto zestrzelił ich okręt.

Urozmaiciłeś nam trochę życie, panie szeregowy. A teraz musimy ruszać. Chłopcy wystrzelili już linę holowniczą. Zmywajmy się stąd, zanim pojawi się więcej zwiadowców.: -Martin wygramolił się przez dziurę w kadłubie, odbił się od jej krawędzi i popłynął w kierunku kabla holowniczego unoszącego się w przestrzeni kosmicznej w odległości paru metrów ód niego.

Jared podążył za nim, chwycił linę jedną ręką, tak jakby chwycił się życia. W drugiej ręce wciąż trzymał Babara.

Obinowie przestali na nich polować trzy dni później.



- Witam z powrotem – Wilson zbliżył się do pojazdu. – Czy to Babar?
- Tak. – Jared siedział zapięty w siedzeniu pojazdu z Babarem bezpiecznie umieszczonym na kolanach.
- Nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć, o co tu chodzi.
- Chcesz – odparł Jared. Nie mówiąc na ten temat ani słowa, zaczęli sobie mówić na ty. -Zaufaj mi.
- Więc powiedz mi, czy to ma coś wspólnego z Boutinem?
- Więcej niż myślisz. Wiem, dlaczego stał się zdrajcą. Wiem już wszystko, Harry.

DZIESIĄTY

W dzień przed tym, zanim Jared wrócił na Stację Feniks, wciąż ściskając w ręku Babara, krążownik Sił Specjalnych „Osprey” dokonał przeskoku do systemu Nagano, żeby sprawdzić niepokojące wieści, przesłane za pomocą skokowej przesyłki kurierskiej z kopalni na Kobe. „Osprey” nie odezwał się już nigdy więcej.



Jared miał się zameldować u pułkownika Robbinsa. Jednak minął jego biuro i wszedł do gabinetu generała Mattsona, zanim jego sekretarka zdołała go zatrzymać. Mattson był w środku. Spojrzał na Jareda znad jakichś papierów.

– Trzymaj – powiedział Jared, rzucając Babara w ręce zaskoczonego Mattsona. – Teraz już wiem, dlaczego ci wtedy przywaliłem, sukinsynu. Mattson spojrzał na pluszowe zwierzę.

– Pozwól, że zgadnę. To należało do Zoe Boutin. A ty odzyskałeś pamięć.

– Wystarczająco dużo pamięci. Wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, że jest pan odpowiedzialny za jej śmierć.

– To zabawne. Mattson posadził Babara na swoim biurku. – Wydawało mi się, że to Rraeyowie albo Obinowie są odpowiedzialni za jej śmierć.

– Niech pan nie udaje głupka, generale. – Mattson uniósł brwi. – Kazał pan Boutinowi spędzić tutaj miesiąc. Spytał, czy może wziąć ze sobą córkę. Pan odmówił. Boutin zostawił tam córkę i zginęła. Obwinia za to pana.

– Najwyraźniej wy też, szeregowy. – Jared zignorował jego słowa.
– Dlaczego nie pozwolił mu pan jej ze sobą tu przywieźć? – zapytał.
– Nie prowadzą tutaj przedszkola. Chciałem, żeby Boutin skupił się na swojej pracy. Jego żona już nie żyła. Kto miałby się zająć dziewczynką? Na Covell byli ludzie, którzy mogli to dla niego zrobić; powiedziałem mu, żeby ją tam zostawił. Nie spodziewałem się, że stracimy stację i kolonię, i że ta dziewczynka zginie.

– Na stacji Feniks przebywają inni cywilni naukowcy i pracownicy. Jest tu wiele rodzin. Mógł tutaj znaleźć albo wynająć kogoś, kto by się nią opiekował, kiedy on byłby w pracy.

Ta odmowa nie miała sensownego uzasadnienia i pan to wie. Więc proszę mi powiedzieć, dlaczego nie pozwolił mu pan jej ze sobą przywieźć?

W tym momencie Robbins, zawiadomiony przez sekretarkę Mattsona, wszedł do gabinetu.

– Proszę posłuchać – rzekł Mattson. – Boutin miał cholernie błyskotliwy umysł, ale trzymał głowę w chmurach. Nie można było na nim polegać, szczególnie po śmierci jego żony. Cheryl nie pozwalała mu oderwać się od ziemi. Kiedy odeszła, stał się nieobliczalny, szczególnie w sprawach dotyczących córki.

Jared otworzył usta, lecz Mattson uniósł do góry otwartą dłoń nie dając mu dojść do słowa.

– Nie obwiniam go, szeregowy Dirac. Jego żona umarła, miał małą córeczkę i martwił się o nią. Ja też byłem ojcem. Pamiętam, jak to jest. Ale rzecz w tym, że to nakładało się na jego naturalne trudności z organizacją pracy. W wyniku tego nałożenia nie nadążał z terminami, wszystkie jego projekty badawcze miały opóźnienia. Sprowadziłem go tutaj na próbę. Chciałem, żeby mógł wykonać swoją robotę i niczym się nie rozpraszał. To zadziałało; ukończył testy przed terminem, na dodatek na tyle dobrze, że

poparłem jego kandydaturę na stanowisko dyrektora, czego nie mógłbym zrobić przed przeprowadzeniem testów. Covell zostało zaatakowane w czasie, kiedy był w drodze powrotnej.

– Uważał, że odmówił mu pan, ponieważ jest pan durnym tyranem.

– Pewnie, że tak uważał. To cały Boutin. Proszę posłuchać, nigdy się z nim nie zgadzałem. Nasze osobowości nie mogły się do siebie dopasować. Zbyt wysoko trzymał głowę i gdyby nie to, że był pieprzonym geniuszem, nie byłby wart zachodu. Wciąż miał pretensje o to, że ja lub ktoś z moich ludzi patrzymy mu przez ramię na rękę. I ciągle miał pretensje o to, że głównie mnie obchodziło, czy on ma do mnie o coś pretensje. Nie dziwi mnie, że uważał, że to wszystko moja wina.

– A nie było tak?

– Nie było – odparł Mattson, a potem widząc sceptyczne spojrzenie Jareda, podniósł ręce do góry. – Okay, proszę posłuchać. Być może w tej historii jakąś rolę odegrała krążąca między nami zła krew. Być może byłem dla niego trochę ostrzejszy niż dla innych. Zgoda. Ale głównie chodziło mi o to, żeby pracował jak najlepiej. Poza tym awansowałem sukinsyna.

– Ale nigdy nie wybaczył panu tego, co się stało z Zoe.

– Myślicie, że chciałem śmierci tej dziewczynki, szeregowy? Myślicie, że nie myślałem o tym, że gdybym wtedy zgodził się na jego prośbę, ona by dalej żyła? Chryste! Nie obwiniam Boutina, że znienawidził mnie po czymś takim. Nie chciałem śmierci jego córki, ale zgadzam się przyjąć na siebie część odpowiedzialności za jej śmierć. Powiedziałem to zresztą samemu Boutinowi. Sprawdźcie, czy nie ma tego w waszych wspomnieniach.

Było. Jared w swojej głowie zobaczył, jak Mattson podchodzi do niego w jego laboratorium, po czym niezręcznie składa mu kondolencje i wyrazy współczucia. Jared przypomniał sobie, jak bardzo poczuł się

skonsternowany słysząc te niezdarne słowa, które nie wprost sugerowały, że Mattson powinien zostać rozgrzeszony za śmierć jego dziecka.

Poczuł jak w tym momencie zalewa go fala lodowatej wściekłości i musiał przypomnieć sam sobie, że wspomnienia uczuć, które odczuwał w tej chwili, pochodziły od innej osoby i dotyczyły dziecka, które nie było jego własnym.

– Ale on nie przyjął pańskich przeprosin.

– Mam tego świadomość, szeregowy. – Mattson siedział przez chwilę nieruchomo, zanim znowu się odezwał. – A więc, kim teraz jesteś? To jasne, że masz wspomnienia Boutina. Czy teraz jesteś nim? Gdzieś w głębi siebie?

– Wciąż jestem sobą. Wciąż jestem Jaredem Dirakiem. Ale czuję to, co czuł Charles Boutin. I rozumiem to, co zrobił.

– Mówisz, że rozumiesz to, co zrobił – wtrącił się Robbins. – Czy to oznacza, że się z tym zgadzasz?

– Z jego zdradą? – zapytał Jared. Robbins pokiwał głową. – Nie, czuję to, co on wtedy czuł. Czuję jego złość. Czuję, jak tęsknił za swoją córką. Ale nie wiem dokładnie jak doszło do tego, że zwrócił się przeciwko nam wszystkim.

– Nie czujesz tego, czy nie możesz sobie przypomnieć? – drążył dalej Robbins.

– I to, i to. – Po objawieniu na Stacji Covell dalej wracała mu pamięć różnych zdarzeń i informacji pochodzących z różnych okresów życia Boutina. To, co stało się tam, nad Omagh, zmieniło go i sprawiło, że stał się żyźniejszym gruntem dla życia Boutina. W tej pamięci wciąż jednak były luki. Jared musiał się powstrzymać, żeby się nimi nie zamartwiał. – Być może więcej wspomnień pojawi się, im dłużej będę o tym myślał. Ale w tej chwili nic nie mogę na to poradzić.

– Ale wiesz, gdzie on teraz jest? – spytał Mattson, wyrывая Jareda z zamyślenia. -Boutin. Wiesz, gdzie on jest?

– Wiem, gdzie był. Albo właściwie wiem, dokąd zamierzał się stąd udać. – Tamta nazwa wciąż błyszczała we wnętrzu umysłu Jareda; Boutin skupiał się na niej, jak na jakimś zaklęciu, wypalając na zawsze w pamięci jej brzmienie. – Poleciał na Arista.

Zapadła krótka chwila ciszy, w czasie której Mattson i Robbins weszli do swoich MózGościów po informacje na temat Arista.

– No to jesteśmy w dupie – odezwał się w końcu Mattson.

Ojczysty system Obinów zawierał cztery gazowe olbrzymy, z których jeden – Cha -poruszał się po orbicie w ekosferze umożliwiającej rozwój życia opartego na związkach węgla, w towarzystwie trzech olbrzymich księżyców wielkości przeciętnych planet i sfery kilkudziesięciu pomniejszych satelitów. Najmniejszy z wielkich księżyców, Saruf, poruszał się po orbicie tuż poza granicą Roche’a i siły pływowe o potwornych natężeniach zmieniły go w nienadającą się do zamieszkania kulę lawy. Drugi, Obinur, był o połowę mniejszy od Ziemi, ale wielokrotnie od niej lżejszy, ponieważ w jego skład wchodziło bardzo mało metali ciężkich. Właśnie Obinur był ojczystym światem Obinów. Trzecim spośród wielkich księżyców był Arist, wielkością i masą odpowiadający Ziemi.

Na Ariście kwitło bujne życie organiczne, jednak Obinowie prawie na nim nie zamieszkiwali – utrzymywali tylko parę posterunków. Jednak bliskość Obinuru praktycznie uniemożliwiała zaatakowanie tego księżyca. Okręty KSO nie mogłyby się tam niepostrzeżenie zakraść, ponieważ Arist od Obinuru dzieliło zaledwie parę sekund świetlnych i Obinowie pojawiliby się w morderczych zamiarach zaraz po ich wyjściu z przeskoku.

Jedynie zmasowany atak mógłby umożliwić przechwycenie Boutina z Arista. Ale porwanie Boutina byłoby jednoznaczne z wypowiedzeniem

wojny, a Unia Kolonialna nie była gotowa stanąć przeciw Obinom – nawet, jeśli nie mieli w tym momencie sojuszników.

– Musimy o tym porozmawiać z generałem Szilardem – zaproponował Robbins.

– Nigdy bym na to nie wpadł – odparł zgryźliwie Mattson. To wymarzona robota dla Sił Specjalnych. A skoro o nich mowa – Mattson odwrócił się do Jareda – to kiedy tylko złożymy pozyskaną dzisiaj wiedzę na barki generała Szilarda, będziesz mógł wrócić do Sił Specjalnych. Ta sprawa stanie się jego problemem, a więc i ty także staniesz się jego problemem.

– Też będę za panem tęsknił, panie generale. Mattson prychnął.

– Z każdym dniem coraz bardziej brzmisz jak Boutin. A to niedobrze. To mi przypomniało, że miałem zamiar wydać ci jeszcze jeden, ostatni rozkaz; zejść na dół, spotkaj się z porucznikiem Wilsonem i robalem, i pozwól, żeby jeszcze raz zajrzeli ci do mózgu.

Oddaję cię z powrotem generałowi Szilardowi, ale obiecałem mu, że cię nie uszkodzę i nie zrobię ci krzywdy. Bycie zbyt podobnym do Boutina może się w jego oczach wydać „krzywdą”. W moich oczach właśnie tak to wygląda.

– Tak jest, sir – odparł służbiście Jared.

– Dobrze, możecie odejść. – Mattson podniósł Babara i cisnął go w stronę Jareda. -Weźcie ze sobą to coś.

Jared złapał słonia i posadził go z powrotem na biurku Mattsona, przodem do niego.

– Dlaczego go pan nie zatrzyma, generale? To taka mała pamiątka. – Skłoniwszy głowę Robbinsowi wyszedł, zanim Mattson zdołał zaprotestować.

Mattson spojrział ponuro na wypchanego słonia a potem na Robbinsa, który właśnie zbierał się, żeby coś powiedzieć.

– Ani słowa na temat tego cholernego słonia, pułkowniku! – warknął Mattson. Robbins zmienił temat.

– Myśli pan, panie generale, że Szilard weźmie go z powrotem? Sam pan przecież powiedział, że z każdym dniem coraz bardziej przypomina Boutina.

– I pan to mówi? – Mattson machnął ręką w stronę drzwi, którymi przed chwilą wyszedł Jared. – Właśnie pan razem z generałem wpadliście na pomysł zbudowania tego małego gnojka z niepotrzebnych części zapasowych, jeśli dobrze pamiętam. A teraz dostajecie go z powrotem. A właściwie dostaje go Szi. Chryste.

– Więc pana to martwi, panie generale?

– Cały czas mnie to gryzie. Kiedy był z nami, wciąż miałem nadzieję, że zrobi coś na tyle głupiego, że będę mógł go zastrzelić, oczywiście zgodnie z prawem. Nie podoba mi się to, że na własnym łonie, że tak powiem, hodujemy sobie kolejnego zdrajcę, na dodatek wyposażonego w wojskowe ciało i mózg. Gdyby to zależało ode mnie, umieściłbym szeregowego Diraca w pomieszczeniu wyposażonym jedynie w toaletę i szczelinę do podawania jedzenia i trzymałbym go tam aż do usranej śmierci.

– Technicznie rzecz biorąc wciąż jest pańskim podwładnym – przypomniał Robbins.

– Szi jasno powiedział, że chce go dostać z powrotem, z jakichś tam, jemu tylko znanych durnych powodów. On dowodzi oddziałami bojowymi. Jeśli dojdzie do tego, że dostaniemy mata, to on będzie musiał podjąć tę decyzję. – Mattson podniósł Babara i uważnie mu się przyjrzał. – Mam tylko nadzieję, że naprawdę wie, co robi.

– No cóż, może Dirac jednak nie upodobni się do Boutina w takim stopniu, jak pan myśli. Mattson prychnął kpiąco i obrócił Babara w stronę Robbinsa.

– Widzi pan to? To nie jest tylko jakaś cholerna pamiątka. To wiadomość prosto od samego Charlesa Boutina. Nie, pułkowniku, Dirac jest Boutinem dokładnie w takim stopniu, jak myślę.

– Nie ma co do tego wątpliwości – powiedział Cainen do Jareda. – Stałeś się Charlesem Boutinem.

– A noc stała się dniem – rzekł filozoficznie Jared.

– A noc stała się dniem – zgodził się Cainen i przysunął się do ekranu. – Wzór twojej świadomości jest teraz prawie zupełnie identyczny z tym, który zostawił nam Boutin.

Oczywiście jest parę różnic, ale to naprawdę drobiazgi. Praktycznie rzecz biorąc masz ten sam umysł, który miał Charles Boutin.

– Nie czuję się w żaden sposób inaczej.

– Naprawdę? – z drugiego końca laboratorium zapytał Harry Wilson.

Jared otworzył usta, żeby odpowiedzieć, a potem je zamknął. Wilson uśmiechnął się krzywo.

– Czujesz się inaczej. Sam to widzę. Cainen także. Jesteś bardziej agresywny niż przedtem. Twoje riposty są o wiele ostrzejsze. Jared Dirac był cichszy, bardziej powściągliwy. Był bardziej niewinny, chociaż być może nie jest to najlepsze określenie. Nie jesteś już cichy i powściągliwy. I na pewno nie jesteś niewinny. Pamiętam Charlesa Boutina.

Teraz jesteś bardziej podobny do niego, niż do dawnego Jareda Diraca.

– Ale w ogóle nie czuję, żebym stawał się zdrajcą.

– Oczywiście, że nie. Macie wspólną osobowość i dzielicie część wspomnień. Ale ty masz swój własny bagaż doświadczeń, które ukształtowały twoje postrzeganie świata.

Jesteście jak identyczni bracia bliźniacy. Mają te same geny, ale mogą mieć zupełnie oddzielne życia. Umysł Charlesa Boutina jest bliźniaczym bratem twojego umysłu. Ale doświadczenia, które zebrałeś posługując się tym umysłem, pozostają tylko twoje.

– Więc nie uważacie, że zejdem na złą drogę?

Cainen wykonał rraeyski odpowiednik wzruszenia ramion. Jared spojrzął na Wilsona, który wzruszył ramionami w sposób, w jaki robią to ludzie i powiedział: – Mówisz, że Charliego na złą drogę sprowadziła śmierć jego córki. Masz teraz w sobie wspomnienia dotyczące tej dziewczynki i jej śmierci, ale żaden z twoich czynów, ani nic, co widzieliśmy w twojej głowie nie wskazują na to, że załamiesz się z tego powodu.

Zamierzamy zasugerować im, żeby przywrócili cię do czynnej służby. To, czy wezmą pod uwagę nasze opinie, czy też nie, to zupełnie inna sprawa; zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że prowadzący ten projekt naukowiec jeszcze rok temu knuł plany zniszczenia całej ludzkości. Ale to chyba nie jest już twój problem.

– To jak najbardziej jest mój problem, ponieważ muszę odnaleźć Boutina. Na pewno chcę wziąć udział w tej misji, w żadnym razie nie zamierzam jej przeczekać na tyłach. Chcę go odnaleźć i przywieźć z powrotem.

– Po co? – zapytał Cainen.

– Chcę go zrozumieć. Muszę się dowiedzieć, co skłania ludzi do robienia takich rzeczy. Czemu stają się zdrajcami.

– Zdziwiłbyś się, jak niewiele do tego trzeba. Czasem wystarczy coś tak prostego, jak okazana przez wroga uprzejmość – Administrator odwrócił się i Jared nagle przypomniał sobie o jego statusie i oddaniu sprawie. – Poruczniku Wilson – powiedział Cainen, wciąż nie odwracając się w ich

stronę. – Mógłby zostawić mnie pan na chwilę sam na sam z szeregowym Dirakiem?

Wilson uniósł brwi, zdziwiony zarówno samą prośbą, jak i jej oficjalną formą, ale nie powiedziawszy ani słowa wyszedł z laboratorium. Cainen zwrócił się wtedy do Jareda: – Chcę pana przeprosić, panie szeregowy. I ostrzec.

Jared niepewnie uśmiechnął się do Rraeya.

– Nie musi mnie pan za nic przepraszać, Cainen.

– Nieprawda. To moje tchórzostwo powołało pana do życia. Gdybym był dostatecznie silny, nie załamałbym się tak łatwo w czasie tortur, którym poddała mnie pańska porucznik Sagan. Nie żyłbym już, a wy, ludzie, nie wiedzielibyście o szykowanej przeciw wam wojnie ani o tym, że Charles Boutin wciąż żyje. Gdybym okazał się silniejszy, nigdy nie musiałby się pan urodzić i zostać obarczony świadomością, która zapanowałaby nad pańskim istnieniem, na dobre i na złe. Ale okazałem się słaby i chciałem żyć; nawet, jeśli miałyby to być życie więźnia i zdrajcy. Jak powiedzieliby niektórzy z waszych kolonistów, to moja karma, i sam muszę się z nią zmagać.

Ale niechcący zgrzeszyłem przeciwko panu, panie szeregowy – ciągnął dalej. -Podobnie jak inni, jestem pańskim ojcem, ponieważ to za moją przyczyną uczyniono panu to straszliwe zło. To wystarczająco złe, że ludzie powołują do życia żołnierzy ze sztucznymi umysłami, z tymi waszymi przeklętymi MózGośćcami. Ale stworzenie pana tylko po to, żeby obarczyć pana świadomością kogoś innego, to już naprawdę ohyda. To pogwałcenie pańskiego prawa do bycia sobą.

– Nie jest aż tak źle – starał się zbagatelizować jego słowa Jared.

– Jest naprawdę źle. My, Rraeyowie, jesteśmy uduchowionym ludem. Żyjemy według pewnych zasad. Nasze wierzenia są istotą naszego

postrzegania świata. Jedną z naszych najwyższych wartości jest świętość i nienaruszalność każdej osoby – wierzymy, że każdy musi mieć prawo do dokonywania własnych wyborów. W każdym razie, każdy Rraey. Jak większość ras istot inteligentnych nie za bardzo obchodzą nas potrzeby innych ras, szczególnie tych wrogich.

Mniejsza z tym – kontynuował Cainen. – Ważna jest wolność wyboru. Ważna jest niezależność. Kiedy po raz pierwszy pan do nas przyszedł, pozwoliliśmy, żeby pan sam zdecydował, czy chce to kontynuować. Pamięta pan? – Jared skinął głową. – Muszę się przyznać, że zrobiłem to nie tylko dla pańskiego dobra, ale i dla swojego. Ponieważ to przeze mnie przyszedł pan na ten świat bez możliwości dokonywania wyborów, moim moralnym obowiązkiem było zapewnić panu możliwość dokonania samodzielnego wyboru na własny rachunek. Kiedy pan to zrobił, poczułem jak brzemień mojego grzechu trochę się zmniejsza.

Nie całkiem. Dalej mam swoją karmę. Jednak część ciężaru winy mi odjęto. Dziękuję panu za to, panie szeregowy.

– Nie ma za co.

– Muszę jeszcze pana ostrzec – przypomniał Cainen. – Kiedy pierwszy raz spotkałem porucznik Sagan, poddała mnie torturom, w wyniku których złamała mój opór. Powiedziałem jej wtedy prawie wszystko, co chciała wiedzieć na temat naszych planów zaatakowania was, ludzi. Ale skłamałem co do jednej rzeczy. Powiedziałem jej, że nigdy nie spotkałem Charlesa Boutina.

– Więc poznał go pan?

– Poznałem. Kiedyś przyszedł porozmawiać ze mną i z innymi rraeyskimi naukowcami na temat budowy MózGościa i możliwości przystosowania go do potrzeb Rraeyów. To fascynująca istota ludzka. Jest bardzo silny, ma charyzmę, którą odczuwają nawet Rraeyowie.

Jest pełen pasji, a my, podobnie jak ludzie, ulegamy jej czarowi. Jest bardzo żarliwy, ma płomienną osobowość. I jest bardzo zagniewany. Cainen przysunął się bliżej:

– Z tego co wiem, uważa pan, że przyczyną tego wszystkiego jest śmierć córki Boutina. Być może tak jest, w pewnym stopniu. Ale jest coś jeszcze, co go dodatkowo motywuje. Śmierć jego córki mogła być katalizatorem, który pozwolił skryzalizować się w umyśle Boutina rzeczywistemu motywowi, który go do tej pory wewnętrznie napędza do działania. To właśnie uczyniło z niego zdrajcę.

– Ale czym to jest? – spytał Jared. – Jaki jest ten prawdziwy motyw?

– Tego niestety nie wiem. Pragnienie zemsty jest najprostszym rozwiązaniem, to jasne. Ale ja poznałem tego człowieka. W jego przypadku pragnienie zemsty nie tłumaczy wszystkiego. Pan jest w lepszym położeniu, by to zrozumieć, panie szeregowy. Pan ma jego umysł.

– Ale nie mam pojęcia, co by to mogło być.

– Być może to przyjdzie z czasem. Chcę pana ostrzec, że on oddał się temu, co go napędza, w pełni, całym sobą i jest już za późno, żeby przekonać go do zmiany decyzji. Kiedy się pan z nim spotka, będzie pan współodczuwał jego emocje i motywy, które nim kierują.

Został pan zaprojektowany, właśnie po to, by go zrozumieć. A Boutin to wykorzysta, jeśli tylko będzie mógł.

– Więc co powinienem zrobić?

– Niech pan pamięta, kim pan jest. Niech pan pamięta, że nie jest pan nim. I że zawsze ma pan wybór.

– Będę o tym pamiętał.

– Mam nadzieję. – Cainen wstał. – Życzę panu powodzenia, panie Dirac. Może już pan iść. Wychodząc niech pan powie Wilsonowi, że może już

wrócić. – Podeszedł do szafki, rozmyślnie obracając się do Jareda plecami. Jared wyszedł wtedy z laboratorium.

– Możesz już tam wrócić – przekazał Wilsonowi.

– Okay. Mam nadzieję, że wy dwaj odbyliście owocną rozmowę.

– Owszem. Cainen to bardzo interesujący gość.

– Można to tak ująć. Wiesz, że on ma do ciebie bardzo ojcowski stosunek?

– Zauważyłem to. To mi się nawet podoba. Chociaż nigdy nie myślałem, że mój ojciec mógłby tak wyglądać.

Wilson zarechotał.

– Życie jest pełne niespodzianek. Dokąd się teraz wybierasz?

– Chyba pójdę na spotkanie z wnuczką Cainena.



„Kestrel” uruchomił swój napęd skokowy sześć godzin przed tym, jak Jared wrócił na Stację Feniks, i przeniósł się do systemu planetarnego ciemnopomarańczowej gwiazdy, którą przy użyciu odpowiednio silnego teleskopu, można zobaczyć z Ziemi w gwiazdozbiornie Cyrkla. Udał się tam, żeby zbadać pozostałości frachtowca Unii Kolonialnej „Handy”; dane z czarnej skrzynki przesłane na Feniksa przez bezzałogowy statek skokowy sugerowały, że ktoś dokonał sabotażu silników „Handy’ego”. Z „Kestrela” nie powróciły dane z czarnej skrzynki. Nigdy też nie odnaleziono jego szczątków.



Siedzący w swojej jaskini hazardu, czyli w pokoju pilotów, porucznik Cloud spojrzął znad stołu, na którym rozłożona była przynęta, która miała wpędzić nieostrożnych w pułapkę bez wyjścia (czyli talia kart), i zobaczył przed sobą Jareda.

– A oto żartowniś we własnej osobie – powitał go Cloud z uśmiechem.

– Witam, poruczniku. Długo się nie widzieliśmy.

– Nie z mojej winy. Byłem tu przez cały ten czas. A ty gdzie byłeś?

– Między gwiazdami ratowałem ludzkość od zagłady. No wie pan, jak zwykle.

– To brudna robota, ale ktoś musi ją wykonywać. I cieszę się, że robisz to ty, a nie ja. -Cloud odsunął nogą krzesło i wziął karty do ręki. – Usiądź sobie. Za piętnaście minut muszę załatwić formalności przed lotem po zaopatrzenie, więc wystarczy nam czasu, żebym nauczył cię przegrywać w Texas Hold'em.

– Umiem już przegrywać w Texas Hold'em.

– Widzisz? Znowu powiedziałeś jeden z tych twoich żartów – zauważył Cloud.

– Prawdę mówiąc przyszedłem się z panem zobaczyć w związku z pańskim lotem po zaopatrzenie. Miałem nadzieję, że pozwoli mi pan polecieć z sobą na dół z pustymi ładowniami.

– Z przyjemnością cię zabiorę. – Cloud zaczął tasować karty. – Wstukaj mi tylko swoje pozwolenie na przepustkę i będziemy mogli kontynuować tę partyjkę na pokładzie.

Transportowiec zaopatrzeniowy leci na dół prawie wyłącznie na autopilocie. Jestem na pokładzie tylko po to, żeby w razie jakiegóż katastrofy mogli powiedzieć, że ktoś zginął.

– Nie mam pozwolenia na przepustkę, ale muszę polecieć na dół na Feniksa.

– Po co? – zainteresował się Cloud.

– Muszę odwiedzić zmarłego krewnego. I muszę, oczywiście, wrócić jak najszybciej. Cloud zachichotał cicho i przełożył talię kart.

– Ale ten zmarły krewny zostanie tam na dole, mam nadzieję?

– To nie zmarłym krewnym się martwię. – Wyciągnął rękę i wskazał na talię. – Mogę? -Cloud podał mu karty, Jared usiadł i zaczął je tasować. – Widzę, że jest pan hazardzistą, poruczniku. – Skończył tasowanie i położył talię przed Cloudem.

– Proszę przełożyć – polecił Jared. Cloud rozdzielił talię w jednej trzeciej wysokości od góry. Dirac wziął mniejszą część talii i położył ją przed sobą. – Wyciągniemy karty w tym samym momencie. Jeśli ja będę miał wyższą, weźmie mnie pan na Feniksa, zobaczę, co mam do zobaczenia i wrócę, zanim skończą załadunek.

– A jeśli ja wyciągnę wyższą kartę spróbujemy jeszcze raz? – z uśmiechem zapytał Cloud.

Jared też się uśmiechnął.

– To by nie było zbyt sportowe zagranie. Jest pan gotowy? – Cloud pokiwał głową. -Teraz!

Cloud wyciągnął ósemkę karo, a Jared szóstkę trefl.

– Cholera – zaklął Jared i odsunął resztę kart w stronę Clouda. – Kim był ten zmarły krewny? – zapytał Cloud, biorąc karty do ręki.

– To skomplikowane.

– Może zrozumieć.

– To klon człowieka, do przyjęcia którego świadomości zostałem stworzony – wyjaśnił Jared.

– Okay, przyznaję, że miałeś rację, kiedy ostrzegłeś mnie, że to skomplikowane. Zupełnie nie rozumiałem tego, co właśnie powiedziałeś.

– To ktoś w rodzaju mojego brata. Ktoś, kogo nie znałem.

– Prowadzisz dość ciekawe życie jak na kogoś, kto ma zaledwie rok.

– Wiem. Ale to nie moja wina. – Wstał. – Do zobaczenia, poruczniku.

– No co ty, nigdzie nie idź – zatrzymał go Cloud. – Daj mi minutkę na odcedzenie kartofelków i możemy ruszać. Tylko musisz być cicho w transportowcu, ja będę mówił za nas obu. I pamiętaj, że jeśli wynikną z tego jakieś kłopoty, to całą winę zwałę na ciebie.

– Nie zgodziłbym się, żeby było inaczej.

Przejście wśród obsługi śluzy transportowej okazało się dziecinnie proste. Jared trzymał się blisko Gouda, który szybko załatwił formalności i ze sprawnością biznesmana skonsultował się z ludźmi z obsługi śluzy; Jareda zupełnie zignorowali, zakładając, że skoro jest z Cloudem, to widać ma prawo tam być. W trzydzieści minut później transportowiec powoli zbliżał się do powierzchni planety, a Jared pokazywał Cloudowi, że prawdę mówiąc nie jest zbyt dobry w przegrywaniu w Teras Hołdem. Cloud się naprawdę wkurzył.

W porcie naziemnym Stacji Feniks, Cloud zamienił parę zdań z obsługą naziemną i wrócił do Jareda.

– Załadunek zajmie im około trzech godzin. Zdązysz pojechać tam, dokąd chcesz jechać i wrócić do tej pory?

– Cmentarz jest niedaleko Phoenix City.

– Więc powinienesz zdążyć – ocenił Cloud. – Jak się zamierzasz tam dostać?

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Co? – Cloud był zaskoczony. Jared wzruszył ramionami.

– Prawdę mówiąc wcale nie myślałem, że mnie pan zabierze na pokład – wyznał. – Nie zaplanowałem tego do końca.

Cloud głośno się roześmiał.

– Bóg kocha głupców. – Skinął ręką na Jareda. – No to chodź. Pojedziemy na spotkanie z twoim bratem.



Cmentarz katolicki Metairie leżał w samym sercu Metairie, jednego z najstarszych okręgów sąsiadujących z Phoenix City. Był w tym samym miejscu kiedy planeta Feniks nazywała się jeszcze Nowa Wirginia, a Phoenix City nazywało się Clinton; jeszcze zanim ataki zrównały z ziemią pierwszą kolonię i zmusiły ludzi do odbicia jej z rąk obcych.

Najstarsze groby pochodziły jeszcze z dawnych dni, kiedy Metairie było zaledwie ciągiem krytych plastikami ziemianek, kiedy osiedlili się tu dumni imigranci z Luizjany, roszcząc sobie pretensje do zbudowania najważniejszego przedmieścia miasta Clinton.

Groby, które odwiedził Jared, znajdowały się po drugiej stronie cmentarza. Zostały oznaczone za pomocą jednego nagrobka, na którym wyryto trzy nazwiska, każde z oddzielnymi datami: Charles, Cheryl i Zoe Boutinowie. – Jezu – jęknął Cloud. – Cała rodzina.

– Nie, niezupełnie. – Jared klęknął przy nagrobku. – Cheryl leży tutaj. Zoe umarła daleko stąd i nigdy nie odnaleziono jej ciała, podobnie jak wielu innych. A Charles wcale nie umarł.

Tu leży ktoś inny. Klon, którego stworzył, żeby wyglądało na to, że popełnił samobójstwo. – Jared wyciągnął rękę i dotknął nagrobka. – To nie jest grób rodzinny. Cloud spojrzał na klęczącego przy nagrobku Jareda.

– Pójdę się trochę rozejrzeć – powiedział, chcąc dać Jaredowi trochę czasu w samotności.

– Nie – powstrzymał go Jared, podnosząc na niego wzrok. – Niech pan zostanie. Zajmie mi to tylko minutę, potem stąd pójdziemy. – Cloud skinął

głową i odwrócił się w stronę pobliskich drzew. Jared znowu wpatrywał się w nagrobek.

Okłamał Clouda mówiąc mu, po co chciał tu przyjść – tutaj nie było tego, z kim chciałby się spotkać. Poza odrobiną litości, Jared nie odczuwał zupełnie nic wobec biednego, bezimiennego klona, którego Boutin zabił, żeby zainscenizować własną śmierć. We wciąż powiększającym się banku pamięci, który Jared dzielił z Boutinem, nie było żadnego ciepłego wspomnienia na temat klona. Boutin nie uważał go za osobę – klon był dla niego jedynie środkiem, który miał mu pozwolić osiągnąć pewien cel. Samego sposobu osiągnięcia tego celu Jared rzecz jasna nie mógł pamiętać, ponieważ Boutin dokonał zapisu swojej świadomości, zanim pociągnął za spust. Jared próbował współczuć temu klonowi, ale po chwili doszedł do wniosku, że nie dla niego tu przyszedł. Poprzestał na myśli wyrażającej nadzieję, że klon nigdy się nie obudził.

Jared skupił się na Cheryl Boutin i poczuł odbite od jego pamięci stłumione, sprzeczne echa emocji. Po chwili zdał sobie sprawę z tego, że podczas gdy Boutin rzeczywiście czuł coś do swojej żony, to nazywanie tego miłością byłoby grubą przesadą. Pobrali się, bo oboje chcieli mieć dzieci, lubili ze sobą przebywać i całkiem dobrze się nawzajem rozumieli; chociaż Jared wyczuwał, że pod koniec to ich przywiązanie do siebie wyraźnie osłabło.

Wspólna radość z posiadania córki powstrzymała ich jednak od separacji. Oboje woleli ochłodzenie swoich relacji od zamieszania, jakie wprowadziłyby rozwód; nie chcieli też sprawiać kłopotu swojej ukochanej córce.

Z jakiejś lodowej szczeliny w umyśle Jareda wyskoczyło nagle nieoczekiwane wspomnienie śmierci Cheryl – nie poszła na tę fatalną wyprawę górską sama, tylko z przyjacielem, którego Boutin podejrzewał o

to, że jest jej kochankiem. On sam także miał kochankę. Jared poczuł wściekłość, jaką Boutin poczuł w czasie pogrzebu, kiedy pod koniec ceremonii domniemany kochanek zbyt długo pozostawał przy grobie. To odwlekało chwilę ostatniego pożegnania Boutina z żoną. I Zoe z jej matką.

Zoe.

Jared przesunął palcem po jej wyrytym na nagrobku imieniu, wypowiedział jej imię w miejscu, w którym powinna spoczywać, i znowu poczuł żal, który wysączył się ze wspomnień Boutina prosto do jego serca. Jeszcze raz dotknął nagrobka, poczuł pod palcami wyryte na nim imię i rozplakał się.

Na ramieniu Jareda spoczęła czyjaś ciężka dłoń; obrócił się i zobaczył Clouda.

– Wszyscy tracimy ludzi, których kochamy – rzekł Cloud. Jared pokiwał głową.

– Wiem o tym. Straciłem kogoś, kogo kochałem. Miała na imię Sarah. Czułem, jak umiera, a potem poczułem dziurę, pustkę, która we mnie po niej została. Ale tutaj to coś innego.

– To coś innego, bo to dziecko – zgodził się Cloud.

– To dziecko, którego nigdy nie znałem – Jared znowu odwrócił głowę i spojrzał na Clouda. – Umarła zanim się urodziłem. Nie znałem jej. Nie mogłem jej znać. A mimo to ją znam. – Wskazał na swoje skronie. – Mam tutaj wszystko na jej temat. Pamiętam, jak się rodziła. Pamiętam jej pierwsze kroki i pierwsze słowa. Pamiętam, jak przytulałem ją tutaj na pogrzebie jej matki. Pamiętam, kiedy widziałem ją po raz ostatni. Pamiętam, jak usłyszałem, że nie żyje. Wszystko mam tutaj.

– Nikt nie może mieć pamięci kogoś innego – Cloud próbował jakoś pocieszyć Jareda. – To po prostu niemożliwe.

Jared zaśmiał się ponuro.

– Ale w moim wypadku tak właśnie jest. Powiedziałem już panu, że urodzono mnie tylko po to, żebym przejął umysł innego człowieka. Myśleli, że to nie zadziałało, ale się mylili. Teraz wspomnienia tamtego człowieka są moimi wspomnieniami. Jego życie jest moim życiem. A jego córka...

Jared zamilkł, nie mogąc już dłużej mówić. Cloud uklęknął obok niego, objął go ramieniem i pozwolił mu pograżyć się w żałobie.

– To nie w porządku. – Po jakimś czasie odezwał się Cloud. – To nie w porządku, że musisz opłakiwać to dziecko.

Jared zaśmiał się cichutko.

– Żyjemy w niewłaściwym wszechświecie. Tutaj nic nie może być w porządku.

– Masz rację.

– Ale ja chcę ją opłakiwać. Czuję ją całym sobą. Czuję miłość, którą do niej żywiłem. Którą on do niej odczuwał. Chcę o niej pamiętać, nawet jeśli oznacza to, że będę musiał ją opłakiwać. Przynajmniej to mogę zrobić dla pamięci o niej. Mam rację?

– Tak... chyba tak.

– Dziękuję. Dziękuję za to, że pan tu ze mną przyszedł. To mi bardzo pomogło.

– Przecież od tego właśnie są przyjaciele.

::Dirac: – usłyszał nagle w głowie Jane Sagan. Stała tuż za nimi. –
::Zostałeś reaktywowany.::

Jared odczuł nagły wstrząs reintegracji, poczuł, jak obmywa go świadomość Jane Sagan. Coś w jego wnętrzu nieśmiało się temu sprzeciwiało, podczas gdy inne części jego świadomości z radością przyjmowały powrót do rozleglejszego poczucia istnienia. Jakaś część mózgu Jareda zauważyła, że integracja nie sprowadza się jedynie do dzielenia się informacjami i stania się częścią wyższej, kolektywnej

świadomości. Integracja służyła również kontroli jednostek i utrzymywaniu ich przywiązania do grupy. Dlatego właśnie żołnierze Sił Specjalnych tak rzadko odchodzili ze służby – odejście ze służby oznaczało utratę integracji. A utrata integracji oznaczała samotność.

Żołnierze Sił Specjalnych prawie nigdy nie byli samotni. Nawet, kiedy w pobliżu nie było nikogo innego.

::Dirac:: – powtórzyła Sagan.

– Proszę mówić normalnie – poprosił Jared i wstał, ale wciąż nie patrzył na Sagan. – Tak będzie bardziej kulturalnie.

Sagan odezwała po nieskończeniu małej pauzy.

– Dobrze. Szeregowy Dirac, pora stąd ruszać. Musimy jak najszybciej wrócić na Stację Feniks.

– Dlaczego? – zapytał Jared.

– Nie zamierzam mówić o tym przy nim. – Sagan wskazała na pilota. – Bez obrazy, poruczniku.

– Nie obrażę się – zapewnił. – Proszę to powiedzieć głośno, albo nigdzie nie pojedę – zagroził Jared.

– Wydałam rozkaz, szeregowy – powiedziała twardo Sagan.

– Niech pani sobie wsadzi w dupę swoje rozkazy – ostrym tonem odrzekł Jared. – Jakoś nagle poczułem, że mam dość bycia częścią Sił Specjalnych. Mam dość przerzucania mnie z miejsca w miejsce bez słowa wytłumaczenia. Jeśli nie powie mi pani dokąd i po co mam się udać, to chyba będę wolał zostać sobie tutaj.

Sagan głośno westchnęła, po czym zwróciła się do Clouda.

– Proszę mi wierzyć, że jeśli cokolwiek z tego, co teraz powiem, komukolwiek pan powtórzy, to zastrzelę pana osobiście. Z bardzo bliskiej odległości.

– Pani porucznik, wierzę w każde pani słowo – rzekł niczym nie zrażony Cloud. Sagan westchnęła raz jeszcze.

– Trzy godziny temu „Czerwony Jastrząb” został zaatakowany przez Obinów – wyznała Sagan. – Zanim doszczętnie ich zniszczono, udało im się wystrzelić bezzałogowy statek skokowy. W ciągu dwóch ostatnich dni straciliśmy jeszcze dwa okręty, które zniknęły bez śladu. Sądzymy, że Obinowie chcieli zrobić z „Czerwonym Jastrzębiem” to samo, co z tamtymi, ale z jakichś powodów im się to nie udało. Poszczyściło nam się, o ile można to nazwać szczęściem. Jeśli dodamy do tych trzech okrętów cztery inne jednostki Sił Specjalnych, które zniknęły w ciągu ostatniego miesiąca, to stanie się jasne, że Obinowie namierzają Siły Specjalne.

– Dlaczego? – zainteresował się Jared.

– Tego nie wiemy. Ale generał Szilard zdecydował, że nie będziemy czekać, aż zaatakują nasze kolejne okręty. Wkraczamy do akcji i przejmujemy Boutina, Dirac.

Wyruszamy za dwanaście godzin.

– To szaleństwo – oświadczył Jared. – Wiemy tylko to, że on jest gdzieś na Ariście. Trzeba będzie przeszukać cały księżyc. I niezależnie od tego, ilu okrętów użyjemy, musimy wziąć pod uwagę, że to atak na ojczysty system Obinów.

– Wiemy, w którym miejscu Arista Boutin jest dokładnie – wyjawiała Sagan. – I mamy plan, który pozwoli nam ominąć Obinów i przejąć Boutina.

– Co to za plan?

– O tym na pewno nie będę mówić na głos. Koniec dyskusji, Dirac. Chodź ze mną, albo zostań tutaj. Do chwili rozpoczęcia ataku zostało nam tylko dwanaście godzin. Straciłam już dosyć czasu zlatując tu na dół po ciebie. Więc nie marnujmy już ani chwili w drodze powrotnej na stację.

JEDENASTY

Cholera jasna, generale, pomyślała Jane Sagan idąc korytarzami „Latawca” w stronę pomieszczenia kontrolnego służby lądowniczej. Przesłań się przede mną ukrywać, ty urzędniczy kutasie. Zadbaj o to, żeby przez przypadek nie przesłać tego zwykłym kanałem konwersacyjnym Sił Specjalnych. Ponieważ dla żołnierzy Sił Specjalnych mówienie niezbyt różniło się od myślenia, to prawie każdemu z nich zdarzały się wpadki typu „naprawdę to powiedziałem?”. Głośne wypowiedzenie tej akurat myśli przyniosłoby jej więcej kłopotów, niż to było warte.

Sagan polowała na generała Szilarda od momentu, w którym dostała rozkaz odnalezienia Jareda Diraca w czasie jego samowolnego oddalenia się na planetę Feniks.

Rozkaz przyszedł z adnotacją, że Dirac wraca pod jej rozkazy. Dołączone do niego były także tajne notki pułkownika Robbinsa, szczegółowo opisujące ostatnie zdarzenia w życiu Diraca: jego wyprawę na Stację Covell; nagłe, lawinowe odblokowanie jego pamięci oraz fakt, że wzór jego świadomości stał się wzorem świadomości Charlesa Boutina. Do wszystkich tych materiałów dołączony był osobny załącznik, w którym generał Mattson z całą stanowczością namawiał generała Szilarda, żeby ten ostatni w żadnym razie nie dopuszczał Diraca do czynnej służby, przynajmniej do czasu, kiedy, w ten lub inny sposób, uda im się rozprawić z Obinami.

Sagan uważała, że Mattson jest osłem, ale musiała przyznać, że tym razem trafił w samo sedno. Sama nigdy nie czuła się komfortowo, mając Diraca pod swoimi rozkazami. Był dobrym i kompetentnym żołnierzem, ale

wiedza o tym, że ma w głowie drugą świadomość, która w każdej chwili może wyciec i skazić pierwszą, sprawiała, że była wobec niego nieufna – obawiała się, że w czasie którejś z misji Dirac może się załamać i zginąć, być może pociągając za sobą innych. Dlatego uznała za szczęście fakt, że po raz pierwszy załamał się na pokładzie Stacji Feniks, obok tamtego stoiska z cukierkami. Dopiero kiedy Mattson pozbawił ją brzemienia odpowiedzialności za Diraca, pozwoliła sobie wobec niego na jakiegokolwiek cieplejsze uczucia; wtedy też zdała sobie sprawę z tego, że nigdy nie zdarzyło mu się uzasadnić podejrzeń, jakie wobec niego żywiła.

Ale to było wtedy, pomyślała Sagan. A teraz Dirac wrócił odmieniony, najwyraźniej zupełnie mu odbiło. Na tamtym cmentarzu z ledwością powstrzymała się, żeby za jego niesubordynację nie zrobić mu drugiej dziury w dupie. Gdyby miała pistolet ogłuszający – taki, jakim potraktowała go, kiedy załamał się po raz pierwszy – z przyjemnością użyłaby go i tym razem; choćby po to, żeby pokazać mu, że ta jego przetransplantowana hardość nie robi na niej najmniejszego wrażenia. W czasie drogi powrotnej, tym razem na pokładzie szybkiego statku kurierskiego, z trudnością udało jej się zachowywać wobec niego obojętność.

Przylecieli prosto na pomost w śluzie lądowniczej „Latawca”. Szilard był na pokładzie; właśnie konferował z dowódcą „Latawca”, majorem Crickiem. Przedtem, przebywając na pokładzie stacji, generał zignorował parę jej próśb o rozmowę. Teraz jednak oboje byli na pokładzie tego samego okrętu i zamierzała porozmawiać z nim za wszelką cenę; nawet, gdyby musiała go do tego zmusić. Weszła po schodach pokonując po dwa stopnie naraz i otworzyła drzwi pomieszczenia kontrolnego śluzy.

::Wiedziałem, że pani przyjdzie:: – rzeki generał, kiedy pokazała się w drzwiach.

Siedział naprzeciw panelu kontrolnego, który obsługiwał wszystkie pomosty lądownicze.

Oficer kontrolny mógł oczywiście sterować wszystkimi urządzeniami służy za pomocą swojego MózGościa, zwykle tak też robił. Panel kontrolny umieszczono na swoim miejscu na tak zwany wszelki wypadek.

W gruncie rzeczy wszystkie fizycznie istniejące urządzenia kontrolne na pokładzie okrętu umieszczone zostały na nim na wszelki wypadek.

::To nic dziwnego, że wiedział pan o tym, że przyjdę. Jest pan głównodowodzącym Sił Specjalnych. Może pan zlokalizować sygnał MózGościa każdego żołnierza.::

::Nie w tym rzecz. Wiem, jaka pani jest. Przypuszczenie, że mogłaby pani do mnie nie przyjść po tym, jak z powrotem oddałem Diraca pod pani rozkazy, nawet nie przemknęło mi przez głowę.:: – Obrócił się na krześle i wyprostował nogi. – ::Byłem pewien, że pani przyjdzie. Odprawiłem nawet wszystkich innych, żebyśmy mogli porozmawiać sobie na osobności. Co chce mi pani powiedzieć?::

::Generale, proszę o pozwolenie na swobodę wypowiedzi.::

::Proszę bardzo.::

::Uważam, że zupełnie panu odbiło, sir.:: Szilard zaśmiał się na głos.

::Nie spodziewałem się po pani aż takiej swobody wypowiedzi.::

::Widział pan te same raporty, co ja, i jest pan świadom tego, w jak dużym stopniu Dirac przypomina teraz Boutina. Nawet jego mózg pracuje w ten sam sposób. A pan chce, żeby wysłać go na misję, której zadaniem jest odnalezienie Boutina.::

::Zgadza się.:: – Chryste! – głośno zawołała Sagan. Mowa Sił Specjalnych była szybka i efektywna, ale nie nadawała się za dobrze do wznoszenia okrzyków. Sagan dodatkowo wzmocniła swój przekaz, przesyłając falę frustracji i poirytowania, którą generał Szilard przyjął bez

żadnego komentarza. -::Nie chcę być za niego odpowiedzialna:: – dodała na koniec.

::Nie przypominam sobie, że bym pytał panią o to, czy życzy sobie pani być odpowiedzialna za Diraca.::

::On stanowi zagrożenie dla pozostałych żołnierzy mojego plutonu. Stanowi zagrożenie dla całej misji. Wie pan, co może się stać, jeśli nam się nie uda. Nie ma sensu podejmować dodatkowego ryzyka.::

::Nie zgadzam się z tym.::

::Na miłość boską! Dlaczego?::

::Trzymaj przyjaciół blisko, ale wrogów jeszcze bliżej:: – wyjaśnił Szilard. ::Słucham?:: – spytała Sagan. Nagle przypomniała jej się rozmowa z Cainenem; wiele miesięcy temu powiedział do niej to samo.

Szilard powtórzył swoje ostatnie słowa.

::Nasz wróg jest tak blisko nas, jak to tylko możliwe. Jest w naszych szeregach i na dodatek nie wie, że jest naszym wrogiem. Dirac myśli, że jest jednym z nas, ponieważ z tego co wie (do tej pory), właśnie tak jest. Ale myśli, jak nasz wróg; i zachowuje się tak, jak zachowuje się nasz wróg. A my dowiemy się wszystkiego, co on wie. To bardzo użyteczne i warte ryzyka.::

::Chyba, że dozna całkowitej przemiany.::

::Jeśli tak się stanie, będzie pani o tym wiedzieć. Jest zintegrowany z całym plutonem.

Jeśli zwróci się przeciwko wam, dowie się pani o tym w tym samym momencie, w którym to się stanie; podobnie jak reszta plutonu.::

::Integracja nie pozwala czytać w myślach:: – przekazała Sagan. – ::Dowiemy się o tym dopiero w chwili, kiedy zacznie coś robić. A to oznacza, że może zdążyć zabić kogoś z moich ludzi, zdradzić nasze

położenie, albo zrobić jedną z wielu innych, zgubnych w skutkach rzeczy. Nawet zintegrowany stanowi poważne zagrożenie.::

::Co do jednej rzeczy ma pani rację. Integracja nie pozwala czytać w myślach. Chyba, że ma pani odpowiednie oprogramowanie układowe.:: Sagan poczuła sygnał odbioru w swojej kolejce komunikacyjnej – było to uaktualnienie jej MózGościa. Zanim zdążyła potwierdzić chęć odbioru, dane same zaczęły się rozpakowywać. Poczuła nieprzyjemny wstrząs, kiedy uaktualnienie zaczęło się rozprzestrzeniać, powodując chwilową niestabilność elektrycznych wzorców jej mózgu.

::Co to było, do cholery?::

::To uaktualnienie pozwalające czytać w myślach.:: – wyjaśnił generał. – ::Zwykle przydziela się je tylko generałom i niektórym wyspecjalizowanym oficerom śledczym, jednak sądzę, że w pani wypadku użycie go będzie jak najbardziej uzasadnione. Oczywiście jedynie w czasie trwania tej misji. Po wykonaniu zadania z powrotem je z pani wyrwiemy. I jeśli pani komukolwiek choć piśnie słówkiem na ten temat, to wyślemy panią w jakieś bardzo odległe i ciasne miejsce.::

::Nie rozumiem, jak to w ogóle jest możliwe.:: – Sagan była całkowicie zaskoczona. Szilard skrzywił się.

::Proszę chwilę pomyśleć, pani porucznik. Pomyśleć o tym, w jaki sposób się komunikujemy. Myślimy, a nasz MózGościu interpretuje to w ten sposób, że zamierzamy przekazać te myśli komuś innemu. Nasze prywatne myśli nie różnią się w znaczący sposób od naszych ogólnodostępnych myśli niczym, oprócz intencji. To byłoby czymś niezwykłym, gdybyśmy nie mogli czytać w myślach. A przecież nasze MózGoście właśnie to mają, między innymi, robić.::

::Ale ludziom się o tym nie mówi.:: – zauważyła Sagan. Szilard wzruszył ramionami:

::Nikt nie chciałby się przecież dowiedzieć, że nie ma żadnej prywatności, nawet we wnętrzu własnej głowy.::

::Więc może pan czytać moje prywatne myśli.::

::Jak na przykład tę, w której nazwała mnie pani urzędniczym kutasem?::

::Ta myśl miała swój kontekst.:: – próbowała się wytłumaczyć Sagan.

::Zawsze jest jakiś kontekst. Niech się pani odpręży, pani porucznik. Tak, mogę czytać pani myśli. Mogę czytać myśli wszystkich podległych mi żołnierzy. Ale zwykle tego nie robię. Po prostu nie ma takiej potrzeby i w większości wypadków jest to zupełnie nieprzydatne.::

::Ale jednak może pan czytać myśli ludzi.::

::Tak, ale większość ludzi jest nudna. Kiedy po raz pierwszy dostałem tę aktualizację, a było to w momencie, w którym przejąłem dowodzenie Siłami Specjalnymi, spędzałem całe dni na słuchaniu myśli różnych ludzi. Czy wie pani, o czym olbrzymia większość ludzi myśli przez większość czasu? Myślą, jestem głodny. Albo, muszę się wysrać. Albo, chcę pieprzyć się z tym gościem, albo z tą laską. A potem znowu wraca „jestem głodny”. I powtarzają ten zestaw aż do śmierci. Proszę mi wierzyć, pani porucznik. Wystarczy dzień z tą zdolnością i pani mniemanie o złożoności i cudowności ludzkiego umysłu dozna nieodwracalnego spadku.

::Skoro pan tak mówi.:: – z uśmiechem powiedziała Sagan.

::Właśnie tak mówię. Jednak w pani przypadku zdolność ta wykorzystywana będzie w konkretnym celu. Dzięki niej będzie mogła pani słyszeć jego myśli i odczuwać jego osobiste emocje nie zawiadamiając go o tym, że jest obserwowany. Jeśli przyjdzie mu do głowy myśl o zdradzie, to będzie to pani wiedziała dokładnie w tym samym momencie. Może pani na to zareagować, zanim Dirac zabije któregoś z pani żołnierzy, albo narazi na

szwank powodzenie całej misji. Myślę, że da to pani wystarczającą kontrolę nad sytuacją.::

::A co powinnam zrobić, jeśli przejdzie na drugą stronę? Jeśli stanie się zdrajcą?::

::Wtedy go pani oczywiście zabije. Nie może się pani wtedy zawahać. Ale musi być pani tego absolutnie pewna, pani porucznik. Teraz już nie jest tajemnicą, że mogę się dostać do wnętrza pani umysłu, więc ufam, że powstrzyma się pani od odstrzelenia mu głowy tylko dlatego, że będzie pani na przykład roztrzęsiona.::

::Tak jest, panie generale. Nic zawaham się.::

::To dobrze.:: – Szilard wydawał się być zadowolony. – ::Gdzie w tej chwili jest Dirac?::

::Z resztą plutonu, szykuje się do akcji. Przekazałam mu nasze rozkazy w czasie lotu z dołu.::

::Może go pani sprawdzi?:: – zaproponował Szilard.

::Z pomocą uaktualnienia?::

A Oczywiście. Niech się pani nauczy z tego korzystać przed rozpoczęciem zadania. Nie będzie pani miała potem czasu, żeby się z tym bawić.:: Sagan uzyskała dostęp do swojej nowej zdolności, odnalazła Diraca, i zaczęła słuchać.



::To wariactwo.:: – w myślach powiedział do siebie Jared.

:: Masz zupełną rację.:: – zgodził się Steven Seaborg. Dołączył do Drugiego Plutonu w czasie nieobecności Jareda.

::Czy powiedziałem to na głos?:: – zapytał Jared.

::Nie, czytam w twoich myślach, palancie.:: – Seaborg wysłał w stronę Jareda sygnał rozbawienia. Napięcie, które wcześniej było między nimi, zniknęło po śmierci Sarah Pauling; zazdrość Seaborga o Jareda, czy cokolwiek innego to było, zostało wyparte przez wspólne poczucie straty Pauling. Jared wahałby się nazwać go przyjacielem, ale łącząca ich więź miała teraz charakter bardziej przyjacielski, niż wrogi; na dodatek została wzmocniona poprzez integrację.

Jared rozejrzał się po wnętrzu hangaru słuzy lądowniczej, prześlizgując się wzrokiem po dwóch tuzinach jednoosobowych pojazdów skokowych, nazwanych przez żołnierzy sankami -znajdowały się tutaj wszystkie wyprodukowane do tej pory egzemplarze. Spojrzał na Seaborga, który właśnie wdrapywał się do jednego z pojazdów, żeby mu się dokładniej przyjrzeć.

::A więc to właśnie przy użyciu tego czegoś zaatakujemy całą planetę. Dwa tuziny żołnierzy Sił Specjalnych, każdy na swojej kosmicznej klatce dla gerbilów. Co za potworna siła uderzenia!::

::Widziałeś kiedyś klatkę dla gerbilów?:: – zapytał Jared.

::Oczywiście, że nie. Nigdy też nie widziałem samego gerbila. Ale widziałem zdjęcia takich klatek i to właśnie tak wygląda. Co za idiota chciałby jeździć na czymś takim.::

::Ja jeździłem na czymś takim.::

::No i mam odpowiedź na moje pytanie. Powiedz, jakie to uczucie?::

::Czu łem się odsłonięty.::

::Cudownie.:: – Seaborg wywrócił oczami.

Jared wiedział, jak się wtedy czuł, jednak dostrzegał również logikę takiego ataku.

Niemal wszystkie podróżujące w przestrzeni kosmicznej stworzenia przemieszczały się na pokładach statków kosmicznych; systemy obronne

wszystkich planet działały w rozdzielczości pozwalającej na namierzenie obiektów nie mniejszych od najmniejszych okrętów. Sieciowy system obronny Obinów wokół Arista nie różnił się od nich pod tym względem. Okręt Sił Specjalnych natychmiast zostałby namierzony i zaatakowany; nieduży, niewiele większy od człowieka, ażurowy obiekt powinien pozostać niezauważony.

Siły Specjalne wiedziały o tym, ponieważ już sześciokrotnie wysyłały sanki w okolice księżyca, żeby zbadać częstotliwość i natężenie jego połączeń komunikacyjnych. W czasie ostatniej z tych szpiegowskich misji na otwartym kanale komunikacyjnym Obinów usłyszeli głos Charlesa Boutina, który domagał się od Obinuru informacji na temat daty przybycia transportu z zaopatrzeniem. Żołnierz Sił Specjalnych, który usłyszał tę transmisję, namierzył ją aż do jej źródła, które okazało się małą placówką badawczą, położoną na wybrzeżu jednej z wielu dużych wysp Arista. Dla pewności żołnierz poczekał na kolejną transmisję, żeby potwierdzić lokalizację jej nadawania.

Po przejrzeniu tych informacji, Jared otworzył plik zawierający nagrany głos człowieka, którym miał się stać. Słyszał już głos Boutina na nagraniu, które odtworzyli mu Wilson i Cainen; był to głos tego samego człowieka. Teraz jednak był starszy, bardziej skrzekliwy i pełen napięcia, jednak sam tembr głosu i jego intonacja nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Jared był świadomy tego, jak bardzo głos Boutina przypominał jego własny. Z jednej strony można się było tego spodziewać, jednak z drugiej strony, było to trochę niepokojące.

Mam dziwne życie, pomyślał Jared, a potem spojrzał w górę i upewnił się, że myśl nie wydostała się na zewnątrz. Seaborg wciąż przyglądał się budowie sanek i nic nie wskazywało na to, że go usłyszał.

Jared poszedł wzdłuż rzędu sanek do obiektu, który stał wśród nich; obiekt był kulisty i odrobinę od nich większy. Było to jedno z ulubionych owoców burzy mózgów naukowców Sił Specjalnych nazywany „łapaczem”, którego używano, kiedy żołnierze Sił Specjalnych musieli coś lub kogoś ewakuować z jakiegoś miejsca, jednak nie mogli tego zrobić osobiście. Wewnątrz kuli znajdowało się wydrążenie na tyle duże, żeby zmieścić się w nim mógł pojedynczy przedstawiciel większości znanych ras istot inteligentnych średniej wielkości; żołnierze pakowali zdobycz do środka, szczelnie zamykali łapacza i odsuwali się, a wtedy jonowe silniki raketowe wynosiły delikwenta prosto w niebo. W chwili odpalenia silników, wewnątrz łapacza włączało się silne pole antygravitacyjne; gdyby nie to, zamknięty w nim osobnik zostałby spłaszczony. W górze przejmował łapacza czekający na niego okręt Sił Specjalnych.

Ten łapacz był przeznaczony dla Boutina. Plan był prosty: mieli zaatakować stację badawczą w której namierzali Boutina i zneutralizować jej wszelkie urządzenia komunikacyjne. Pojmać Boutina, umieścić go we wnętrzu łapacza i posłać go w przestrzeń kosmiczną na bezpieczną odległość skokową tam miał pojawić się „Latawiec”, przejąć więźnia i dokonać powrotnego przeskoku, zanim Obinowie zdążyliby podjąć pościg. Po pojmaniu Boutina stacja badawcza miała zostać zniszczona za pomocą starego ulubieńca: meteoru dużych rozmiarów, który mógłby zetrzeć stację z powierzchni planety. Meteor miał uderzyć na tyle daleko od stacji, żeby nie wzbudzić żadnych podejrzeń; w tym wypadku wpadłby do oceanu w odległości kilku mil od wybrzeża, w wyniku czego stacja badawcza zostałaby zlikwidowana przez fale tsunami. Technicy Sił Specjalnych posługiwali się spadającymi z nieba skałami od dziesięcioleci; dobrze wiedzieli jak sprawić, żeby wyglądało to na czysto losowy wypadek. Jeśli

wszystko poszłoby zgodnie z planem, Obinowie mieli nigdy nie dowiedzieć się o tym, że zostali zaatakowani.

Zdaniem Jareda plan ten miał dwa słabe punkty, zresztą powiązane ze sobą. Pierwszym był fakt, że skokowe sanki nie mogły lądować; nie przetrwałyby kontaktu z atmosferą Arista, a nawet, gdyby przetrwały, to w obrębie atmosfery nie można by nimi sterować. Członkowie Drugiego Plutonu mieli pojawić się w prawdziwej przestrzeni na skraju atmosfery Arista i wykonać skok z granic przestrzeni kosmicznej na powierzchnię. Żołnierze Drugiego robili to już przedtem – Sagan zrobiła to w czasie bitwy o Koral i nic jej się nie stało – jednak zdaniem Jareda było to wręcz dopraszanie się o kłopoty.

Sposób ich przybycia na planetę tworzył drugi słaby punkt planu – nie istniał prosty sposób wyciągnięcia Drugiego Plutonu z Arista po zakończeniu zadania. Od momentu pojmania Boutina rozkazy dla Drugiego brzmiały coraz bardziej niejasno i złowrogo: mieli oddalić się od stacji badawczej na tyle, na ile pozwolą tamtejsze warunki, żeby uniknąć śmierci pod falami tsunami (do planu zadania dołączona była mapa, na której zaznaczono znajdujący się w pobliżu punkt, w którym powinni – powinni – przeczekać potop). Potem mieli udać się do niezamieszkałego interioru wyspy, gdzie mieli przez parę dni pozostawać w ukryciu; aż do momentu, kiedy Siły Specjalne będą mogły przesłać im na ratunek nowy wylęg łapaczy. Ewakuacja wszystkich dwudziestu czterech, biorących udział w misji członków plutonu, mogła wymagać więcej niż jednego zestawu łapaczy; Sagan od razu poinformowała Jareda, że ona i on będą ostatni w kolejce czekających na powrót.

Jared zasępił się na wspomnienie tego jej oświadczenia. Sagan nigdy za nim nie przepadała; podejrzewał, że od początku wiedziała o tym, że został wyhodowany ze zdrajcy.

Wiedziała o nim więcej, niż on sam. Jej pokrzepiające na duchu słowa pożegnania, kiedy przekazywano go pod rozkazy Mattsona, wydawały się szczere, jednak odkąd zobaczył ją na cmentarzu, odkąd wrócił pod jej rozkazy, bez przerwy była na niego zła; złościł ją, jakby naprawdę był Boutinem. Na pewnym poziomie Jared mógł to zrozumieć – w końcu, jak zauważył Cainen, bardziej teraz przypominał Boutina niż dawnego siebie – jednak na bardziej osobistym poziomie emocji miał żal o to, że traktuje się go jak wroga. Jared zastanawiał się ponuro nad tym, czy Sagan nie chciała zostać z nim sam na sam na Ariście po to, żeby móc się z nim rozprawić bez świadków.

Po chwili wyrzucił tę myśl z głowy. Sagan mogłaby go zabić, była do tego zdolna – tego był pewien. Ale nie zrobiłaby tego, dopóki nie dałby jej wystarczającego powodu. Lepiej nie dawać jej do tego powodu, pomyślał Jared.

Zresztą Jared nie osobą Sagan martwił się najbardziej, tylko samym Boutinem. Plan przewidywał pewien opór ze strony niewielkiego oddziału obińskich żołnierzy stacjonujących na stacji, jednak nie zakładano żadnego oporu ze strony Boutina i pozostałych naukowców, co wydawało się Jaredowi poważnym błędem. Jared miał w głowie potężny gniew władający Boutinem i znał inteligencję tego człowieka; nawet, jeśli szczegóły jego pracy naukowej pozostawały dla niego niejasne. Wątpił, żeby Boutin poddał się bez walki. Nie znaczyło to, że miałyby walczyć fizycznie – nie był typem wojownika – bronią Boutina był jego mózg. To właśnie jego mózg obmyślił zdradę Unii Kolonialnej, która w konsekwencji doprowadziła ich wszystkich do miejsca, w którym się teraz znajdowali. To, że tak po prostu będą w stanie złapać Boutina, było według Jareda błędnym założeniem. Prawie na pewno miał w zanadrzu jakąś niespodziankę.

Jednak, odpowiedź na pytanie co to za niespodzianka, wymykała się Jaredowi.

::Jesteś głodny?:: – Seaborg zapytał Jareda. – ::Bo mi zawsze zachciewa się jeść, kiedy myślę o tym jak szalona jest misja, w której właśnie mam wziąć udział.::

::To teraz musisz być straszliwie głodny.:: – Jared wyszczerzył się w uśmiechu.

::To jedna z zalet bycia w Siłach Specjalnych. Podobnie jak fakt, że przeskakujemy niezgrabne szczenięce lata.::

::Zacząłeś się doksztalcać na temat nastolatków?:: – zainteresował się Jared.

::Jasne, ponieważ jeśli będę miał szczęście, to sam kiedyś będę jednym z nich.::

::Przecież właśnie powiedziałeś, że przeskakujemy niezgrabne szczenięce lata.:: – przypomniał Jared.

::No tak, ale kiedy do nich dotrę, to one już nie będą takie niezgrabne. No chodź.

Dzisiaj dają lazanię.::

Poszli wziąć sobie coś dojedzenia.



Sagan otworzyła oczy.

::I jak poszło?:: – dopytywał się Szilard, który obserwował ją, kiedy podsłuchiwała Jareda. ::Dirac martwi się, że nie doceniamy Boutina.:: – poinformowała Sagan. – ::Obawia się, że przygotował się na to, że go zaatakujemy w jakiś sposób, którego nie wzięliśmy pod uwagę.::

::To dobrze, ponieważ ja czuję to samo. Dlatego właśnie chcę, żeby Dirac był wśród was.::



Arist, zielony i zachmurzony, wypełnił pole widzenia Jareda, zaskakując go swoim ogromem. Wyskoczenie do realnej przestrzeni na samej krawędzi atmosfery planety rodziło nieprzyjemne odczucia, szczególnie jeśli jedyną ochroną była otaczająca cię klatka z włókna węglowego; Jared czuł, że zaraz spadnie w dół. Prawdę mówiąc właśnie już to robił.

Dość tego, pomyślał, i zaczął uwalniać się z uprząży sanek. Przed sobą, bliżej powierzchni planety, zlokalizował pięcioro pozostałych członków swojego oddziału, którzy wyszli z przeskoku chwilę przed nim; Sagan, Seaborg, Daniel Harvey, Anita Manley i Vernon Wigner. Dostrzegł także łapacza i odetchnął z ulgą. Łapacz miał masę niewiele mniejszą od pięciu ton; istniało zagrożenie, że może okazać się za ciężki dla zminiaturyzowanego napędu skokowego. Cała ich szóstka odepchnęła już swoje sanki; teraz swobodnie opadali, powoli oddalając się od pajęczych pojazdów, które ich tutaj dostarczyły.

Ich szóstka pełniła rolę szpicy. Mieli za zadanie sprowadzić łapacza na powierzchnię planety i zabezpieczyć teren lądowania dla pozostałych członków Drugiego, którzy mieli się pojawić wkrótce po nich. Wyspa, na której znajdował się Boutin, była pokryta gęstym, tropikalnym lasem, który utrudniał lądowanie więc Sagan zdecydowała, że wylądują na niewielkiej łące znajdującej się mniej więcej w odległości piętnastu kilometrów od stacji badawczej.

::Rozproszyć szyk;: – rozkazała Sagan. – Przegrupujemy się, kiedy przejdziemy przez najgorszą część atmosfery. I żadnych transmisji

radiowych, aż do odwołania.:: Jared obrócił się, żeby spojrzeć na Arista i napawał się jego widokiem dopóki MózGościu, wyczuwając, że wchodzi w pierwsze warstwy atmosfery, nie zamknął go w ochronnej kuli powstałej z mikrorobotów, które wypłynęły z pakunku umieszczonego na jego plecach i zabezpieczyły go wewnątrz przypominającego kokon otorbienia – tak, żeby nie mógł zderzyć się z otaczającą go sferyczną powierzchnią i usmażyć się, pod wpływem atmosferycznego tarcia. Sfera nie przepuszczała do wewnątrz światła; Jared został zamknięty w małym, ciemnym własnym wszechświecie.

Pozostawiony samemu sobie, wrócił myślami do Obinów, tej fascynującej i nieubłaganej rasy, której Boutin dotrzymywał towarzystwa. Dane dotyczące Obinów zbierane były od samych początków istnienia Unii Kolonialnej, kiedy to dyskusja na temat prawa własności do zasiedlonej przez ludzi planety, nazwanej przez nich Casablanca, zakończyła się przerażająco skutecznym usunięciem osadników; Siły Kolonialne wysłane, żeby odbić planetę, także zostały natychmiast rozgromione. Obinowie nie mieli w zwyczaju poddawać się, ani brać jeńców. Kiedy uznali, że czegoś chcą, starali się o to, dopóki tego nie dostali.

Jeśli poważnie weszło im się w drogę, uznawali, że w ich interesie leży całkowite usunięcie problemu. Alowie, ci, którzy stworzyli diamentową kopułę do generalskiej mesy na Stacji Feniks, nie byli pierwszą ani ostatnią z ras metodycznie zlikwidowanych przez Obinów.

Jedyną zaletą Obinów było to, że nie byli tak zachłanni jak inne podróżujące w przestrzeni międzygwiazdnej rasy. Unia Kolonialna mogła założyć dziesięć kolonii, w czasie, w którym Obinowie zakładali jedną; i chociaż Obinowie nie wahali się przejmować planet należących do innych ras, jeśli tak im było wygodnie, to jednak nie odczuwali takiej potrzeby zbyt często. Omagh była pierwszą planetą od czasów Casablanki, którą

Obinowie przejęli od ludzi, zresztą nawet wtedy wydawało się to wynikać bardziej z ich oportunistycznego (przejęli planetę od Rraeyów, którzy przedtem wywalczyli ją od ludzi), niż z głę bokiej potrzeby ekspansji terytorialnej. Niechęć Obinów do niepotrzebnego rozszerzania granic kosmicznych posiadłości swojej rasy wywołała w dowództwie KSO podejrzania, że za tym atakiem stał ktoś inny. Gdyby Rraeyowie, którzy zaatakowali Omagh, utrzymali planetę, Unia Kolonialna prawie na pewno starałaby się ją odebrać. Jednak Rraeyowie wiedzieli, kiedy powinni się wycofać.

Inną interesującą rzeczą na temat Obinów – którzy najprawdopodobniej zawiązali tak zadziwiający Jareda sojusz z Rraeyami i Eneshanami – był fakt, że w ogólności, oczywiście pod warunkiem, że nie stanęło się im na drodze, Obinowie byli zupełnie nie zainteresowani innymi rasami istot inteligentnych. Nie utrzymywali ambasad, ani żadnej oficjalnej komunikacji z innymi rasami; z tego, co wiadomo było Unii Kolonialnej, Obinowie nigdy formalnie nie wypowiedzieli wojny, ani nie podpisali traktatu z żadną inną rasą. Jeśli byłeś w stanie wojny z Obinami, wiedziałeś o tym, ponieważ do ciebie strzelali. Jeśli nie byłeś w stanie wojny z Obinami, nie komunikowali się z tobą w żaden sposób. Obinowie nie byli ksenofobami. Inne rasy po prostu w ogóle ich nie obchodziły. To, że właśnie Obinowie mogli sprzymierzyć się nie z jedną, ale z dwiema rasami, było naprawdę niezwykle; to, że sprzymierzyli się przeciw Unii Kolonialnej, było po prostu złowieszcze.

Poza wszystkimi danymi dotyczącymi relacji Obinów – lub ich braku – z innymi inteligentnymi rasami, krążyła plotka (której KSO nie uwierzyło bez zastrzeżeń, jednak musiało odnotować fakt, że inne rasy w nią wierzyły), że inteligencja Obinów nie ewoluowała samoistnie, ale została im podarowana przez inną rasę. KSO uznało te pogłoski za nieprawdziwe, ponieważ sam pomysł, żeby któraś z drapieżnie współzawodniczących ras

w tej części galaktyki pozwoliła sobie udoskonalić jakichś jaskiniowych półgłówków, był nieprawdopodobny do granic śmieszności. KSO wiedziało o wielu rasach, które wyeliminowały prawie inteligentne stworzenia odkryte na planetach, które chciały przejąć, wychodząc z założenia, że nigdy nie jest za wcześnie, żeby pozbyć się konkurencji. KSO nigdy jednak nie słyszało o czymś wręcz przeciwnym.

Natomiast jeśli ta plotka była prawdziwa, najprawdopodobniej wskazywałoby to, że twórcami inteligencji Obinów byli Consu, jedyny gatunek w okolicy, który dysponował technologią pozwalającą na udoskonalanie całych gatunków. Dodatkowo Consu dysponowali także filozoficzną motywacją, według której ich rasowym posłannictwem było doprowadzenie wszystkich innych ras istot inteligentnych w tej części galaktyki do stanu doskonałości (czytaj: do stanu doskonałości na podobieństwo Consu). Teoria ta była jednak dość problematyczna, ponieważ Consu zwykle udoskonalali inne gatunki na swoje podobieństwo, zmuszając jakąś biedną, nieszczęsną rasę do walki z nimi, albo szczując którąś z pomniejszych ras przeciwko innej, tak jak zrobili, kiedy napuścili ludzi przeciwko Rraeyom w bitwie o Koral. Nawet gatunki zdolne do stworzenia innych inteligentnych istot wolały je niszczyć niż tworzyć, bezpośrednio lub pośrednio; te zlikwidowane rasy były ofiarami faktu, że nie miały do czynienia z tajemniczymi i wysokimi standardami Consu.

To właśnie wysokie i tajemnicze standardy Consu były argumentem świadczącym przeciwko temu, że Obinowie zostali przez nich stworzeni, ponieważ Obinowie, w przeciwieństwie do olbrzymiej większości innych inteligentnych ras, właściwie nie wykształcili własnej kultury. Nieliczne ksenograficzne badania nad Obinami wykonane przez ludzi i przedstawicieli innych ras, dowodziły, że poza ubogim i czysto użytkowym językiem oraz praktycznie nastawioną technologią, Obinowie nie

wygenerowali nic twórczego: żadnych znaczących dzieł sztuki, możliwych do partycypowania przez któryś z ich zmysłów, żadnej literatury, żadnej religii ani filozofii – niczego takiego badacze nie znaleźli. Obinowie nie mieli nawet życia politycznego w pełnym znaczeniu tego słowa, a to było doprawdy niezwykle. Społeczeństwo Obinów było tak pozbawione kultury, że w załączonym przez KSO dokumencie jeden z naukowców na poważnie sugerował, że jest otwartą kwestią, czy Obinowie w ogóle prowadzą ze sobą zwykłe, codzienne rozmowy – a nawet, czy są do tego zdolni. Jared nie był ekspertem w sprawach Consu, ale wydało mu się nieprawdopodobne, żeby lud tak skupiony na eschatologii i tym, co niewysłowione, mógł stworzyć społeczeństwo niezdolne do porozumiewania się między sobą. Jeśli Obinowie byli prawidłowym wynikiem sztucznego udoskonalania inteligencji, to ich istnienie stanowiło również argument potwierdzający wartość naturalnej ewolucji.

Jared przerwał swoje rozmyślenia, gdy kula mikrorobotów rozproszyła się i zniknęła za jego plecami. Światło oślepiło go i dopiero po chwili odzyskał wzrok. „Rozejrzał” się wtedy w poszukiwaniu pozostałych członków jego plutonu. Wiązki promieni odnalazły jego samego i podświetliły położenie innych dzięki pochłaniającym promieniowanie kombinezonom bojowym ich ciała były prawie niewidoczne; łapacz także był zamaskowany. Jared skierował się w jego stronę, żeby sprawdzić, czy masywna kapsuła nie ucierpiała w czasie opadania, jednak Sagan kazała mu się oddalić i sama sprawdziła łapacza. Jared i reszta oddziału zbliżyli się do siebie, jednak nie za bardzo, żeby nie wchodzić sobie w drogę po rozwinięciu spadochronów.

Oddział rozłożył spadochrony na najniższej możliwej wysokości; chociaż pokryte kamuflażem, mogły być jednak dostrzeżone przez oko, które wiedziało, czego szukać.

Spadochron łapacza był olbrzymi; zaprojektowany został, by wytrzymać bardzo duży opór powietrza. Zaczął wydawać głośne, przypominające strzelanie z bicza dźwięki, kiedy po raz pierwszy otworzyła się jego zbudowana z mikrorobotów czasza – wypełniła się powietrzem i rozerwała się. Powtórzyło się to jeszcze kilka razy, aż w końcu prędkość, z jaką spadał łapacz zmalała na tyle, że jego spadochron mógł go utrzymać nie rozrywając się na strzępy.

Jared odwrócił się w stronę stacji badawczej, która znajdowała się kilkanaście kilometrów na południe. Podkręcił powiększenie w swoim kapturze, żeby sprawdzić, czy na stacji widać jakiegokolwiek oznaki świadczące o tym, że ich dostrzeżono. Nie dostrzegł nic takiego; Wigner i Harvey podobnie. W parę chwili później wszyscy prawie równocześnie wylądowali, wciągnęli łapacza do sąsiadującego z łąką lasu i wzmocnili jego kamuflaż za pomocą gałęzi pobliskich drzew.

::Niech wszyscy dobrze zapamiętają, gdzie go zaparkowaliśmy:: – zażartował Seaborg.

::Cisza:: – rozkazała Sagan, sprawiając wrażenie, jakby skupiała się na czymś w swoim wnętrzu. – ::To był Roentgen. Pozostali właśnie szykują się do otwarcia spadochronów:: – Uniosła lufę swojego Empaka. – ::Chodźmy sprawdzić, czy nie czekają tu na nas żadne niespodzianki::

Jared odniósł dziwne wrażenie, przypominające wiercenie w mózgu.

::O, kurwa:: – jęknął.

Sagan odwróciła się w jego stronę.

::Co się stało?:: – spytała.

::Mamy kłopoty, przesłał Jared i w połowie tego przekazu pokazał, jak nagle traci integrację ze swoim oddziałem. Spazmatycznie westchnął i złapał się obiema rękami za głowę, porażony odczuciem brutalnego wypatroszenia z wnętrza jego głowy jednego z głównych zmysłów. Dokoła

niego pozostali członkowie oddziału przewracali się na ziemię, krzyczeli i wymiotowali z bólu i dezorientacji. Upadł na kolana i skupił się na oddychaniu.

Zbierało mu się na wymioty.

Z trudem stanął na nogach i słaniając się dotarł do Sagan, która klęcząc wycierała sobie usta po wymiotowaniu. Chwycił ją za ramię i próbował podciągnąć do góry.

– No dalej, niech pani wstanie – popędział. – Musimy się ukryć.

– Co... – Sagan zakaszłała i splunęła, potem spojrzała w górę na Jareda.
– Co się dzieje?

– Rozłączyli nas. To samo zdarzyło mi się, kiedy byłem na Covell. Obinowie uniemożliwiają nam korzystanie z naszych MózGościów.

– W jaki sposób? – Sagan wykrzyzczała to pytanie, o wiele za głośno.

– Nie mam pojęcia. Porucznik wreszcie wstała.

– To na pewno Boutin – powiedziała ponurym głosem. – Powiedział im, jak to zrobić.

– Być mo że – zgodził się Jared. Sagan chwiała się lekko. Jared obszedł ją i chwycił! za oba ramiona. – Pani porucznik, musimy się stąd zmywać. Jeśli to Obinowie nas blokują, to znaczy, że wiedzą gdzie jesteśmy. I na pewno już po nas idą. Musimy jakoś postawić naszych ludzi na nogi i natychmiast stąd odejść.

– Nadlatuje więcej naszych ludzi. Musimy... – urwała i nagle wyprostowała się nienaturalnie, jakby coś strasznie zimnego prześlizgnęło się tuż obok niej. – O, cholera... cholera.

Spojrzała w niebo.

– Co to jest? – zapytał Jared i też spojrzał do góry, szukając wzrokiem ledwo widocznych plamek zamaskowanych spadochronów. Minęła cała

sekunda zanim uzmysłowił sobie, że nie widzi ani jednego. Kiedy minęła następna, zdał sobie sprawę z tego, co to oznacza.

– O, cholera! – powtórzył za Sagan Jared.



Alex Roentgen najpierw pomyślał, że stracił wąskozakresowc połączenie z resztą plutonu.

Chuj z tym, pomyślał i parę razy zmienił położenie, podlatując do przodu i obracając się wokół własnej osi, żeby pozwolić wąskozakresowemu odbiornikowi zlokalizować pozostałych członków plutonu; pozwolił też swojemu MózGościowi oszacować ich możliwe aktualne położenie w oparciu o miejsca, w których znajdowali się w chwili ostatniej transmisji. Nie musiał odnaleźć ich wszystkich; wystarczy, że znajdzie jednego i będzie mógł się znowu z nimi połączyć, zreintegrować.

Nic.

Roentgen skupił się i odsunął od siebie niepokój. Stracił już kiedyś zasięg – tylko raz, ale to wystarczyło, żeby dowiedział się, jak to jest. Wtedy po łączenie wróciło zaraz po wylądowaniu; teraz będzie tak samo. Zresztą nie mógł już dłużej tracić na to czasu, ponieważ zbliżał się do wysokości otwarcia spadochronu; żeby nie rzucać się w oczy, otwierali spadochrony na najniższej z możliwych wysokości, więc wymagało to pewnej precyzji ruchów. Roentgen chciał nakazać swojemu MózGościowi, żeby sprawdził na jakiej dokładnie wysokości znajduje się w tej chwili i w tym momencie zdał sobie sprawę z tego, że od ponad minuty ani razu nie nawiązał kontaktu z MózGościem.

Roentgen spędził dziesięć sekund na przetwarzaniu tej myśli; nie pozwoliła się przetworzyć. Spróbował jeszcze raz i wtedy jego umysł nie

tylko odmówił przetworzenia jej, ale gwałtownie odepchnął ją od siebie i wypędził poza własny obręb, świadomy konsekwencji, jakie niesło za sobą uznanie tej myśli za prawdziwą. Jeszcze raz spróbował wejść do swojego MózGościa, i jeszcze raz i jeszcze raz i jeszcze raz i jeszcze raz, za każdym razem walcząc z narastającą w jego wnętrzu paniką. W końcu głośno zawołał w swojej głowie. Nikt mu nie odpowiedział. Nikt go nie usłyszał. Był sam.

W tym momencie Alex Roentgen stracił panowanie nad sobą i przez resztę swojego upadku wił się, kopał i szarpał szaleńczo pośrodku nieba, krzycząc głosem, którego używał tak rzadko, że jakaś mała cząstka, oddzielona od innych część jego umysłu zadziwiła się jego brzmieniem. Jego spadochron się nie rozłożył. Podobnie jak olbrzymia większość przedmiotów, których używał Roentgen, był kontrolowany i aktywowany za pomocą MózGościa, który od tak dawna działał bez żadnych usterek, że Kolonialne Siły Obrony przestały go traktować jak urządzenie – od dawna traktowano go jako przyrodzoną część mózgu i ciała żołnierza. Roentgen nie wiedząc o tym minął wysokość, na której powinien rozłożyć spadochron, obojętny na implikacje płynące z przekroczenia tej ostatniej granicy.

To nie wiedza, że zaraz umrze doprowadzała Roentgena do szaleństwa, tylko fakt, że był sam, oddzielony, niezintegrowany po raz pierwszy i ostatni w ciągu sześciu lat swojego życia. Przedtem mógł współodczuwać życie swoich koleżanek i kolegów w najdrobniejszych, najbardziej intymnych szczegółach; mógł czuć jak walczą, pieprzą się ze sobą, czuł wszystkie chwile ich życia i sam moment ich śmierci. Zawsze pocieszało go to, że w tych ostatnich chwilach był z nimi, tak jak inni będą kiedyś z nim. Ale nie będą, a on też nie będzie z nimi.

Potworność tego oddzielenia wzmocniał jeszcze wstyd, że on sam nie będzie w stanie pocieszyć swoich przyjaciół, tak jak on spadających w otchłań śmierci.

Alex Roentgen jeszcze raz skręcił całym ciałem, obrócił się twarzą w stronę powierzchni planety, która miała go zabić i zaczął wrzeszczeć krzykiem porzuconego sześciolatka.



Jared patrzył z przerażeniem na wirujący szary punkt na niebie, który zdawał się przyspieszać w ostatnich sekundach upadku; po chwili okazał się krzyczącym człowiekiem i uderzył w łąkę z okropnym, mokrym łomotem, po którym nastąpiło przerażające odbicie.

Uderzenie ciała o powierzchnię łąki wytrąciło Jareda z bezruchu. Popchnął Sagan krzycząc, żeby zaczęła uciekać, potem podbiegł do innych, zaczął podnosić ich z ziemi i wskazywać im linię drzew, chcąc usunąć ich z drogi spadających z nieba ciał.

Seaborg i Harvey doszli już do siebie, ale obaj stali z głowami zadartymi do góry, patrząc, jak umierają ich przyjaciele. Jared popchnął Harveya, a Seaborgowi wymierzył policzek, wrzeszcząc przy tym, żeby się stamtąd zabierali. Wigner leżał na ziemi i nie chciał się podnieść, wydawał się pogrążony w katatonii; Jared podniósł go na siłę, przekazał Seaborgowi i kazał się stamtąd wynosić. Schylił się po Manley; odepchnęła go i zaczęła czołgać się w stronę środka łąki, piszcząc. Po chwili wstała i zaczęła biec. Na łąkę zaczęły zwałać się kolejne ciała. Po przebiegnięciu sześćdziesięciu metrów zatrzymała się, rozejrzała dookoła i wykrzyczała z siebie resztę zdrowego rozsądku. Jared odwrócił się w inną stronę i nie zobaczył już, jak noga któregoś ze spadających żołnierzy uderzyła ją w ramię i kark,

rozrywając arterie i kości i wbijając końce połamanych żeber w płuca i w serce. Krzyk Manley skończył się cichym rżeniem.

W dwie minuty po upadku pierwszego z ciał cała reszta żołnierzy Drugiego plutonu doleciała do powierzchni wrogiej planety. Jared wraz z resztą swojego oddziału ze skraju lasu patrzył, jak spadali.

Kiedy już było po wszystkim, Jared odwrócił się do pozostałej czwórki, żeby dokonać bilansu sytuacji. Wszyscy byli w różnych stadiach szoku; wyglądało na to, że Sagan jest w stosunkowo najlepszym stanie, a Wigner w najgorszym (choć w końcu zaczął zdawać sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje). Jared czuł się podle i słabo, ale mógł normalnie funkcjonować; wystarczająco dużo czasu spędził poza integracją, by zdążyć się do tego przyzwyczać. Wobec tego, przynajmniej w tym momencie, musiał przejąć dowodzenie.

– Musimy się stąd ruszyć – zwrócił się do Sagan. – Najlepiej w głąb lasu. Jak najdalej stąd.

– Ale nasze zadanie... – zaczęła Sagan.

– Nie ma już naszego zadania – przerwał jej. – Wiedzą, że tu jesteśmy. Jeśli tu zostaniemy, zginiemy.

Jego ostatnie słowa chyba przejaśniły Sagan w głowie.

– Ktoś musi wrócić – powiedziała. – Wziąć łapacza i zawiadomić KSO.
– Spojrzała Jaredowi prosto w oczy. – Ale nie ty.

– Nie ja – zgodził się. Wiedział, że powiedziało to, ponieważ wciąż była w stosunku do niego podejrzliwa, ale nie miał teraz czasu, żeby się tym przejmować. Nie mógł wrócić dlatego, ponieważ jako jedyny spośród nich normalnie funkcjonował. – Niech pani wróci – zaproponował. – Nie – odpowiedziała płaskim głosem.

– A więc Seaborg – zdecydował Jared. Seaborg był w stosunkowo nienajgorszej formie; mógł zawiadomić KSO o tym, co się tu stało i

przekazać im, żeby przygotowali się na najgorsze.

– Niech to będzie Seaborg – zgodziła się.

– Okay – powiedział Jared i odwrócił się do Steve’a. – Chodź, stary. Wsadzimy cię do tej rzeczy.

Stojący chwiejnie na nogach Seaborg zaczął usuwać gałęzie z łapacza, żeby odsłonić drzwi, przysunął się w ich stronę i znieruchomiał.

– O co chodzi? – zapytał Jared.

– Jak mam to otworzyć? – zapytał Seaborg, skrzekliwym, nieużywanym dawno głosem.

– Użyj swojego... kurwa! – zaklął Jared. Łapacza można było otworzyć tylko za pomocą MózGościa.

– No to kurwa, cudownie! – warknął Seaborg i ze złością zeskoczył na ziemię. Jared podszedł do Seaborga, zatrzymał się i podniósł głowę do góry.

Coś zbliżało się w ich stronę. Cokolwiek to było, nie troszczyło się o to, żeby się do nich niepostrzeżenie podkraść.

– Co to jest? – zapytała Sagan.

– Ktoś nadciąga i to w większej liczbie. To Obinowie. Znaleźli nas.

DWUNASTY

Udawało im się wymykać Obinom jeszcze przez pół godziny, w końcu jednak zostali przez nich osaczeni.

Lepiej byłoby, gdyby oddział się rozdzielił, pociągając ścigających ich Obinów w różnych kierunkach, co być może uratowałoby niektórych jego członków kosztem pozostałych. Zostali jednak razem, kompensując sobie brak integracji faktem, że mogli się nawzajem widzieć. Najpierw prowadził Jared, a Sagan na końcu oddziału pomagała wlec Wignera. Potem zamienili się rolami; Sagan zaczęła prowadzić ich bardziej na północ, jak najdalej od ścigających ich Obinów.

Odległy do tej pory jazgot stał się coraz głośniejszy; Jared spojrział w górę, ponad korony drzew i zobaczył statek Obinów, który na chwilę zatrzymał się nad oddziałem a potem poleciał na północ. Sagan skrzyła w prawo i zaczęła prowadzić ich na wschód. W parę minut później następny statek zawisł nad oddziałem i opuścił się na wysokość dziesięciu metrów nad sklepieniem koron drzew. Obinowie otworzyli ogień, nagle dał się słyszeć potężny terkot ich karabinów; wokół nich zaczęły spadać odstrzelone gałęzie i liście. Sagan zatrzymała się i tuż pod jej nogami wybuchło parę pocisków dużego kalibru. Nie mogli dalej iść na wschód, więc znowu skierowali się na północ. Statek Obinów także skrzył i zaczął im towarzyszyć, strzelając do nich, kiedy szli zbyt wolno albo za bardzo zbaczali na wschód czy zachód. To nie był pościg; statek pędził ich jak stado bydła ku nieznanemu przeznaczeniu.

Miejsce ich przeznaczenia ukazało im się dziesięć minut później, kiedy oddział dotarł do kolejnej, niewielkiej łąki, na której czekali na nich

Obinowie z pierwszego statku. Za nim drugi ze statków właśnie schodził do lądowania; za placami oddziału Sagan pojawili się, teraz widoczni między drzewami, Obinowie, którzy podążali ich tropem od samego początku.

Wigner, który wciąż nie doszedł do siebie po wstrząsie odłączenia, odsunął się od Jareda i uniósł lufę swojego Emapaka, najwyraźniej nie zamierzając poddać się bez walki.

Wymierzył broń w grupę czekających na nich na łące Obinów i nacisnął spust. Nic się nie stało. Żeby uniemożliwić użycie Empaków przez wrogów żołnierzy KSO, można było z nich strzelać jedynie po zweryfikowaniu użytkownika za pomocą jego MózGościa. Wigner warknął ze złości, a potem zniknęło wszystko, co znajdowało się ponad jego brwiami – jednym celnym strzałem odstrzelono mu górną połowę głowy. Osunął się na ziemię; Jared dostrzegł w oddali, jak jeden z obińskich żołnierzy opuszcza broń ku ziemi.

Jared, Sagan, Harvey i Seaborg zbliżyli się, wyciągnęli bojowe noże i obrócili się w cztery strony świata, stojąc plecami do siebie. Dobycie noży było daremnym, wynikającym z czystej przekory gestem; byli pewni, że Obinowie zabiją ich z bezpiecznej odległości. Jednak pocieszała ich trochę świadomość, że umrą stojąc ramię w ramię, wszyscy razem. Nie była to integracja, ale na nic lepszego nie mogli w tym momencie liczyć.

W międzyczasie wylądował drugi ze statków; wysiadło z niego sześciu Obinów – trzech było uzbrojonych, dwóch niosło jakiś inny sprzęt, szósty nie miał nic w rękach. Ten ostatni podszedł w stronę ludzi charakterystycznym dla obcych, lekkim i wdzięcznym chodem, zatrzymał się w bezpiecznej odległości a za jego plecami stanęło kolejnych trzech uzbrojonych Obinów. Jego migotliwe, złożone oczy skierowały się w stronę Sagan, która stała najbliżej.

– Poddajcie się – powiedział poprawną, chociaż świszczącą angielszczyzną.

– Słucham? – spytała zdziwiona Sagan. Z tego, co wiedziała, Obinowie nigdy nie brali jeńców.

– Poddajcie się – powtórzył. – Jeśli tego nie zrobicie, zginiecie.

– Darujecie nam życie, jeśli się poddamy? – zapytała Sagan.

– Tak.

Jared spojrział na Sagan, która stała po jego prawej; widział, że rozważa propozycję wroga. Jared uważał ją za korzystną; Obinowie mogli zabić ich, mimo tego, że się poddadzą, jednak jeśli nie poddadzą się, to zginą na sto procent. Nie podzielił się z Sagan swoim zdaniem; wiedział, że mu nie ufa i nie chce znać jego opinii w żadnej sprawie.

– Rzućcie broń. – powiedziała w końcu Sagan. Jared odrzucił nóż i swojego Empaka; pozostali zrobili to samo. Obinowie kazali im także zdjąć plecaki i pasy, zostawiając ich w samych kombinezonach bojowych. Dwóch z ich grupy, która ścigała ich od samego początku podeszło do nich, zebrało ich sprzęt i załadowało go na pokład jednego ze statków. Kiedy jeden z nich zbliżył się do Harveya, Jared poczuł, jak ten napina mięśnie; Jared podejrzewał, że walczył on z potężną pokusą kopnięcia obcego.

Kiedy pozbawiono ich już broni i sprzętu, kazano im stanąć w większej odległości od siebie i dwóch obcych z drugiego statku zaczęło przeszukiwać ich za pomocą niesionych w obu łapach urządzeń. Jared podejrzewał, że szukają ukrytej broni. Przeskanowali pozostałą trójkę i na koniec podeszli do Jareda. Po chwili jeden z przeszukujących go przypominającym dźwięk fletu głosem powiedział coś po obińsku do ich przywódcy, który natychmiast podszedł do Jareda w towarzystwie dwóch uzbrojonych żołnierzy.

– Ty idziesz z nami – rozkazał.

Jared spojrział na Sagan, oczekując wskazówek, w jaki sposób ma to rozegrać; nie doczekał się żadnych.

– Dokąd mam z wami iść? – zapytał w końcu.

Dowódca Obinów odwrócił się i powiedział coś wibrującym głosem. Jeden ze stojących za nim podkomendnych uniósł broń i strzelił Steve’owi Seaborgowi w nogę. Seaborg upadł z krzykiem.

Obin odwrócił się w stronę Jareda i powtórzył:

– Ty idziesz z nami.

– Do kumy nędzy, Dirac! – ryknął Seaborg. – Idź z tymi pierdolonymi Obinami, zanim znów do mnie strzelą!

Jared opuścił szereg i pozwolił zaprowadzić się do obińskiego statku.



Sagan patrzyła na odchodzącego Jareda rozważając, czy nie doskoczyć do niego i nie złamać mu karku – w ten sposób pozbawiłaby Obinów i Boutina ich zdobyczy, jednocześnie upewniając się, że Dirac nie będzie miał możliwości popełnienia jakiegoś głupstwa. Jednak pozwoliła dogodnej chwili minąć; poza tym musiałyby wykonać naprawdę długi skok. I wtedy na pewno zabiliby ich na miejscu. A póki co dalej żyli, wszyscy czworo.

Dowódca Obinów znów zwrócił się do Sagan w której rozpoznał dowódcę oddziału.

– Wy zostajecie tutaj – poinformował ich i oddalił się tanecznym krokiem, zanim Sagan zdążyła cokolwiek powiedzieć. Zrobiła krok do przodu, aby z nim porozmawiać, ale trzech uzbrojeni przeciwnicy zastąpili jej drogę. Podniosła ręce do góry i cofnęła się o krok, ale oni dalej napierali na nią z wycelowanymi w jej stronę karabinami, poruszeniami luf pokazując, że powinni iść we wskazanym kierunku.

Odwróciła się do Seborga, który wciąż leżał na ziemi.

– Jak twoja noga? – zapytała.

– Kombinezon przyjął większą część uderzenia. Nie jest tak źle. Przeżyję to.

– Możesz iść?

– Pod warunkiem, że nie każe mi pani tego polubić.

– No to chodź. – Sagan wyciągnęła rękę, żeby pomóc mu wstać. – Harvey, weź Wignera.

– Ten podszedł do zabitego żołnierza i zapakował go do ratowniczego nosidła. Zapędzono ich do niewielkiego wgłębienia terenu w pobliżu środka łąki, najprawdopodobniej powstałego w wyniku erozji gleby, na co wskazywała wypełniająca je polodowcowa roślinność. Kiedy już znaleźli się we wnętrzu wgłębienia, Sagan usłyszała warkot odlatującego obinńskiego statku, a po chwili odgłos przylotu kolejnego. Nowo przybyły statek, większy od dwóch pozostałych, wylądował w pobliżu ich dolinki i z jego wnętrza wytoczyła się grupka identycznie wyglądających maszyn.

– Co to do diabła jest? – zapytał zdziwiony Harvey, składając na ziemi ciało Wignera. Sagan nie odpowiedziała na jego pytanie; przyglądała się, jak maszyny rozstawiają się wokół obwodu dolinki – było ich osiem. Obinowie, którzy z nimi przylecieli, wspięli się na szczyty maszyn i usunęli z nich metalowe osłony, pod którymi skrywały się ogromne, wielolufowe pistolety strzałkowe. Kiedy wszystkie pokrywy zostały zdjęte, jeden z Obinów aktywował pistolety, które włączyły się i zaczęły obracać, namierzając swoje cele.

– To ogrodzenie – domyśliła się Sagan. – Zamknęli nas w tej dolince. – Wykonała próbny krok w stronę jednego z pistoletów; przechylił się w jej stronę i zaczął śledzić jej ruchy.

Zrobiła jeszcze jeden krok i pistolet wydał z siebie bolesny dla uszu, wysoki pisk, który według Sagan, miał służyć jako ostrzeżenie. Wyobraziła sobie, że po następnym kroku jej głowa zostałaby odstrzelona od reszty ciała, ale nie zdecydowała się sprawdzić, czy jej wyobrażenie było zgodne z prawdą. Odsunęła się od pistoletu. Ten wyłączył syrenę, ale nie przestał śledzić jej ruchów, dopóki nie odeszła do tyłu o parę kroków.

– Mieli te maszyny na podporządku, już tutaj na nas czekały – oświadczył Harvey. – To bardzo miło z ich strony. O co w tym wszystkim chodzi?

– To mi nie wygląda najlepiej. – Sagan wciąż przypatrywała się pistoletom.

– Co pani ma na myśli?

– Te maszyny pochodzą ze stacji badawczej. Muszą być stamtąd, bo w pobliżu nie ma żadnych innych budowli. A takie rzeczy nie leżą sobie tak po prostu na każdej stacji badawczej. Musieli używać ich już wcześniej do przetrzymywania ludzi.

– No dobra – włączył się do dyskusji Seaborg. – Ale jakich ludzi? I dlaczego?

– Sześć okrętów Sił Specjalnych zniknęło bez śladu – odparła Sagan, nie wspominając o zaatakowanym i zniszczonym przez Obinów okręcie. – Nie wiadomo, co się stało z ich załogami. Być może zostały przewiezione właśnie tutaj?

– To wciąż nie wyjaśnia dlaczego.

Sagan wzruszyła ramionami. Sama jeszcze nie znalazła na to odpowiedzi. Powietrze wypełniło się dźwiękiem wydawanym przez startujący statek Obinów. Po chwili odgłos pracy jego silników znikł w oddali.

– Świetnie – odezwał się Harvey. Rzucił kamieniem w stronę jednego z pistoletów, który śledził jego lot, ale nie wystrzelił. – Zostawili nas tu bez

jedzenia, wody i dachu nad głową.

Co by pani powiedziała na to, gdyby Obinowie już nigdy po nas nie wrócili? Sagan nie odpowiedziała ani słowem, ale pomyślała, że to nie byłoby najgorsze z możliwych rozwiązań.



– A więc to ty jesteś mną – Charles Boutin w końcu odezwał się do Jareda. – To zabawne, ale myślałem, że będę wyższy.

Jared nie odpowiedział. Po przybyciu na stację badawczą został umieszczony w kadzi, dokładnie unieruchomiony i przewieziony wysokimi, pustymi korytarzami do wypełnionego nieznanymi mu maszynami pomieszczenia – sądził, że było to laboratorium. Pozostawiono go tam samego na parę godzin. W końcu do pomieszczenia wszedł Charles Boutin, natychmiast podszedł do kadzi i przez dłuższy czas dokładnie przyglądał się Jaredowi, jakby ten był olbrzymim i bardzo interesującym rodzajem karalucha. Jared miał nadzieję, że Boutin zbliży się do niego na tyle, żeby mógł mu przyładować z główki. Nie zbliżył się.

– To był żart – wyjaśnił Boutin.

– Wiem, ale nie był śmieszny.

– Pewnie wyszedłem z wprawy. Być może zauważyłeś, że Obinowie za bardzo nie strzelają bon motami.

– Zauważyłem to. – W czasie całej podróży na stację badawczą Obinowie milczeli jak zakłęci. Ich dowódca powiedział do Jareda tylko dwa słowa – „wysiadaj”, kiedy przybyli na miejsce i „wchodź”, kiedy otworzyli wieko przenośnej kadzi.

– To wina Consu. Kiedy tworzyli Obinów, chyba zapomnieli umieścić na swoich miejscach moduły poczucia humoru. Zapomnieli też o wielu innych

rzeczach.

Wbrew sobie samemu – albo z powodu zawartych w jego głowie cudzych wspomnień i osobowości – Jared okazał zainteresowanie.

– A więc to prawda, że Consu ulepszyli Obinów? – zapytał.

– Jeśli chcesz nazwać to w ten sposób... Chociaż słowo „ulepszyć” zakłada ze strony ulepszającego dobre intencje, o czym w tym wypadku nie może być mowy. Z tego, czego dowiedziałem się od Obinów, wyglądało to w ten sposób, że pewnego dnia Consu zaczęli się zastanawiać nad tym, co by się stało, gdyby dać pewnym gatunkom inteligencję. Przybyli więc na Obinur, w jednej z pomniejszych nisz ekologicznych znaleźli pewnego wszystkożercę, i podarowali mu intelekt. Tak po prostu, żeby zobaczyć, co z tego wyniknie.

– Co się stało później?

– Później nastąpiła długa, kaskadowa seria niezamierzonych konsekwencji tego czynu, mój przyjacielu, która, póki co, kończy się na nas dwóch spotykających się w tym laboratorium. Od tamtej chwili aż do tego momentu wiedzie bezpośrednia linia. – Nie rozumiem – przyznał Jared.

– Oczywiście, że nie rozumiesz. Nie dysponujesz wszystkimi danymi. Zanim tu przybyłem, też nie dysponowałem wszystkimi danymi, więc nawet jeśli wiesz wszystko to, co wiedziałem wcześniej ja, tego akurat wiedzieć nie możesz. Jak wiele wiesz z tego, co wiem ja?

Jared nie odpowiedział. Boutin uśmiechnął się.

– W każdym razie wystarczająco dużo – ocenił. – Najwyraźniej dzielasz też niektóre z moich zainteresowań. Zauważyłem, jak się ożywiłeś, kiedy zacząłem mówić o Consu. Ale może powinniśmy zacząć od prostszych rzeczy. Na przykład powiedz mi, jak się nazywasz.

Trudno mi jest się zwracać do czegoś w rodzaju mojego klona, nie wiedząc, jak się nazywa.

– Nazywam się Jared Dirac.

– Aha, no tak. Protokół nazewniczy Sił Specjalnych. Powszechnie używane nazwisko uznanego naukowca. Kiedyś pracowałem trochę dla Sił Specjalnych – nie bezpośrednio, bo nie lubicie towarzystwa ludzi spoza Sił Specjalnych. Jak nas nazywacie?

– Naprawdę urodzonymi.

– Właśnie. Wolicie się zbytnio nie spoufalać z naprawdę urodzonymi. W każdym razie protokół nazewniczy Sił Specjalnych zawsze mnie śmieszył. Pula nazwisk jest dosyć ograniczona; jest ich paręset, lub coś w tym rodzaju, na dodatek głównie pochodzą od klasycznych, europejskich naukowców. Nie wspominając o imionach! Jared. Brad. Cyntia.

John. Jane. – Wymawiał imiona jak dobroduszny kpiarz. – Rzadko spotyka się wśród nich imiona pochodzące spoza kręgu kultury zachodniej; to właściwie bez sensu, bo przecież Siły Specjalne nie rekrutują swoich żołnierzy na Ziemi, tak jak reszta KSO. Równie dobrze mógłbyś się nazywać Yusef al-Biruni i nie sprawiałoby ci to żadnej różnicy. Zestaw imion i nazwisk żołnierzy Sił Specjalnych, mówi coś o ludziach, którzy ich stworzyli, podobnie jak stworzyli ciebie. Nie uważasz’?

– Lubię swoje imię, Charles – powiedział z naciskiem Jared.

– Touche. Ale ja swoje nazwisko otrzymałem dzięki długiej, rodzinnej tradycji, podczas gdy ciebie nazwano wykorzystując przypadkowe zestawienie imienia i nazwiska naukowca.

Nie, żeby coś złego było w nazwisku „Dirac”. Na pewno nazywasz się tak po Paulu Diracu.

Słyszałeś kiedyś o „morzu Diraca”?

– Nie – odparł Jared.

– Dirac sugerował, że tak naprawdę próżnia jest rozległym morzem negatywnej energii -wyjaśnił Boutin. To cudowne wyobrażenie. Niektórzy

współcześni mu fizycy uznali, że ta hipoteza jest nieelegancka, i być może mieli rację. Ale była bardzo poetycka, a oni tego nie docenili. Ale to byli fizycy w sam raz dla ciebie. Niekoniecznie przepełnieni czystą poezją.

Obinowie na przykład są doskonałymi fizykami, ale żaden z nich nie ma w sobie więcej poetyczności od zwykłego kurczaka. Oni na pewno nie doceniliby morza Diraca. Jak się czujesz?

– Jestem zażenowany. Muszę się wysikać.

– Więc sikaj. Mnie to nie przeszkadza. Każdy ma oczywiście mechanizm samooczyszczający. Zresztą twój kombinezon potrafi przecież poradzić sobie z moczem.

– Pod warunkiem, że powiadomię o tym MózGościa – przypomniał mu Jared. Bez komunikowania się z MózGościem właściciela, mikroroboty tworzące tkaninę kombinezonu bojowego zachowywały jedynie podstawowe zdolności obronne, takie jak sztywnienie pod wpływem uderzenia, pozwalając właścicielowi bezpiecznie przetrwać traumę utraty świadomości lub połączenia z MózGościem. Zdolności drugorzędne, takie jak możliwość odprowadzania i przetwarzania potu i moczu, uznano za nieistotne. – Ah, no tak. Zaraz się tym zajmiemy. – Boutin podszedł do urządzenia stojącego na jednym ze stołów laboratorium i nacisnął jakiś przycisk. Wypełniająca do tej pory czaszkę Jareda gruba warstwa waty nagle zniknęła; jego MózGościu znów zaczął działać. Jared zignorował potrzebę oddania moczu, zamiast tego ze wszystkich sił starał się skontaktować z Jane Sagan.

Boutin przyglądał się jego wysiłkom z lekkim uśmiechem.

– To nie zadziała – powiedział mniej więcej po minucie. – Ta antena jest dość mocna, by spowodować zakłócenie fal w promieniu mniej więcej dziesięciu metrów. Działa w całym laboratorium i to w zupełności

wystarczy. Twoi przyjaciele wciąż mają założone blokady. Nie połączysz się z nimi. Z nikim się nie połączysz.

– Przecież nie można zupełnie zablokować MózGościów. – Transmisja MózGościa składała się z serii wielokrotnych, redundantnych, zaszyfrowanych wiązek transmisji, z których każda nadawana była na innej częstotliwości, a wzorzec tej częstotliwości tworzony był za pomocą jednorazowego, unikalnego klucza tworzonego w momencie kontaktu z innym MózGościem. Praktycznie niemożliwe było zablokowanie chociaż jednego z tych strumieni wiązek; nie mówiąc o zablokowaniu wszystkich naraz.

Boutin podszedł do anteny i znowu nacisnął jakiś przycisk, gęsta wata znów wypełniła głowę Jareda.

– Co powiedziałeś? – zapytał Boutin z uśmiechem. Jared z trudnością powstrzymywał się od krzyku. Po minucie Boutin znów nacisnął przycisk. – Zwykle jest tak, jak mówisz. Nadzorowałem ostatnie prace nad protokołami komunikacyjnymi MózGościa. Właściwie byłem ich współtwórcą. Masz zupełną rację; nie można zablokować strumieni komunikacyjnych, nie używając tak silnego nadajnika, który unicestwi swą mocą wszystkie transmisje, łącznie z twoją własną.

Ale ja nie blokuję MózGościów w ten sposób – kontynuował Boutin. – Czy wiesz, co oznacza termin „backdoor”? To luka w zabezpieczeniach systemu, stworzona przez jego twórcę, która pozwala mu na łatwy dostęp do tego, nad czym pracuje, z ominięciem wszystkich bramek zabezpieczających. Mój backdoor otwiera się tylko na mój specjalny, potwierdzający sygnał. Stworzyłem go, żeby monitorować działanie ostatnich prototypów MózGościa, pozwalał mi też wyłączać pewne funkcje, jeśli dostrzegłem w ich działaniu jakieś usterki; między innymi funkcje

komunikacyjne. Nie ma tego w projekcie, więc ktoś, kto nie jest mną, nie ma prawa o tym wiedzieć.

Boutin zamilkł. Przez dłuższą chwilę przyglądał się Jaredowi, a potem dodał: – Kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć o tym obejściu. Być może nie pomyślałbyś o tym, że można użyć go jako broni – ja sam nie pomyślałem o tym, dopóki nie trafiłem tutaj – ale jeśli jesteś mną, to powinieneś o tym wiedzieć. Powiedz mi, co wiesz. Ale tak naprawdę.

– Jak się o mnie dowiedziałeś? – zapytał Jared, żeby zmienić temat. – Wiedziałeś, że miałem być tobą. Skąd?

– To rzeczywiście dość interesująca historia. – Boutin chętnie chwycił przynętę. – Kiedy zdecydowaliśmy, żeby użyć backdooru jako broni, stworzyłem dla niego taki kod, jaki się tworzy dla broni. To było najprostsze i najlepsze rozwiązanie. Dzięki temu backdoor zyskał zdolność sprawdzania funkcjonalnego statusu MózGościa, na którego oddziaływał. To bardzo korzystne z wielu powodów; między innymi za każdym razem możemy dokładnie oszacować, z iloma żołnierzami będziemy mieli do czynienia. Pozwala nam to również na dokonywanie czegoś w rodzaju migawkowych zdjęć świadomości poszczególnych żołnierzy. To także okazało się bardzo użyteczne. Całkiem niedawno byłeś na Stacji Covell, prawda? – spytał nagle, ale Jared nie odpowiedział. – No dalej, przyznaj się – naciskał z lekką irytacją. – Wiem, że tam byłeś. Nie musisz zachowywać się tak, jakbyś zdradzał sekrety stanu.

– Tak – przyznał w końcu Jared. – Byłem na Covell.

– Dzięki. Wiemy, że na Omagh są jacyś żołnierze kolonialni, wiemy też, że odwiedzają Stację Covell, ponieważ zamontowaliśmy tam detektory backdoora. Ale nigdy nie udaje ich się wyłączyć. Żołnierze, którzy tam są, muszą mieć odmienną architekturę MózGościa. – Boutin spojrzał, czy Jared zareaguje jakoś na jego ostatnie słowa, ale Jared tego nie zrobił. – Jednak

włączyliście nasze alarmy, bo wszyscy macie MózGoście mojego projektu, z moim małym obejściem zabezpieczeń. Po waszej ostatniej wizycie na stacji przesłano mi zapis twojego wzoru świadomości i jak możesz się domyślać, zupełnie zaskoczyło mnie to, co zobaczyłem. Bardzo dobrze znam obraz wzoru mojej świadomości, bo używałem go w czasie wielu próbnych doświadczeń. Powiadomiłem Obinów o tym, że cię szukam. I tak zbieraliśmy żołnierzy Sił Specjalnych, więc nie stanowiło to jakiegoś szczególnego kłopotu. Prawdę mówiąc, powinni spróbować przejąć cię na Covell.

– Na Covell próbowali mnie zabić.

– Przykro mi, ale nawet Obinowie czasem dają się ponieść w wirze zdarzeń. Mogę cię natomiast pocieszyć, że od tej pory kazano im najpierw skanować, potem strzelać.

– Dzięki. To bardzo pomogło dzisiaj mojemu koledze, kiedy odstrzelili mu pół głowy.

– Sarkazm! – zawołał Boutin. – Większość z was nie może się zdobyć na coś takiego. Dostałeś to ode mnie. Tak jak powiedziałem, czasem dają się ponieść. Oprócz tego, że kazałem im cię szukać, zawiadomiłem ich także, że mogą się spodziewać ataku na to miejsce, bo skoro jeden z was biega sobie z moją świadomością w głowie, to prędzej czy później znajdziecie tę stację. Prawdopodobnie nie zaryzykowałibyście frontalnego ataku, sądziłem, że postaracie się jakoś ukradkiem przekraść, tak, jak to zrobiliście dzisiaj. Oczekiwaliśmy ataku tego rodzaju, prowadziliśmy też nasłuch w poszukiwaniu ciebie. Kiedy tylko znalazłeś się na ziemi, wyłączyliśmy wszystkie MózGoście.

Jared pomyślał o spadających z nieba członkach swojego plutonu i zrobiło mu się niedobrze.

– Mogłeś pozwolić im wylądować, sukinsynu – warknął. – Kiedy zablokowałeś ich MózGościów, stali się zupełnie bezbronni. Wiedziałeś o tym.

– Nie byli bezbronni – nie zgodził się Boutin. – Nie mogli używać swoich Empaków, ale wciąż mogli posługiwać się swoimi nożami bojowymi i umiejętnością walki wręcz.

Unieszkodliwienie waszych MózGościów większość z was zamienia w katatoników, ale niektórzy wciąż jeszcze mogą walczyć. Spójrz na siebie. Chociaż ty jesteś najprawdopodobniej lepiej do tego przygotowany od innych. Jeśli masz moje wspomnienia, to dobrze wiesz, jak to jest nie być podłączonym przez cały czas. Uznaliśmy, że sześcioro z was zupełnie nam tutaj wystarczy. Tym bardziej, że tak naprawdę chodziło nam o ciebie.

– Dlaczego? Do czego jestem wam potrzebny?

– Wszystko w swoim czasie – odparł Boutin.

– Skoro chcieliście tylko mnie, to co zamierzacie zrobić z moim oddziałem?

– Mógłbym ci odpowiedzieć, ale i tak na dość długo odciągnąłeś moją uwagę od pytania, które ci zadałem, prawda? – rzekł z uśmiechem. – A teraz powiedz mi dokładnie co wiesz o mnie, o byciu mną i o moich planach.

– Skoro tu jestem, to wiesz już, że o tobie wiemy. Twoje istnienie przestało być tajemnicą.

– Muszę ci powiedzieć, że jestem pod wrażeniem. Zdawało mi się, że dobrze zatarłem swoje ślady. Nie mogę sobie wybaczyć, że nie sformatowałem urządzenia, w którym przechowywałem wzór mojej świadomości. Po prostu nie miałem na to czasu, za bardzo się spieszyłem. Chociaż to nie jest przekonująca wymówka. To było naprawdę głupie z mojej strony.

– Nie zgadzam się z tym – rzekł Jared.

– No myślę. Rozumiem twój punkt widzenia. Gdybym to zrobił, nie byłoby cię tutaj, przy czym słowo „tutaj” ma w tym zdaniu wiele znaczeń. W każdym razie zaimponowało mi, że byliście w stanie dokonać transferu z powrotem, do mózgu. Mnie samemu nie udało się rozwiązać tego problemu aż do chwili opuszczenia Feniksa. Kto tego dokonał?

– Harry Wilson – wyznał Jared.

– Harry! To miły gość. Nic wiedziałem, że jest aż tak bystry. Nieźle sobie z tym poradził. Chociaż z drugiej strony, większą część roboty wykonałem ja sam, jeszcze przed odejściem. A wracając do tego, że Unia Kolonialna wie, gdzie jestem; to muszę przyznać, że owszem, tak, to stanowi pewien problem. Ale także stwarza pewną możliwość, którą będzie można w odpowiedni sposób wykorzystać. Przejdźmy jednak do rzeczy. Dla ułatwienia, i żeby przekonać cię do zrezygnowania z wszelkich prób odwrócenia mojej uwagi i odwleczenia odpowiedzi na moje pytanie, powiem ci jedno – to, na ile twoja odpowiedź okaże się pomocna, zadecyduje o życiu lub śmierci twoich kolegów z oddziału. Czy to jasne?

– Jasne – odpowiedział Jared.

– Doskonale. A teraz powiedz mi, co o mnie wiesz. Jak dużo wiesz na temat mojej pracy?

– Znam jej ogólne zarysy. Szczegóły są dla mnie zbyt skomplikowane. Nie miałem wystarczająco podobnych doświadczeń, żeby pozwolić zakorzenić się tym wspomnieniom.

– A więc posiadanie wspólnych doświadczeń ma znaczenie – zauważył Boutin. – To naprawdę interesujące. I tłumaczyłoby to fakt, że nie miałeś pojęcia o tym obejściu. A jeśli chodzi o moje poglądy polityczne? O mój stosunek do Unii Kolonialnej i KSO?

– Domyślam się, że za nimi nie przepadasz.

– I słusznie się domyślasz, ale brzmi to tak, jakbyś nie miał wiadomości z pierwszej ręki na temat moich poglądów w tych sprawach.

– Nie mam – przyznał Jared.

– Bo nie masz żadnych doświadczeń w tej materii, prawda? W końcu jesteś z Sił Specjalnych. W waszym planie zajęć nie uwzględniono kwestionowania ogólnie przyjętych autorytetów. A co z moim życiem osobistym?

– Pamiętam większą jego część. Widać miałem w tym zakresie wystarczająco dużo własnych doświadczeń.

– Więc wiesz o Zoe – zamyślił się Boutin.

Jared poczuł, jak imię tego dziecka wywołuje w nim strumień emocji.

– Tak, wiem o niej – przyznał płaskim głosem. Boutin ożywił się, słysząc ton jego głosu:

– A więc też to czujesz? Prawda? To, co czułem ja, kiedy powiedzieli mi, że ona nie żyje.

– Tak, czuję to – przyznał Jared.

– Biedny człowieku – wyszeptał Boutin. – Stworzono cię, żebyś czuł to z powodu dziecka, którego nawet nie znałeś.

– Znałem ją – sprzeciwił się Jared. – Znałem ją poprzez ciebie.

– Rozumiem. – Boutin podszedł do jednego z laboratoryjnych biurk. – Teraz jestem już przekonany, Jared. Jesteś wystarczająco podobny do mnie, żeby stać się oficjalnie interesującym.

– Czy to znaczy, że darujesz życie ludziom z mojego oddziału?

– Na razie tak. Wykazałeś wystarczającą chęć współpracy, a oni są strzeżeni przez pistolety, które poszatkują ich na krwiste befsztyki, jeśli zbliżą się do nich na odległość trzech metrów, więc póki co nie ma powodu ich zabijać. – A co będzie ze mną?

– Ty, mój przyjacielu, zostaniesz poddany dokładnemu skanowaniu mózgu – powiedział Boutin patrząc na klawiaturę, na której coś pisał. – Zamierzam też dokonać nagrania twojej świadomości. Chcę się tobie jak najdokładniej przyjrzeć, żeby przekonać się, w jakim dokładnie stopniu jesteś taki, jak ja. Wygląda na to, że umknęło ci wiele szczegółowych informacji, poza tym zostałeś poddany temu waszemu praniu mózgu Sił Specjalnych. Ale co do rzeczy istotnych, mamy ze sobą wiele wspólnego.

– Na pewno różnimy się co do jednej rzeczy.

– Naprawdę? – zaciekawił się Boutin. – A co to za rzecz?

– Ja nie zdradziłbym całego rodzaju ludzkiego z powodu śmierci mojej córki. Boutin w zamyśleniu przypatrywał się Jaredowi przez dobrą minutę.

– Więc naprawdę uważasz, że robię to, ponieważ Zoe została zabita na Covell? – odezwał się w końcu.

– Tak myślę. I nie uważam, że to dobry sposób uczczenia jej pamięci.

– Aha, więc tak to widzisz... – powiedział Boutin, a potem odwrócił się do klawiatury i nacisnął jeden z klawiszy. We wnętrzu kadzi Jareda coś zadudniło i poczuł w mózgu coś w rodzaju szczypania. – Teraz nagrywam twoją świadomość. Odpręż się.

Wyszedł z laboratorium, zamykając za sobą drzwi. Jared, czując jak szczypanie w mózgu coraz bardziej narasta, nie był w stanie się odprężyć. Zamknął oczy.

W parę minut później usłyszał, że ktoś otwiera, a potem zamyka drzwi. Otworzył oczy.

Przy drzwiach stał Boutin, który napotkawszy jego spojrzenie spytał: – Jak działa na ciebie to nagrywanie świadomości?

– Boli jak diabli – przyznał Jared.

– To niefortunny efekt uboczny. Jeszcze nie wiem, dlaczego tak się dzieje. Będę musiał nad tym popracować.

– Byłbym wdzięczny – wysyczał przez zaciśnięte zęby Jared. Boutin uśmiechnął się.

– I znowu sarkazm. Ale mam coś, co jak sądzę ulży twojemu cierpieniu.

– Cokolwiek to jest, poproszę podwójną dawkę.

– Myślę, że pojedyncza w zupełności wystarczy. Boutin otworzył drzwi, za którymi stała Zoe.

TRZYNASTY

Boutin miał rację. Jared przestał odczuwać ból.

– Kochanie – Boutin zwrócił się do Zoe. – Chciałbym cię przedstawić mojemu przyjacielowi. To jest Jared. Przywitaj się z nim, proszę.

– Dzień dobry, panie Jared – odezwała się Zoe cichym, nieśmiałym głosem.

– Cześć – Jared nie odważył się powiedzieć nic więcej w obawie, że głos mógłby mu się załamać i zacząć drżeć. Po chwili zebrał się w sobie. – Witaj, Zoe. Dobrze cię widzieć.

– Nic pamiętasz Jareda, Zoe, ale on pamięta ciebie. Poznał cię, kiedy byliśmy jeszcze na Feniksie.

– Czy zna mamusię?

– Sądzę, że znał mamusię, tak samo jak wszyscy inni – odparł Boutin.

– Dlaczego jest w tej skrzyni? – zapytała Zoe.

– Pomaga tatusiowi w pewnym eksperymencie, to wszystko.

– Czy będzie mógł przyjść pobawić się ze mną, kiedy już skończycie?

– Zobaczymy. A teraz grzecznie się z nim pożegnaj, słoneczko. On i tatuś mają jeszcze mnóstwo pracy. Zoe znów zwróciła się do Jareda:

– Do widzenia, panie Jared. – Wyszła z laboratorium; pewnie wracała tam, skąd przyszła. Jared natężył się, żeby jak najdłużej ją widzieć i słyszeć odgłos jej kroków. Po chwili Boutin zamknął za nią drzwi.

– Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że nie będziesz mógł się z nią pobawić. Po prostu Zoe czuje się tutaj coraz bardziej samotna. Kazałem Obinom umieścić małego satelitę odbiorczego nad jedną z mniejszych kolonii, za pomocą którego ściągam programy rozrywkowe i filmy dla

dzieci, dzięki czemu nie tęskni za bardzo za zajęciami edukacyjnymi Unii Kolonialnej. Ale nie ma tu nikogo, z kim mogłaby się pobawić. Ma obińską nianię, ale ta ogranicza się do zadbania o to, żeby mała nie spadła z żadnych schodów. Właściwie ma do towarzystwa tylko mnie.

– Jak to możliwe, że ona przeżyła? Przecież na Covell Obinowie zabili wszystkich.

– Obinowie ocalili Zoe – wyjaśnił Boutin. – To Rraeyowie zaatakowali Covell i Omagh, nie Obinowie. Rraeyowie zrobili to, żeby zemścić się na Unii Kolonialnej za porażkę na Koralu. Prawdę mówiąc nie zależało im na samej Omagh. Po prostu uznali ją za łatwy cel.

Obinowie dowiedzieli się o ich planach i wkroczyli do akcji tuż po zakończeniu pierwszej fazy ataku, kiedy Rraeyowie wciąż byli osłabieni po walce z ludźmi. Po przepędzeniu Rraeyów z Covell, przeszukali stację i znaleźli cywilów zamkniętych w sali konferencyjnej.

Rraeyowie zabili wszystkich żołnierzy i naukowców, ponieważ ich ciała były zbyt zmodyfikowane i nie nadawały się do celów kulinarnych. Ale koloniści jak najbardziej nadawali się do jedzenia. Gdyby Obinowie nie zaatakowali właśnie w tym momencie, Rraeyowie zarznąliby i zjedli wszystkich tych ludzi.

– Więc gdzie jest reszta tych cywilów? – zapytał Jared.

– No cóż, Obinowie oczywiście ich zabili. Wiesz dobrze, że oni nigdy nie biorą jeńców.

– Ale powiedziałaś przecież, że ocalili Zoe – przypomniał Jared. Boutin uśmiechnął się.

– W czasie przeszukiwania stacji zrobili też przegląd wszystkich laboratoriów naukowych, żeby sprawdzić, czy nie znajdą tam czegoś, co mogliby ukraść. Są świetnymi naukowcami, jednak brak im kreatywności. Potrafią świetnie udoskonalać idee i technologie, które trafiają do nich z

zewnątrz, jednak nie za bardzo im wychodzi tworzenie własnych technologii. To właśnie głównie ze względu na stację naukową w ogóle zainteresowali się Omagh. Znaleźli efekty mojej pracy nad świadomością i to ich bardzo zaciekało.

Dowiedzieli się, że mnie samego nie było na stacji w momencie ataku, ale zorientowali się, że była tam Zoe. Więc zajęli się nią i zaczęli mnie szukać.

– Szantażowali cię za jej pomocą – domyślił się Jared.

– Nie – zaprzeczył Boutin. – To, że ją dla mnie przetrzymywali było bardziej gestem dobrej woli. I to ja bardziej żądałem od nich różnych rzeczy, niż oni ode mnie.

– Oni przetrzymywali Zoe, a ty żądałeś od nich różnych rzeczy? – zdziwił się Jared.

– Dokładnie – potwierdził Boutin.

– Na przykład jakich?

– Na przykład tej wojny.



Jane Sagan zbliżyła się do stanowiska ósmego, ostatniego już pistoletu. Podobnie jak pozostałe, przez cały czas śledził jej ruchy i ostrzegł ją, kiedy za bardzo się zbliżyła. Z tego, co udało jej się wy badać, zaczęłby strzelać, gdyby zbliżyła się na odległość mniejszą od trzech metrów. Sagan podniosła kamień i cisnęła nim prosto w pistolet; kamień doleciał do celu i odbił się od niego nienaruszony; pistolet śledził jego ruch, ale ostatecznie go zignorował. Najwyraźniej umiał odróżnić kamień od człowieka. To inżynieria na całkiem niezłym poziomie, pomyślała Sagan, bez szczególnego podziwu.

Znalazła większy kamień, podeszła do skraju bezpiecznej strefy i cisnęła nim na prawo od pistoletu. Śledził lot kamienia; w tym czasie w jej stronę zwrócił się kolejny pistolet po jej prawej stronie. Pistolety wymieniały się informacjami na temat swoich celów; nie można było ich ominąć, odciągając uwagę jednego z nich.

Dolinka, w której ich zamknięto była na tyle płytka, że Sagan mogła wyjrzeć poza jej krawędzie; w promieniu wzroku nie dostrzegła ani jednego obińskiego żołnierza. Albo ukrywali się gdzieś dalej, albo byli stuprocentowo pewni, że ludzie nie wyrwą się z zamknięcia.

– Tak!

Sagan odwróciła się i zobaczyła, że w jej stronę zbliża się Daniel Harvey trzymając w ręku coś, co wiło się jak oszalałe.

– No i kto złapał sobie obiad? – powiedział z uśmiechem.

– Co to jest? – zapytała Sagan.

– Nie mam zielonego pojęcia. Zobaczyłem, jak wypęła z ziemi i udało mi się to złapać, zanim wślizgnęło się tam z powrotem. Trochę walczyło. Musiałem chwycić je za głowę, żeby mnie nie ugryzło. Zakładam, że możemy to zjeść.

W międzyczasie Seaborg zdążył do nich dokuśtykać. Spojrzał na stworzenie z odrazą.

– Ja nie będę tego jadł.

– Ś wietnie – ucieszył się Harvey. – Głoduj sobie dalej. Zjem to razem z panią porucznik.

– Nie możemy tego zjeść – zaprotestowała Sagan – Tutejsze zwierzęta nie są kompatybilne z naszymi układami pokarmowymi. Równie dobrze moglibyśmy jeść kamienie.

Harvey spojrzał na Sagan, jakby właśnie nasrała mu na głowę.

– Dobrze – powiedział w końcu i pochylił się, żeby puścić stworzenie wolno.

– Czekaj – powstrzymała go Sagan. – Lepiej tym rzuć.

– Co? – z głupią miną spytał Harvey.

– Rzuć tym w pistolet. Chcę zobaczyć, jak zareaguje na coś żywego.

– To trochę okrutne – oświadczył Harvey.

– Jeszcze przed chwilą chciałeś to cholerstwo zjeść – przypomniał mu Seaborg. – A teraz przejmujesz się okrucieństwem wobec zwierząt?

– Zamknij się – warknął Harvey. Uniósł rękę, żeby rzucić zwierzęciem w cel.

– Harvey – powstrzymała go Sagan głosem starej nauczycielki. – Nie rzucaj tym bezpośrednio w pistolet, proszę.

Harvey dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę z tego, że trajektoria wystrzelonych pocisków przebiegałaby dokładnie przez jego ciało.

– Sorry, nie pomyślałem o tym.

– Podrzucić tego zwierzaka jak najwyżej.

Harvey wzruszył ramionami i cisnął stworzonkiem w górę, łukiem, który oddalił je od ich trójki. Stworzenie skręciło się ze strachu. Pistolet śledził jego lot tak długo, jak mógł, wychylając się jakieś pięćdziesiąt stopni w górę. Wystrzelił natychmiast, kiedy stworzenie znów znalazło się w jego zasięgu, rozszarpując je na strzępy deszczem cienkich igieł, które rozszerzały się po zetknięciu z ciałem biednego zwierzęcia. W ciągu niecałej sekundy została z niego krwawa mgiełka i zaledwie parę mokrych kawałków, które spadły na ziemię z plaśnięciem.

– Bardzo ładnie – mruknął Harvey. – Teraz już możemy być pewni, że pistolety działają jak trzeba. A ja dalej jestem głodny. – To bardzo interesujące – zauważyła Sagan.

– To, że jestem głodny?

– Nie, Harvey. – Sagan trochę się zirytowała. – W tej chwili twój żołądek za cholereę mnie nie obchodzi. Interesujące jest to, że pistolety mogą namierzać cel tylko do pewnej wysokości. Działają tylko na powierzchni ziemi.

– I co z tego? Przecież jesteśmy na powierzchni ziemi.

– O kurwa, drzewa – krzyknął Seaborg.

– Co masz na myśli, Seaborg? – zapytała Sagan.

– W czasie szkolenia, wygraliśmy z Dirakiem grę wojenną podkradając się do przeciwnika po drzewach. Spodziewali się ataku z powierzchni ziemi. Nie zadali sobie trudu patrzenia do góry, dopóki nie było już dla nich za późno. Potem o mało co nie spadłem z drzewa i cudem uniknąłem śmierci. Ale to zadziałało.

Cała trójka zaczęła się przyglądać drzewom rosnącym w obrębie ich „ogrodzenia”. To nie były prawdziwe drzewa, tylko ich aristańskie odpowiedniki; duże, smukłe rośliny wspinające się w niebo na wiele metrów.

– Niech mi ktoś powie, że ma tak samo szalone myśli, jak ja – powiedział Harvey. – Nie chciałbym być tu jedynym wariatem.

– No chodźcie – pogoniła ich Sagan – Zobaczymy, co da się z nimi zrobić.



– To zupełnie szalony pomysł – ocenił Jared. – Obinowie nie wszczynaliby wojny tylko dlatego, że ty byś ich o to poprosił.

– Jesteś pewien? – Boutin uśmiechnął się szyderczo. – I wiesz to, ponieważ dysponujesz własną, ugruntowaną wiedzą na temat Obinów? Masz za sobą całe lata studiów na ich temat?

A główne tezy twojego doktoratu dotyczyły właśnie Obinów?

– Żaden gatunek nie rozpocznie wojny tylko dlatego, że się go o to poprosi. Zresztą Obinowie nie robią nic dla innych.

– Teraz też nie robią nic dla innych. Ta wojna to środek prowadzący do celu, do celu, który im obiecałem.

– A co to takiego?

– Mogę dać im dusze.

– Nie rozumiem.

– Ponieważ nie znasz Obinów. Oni zostali stworzeni przez Consu, którzy chcieli się po prostu przekonać, co z tego wyniknie. Ale wbrew krążącym plotkom, Consu nie są doskonali.

Oni także popełniają błędy. I w tym wypadku popełnili poważny błąd. Dali im inteligencję, ale nie mogli, nie byli w stanie, a może nie chcieli dać Obinom świadomości.

– Obinowie są przecież świadomi. Mają społeczeństwo zorganizowane według pewnych zasad. Komunikują się ze sobą. Mają pamięć. Potrafią myśleć.

– I co z tego? Termyty też tworzą społeczeństwa. Wszystkie gatunki żywych istot jakoś się komunikują. Ty nie musisz nawet być inteligentnym, żeby pamiętać. Masz w głowie komputer, który zapamiętuje każdą chwilę twojego życia, a sam w sobie nie jest bardziej inteligentny od kamienia. A jeśli chodzi o myślenie, to co powiesz o myśleniu, które wymaga, żebyś obserwował siebie myślącego? I co? I nic, do cholery. Można stworzyć uprawiającą międzygwiazdne podróże rasę istot, które mają w sobie tyle samo zdolności introspektywnych, co pierwotniaki. Obinowie są tego żywym dowodem. Oni są świadomi swojego istnienia jedynie kolektywnie. Ale żaden z nich z osobna nie ma czegoś, co mógłbyś nazwać osobowością. Nie mają ego. Nie mają swojego „ja”.

– To zupełnie bez sensu.

– Dlaczego? A jakie są objawy samoświadomości? I czy Obinowie je wykazują? Obinowie nie mają żadnej sztuki, Dirac. Nie mają muzyki, literatury ani sztuk wizualnych.

Posługując się swoim intelektem, są w stanie zrozumieć pojęcie sztuki, ale nie mają sposobu, by ją odczuć i docenić. Komunikują się jedynie w sprawie namacalnych faktów; dokąd mają się udać, co jest za tym wzgórzem, albo ilu ludzi mają dzisiaj zabić. I nie potrafią kłamać. Nie powoduje nimi moralny sprzeciw przeciw kłamstwu – w gruncie rzeczy nie mają moralnych sprzeciwów przeciw niczemu – ale po prostu nie są w stanie sformułować kłamliwej wypowiedzi, podobnie jak ty i ja nie jesteśmy w stanie unosić przedmiotów siłą naszej woli.

Nasze mózgi nie są do tego przysposobione, podobnie jak ich mózgi nie są przysposobione do kłamstwa. Wszyscy kłamią. Każdy, kto jest samoświadomy, kto nosi w sobie swój obraz, którego musi bronić. Ale oni tego nie robią. Oni są doskonali.

– Nie nazwałbym „doskonałością” bycia nieświadomym własnego istnienia.

– Ale oni naprawdę są doskonali. Nie kłamią. Doskonale ze sobą współpracują wewnątrz struktur swojego społeczeństwa. Wszelkie współzawodnictwo między nimi odbywa się według raz na zawsze ustalonych zasad. Nie kopią pod sobą dołków i nie obgadują się za plecami. Są absolutnie moralni, ponieważ ich moralność została w nich zakodowana na poziomie podstawowego programu. Nie znają ambicji, ani próżności. Nie znają nawet próżności seksualnej. Wszyscy są hermafrodytami i przekazują sobie informacje genetyczne tak, jak my podajemy sobie ręce na powitanie. I nie znają strachu.

– Wszystkie stworzenia wiedzą, co to strach – oświadczył Jared. – Nawet te nieświadome.

– Nieprawda. Wszystkie stworzenia mają instynkt zachowawczy, który wygląda jak strach, ale nie jest tym samym. Strach nie jest pragnieniem uniknięcia śmierci albo bólu.

Strach jest zakorzeniony w wiedzy, że to, co uważasz za siebie samego, może przestać istnieć.

Strach ma naturę egzystencjalną, a Obinowie w żadnym razie nie mają natury egzystencjalnej.

Dlatego właśnie się nie poddają. I nie biorą jeńców. Dlatego właśnie Unia Kolonialna tak się ich obawia – bo nie można ich przestraszyć. Co to za niezwykła cecha! To daje taką przewagę nad innymi, że gdybym kiedyś znowu miał tworzyć ludzkich żołnierzy, zasugerowałbym pozbawienie ich samoświadomości.

Jared wzruszył ramionami. Boutin zauważał ten gest i kontynuował swój wykład: – No dalej, Dirac. Nie powiesz mi przecież, że świadomość była dla ciebie szczęśliwym darem. Stałeś się świadomy tego, że stworzono cię dla innych celów niż twoja własna egzystencja. Stałeś się świadomy wspomnień z życia kogoś innego. Uświadomiłeś sobie fakt, że twoim celem jest zabijanie tego, co wskaże ci Unia Kolonialna. Jesteś rewolwerem, który ma własne ego. Lepiej byłoby ci bez tego ciężaru.

– Gówno prawda – warknął Jared. Boutin uśmiechnął się.

– Niech ci będzie. Ja również nie chciałbym zostać pozbawiony samoświadomości. A ponieważ miałeś być mną, to nie dziwi mnie, że czujesz to samo.

– Jeśli Obinowie są tak doskonali, to niby dlaczego miałbyś im być do czegokolwiek potrzebny? – drążył Jared.

– Rzecz jasna dlatego, ponieważ sami nie uważają się za doskonałych. Wiedzą, że brakuje im świadomości, i podczas gdy indywidualnie, dla każdego z osobna, mogłoby to nie mieć większego znaczenia, to na poziomie gatunkowym ma to olbrzymie znaczenie. Poznali moje prace nad świadomością – głównie nad przekazem świadomości, ale także te wcześniejsze, dotyczące zapisu i przechowywania nienaruszonej świadomości. I zapragnęli tego, co jak myślą, mogę im ofiarować. Bardzo tego zapragnęli.

– Dałeś już któremuś z nich świadomość?

– Jeszcze nie, ale jestem coraz bliżej. Na tyle blisko, że mogą zapragnąć tego jeszcze goręcej.

– Takie pragnienie to bardzo silna emocja jak na gatunek, któremu brakuje jakiegokolwiek uczuciowości – zauważył Jared.

– Czy wiesz, co znaczy słowo Ohiril – zapytał Boutin. – Co ono oznacza w języku Obinów, poza nazwą gatunkową oczywiście?

– Nie mam pojęcia – odparł Jared.

– To odpowiednik naszego przymiotnika „pozbawiony” – wyjaśnił Boutin i zadarł głowę do góry, jakby w nagłym oszołomieniu. – Czy to nie jest interesujące? W wypadku większości inteligentnych gatunków ich oryginalne zbiorowe nazwy własne etymologicznie odpowiadają naszemu słowu „ludzie”. Ponieważ każdy z tych gatunków zaczynał kiedyś na jakimś małym ojczystym świecie, przekonany o tym, że stanowi absolutny pępek wszechświata. Ale nie Obinowie. Od samego początku wiedzieli, kim byli. Słowo, którego używają, żeby opisać siebie wskazuje na to, że zdają sobie sprawę, iż brakuje im czegoś, co mają wszystkie pozostałe gatunki istot inteligentnych. Brakuje im świadomości. To jedyne opisowe wyrażenie, którym się posługują. No, może poza słowem Obinur, które oznacza „dom tych, którzy są pozbawieni”. Wszystkie inne nazwy są

zupełnie pozbawione polotu. Słowo Arist oznacza „trzeci księżyc”. Ale ich nazwa własna jest niezwykle znacząca. Pomyśl sobie, że wszystkie gatunki nadałyby sobie nazwy swoich największych wad. Nasz własny gatunek moglibyśmy nazwać arogancją.

– Ale dlaczego to, że brakuje im świadomości, miałyby mieć dla nich jakiegokolwiek znaczenie? – dociekał Jared.

– A dlaczego zakaz spożywania owoców z drzewa wiadomości miał znaczenie dla Ewy?

– pytaniem odpowiedział Boutin. – Nie powinien mieć dla niej najmniejszego znaczenia, a jednak miał. Została przywiedziona na pokuszenie; a jeśli wierzy się we wszechmogącego Boga, oznacza to, że Bóg rozmyślnie umieścił tę pokusę w umyśle Ewy. I jeśli chcesz znać moje zdanie, to była to z jego strony nieczysta zagrywka. Nie ma najmniejszego powodu, dla którego Obinowie mieliby pożądać uczuciowości. Ona nie może przynieść im nic dobrego.

Ale i tak jej pragną. Sądzę, że to może być sprawka Consu. Być może że tak naprawdę nie sfuszerowali roboty, tworząc inteligentne istoty pozbawione ego; być może taki właśnie był ich zamiar, żeby Obinowie, ich „dzieci”, pragnęli jedynej rzeczy, której nie mogą mieć.

– Dlaczego mieliby tak zrobić?

– A dlaczego Consu w ogóle robią różne rzeczy? Jeśli jesteś najbardziej rozwiniętym gatunkiem w okolicy, nie musisz się tłumaczyć ze swoich czynów neandertalczykom, takim jak my. Z naszego punktu widzenia moglibyśmy uznać ich za bogów. A Obinowie to biedni, bezduszni Adamowie i Ewy.

– W tej sytuacji ty pełnisz rolę węża – zauważył Jared. Boutin skwitował to dwuznaczne określenie uśmiechem.

– Może tak być – przyznał po chwili. – Być może dając Obinom to, czego tak pragną, wygnam ich z tego ich pozbawionego ego raju. Ale poradzą sobie z tym. W międzyczasie i ja dostanę to, czego chcę. Dostanę swoją wojnę i doprowadzę do upadku Unię Kolonialną.



„Drzewo”, na które patrzyli wszyscy troje miało około dziesięciu metrów wysokości i mniej więcej metr średnicy. Jego pień był pokryty prążkowaną, pełną przypominających grzebienie wypukłości korą, która w razie deszczu pomagała zasysać wodę do wnętrza drzewa. Co trzy metry pień otaczały grubsze pierścienie grzebieni, z których wyrastały pnącza i delikatne gałązki, przy czym w miarę wzrostu wysokości pierścienie były coraz mniejsze. Sagan, Seaborg i Harvey patrzyli, jak drzewo kołysze się na wietrze.

– Wiatr jest za słaby, żeby móc tak rozkołysać to drzewo – oceniła Sagan.

– Być może w górze jest silniejszy – zasugerował Harvey.

– Różnica siły wiatru nie może być tak duża. Drzewo ma tylko dziesięć metrów wysokości.

– Może jest puste w środku – wtrącił się Seaborg. – Tak jak drzewa na Feniksie. Kiedy przekradałem się po nich z Dirakiem, musieliśmy bardzo uważnie wybierać drzewa, po których przechodziliśmy. Niektóre nie wytrzymałyby naszego ciężaru.

Sagan pokiwała głową. Podeszła do drzewa i nacisnęła mocno jeden z grzebieni kory. Odłamał się po dłuższej chwili. Znów spojrzała w górę na drzewo, zastanawiając się nad czymś.

– Zamierza się pani na nie wspiąć? – zapytał Harvey. Sagan nie odpowiedziała. Chwyciła za grzebienie kory i podciągnęła się do góry, starając się jak najbardziej równomiernie rozkładać wagę. Na jakichś dwóch trzecich wysokości drzewa, w miejscu, w którym pień zaczynał się zwężać poczuła, że drzewo zaczyna uginać się pod jej ciężarem. Na trzech czwartych wysokości pień wygiął się już bardzo mocno. Zaczęła nasłuchiwać trzasku pękającego drzewa, ale usłyszała tylko ciche chrobotanie pocierających o siebie grzebieni kory. Drzewo było zadziwiająco giętkie; Sagan podejrzewała, że giętkość ta była mu niezbędna, żeby mogło przetrwać generowane przez globalny ocean Arista potężne huragany, które regularnie omiatały stosunkowo niewielkie, wyspowe kontynenty planety.

Sagan przesunęła się trochę do tyłu, żeby drzewo mogło utrzymać równowagę.

– Harvey, powiedz mi, czy coś wskazuje na to, że drzewo się złamie.

– U podstawy pień jest zupełnie nienaruszony. Spojrzała na najbliższy pistolet.

– A twoim zdaniem, w jakiej odległości to drzewo znajduje się od tego pistoletu? -zapytała.

Harvey zorientował się, co zamierzała zrobić:

– Wciąż zbyt blisko, żeby mogła pani zrobić to, o czym pani myśli.

Sagan nie była tego taka pewna.

– Harvey, przynieś Wignera.

– Co pani zamierza zrobić?

– Przynieś tu Wignera – powtórzyła. – Mam pewien pomysł. – Harvey przez chwilę gapił się na nią z niedowierzaniem, a potem ciężkim krokiem ruszył po Wignera. Sagan spojrzała na Seborga. – Jak się trzymasz?

– Noga mnie boli. I głowa. I wciąż mam poczucie, że mi czegoś brakuje.

- Brakuje ci integracji. Trudno się bez niej skupić.
- Nie mam problemów z koncentracją, ale koncentruję się na tym, jak bardzo brakuje mi integracji.
- Poradzisz sobie z tym – pocieszyła go Sagan. Seaborg prychnął.
- Po pani minutach pojawił się Harvey z ciałem Wignera w nosidle. – Niech zgadnę: chce pani, żebym dostarczył go tam, na górę.
- Tak, poproszę.
- Do diabła, właściwie dlaczego nie? Zawsze uwielbiałem wspinać się na drzewa z nieboszczykiem na ramieniu.
- Dasz sobie radę – rzucił Seaborg.
- Jeśli nikt mnie nie będzie rozpraszał – warknął Harvey. Poprawił ciało Wignera i zaczął się wspinać; teraz drzewo musiało wytrzymać ponad trzykrotnie większy ciężar. Pień skrzypiał i nachylał się coraz bardziej, Harvey posuwał się bardzo powoli, żeby utrzymać równowagę i nie upuścić Wignera. Kiedy dotarł do Sagan, pień był zgięty prawie pod kątem dziewięćdziesięciu stopni.
- Co teraz? – zapytał Harvey.
- Możesz go umieścić między nami? – Harvey stęknął, ostrożnie zsunął Wignera z ramienia, położył ciało brzuchem do pnia i spojrział w górę na Sagan.
- Tak tylko dla porządku powiem, że to całkiem popieprzone robić coś takiego z ciałem zmarłego kolegi.
- On nam w ten sposób pomaga – tłumaczyła. – Można by z nim zrobić o wiele gorsze rzeczy. – Ostrożnie odciągnęła jedną z nóg od pnia drzewa, Harvey zrobił to samo; z tym, że w przeciwną stronę. – Na trzy – powiedziała Sagan, i kiedy doszła do trzech oboje zeskoczyli z drzewa, jakieś pięć metrów w dół.

Uwolnione od ciężaru dwojga ludzi, drzewo gwałtownie odgięło się, wracając do pionu i posyłając ciało Wignera w stronę pistoletów. Wyrzut nie był bezbłędny; Wigner obsunął się po pniu tuż przed oderwaniem się od niego, co zmniejszyło energię wyrzutu, ponieważ przemieścił się bardziej na bok pnia. Mimo to jego ciało poleciało łagodnym łukiem w stronę najbliższego z pistoletów, który poszatkował je, kiedy tylko znalazło się w zasięgu strzału.

Wigner spadł na ziemię w formie sterty mięsa i kostnych drzazg.

– Chryste – jęknął Seaborg. Sagan odwróciła się w jego stronę.

– Możesz się wspinać z tą nogą?

– Mogę, ale nie spieszy mi się do takiego rozstrzelania.

– I nie musi – odparła Sagan. – Ja polecę.

– Przecież widziała pani, co stało się z Wignerem, prawda? – zaoponował Harvey.

– Widziałam. Ale on był już trupem i nie mógł kontrolować swojego lotu. Był też cięższy, a poza tym na drzewie byliśmy jeszcze my dwoje. Ja jestem lżejsza, żywa, a wy dwaj ważycie więcej. Powinno mi się udać ominąć pole ostrzału.

– Jeśli się pani myli, to zmieni się pani w befsztyk – zauważył Harvey.

– Ale przynajmniej nie potrwa to zbyt długo – zażartowała Sagan.

– No tak, ale to będzie trochę niechlujne.

– Posłuchajcie, będziecie mieli mnóstwo czasu na krytykowanie mnie, jeśli zginę. Teraz chciałabym tylko, żebyśmy wszyscy weszli na to drzewo.

Parę minut później Seaborg i Harvey znajdowali się po obu stronach Sagan, która przykucnięta balansowała na wygiętym pniu.

– Jakież ostatnie słowa? – zapytał Harvey.

– Zawsze uważałam cię za wrzód na dupie, Harvey. Harvey uśmiechnął się.

– Ja też panią kocham, pani porucznik – skinął głową na Seborga. – Już – krzyknął. Zeskoczyli z drzewa.

Pień powrócił do pionu; Sagan musiała walczyć z przyspieszeniem tego ruchu, żeby nie zmienić pozycji ciała. Kiedy drzewo osiągnęło największy punkt wychylenia Sagan odbiła się od niego, dodając własną siłę do siły wyrzutu. Wystrzeliła w górę wysokim łukiem, z łatwością, jak jej się wydawało, omijając pole ostrzału – pistolety śledziły jej lot, ale nie mogły zacząć strzelać. Śledziły ruch jej ciała, dopóki nie znalazła się poza obrębem ogrodzenia, gdzie ostrym łukiem spadła na znajdującą się w dole łąkę. Miała czas, żeby pomyśleć, to będzie boleć, zanim nie uderzyła o ziemię. Jej kombinezon zeszywniał, pochłaniając część impetu uderzenia, jednak czuła, że upadając złamała co najmniej jedno żebro. Sztywność kombinezonu spowodowała, że potoczyła się dalej, niż zaplanowała. W końcu znieruchomiała. Leżąc w wysokiej trawie starała się przypomnieć sobie, jak się prawidłowo oddycha. Zajęło jej to więcej czasu, niż się spodziewała.

Po dłuższej chwili usłyszała, że Seborg i Harvey wołają ją z oddali. Usłyszała też, dobiegające z innej strony niskie brzęczenie, które z sekundy na sekundę stawało się coraz głośniejsze. Wciąż leżąc w wysokiej trawie przesunęła się w tamtą stronę i spomiędzy źdźbeł próbowała zobaczyć, co wydaje ten dźwięk.

W małym, uzbrojonym pojeździe nadjeżdżało dwóch Obinów. Kierowali się dokładnie w jej stronę.



– Przede wszystkim musisz zrozumieć, że Unia Kolonialna jest czymś naprawdę złym - tłumaczył Boutin.

Ból głowy wrócił z jeszcze większą zawziętością i Jared znów miał ochotę zobaczyć Zoe.

– Nie widzę tego w ten sposób – odparł.

– To nic dziwnego. Masz co najwyżej parę lat. Przez całe dotychczasowe życie robiłeś tylko to, co kazali ci robić inni. Ty sam nie dokonywałeś żadnych poważnych wyborów.

– Wykładu na ten temat wysłuchałem już wcześniej. – Jared przypomniał sobie Cainena.

– Udzielił ci go ktoś z Sił Specjalnych? – zapytał Boutin, najwyraźniej zaskoczony.

– Udzielił mi go rraeyski więzień o imieniu Cainen. Powiedział, że kiedyś cię spotkał. Boutin zmarszczył brwi.

– To imię nie wydaje mi się znajome, ale ostatnio spotykałem dość dużo Eneshan i Rraeyów. Zamazują mi się w pamięci. Ale to nic dziwnego, że powiedział ci to właśnie Rraey. Oni uważają samo teoretyczne założenie czegoś takiego, jak Siły Specjalne, za coś moralnie odrażającego.

– Tak, wiem o tym – przyznał Jared. – Powiedział mi, że jestem niewolnikiem.

– Bo jesteś niewolnikiem! – uniósł się Boutin. – A w najlepszym razie zakontraktowanym sługą, skazanym przez pewien okres na służbę, nad którą nie masz najmniejszej kontroli. Tak, pozwalają ci się z tym dobrze poczuć wmawiając ci, że przyszedłeś na świat po to, by bronić ludzkości i przykuwając cię do reszty twojego plutonu łańcuchami integracji. Ale w gruncie rzeczy są to jedynie środki, za pomocą których sprawuje się nad wami kontrolę. Ty sam masz rok, może dwa. Co ty w ogóle wiesz o wszechświecie?

Wiesz to, co ci powiedzieli – że jest to wrogie miejsce i że zawsze możesz spodziewać się, że ktoś cię zaatakuje. Ale jakbyś zareagował,

gdybym powiedział ci, że wszystko, co ustami swoich urzędników powiedziała ci Unia Kolonialna, to nieprawda?

– To nie jest nieprawda – sprzeciwił się Jared. – Wszechświat rzeczywiście jest wrogi. Zbyt wiele razy doświadczyłem tego w czasie walki, żeby twierdzić inaczej.

– Ale ty widziałeś tylko walkę. Nigdy nie byłeś poza swoimi koszarami, żeby robić coś innego od zabijania wyznaczonych ci przez Unię Kolonialną celów. To prawda, wszechświat jest do Unii Kolonialnej wrogo nastawiony. Ale dzieje się tak dlatego, ponieważ Unia Kolonialna jest wrogo nastawiona do całego wszechświata. W ciągu całej historii kosmicznej ekspansji człowieka, ludzie byli w stanie wojny z prawie wszystkimi napotkanymi gatunkami istot inteligentnych. Jest zaledwie parę ras, z którymi Unia Kolonialna uznała za stosowne sprzymierzyć się, lub chociaż utrzymywać normalne stosunki handlowe, jednak to zaledwie kropla w ocenie. Do tej pory wiemy o istnieniu sześciuset trzech inteligentnych gatunków w zasięgu skokowym floty Unii Kolonialnej, Dirac. Czy wiesz jak wiele spośród nich Unia zaklasyfikowała jako potencjalne zagrożenie; co oznacza, że mogą zostać zapobiegawczo zaatakowane przez KSO? Pięćset siedemdziesiąt siedem. Jeśli masz czynnie wrogi stosunek wobec dziewięćdziesięciu sześciu procent wszystkich znanych sobie inteligentnych ras, to już przestaje być tylko głupotą, a zaczyna sięgać granic masowego samobójstwa całego twojego gatunku.

– Inne gatunki także toczą ze sobą wojny. Nie tylko Unia Kolonialna prowadzi wojny we wszechświecie.

– To prawda. Każdy gatunek ma jakiś inny gatunek, z którym współzawodniczy i prowadzi wojny. Ale inne gatunki nie walczą z wszystkimi innymi napotkanymi gatunkami.

Rraeyowie i Eneshanowie od dawna byli swoimi wrogami. Potem doprowadziliśmy do przymierza między nimi, a być może w przyszłości znowu obrócą się przeciw sobie. Ale żaden z tych gatunków nie uznaje wszystkich innych za permanentne zagrożenie. Tak postępuje jedynie Unia Kolonialna. Słyszałeś kiedyś o Zgromadzeniu, Dirac?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Zgromadzenie to wielkie spotkanie przedstawicieli setek różnych gatunków żyjących w tej części galaktyki – wyjaśnił Boutin. – Ostatnio zebrało się ponad dwadzieścia lat temu, żeby stworzyć zarys planu zarządzania całym regionem w najbliższym czasie. Miało pomóc zakończyć wojny o nowe posiadłości przez systematyczne przydzielanie nowych kolonii, żeby poszczególne rasy nie wykrwawiały się w bezsensownej walce o łupy. Miało doprowadzić do wzmocnienia tego systemu rządów przez stworzenie wielogatunkowego dowództwa sił zbrojnych, które atakowałyby każdego, kto chciałby przejąć jakąś kolonię siłą.

Postanowień zgromadzenia nie podpisały wszystkie okoliczne rasy istot inteligentnych, ale tylko dwa gatunki odmówiły nawet przysłania na nie swoich przedstawicieli. Consu, bo niby dlaczego mieliby to robić oraz Unia Kolonialna.

– I chciałbyś, żebym uwierzył ci na słowo?

– Niczego od ciebie nie oczekuję. Ty nie masz prawa o tym wiedzieć. Szarzy ludzie KSO nie mają o tym pojęcia. Podobnie jak zwykli koloniści. To Unia Kolonialna ma wszystkie statki międzygwiazdne, bezzałogowe jednostki skokowe i satelity komunikacyjne.

To właśnie Unia trzyma w ręku cały handel i te skromne stosunki dyplomatyczne, jakie ludzkość utrzymuje z innymi gatunkami. Unia Kolonialna kontroluje swoim wąskim gardłem cały przepływ informacji i decyduje o tym, czego dowiedzą się koloniści i żołnierze. Nie chodzi

zresztą tylko o kolonistów i żołnierzy, chodzi też o Ziemię. Do cholery, z Ziemią jest właściwie najgorzej.

– Dlaczego tak uważasz?

– Bo od dwustu lat jest sztucznie utrzymywana w stanie zacofania. Unia Kolonialna hoduje tam ludzi, Dirac. Używa populacji bogatych krajów do swoich potrzeb wojskowych, a z krajów biedniejszych pobiera stada kolonistów. Ten układ na tyle się Unii spodobał, że czynnie powstrzymuje tam procesy społecznego rozwoju. Unia nie chce na Ziemi żadnych zmian, bo zmiany mogłyby zakłócić proces hodowli przyszłych żołnierzy i kolonistów. Więc odseparowali Ziemię od reszty ludzkości, żeby utrzymać jej mieszkańców w stanie błogiej niewiedzy co do tego, jak skutecznie ich świat sztucznie utrzymywany jest w stagnacji.

Stworzyli nawet chorobę – którą nazwali Zmarszczką – i powiedzieli ludziom na Ziemi, że zostali nią zainfekowani przez obcych. To dało im pretekst do objęcia planety kwarantanną.

Od tej pory pozwalają jej wybuchnąć co pokolenie lub dwa, żeby nie musieć tej kwarantanny odwoływać.

– Spotkałem ludzi z Ziemi – Jared miał tu na myśli porucznika Clouda. – Nie są głupi. Wiedzieliby, gdyby sztucznie powstrzymywano ich rozwój.

– Ależ Unia Kolonialna co parę lat wprowadza na rynek różne innowacje, żeby myśleli, że krzywa wciąż rośnie, ale to nigdy nie jest coś naprawdę użytecznego. Jakiś nowy typ komputera albo odtwarzacza muzycznego, albo nowa technika transplantacji organów.

Pozwala się im nawet na niewielkie wojny lądowe, żeby się za bardzo nie nudzili. Ale od dwustu lat mają tę samą strukturę społeczną i polityczną; na dodatek uważają, że utrzymuje się ona dlatego, ponieważ osiągnęli punkt stabilnego rozwoju. I wciąż umierają ze starości w wieku siedemdziesięciu pięciu lat! To naprawdę śmieszne. Unia Kolonialna

pokierowała Ziemią tak skutecznie, że ta nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, że ktoś nią pokierował. Jest pogrążona w ciemności. Wszystkie kolonie pogrążone są w ciemności niewiedzy. Nikt nic nie wie.

– Poza tobą – wtrącił Jared.

– Ja budowałem im żołnierzy, Dirac. Musieli mnie dopuścić do swojej wiedzy. Miałem dostęp do danych z najwyższą klauzulą tajności aż do momentu, w którym zastrzeliłem swojego kлона. Dlatego właśnie wiem o Zgromadzeniu. I właśnie dzięki tym danym zorientowałem się, że jeśli nie zlikwiduje się Unii Kolonialnej, to ludzkość zostanie wymazana z powierzchni ziemi i z map całego wszechświata.

– Do tej pory jakoś udało nam się utrzymać nasze posiadłości.

– Tylko dlatego, że Unia Kolonialna korzysta z panującego chaosu. Kiedy Zgromadzenie ratyfikuje swoje postanowienia – a stanie się to za rok, najwyżej dwa – Unia Kolonialna nie będzie w stanie znaleźć nowych kolonii. Siły zbrojne Zgromadzenia wykopią ich z każdej planety, którą będą próbowali zająć. Nie będą też mogli przejmować kolonii należących do innych. Ludzka ekspansja zostanie skutecznie powstrzymana. A co zrobimy, jeśli jakaś inna rasa zechce przejąć któryś z naszych światów? Zgromadzenie nie będzie chronić ras, które nie są jego członkami. Powoli, ale skutecznie, zostaniemy wyparci z powrotem na naszą ojczystą planetę. I wcale nie wiadomo, czy na tym się skończy.

– Chyba, że będziemy mieli wojnę – Jared nie ukrywał swojego sceptycyzmu.

– Właśnie – zgodził się Boutin. – Problemem nie jest sama ludzkość, tylko Unia Kolonialna. Trzeba pozbyć się Unii Kolonialnej. zastąpić ją rządem, który naprawdę będzie pomagał ludziom, zamiast ich wykorzystywać i przystąpić do Zgromadzenia, żeby wraz z innymi, bez przelewu krwi, dzielić się nowymi światami do skolonizowania.

– Z tobą jako przywódcą, jak zakładam.
– Owszem, dopóki nie uda nam się wszystkiego należycie zorganizować.
– I odejmując od całej puli te światy, które Rraeyowie i Eneshanowie, twoi sojusznicy, wezmą sobie na własność – domyślił się Jared.
– Rraeyowie i Eneshanowie nie zamierzają walczyć za darmo – przyznał Boutin.

– A Obinowie przejmą Ziemię?
– Ona będzie tylko dla mnie. Na moją osobistą prośbę.
– To musi być miłe.
– Wciąż nie doceniasz siły, z jaką Obinowie pragną świadomości.
– Bardziej podobało mi się, kiedy myślałem, że w tym wszystkim chodzi o zemstę za Zoe. Boutin odchylił się do tyłu, jakby został spoliczkowany. Potem znów przybliżył się do Jareda i wysyczał przez zaciśnięte zęby:

– Wiesz, co zrobiła ze mną myśl o utracie Zoe. Dobrze to wiesz. Ale pozwól, że powiem ci coś, o czym chyba nie masz pojęcia. Po tym, jak odebraliśmy Koral Raeyom, wywiad wojskowy KSO przewidział, że Rraeyowie mogą dokonać kontrataku i podał pięć najbardziej prawdopodobnych celów. Na samym szczycie tej listy znajdowało się Omagh i Stacja Covell.

I wiesz, co KSO zrobiło w tej sprawie?

– Nie – przyznał Jared.
– Ab-so-lut-nie nic – przesylabizował Boutin. – Stało się tak dlatego, bo KSO w tym czasie rozmnieniało się na drobne, i jakiś generał zdecydował, że woli przejąć kolonię od Robu. Innymi słowy, zdecydowano, że lepiej sięgnąć po nową zdobycz terytorialną, niż bronić już posiadanych. Wiedzieli, że atak nadejdzie, i nic w tej sprawie nie zrobili. Dopóki nie skontaktowali się ze mną Obinowie myślałem, że moja córka zginęła tylko dlatego, że Unia Kolonialna nie wypełniła swojej powinności – nie

ochroniła życia tych, którzy znajdowali się pod jej opieką. Nie ochroniła życia mojej córki... Zaufaj mi, Dirac. To wszystko ma bardzo wiele wspólnego z Zoe.

– A co będzie, jeśli twoja wojna potoczy się inaczej, niż sobie zaplanowałaś? – łagodnie zapytał Jared. – Jeśli Obinowie wciąż będą pożądać świadomości i nie będą mieli ci nic do zaoferowania.

Boutin uśmiechnął się.

– Nawiązujesz do faktu, że Rraeyowie i Eneshanowie nie są już naszymi sojusznikami -Jared próbował ukryć zdziwienie, ale mu się to nie udało. – Tak, oczywiście, wiemy już o tym. I muszę przyznać, że przez jakiś czas mnie to martwiło. Ale teraz mamy coś, co znowu skieruje bieg zdarzeń na właściwy tor i pozwoli Obinom przejąć kontrolę nad Unią Kolonialną bez pomocy innych ras.

– Zakładam, że nie zdradzisz mi, co to takiego.

– Z przyjemnością ci to powiem – odparł Boutin. – To ty.



Sagan na oślep macała rękami po ziemi, szukając czegoś, czym mogłaby posłużyć się jako bronią. W końcu jej palce natrafiły na coś, co wydało jej się dostatecznie twarde i masywne. Zacisnęła na tym dłoń i podniosła się, trzymając w ręku grudę suchej gliny.

Pieprzyć to, pomyślała i z rozmachem cisnęła zaimprovizowanym pociskiem w przejeżdżający obok niej poduszkowiec. Gruda trafiła w głowę Obina, który siedział z tyłu pojazdu. Trafiony podskoczył, spadł z siedzenia i zsunął się na ziemię.

Sagan wypadła ze swojej kryjówki i błyskawicznie doskoczyła do powalonego przeciwnika. Oszołomione stworzenie próbowało ją

zaatakować. Odsunęła się, wyrwała mu broń i z całej siły uderzyła nią w jej właściciela. Obin zaskrzeczał i opadł na ziemię.

Znajdujący się już w pewnej odległości poduszkowiec zawracał, żeby ją dopaść. Sagan przyjrzała się trzymanej w dłoni broni, zastanawiając się, czy zdąży nauczyć się jej obsługi zanim poduszkowiec do niej dotrze – uznała, że nie ma sensu tracić czasu. Chwyciła Obina, walnęła go w kark, żeby nie sprawiał kłopotów i przeszukała go dokładnie. U pasa zwisało mu coś w rodzaju noża bojowego. Jego kształt i wyważenie zupełnie nie pasowały do ludzkiej dłoni, ale nie mogła wybrzydząć. Poza tym i tak w tym momencie nic z tym nie mogła zrobić.

W międzyczasie poduszkowiec zatoczył już pełne okrążenie i teraz zmierzał prosto w jej stronę. Zobaczyła, że siedzący na nim Obin unosi lufę zamontowanej na pojeździe broni, żeby do niej strzelić. Sięgnęła w dół i nie wypuszczając noża z dłoni chwyciła nieprzytomnego wroga i stękając z wysiłku ustawiła go pomiędzy sobą a poduszkowcem.

Ciało Obina zatańczyło w jej dłoniach, przebite rojem ostrych strzałek. Wciąż zasłaniając się martwym już ciałem, przechyliła się na bok i z rozmachem cisnęła nożem w nadjeżdżającego Obina. Poczowała w ramieniu ostre szarpnięcie i padła na ziemię w chwili, w której rzucony przez nią nóż doleciał do celu. Przez kilka minut dochodziła do siebie, oszołomiona i obolała.

Kiedy się w końcu podniosła, zobaczyła, że poduszkowiec zatrzymał się po przejechaniu jakichś stu metrów. Podeszła do niego – Obin wciąż siedział na miejscu kierowcy, jego głowa zwisała, trzymając się karku na pasku skóry. Zepchnęła go z poduszkowca, zabrała jego broń oraz zapasy, po czym wytarła obińską krew z poduszkowca i w ciągu paru minut nauczyła się nim kierować. Zawróciła i pojechała w stronę ich zagrody.

Poduszkowiec bez trudu wznosił się ponad rzędem pistoletów. Posadziła go na ziemi poza ich zasięgiem, tuż przed Harveyem i Seborgiem.

– Okropnie pani wygląda – ocenił Harvey.

– I okropnie się czuję. A teraz może zechcecie wsiąść. Proponuję wynosić się stąd jak najprędzej, chyba że chcecie sobie jeszcze chwilę pogawędzić.

– To zależy – powiedział Harvey. – Dokąd mamy jechać?

– Mamy zadanie do wykonania – przypomniała Sagan.

– Jasne. W trójkę, w tym jeden kulawy, bez broni, mamy pokonać kilkudziesięciu Obinów i zaatakować stację badawczą?

Sagan podniosła obiński karabin i podała go Harveyowi.

– Teraz już masz broń. Musisz tylko nauczyć się nią posługiwać. A co do transportu: pieszo iść nie będziemy.

– Ś wietnie – powiedział Harvey, biorąc karabin.

– Jak pani myśli, ile mamy czasu zanim Obinowie zorientują się, że zaginął jeden z ich poduszkowców? – zapytał Seborg.

– Nie mamy ani chwili – odparła Sagan. – No dalej. Pora zabrać się do roboty.



– Wygląda na to, że twoje nagrywanie się skończyło – poinformował Boutin i znów spojrzął na swój monitor. Jared wiedział to już wcześniej, bo od jakiegoś czasu nie czuł w głowie kojarzącego się z imadłem, szczypiącego ucisku.

– Co masz na myśli mówiąc, że to ja jestem tą rzeczą, która pomoże ci zniszczyć Unię Kolonialną? Ja przecież nie zamierzam ci w tym pomagać.

– Dlaczego nie? – pytaniem odpowiedział Boutin. – Nie jesteś zainteresowany uratowaniem ludzkości od powolnego uduszenia się?

– Powiedzmy, że twoje wywody nie do końca mnie przekonały. Boutin wzruszył ramionami.

– Bywa i tak – westchnął. – Chociaż, skoro jesteś mną, albo jakimś rodzajem mojej kopii, to mógłbym mieć nadzieję, że w końcu zaczniesz podzielać mój sposób myślenia. Ale ostatecznie, niezależnie od tego ile masz moich wspomnień i odruchów, wciąż jesteś kimś innym, prawda? W każdym razie jest tak do tej pory.

– Co to miałoby znaczyć?

– Dojdziemy i do tego, ale pozwól, że najpierw opowiem ci pewną historię, która pomoże ci lepiej zrozumieć parę rzeczy. Wiele lat temu doszło do sporu o pewną planetę między Obinami a rasą, która nazywała się Alowie. Z pozoru wojska Obinów i Alów miały porównywalną siłę, jednak armia tych drugich składała się z samych klonów. To oznaczało, że wszyscy jej żołnierze byli podatni na działanie jednej i tej samej broni genetycznej.

Obinowie stworzyli wirusa, który mógł pozostawać w uśpieniu na tyle długo, żeby zdążyć się rozprzestrzenić, po czym przystępował do rozpuszczania ciał biednych Alów – działał w istocie jak stężony kwas organiczny. W krótkim czasie wszystkie klony zginęły w męczarniach i wkrótce potem ich los podzielili wszyscy Alowie.

– Cudowna historyjka.

– Poczekaj, będzie jeszcze lepiej. Całkiem niedawno rozmyślałem nad tym, czy nie mógłbym zrobić czegoś takiego Kolonialnym Siłom Obrony. Po namyśle doszedłem do wniosku, że byłoby to trudniejsze, niż się na pierwszy rzut oka wydaje. Po pierwsze, ciała żołnierzy Kolonialnych Sił Obrony są odporne prawie na wszystkie choroby zakaźne – SprytnaKrew po prostu nie toleruje żadnych patogenów. A poza tym ciała żołnierzy KSO

i Sił Specjalnych nie są w istocie klonami, więc nawet, gdyby udało się je zainfekować, to nie wszyscy reagowaliby na wirusa w ten sam sposób. Ale potem olśniło mnie, że we wszystkich ciałach kolonialnych żołnierzy jest coś, co zawsze jest takie samo. Coś, czym od dawna się zajmowałem.

– MózGościu? – domyślił się Jared.

– MózGościu. I zdałem sobie sprawę, że właśnie na jego potrzeby mógłbym stworzyć wirusa o opóźnionym działaniu, który spoczywałby we wnętrzu MózGościa, replikując się za każdym razem, kiedy żołnierz KSO komunikowałby się z innym i pozostawałby w uśpieniu, aż do wybranej przeze mnie chwili. Po czym rozwalaliby od środka wszystkie ciała, których funkcje reguluje się za pomocą MózGościów. Wszyscy właściciele, czy też raczej nosiciele MózGościów umarliby w jednej chwili i cały świat człowieka otworzyłby się jak wnętrze Sezamu. Szybko, łatwo i bezboleśnie.

Ale był pewien problem. Nie wiedziałem w jaki sposób wpuścić wirusa do systemu.

Mój backdoor służy jedynie celom diagnostycznym. Mogę odczytywać i wyłączać pewne systemy, ale nie mogę za jego pomocą załadować żadnego kodu. Żeby wgrać jakiś kod musiałbym mieć kogoś, kto by go ode mnie przyjął i spełnił potem rolę roznosiciela. Więc Obinowie wyruszyli na poszukiwanie ochotników.

– Zaginione okręty Sił Specjalnych – domyślił się Jared.

– Założyliśmy, że Siły Specjalne mogą być bardziej podatne na blokowanie MózGościów. Wy nigdy bez nich nie żyliście, podczas gdy zwykli żołnierze KSO mogliby sobie z tym łatwiej radzić. Okazało się, że mieliśmy rację. Ty w miarę szybko doszedłeś do siebie, ale w ich wypadku pierwszy szok dał nam wystarczająco dużo czasu. Przywieźliśmy ich tutaj i staraliśmy się ich przekonać, żeby zostali roznosicielami. Najpierw

prosiliśmy, a potem zaczęliśmy nalegać. Nikt się nie złamał. To dopiero dyscyplina.

– Gdzie oni teraz są? – zapytał Jared.

– Wszyscy nie żyją. Obinowie nalegają w dość gwałtowny sposób. Powinienem to jakoś naprawić, tak na marginesie. Niektórzy z nich przeżyli i używałem ich jako materiału w swoich badaniach nad świadomością. Ci żołnierze dalej żyją, a właściwie są o tyle żywi, o ile żywe mogą być mózgi zamknięte w słojach.

Jaredowi zrobiło się niedobrze.

– Pieprzę cię, Boutin.

– Powinni zgłosić się na ochotnika.

– Cieszę się, że sprawili ci zawód. Ja zrobię to samo.

– Nie sądzę, Dirac. Żaden z nich nie miał w głowie mojego mózgu i mojej świadomości. A ty masz.

– Nawet jeśli mam, to nie jestem tobą. Sam tak wcześniej powiedziałeś.

– Powiedziałem ci już, że tylko póki co jesteś kimś innym. Sądzę, że nie masz pojęcia co się stanie, jeśli dokonam transferu świadomości, którą mam tutaj... – postukał się palcem w głowę. – ...prosto do wnętrza twojej głowy. Mam rację?

Jared przypomniał sobie swoją rozmowę z Cainenem i Harrym Wilsonem, w czasie której zasugerowali nałożenie nagranej świadomości Boutina na jego własną, i zrobiło mu się zimno.

– Świadomość, którą mam teraz w głowie, zostanie przez nią wymazana – powiedział po chwili.

– Brawo! – krzyknął Boutin.

– Zabijesz mnie.

– No cóż, tak. Ale dokonałem nagrania twojej świadomości, żeby móc odpowiednio dostroić swoją własną. To nagranie zawiera wszystko, czym

byłeś zaledwie pięć minut temu.

Więc nie umrzesz całkiem, tylko w większości.

– Ty skurwysynu! – zaklął Jared.

– A kiedy wgram swoją świadomość do twojego ciała, to sam stanę się roznosicielem wirusa. Oczywiście mi nie zaszkodzi on w najmniejszym stopniu. Ale powali wszystkich innych z siłą tsunami. Wtedy każę zastrzelić twoich kolegów z oddziału i razem z Zoe wrócę do przestrzeni Unii Kolonialnej na pokładzie tego łapacza, którego tak wspomniałyście mi dostarczyliście. Powiem im, że Charles Boutin nie żyje. Obinowie też będą kłamać, aż do momentu aktywacji wirusa. Wtedy wejdą do akcji i zmuszą Unię Kolonialną do kapitulacji. I w ten sposób my dwaj razem uratujemy ludzkość.

– Mnie w to nie mieszaj – warknął Jared. – Ja nie mam z tym nic wspólnego.

– Nie masz? Naprawdę? – śmiejąc się zapytał Boutin. – Posłuchaj, Dirac. Unia Kolonialna nie dostrzeże we mnie sprawcy swojego rychłego upadku. Ja już będę martwy.

Zobaczą tylko ciebie, ciebie samego. Zapewniam cię, mój przyjacielu, że będziesz częścią tego wszystkiego. Nie masz wyboru.

CZTERNASTY

– Im dłużej myślę, tym mniej mi się ten plan podoba – powiedział Harvey do Sagan. Razem z Seaborgiem siedzieli przycupnięci na skraju lasu otaczającego stację badawczą.

– Więc postaraj się za dużo nie myśleć – uciszyła go Sagan.

– To nie powinno ci sprawić żadnego problemu, Harvey – dodał Seaborg. Starał się ich rozweselić i nie za bardzo mu to wychodziło.

Sagan spojrzała na nogę Seaborga.

– Będziesz w stanie to zrobić? Coraz bardziej utykasz.

– Poradzę sobie. Nie zamierzam tu siedzieć jak jakiś gówniarz, podczas gdy wy będziecie odwalali całą robotę.

– Nie to miałam na myśli. Chodziło mi o to, że moglibyście z Harveyem zamienić się rolami.

– Dam sobie radę – powtórzył Seaborg. – Poza tym Harvey zabiłby mnie, gdybym to ja wykonał jego numer.

– Masz kurwa rację – wtrącił się Harvey. – Za dobry w tym jestem.

– Noga mnie boli, ale mogę na niej chodzić i biegać. Nic mi nie będzie. Ale nie siedźmy już tu dłużej i nie gadajmy o tym więcej, bo noga mi jeszcze bardziej zeszywnieje.

Porucznik pokiwała głową i spojrzała z powrotem na stację badawczą, na którą składało się zaledwie parę skromnych budynków.

Na północnym skraju jej terenu znajdowały się zadziwiająco małe koszary Obinów; najwyraźniej nie potrzebowali niczego, co można by nazwać prywatnością. Podobnie jak ludzie, oni także jedli posiłki razem; w tej chwili większość z nich powinna znajdować się w przylegającej do

koszar stołówce. Zadaniem Harveya było zwrócić ich uwagę na siebie; tak, by wszyscy skierowali się w jego stronę.

Na południowym krańcu terenu stacji znajdował się generator energii, umieszczony w budynku przypominającym dużą szopę. Obinowie w istocie korzystali z ogromnych baterii, które ładowane były przez znajdujące się w pewnej odległości od stacji wiatraki. Seaborg miał w jakiś sposób odciąć dopływ energii. Szczegóły techniczne jego zadania w dużej mierze miały być wynikiem improwizacji.

Między tymi dwoma budowlami znajdował się właściwy budynek stacji. Po odcięciu zasilania, Sagan miała tam wejść, odnaleźć i schwytać Boutina, i w razie potrzeby pozbawić go przytomności, żeby bez większych problemów można było donieść go do łapacza. W razie natknięcia się na Diraca, miała szybko osądzić, czy będzie im jeszcze potrzebny, czy też, podobnie jak jego pierwowzór, stał się zdrajcą. W tym drugim wypadku miała zabić go na miejscu.

Sagan podejrzewała, że niezależnie od wszystkiego i tak będzie musiała go zabić, nie mając po prostu dość czasu na osądzenie, czy nadal można mu ufać; nie mogła przecież skorzystać z uaktualnienia swojego MózGościa, które pozwoliłoby jej czytać w jego myślach.

Sagan pozwoliła sobie na moment ponurego rozbawienia, kiedy pomyślała o tym, że jej tajna zdolność do czytania w myślach nie była dostępna akurat wtedy, kiedy potrzebowała jej najbardziej. Nie chciała zabijać Diraca, ale w tej sytuacji nie widziała przed sobą innego wyboru. Może on już nie żyje, pomyślała Sagan. To by oszczędziło mi kłopotu.

Wyrzuciła tę myśl z głowy. Nie podobało jej się to, co ta ostatnia myśl mówiła na jej temat. Będzie się martwić o Diraca, kiedy (jeżeli w ogóle) się na niego natknie. W międzyczasie cała ich trójka miała inne rzeczy do

roboty. Ostatecznie liczyło się tylko to, żeby załadować Boutina na pokład łapacza.

Mamy nad nimi jedną przewagę, pomyślała. Nikt z nas nie liczy na to, że przeżyje tę akcję. To nam otwiera różne możliwości.

- Jesteśmy gotowi? – zapytała.
- Gotowi – odparł Seaborg.
- Tak, kurwa, jesteśmy – warknął Harvey.
- No to do dzieła. Harvey, ty zaczynasz.



Jared obudził się z krótkiej drzemki, otworzył oczy i napotkał spojrzenie Zoe. Uśmiechnął się do niej.

- Cześć, Zoe.
- Cześć. – Zoe zmarszczyła brwi. – Zapomniałam, jak ma pan na imię.
- Jestem Jared.
- Ach, tak. Dzień dobry, panie Jared.
- Witaj, kochanie. Jared znowu poczuł, że głos może mu się załamać. Spojrzał na pluszowe zwierzę, które Zoe przyniosła ze sobą. – Czy to słońca Celestyna?

Zoe pokiwała głową i podniosła zabawkę do góry, żeby mógł ją lepiej zobaczyć.

- Mhm... Dawniej miałam Babara, ale go straciłam. Zna pan Babara?
- Znam. Pamiętam, że go kiedyś z tobą widziałem.
- Tęsknię za moim Babarem – powiedziała piskliwym głosem, ale po chwili odzyskała animusz. – Ale potem wrócił tato i przywiózł mi Celestynę.

– A jak długo go nie było? Zoe wzruszyła ramionami. – Długo. Powiedział, że musiał najpierw zrobić jakieś ważne rzeczy. Ale powiedział, że przysłał Obinów, żeby się mną opiekowali i strzegli mnie.

– A oni zrobili tak, jak im przykazał?

– Chyba tak. – Wzruszyła ramionami i odezwała się niskim głosem. – Nie lubię ich. Są nudni.

– Tak, to widać – zgodził się Jared. – Przykro mi, że tak długo nie mogłaś widzieć się z tatą, Zoe. Wiem, że on cię bardzo kocha.

– Wiem o tym. Ja też go kocham. Kocham tatusia i mamusię i dziadków, których nigdy nie widziałam, i moich przyjaciół z Covell. Myśli pan, że oni za mną tęsknią?

– Na pewno za tobą tęsknią. – Jared starał się nie myśleć o tym, co spotkało jej przyjaciół. Po chwili znowu spojrzał na dziewczynkę i zobaczył, że posmutniała. – Co się stało, złotko?

– Tato mówi, że będę musiała wrócić z panem na Feniksa. Mówi, że pan ze mną zostanie, żeby on mógł tu skończyć jakąś pracę.

– Rozmawiałem o tym z twoim tatą – ostrożnie rzekł Jared. – A ty chcesz tam wrócić”?

– Chcę tam wrócić z tatą – powiedziała płaczliwym głosem. – Nie chcę, żeby tu zostawał.

– Nie rozstaniecie się na długo. Ten statek, który tu przywieźliśmy jest tak mały, że zmieścimy się do niego tylko ja i ty.

– No to niech pan zostanie. Jared zaśmiał się.

– Chciałbym, żeby tak można było zrobić, skarbie. Ale czekając na tatusia będziemy się nieźle bawić, obiecuję ci to. Co chciałabyś zrobić, kiedy już będziemy na Stacji Feniks?

– Chciałabym kupić trochę cukierków. Tutaj ich nie mają. Tata mówił mi, że Obinowie w ogóle ich nie robią. Kiedyś sam próbował zrobić mi

cukierki.

– I jakie były?

– Bardzo niedobre. Ja chcę mordoklejki, weltersy, lizaki i żelki. Lubię czarne żelki.

– Pamiętam, że je lubisz. Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, jadłaś właśnie czarne żelki.

– Kiedy to było?

– Bardzo dawno temu, złotko. Ale pamiętam to tak dokładnie, jakby to było wczoraj. Kiedy tam wrócimy, będziesz mogła jeść każde cukierki, jakie zechcesz.

– Ale nie za dużo, bo mnie brzuch rozboli.

– Właśnie, a tego byśmy nie chcieli. Ból brzucha nie jest przyjemną rzeczą. Zoe podniosła głowę, uśmiechnęła się do Jareda i złamała mu serce.

– Pan jest głuptasem, panie Jared.

– No wiesz – odparł Jared odwzajemniając uśmiech. – Staram się jak mogę.

– Okay, muszę już iść. Tato uciął sobie drzemkę i nie wie, że tu jestem. Pójdę go obudzić, bo jestem głodna.

– Idź go obudź, Zoe. Dzięki, że mnie odwiedziłaś. Naprawdę cieszę się, że wpadłaś.

– Ja też się cieszę. – powiedziała, odwróciła się na piętach i pomachała mu odchodząc. -Do widzenia, panie Jared! Zobaczymy się później.

– Zobaczymy się później – odpowiedział wiedząc, że tak nie będzie.

– Kocham pana! – zawołała; ot tak sobie, zdawkowo, jak to dzieci.

– Ja też cię kocham – wyszeptał; i był to szept ojca. Poczekał, aż mała zamknie za sobą prowadzące na korytarz drzwi i dopiero wtedy pozwolił sobie na głębokie, rozdzierające westchnienie, które od dłuższego czasu rozsadało mu piersi.

Rozejrzał się po laboratorium, jego wzrok prześlizgnął się po konsoli, którą Boutin przyniósł, by za jej pomocą dokonać transferu świadomości i zatrzymał się na drugiej kadzi, do której Boutin miał wejść, żeby przesłać swoją świadomość do ciała Jareda, wymazując całą jego egzystencję, jakby była czymś tymczasowym, zastępczym; jakby była czymś, co jedynie wypełniało ciało do chwili powrotu jego prawdziwego właściciela.

Ale czy nie tak właśnie miało być? To właśnie Boutin miał się ostatecznie znaleźć w tym ciele. Dlatego zostało stworzone. Pozwolono Jaredowi zaistnieć tylko dlatego, bo na samym początku świadomość Boutina nie chciała w tym ciele zamieszkać. Trzeba było ją nakłaniać do wspólnego dzielenia przestrzeni umysłu, którą Jared wytworzył jako jej tymczasowy dozorca. A teraz, o ironio nad ironiami, Boutin chciał całości, chciał odsunąć Jareda poza nawias jego życia. Niech to szlag, szaleńczo biegły myśli Jareda. W końcu dostałem mózg tak ustawiony, jak mi odpowiada. Zaśmiał się, ale ten śmiech zabrzmiał w jego uszach niepewnie i dziwacznie. Starał się jakoś uspokoić i dojść do siebie, zaczął więc głęboko oddychać.

Jared usłyszał w swojej głowie Boutina, jak mówi o grzechach Unii Kolonialnej, słyszał też głos Cainena, któremu bardziej ufał, bo ten nie miał powodu, by kłamać; ten drugi z głosów podzielał krytyczne poglądy pierwszego. Spojrzał na swoją przeszłość żołnierza Sił Specjalnych, i na rzeczy, które robili w imię uczynienia wszechświata „bezpiecznym dla ludzi”. Unia Kolonialna siedziała okrakiem na każdej linii komunikacyjnej, kierowała wszystkim, trzymała wszystkie aspekty ludzkości pod ścisłą kontrolą i z uporczywą brutalnością walczyła z prawie wszystkimi znanymi sobie rasami.

Jeżeli wszechświat rzeczywiście był tak wrogi, jak to przedstawiała Unia Kolonialna, to ten poziom kontroli mógł być uzasadniony przez najbardziej

istotny imperatyw działania – utrzymanie posiadanych światów i zapewnienie ludzkości miejsca we wszechświecie. Ale jeśli wszechświat nie był tak nieprzyjazny – jeśli nieustanne wojny prowadzone przez Unię Kolonialną napędzało nie współzawodnictwo z zewnątrz, ale paranoja i ksenofobia mające źródła w jej wnętrzu – to w takim wypadku zarówno sam Jared, jak każdy z żołnierzy Sił Specjalnych i całego KSO, przyczyniał się do powolnej śmierci całej ludzkości, o której mówił Boutin. W takim wypadku nie chciałby walczyć po stronie Unii.

Ale, pomyślał Jared, Boutin nie jest wiarygodny. Boutin nazywał Unię Kolonialną wcielonym złem, ale sam zdecydował się robić złe rzeczy. Spowodował, że trzy oddzielne rasy -z których dwie od dawna miały ze sobą na pieńku – sprzymierzyły się, żeby zaatakować Unię Kolonialną, narażając miliardy ludzi i innych istot na okropności wojny.

Eksperymentował na żywych żołnierzach Sił Specjalnych, a potem ich pozabijał. Planował zabicie wszystkich żołnierzy Sił Specjalnych i KSO za pomocą wirusa MózGościa, inaczej mówiąc zamierzał popełnić masowy mord.

A wybijając do nogi żołnierzy KSO, Boutin pozbawiłby wszystkich kolonistów niezbędnej ochrony i od tej chwili każda z kosmicznych ras mogłaby swobodnie sięgać po zasiedlone przez ludzi planety. Obinowie nie opanowałyby gorączki ziemi, która wtedy na pewno by wybuchła – inna sprawa, że pewnie w ogóle nie chcieliby tego robić.

Jared zdał sobie sprawę z tego, że bezbronni koloniści zostaliby tym samym skazani na zagładę. Ich kolonie zostałyby zniszczone i nie mieliby dokąd pójść. W naturze ras zamieszkujących tę część galaktyki nie leżało dzielenie się swoimi światami z innymi. Ziemia z jej miliardami mieszkańców mogłaby przetrwać; trudno byłoby wygnać miliardy ludzi bez walki. Rzadziej zaludnione i mniej zdegradowane ekologicznie planety

kolonii były o wiele bardziej atrakcyjne. Ale gdyby ktoś zdecydował się zaatakować Ziemię, a Ziemia rzeczywiście trzymana była przez Unię Kolonialną w stanie zacofania, to ojczysta planeta nie miałaby sił i środków pozwalających na skuteczną obronę. Być może przetrwałaby, ale zniszczenia wojenne mogły być ogromne. Czy Boutin tego nie widzi? Jared zapytał sam siebie. Być może dostrzegł to zagrożenie, ale wolał uwierzyć, że tak się nie stanie. A być może po prostu nigdy nie rozważał wszystkich możliwych konsekwencji swoich czynów. Kiedy skontaktowali się z nim Obinowie, Boutin być może zobaczył w nich jedynie stworzenia rozpaczliwie pragnące dostać coś, co on mógł im zaoferować, które w zamian zrobią dla niego wszystko. Być może Boutin poprosił o gwiazdkę na niebie i nie zastanowił się nad tym, co zrobi z tą gwiazdką, kiedy już ją dostanie.

Być może Boutin w głębi serca nie wierzył w to, że obcy dadzą mu wojnę, o którą ich poprosił.

Przygnieciony tymi myślami Jared odczuwał przyprawiający o mdłości niepokój o Zoe.

Co się z nią stanie, jeśli Boutinowi powinie się noga albo zostanie zabity? A jak będzie wyglądało jej życie, jeśli mu się uda? Jared czuł się winny tego, że martwił się losem jednej dziewczynki, kiedy w grę wchodziła drastyczna zmiana stylu życia i śmierć miliardów ludzi, ale nic nie mógł na to poradzić. Naprawdę obchodziło go to, żeby znaleźć dla Zoe sposób, w jaki mogłaby to wszystko przeżyć.

Poczuł się przygnieciony ciężarem wyborów, których musiał dokonać, mimo niewielkiej wiedzy i braku pewności. Poczuł się też zupełnie osamotniony i jednocześnie bezsilny. Poczuł, że jest ostatnią osobą na świecie, która powinna się z tym wszystkim zmagać. Ale w tym momencie nic nie mógł na to poradzić. Nie mógł tego zmienić. W ogóle niewiele mógł

zrobić. Zamknął oczy i zaczął rozważać możliwości dalszego rozwoju sytuacji.

Otworzył oczy po godzinie, kiedy do laboratorium wszedł Boutin w towarzystwie jakiegoś Obina.

– O, nie śpisz – zauważył.

– Nie śpię.

– Nadszedł czas, żeby dokonać transferu. Zaprogramowałem już cały proces i wykonałem niezbędne symulacje; wygląda na to, że nie powinno być żadnych problemów.

Nie ma sensu tego dłużej odwlekać.

– No tak, po co miałbyś odwlekać chwilę, w której mnie zabijesz.

Boutin zamilkł na chwilę; Jared spostrzegł, że wspomnienie wprost o pierwszym z serii morderstw, jakie zaplanował nie było mu na rękę. To dobrze, pomyślał Jared.

– Jeśli o to chodzi... – w końcu odezwał się Boutin. – Zanim przystąpimy do transferu, mogę wpisać polecenie uspienia cię, jeśli tego chcesz, oczywiście. Wtedy nic nie poczujesz.

Daję ci taką możliwość. Jeśli tego chcesz.

– Coś nie wygląda mi na to, żebyś ty tego chciał – zauważył Jared.

– To może trochę utrudnić proces transferu, przynajmniej sądząc z tego, co wynika z symulacji. Transfer będzie bezpieczniejszy, jeśli ty też będziesz przytomny.

– W takim razie rzecz jasna wolę zachować przytomność. W żadnym razie nie chciałbym ci tego utrudniać.

– Posłuchaj, Dirac. To nic osobistego. Musisz zrozumieć, że dajesz mi możliwość sprawienia, by moje plany spełniły się szybko i czysto, bez zbędnego rozlewu krwi po obu stronach. Przykro mi, że musisz umrzeć, ale alternatywą jest o wiele więcej śmierci.

– Czy zamordowanie wszystkich żołnierzy Kolonialnych Sił Obrony za pomocą twojego wirusa, nie jest przypadkiem zbędnym rozlewem krwi? – zapytał Jared.

Boutin nie odpowiedział. Nakazał tylko Obinowi rozpocząć przygotowania. Ten podszedł do konsoli i zabrał się do pracy.

– Powiedz mi, kto będzie chronił nasze kolonie po tym, jak wybijesz całe Kolonialne Siły Obrony? Wtedy nie będą już miały żadnych obrońców, bo ich wszystkich pozabijasz.

– Na krótką metę będą je chronili Obinowie. Dopóki nie stworzymy nowych sił zbrojnych.

– Jesteś tego pewien? Dlaczego mieliby cokolwiek dla ciebie robić, kiedy już dasz im upragnioną świadomość? Chyba, że zamierzasz odwlec obdarowanie ich świadomością do czasu, kiedy spełnią twoje kolejne żądania?

Boutin rzucił szybkie spojrzenie na siedzącego za konsolą pomocnika i znów odwrócił się do Jareda.

– Niczego nie będę odwlekał. Zrobią to, bo zgodzili się to zrobić.

– Zamierzasz postawić na to życie Zoe? Bo według mnie właśnie to robisz.

– Nie rób mi wykładów na temat mojej córki – warknął Boutin i odwrócił się plecami. Jared smutno wzruszył ramionami, myśląc o wyborach, których dokonał.

Obin skinął do Boutina, informując, że wszystko było gotowe. Ten jeszcze raz spojrzął na Jareda.

– Chciałbyś jeszcze coś powiedzieć, zanim zaczniemy? – zapytał.

– Chyba zrobię to później – odparł Jared.

Boutin otworzył usta, żeby spytać, co to miałoby znaczyć, ale zanim zdążył to zrobić z zewnątrz dobiegły odgłosy jakichś wybuchów. Brzmiało

to tak, jakby ktoś strzelał z broni dużego kalibru.



Harvey żył właśnie dla takich chwil.

Jego głównym zmartwieniem, w czasie, kiedy zbliżali się do stacji, było to, że porucznik Sagan zechce wykonać jeden z tych swoich metodycznych, przemyślanych podchodów – tak, że będzie musiał podkraść się jak jakiś cholerny szpieg. Nienawidził takich harcerskich sztuczek. Harvey doskonale wiedział, kim jest i w czym jest najlepszy:

był hałaśliwym skurwysynem i był dobry w rozwalaniu rzeczy i robieniu dużego bum! W rzadkich chwilach introspekcji Harvey często zastanawiał się nad tym, czy jego program (facet, z którego został zrobiony), nie był jakimś społecznym elementem, jakimś piromanem, zawodowym zapaśnikiem albo terrorystą. Kimkolwiek, albo czymkolwiek był, z radością by go wyczałował. Harvey był w absolutnej zgodzie z samym sobą, buddyjscy mnisi Zen mogli o takich wyżynach samoakceptacji jedynie pomarzyć. Więc kiedy Sagan powiedziała mu, że jego zadanie ma polegać na zwróceniu na siebie uwagi, tak żeby ona z Seaborgiem mogli spokojnie wykonać swoją robotę, Harvey w głębi ducha aż zatańczył z radości. Z radością skieruję ich uwagę w swoją stronę.

Pozostawało tylko pytanie w jaki sposób to zrobi.

Harvey nie był zbyt introwertyczny, ale to nie znaczy, że był głupcem. W głębi siebie miał moralne zasady, których ściśle przestrzegał; doceniał także wartość i użyteczność subtelnych rozwiązań, chociaż nie były jego żywiołem. Jednak zwykle wolał być hałaśliwy i nieznośny, co zwykle procentowało powodzeniem, ponieważ niezbyt (z pozoru) przejmował się strategią i logistyką. Dajcie mu robotę, a on ją wykona – owszem, zwykle

produkując przy okazji tyle entropii, ile tylko możliwe, lecz także w sposób, który pozwalał na bezpośrednie osiągnięcie zamierzonego celu. Cechą główną jego działań zawsze była prostota; w każdych warunkach dążył do tego, by znaleźć się w samym środku akcji i wtedy brał się do roboty.

Nazywał to bojową teorią brzytwy Ockhama; najprostszy sposób skopania komuś dupy zwykle był najwłaściwszym ze wszystkich.

To właśnie ta filozofia kazała mu wziąć poduszki, który zdobyła Sagan, błyskawicznie nauczyć się podstaw jego obsługi i po paru chwilach ruszyć nim z całą prędkością w stronę drzwi stołówki Obinów. Kiedy zbliżał się do budynku, drzwi otworzyły się i pojawił się w nich jakiś Obin wracający na służbę po obiedzie. Harvey uśmiechnął się dziko, podniósł działo poduszki, i zahamował dostatecznie późno (miał nadzieję), żeby wepchnąć tego pieprzonego obcego z powrotem do środka.

To zadziało bezbłędnie. Obin zdążył wydać z siebie pełne zdziwienia skrzeknięcie i działo poduszki uderzyło go prosto w pierś, odpychając go do tyłu jak zabawkę na gumce, która wciągnęła go z impetem prawie do przeciwległej ściany pomieszczenia.

Pozostali znajdujący się w środku Obinowie podnieśli wzrok znad talerzy, kiedy pierwsza ofiara Harveya upadała na podłogę, potem zwrócili swoje złożone oczy na drzwi, na Harveya i na sterczącą do wnętrza pomieszczenia lufę działa ich własnego poduszki.

– Cześć, chłopaki! – zawołał Harvey potężnym, tubalnym głosem. – Macie pozdrowienia od całego Drugiego Plutonu! – Powiedział, co miał do powiedzenia, nacisnął przycisk „ognia” na konsolce działa i wziął się do roboty.

Już po chwili w mesie zrobiło się mokro i brudno. To było, kurwa, piękne. Harvey kochał tę robotę.



Po drugiej stronie terenu stacji, Seaborg usłyszał, jak Harvey zaczyna swoje wesołe żniwa i przeszedł go mimowolny dreszcz. Nie chodziło o to, że Seaborg nie lubił Harveya, ale po paru bojowych zrzutach z Drugim Plutonem doszedł po prostu do wniosku, że jeśli nie lubi się, jak coś często wybucha gdzieś w pobliżu, to najlepiej trzymać się z daleka od Daniela Harveya.

Odgłos kanonady spowodował to, co miał spowodować – pilnujący generatora obińscy żołnierze opuścili swoje posterunki, żeby pomóc kolegom, których właśnie radośnie masakrowano po drugiej stronie terenu stacji. Seaborg krzywiąc się z bólu podbiegł do generatora czymś w rodzaju sprintu i tuż za drzwiami natknął się na dwóch Obinów, których uznał za naukowców. Pierwszego z nich zastrzelił tą dziwną obińską bronią, drugiemu po prostu skręcił kark. To było bardziej przykre, niż się spodziewał; pod palcami czuł, jak kości (czy cokolwiek to było) dziwnie ustępowały pod naciskiem jego dłoni. Przeciwnie, niż dla Harveya, przemoc nie była dla Seaborga czymś naturalnym – w ogóle niewiele rzeczy było dla niego naturalnych. Wyczuł to na początku swojego życia i od tej pory nadrabiał to nadkompensacją; właśnie dlatego tak wielu spośród jego kolegów z drużyny szkoleniowej uważało, że jest dupkiem. Udało mu się to jakoś przezwyciężyć – ktoś w końcu zepchnie cię z jakiegoś klifu, jeśli tego nie zrobisz – ale nigdy nie udało mu się do końca zmienić wewnętrznego przekonania, że po prostu nie pasował do Sił Specjalnych.

Seaborg przeszedł do następnego pomieszczenia, które zajmowało większą część budynku. Pośrodku znajdowały się dwa obiekty; Seaborg uznał, że muszą to być baterie, które ma zniszczyć. Harvey mógł odwracać

uwagę wrogów tylko pod warunkiem, że pozostawał żywy, a Seaborg szczerze wątpił, czy taki stan rzeczy potrwa dostatecznie długo.

Rozejrzał się w poszukiwaniu jakichś paneli kontrolnych, które mogłyby mu w jakiś sposób pomóc, albo chociaż zasugerować, w jaki sposób może odciąć zasilanie. Nie znalazł tego, czego szukał; wszystkie panele i wskaźniki kontrolne znajdowały się w pierwszym pomieszczeniu, w którym zostawił ciała dwóch martwych Obinów. Przez chwilę zastanawiał się nad tym, czy gdyby zostawił jednego z nich przy życiu, to w zamian uzyskałby pomoc w odcięciu elektrowni – w końcu uznał, że prawdopodobnie nic by tą drogą nie osiągnął.

– Kurwa! – powiedział głośno, sfrustrowany, i ponieważ nic innego jakoś nie chciało mu przyjść do głowy strzelił w jedną z baterii ze zdobycznego karabinu. Pocisk wbił się w metalową osłonę olbrzymiej baterii krzesząc iskry. Po chwili Seaborg usłyszał piskliwy, wysoki gwizd, przypominający dźwięk, w jaki wiatr wpada przez bardzo wąską szparę.

Przyjrzał się miejscu, w którym trafił w baterię – wylatywał stamtąd strumień jakiegoś zielonego, sprężonego gazu. Przez chwilę patrzył na to nic nie robiąc.

A niech tam, pomyślał, ponownie unosząc broń i celując w dziurę, z której wydobywał się zielony gaz. Przekonajmy się, czy to gówno jest łatwopalne.

Było.



Wybuch generatora przewrócił Jane Sagan (padła płasko na dupę) i oślepił ją na dobre trzy sekundy; odzyskała zdolność widzenia w samą porę, żeby zobaczyć lecące w jej stronę wielkie odłamki budynku elektrowni.

Wycofała się, żeby uniknąć uderzenia i instynktownie sprawdziła integrację, żeby przekonać się, czy Seaborg jakimś cudem przeżył tą eksplozję.

Nie było go tam, oczywiście. Nie można przeżyć takiego wybuchu. Poczowała jednak Harveya, na chwilę wyrwanego z jego orgii przemocy. Zwróciła się w stronę samej stacji, częściowo stojącej w płomieniach i przez parę sekund planowała najbliższe posunięcia, zanim zdała sobie sprawę z tego, że znowu jest zintegrowana. Wyłączenie zasilania w jakiś sposób odblokowało jej MózGościa.

Przez całe kolejne dwie sekundy nieodpowiedzialnie rozkoszowała się powrotem integracji i MózGościa; dopiero po ich upływie zaciekawiło ją, czy jest zintegrowana jeszcze z kimś innym.



Siła wybuchu przewróciła Boutina i Obina na podłogę; Jared czuł mocne wstrząsy swojej kadzi. Sarkofag transferowy jednak nie przewrócił się pod ich wpływem, podobnie jak drugi. Nagle zgasły światła, po chwili zastąpione przez zielonkawy mętny blask awaryjnego oświetlenia. Obin wstał z podłogi i podszedł do ściany, żeby uruchomić zapasowy generator laboratorium. Boutin też się podniósł, zawołał Zoe i wybiegł z pomieszczenia. Jared patrzył jak biegnie i jego własne serce podchodziło mu do ust ze strachu o małą.

Integracja wpłynęła do wnętrza Jareda jak złote światło.

::Dirac:: – odezwała się Jane Sagan. – ::Odpowiedz mi::

::Jestem tutaj:: – przesłał Jared. ::Czy Boutin wciąż żyje?::

::Tak, ale nie jest już celem naszego zadania::

::Nie rozumiem cię::

::Jane:: – Jared, po raz pierwszy od początku ich znajomości zwrócił się do niej po imieniu. – ::Zoe żyje. Zoe jest tutaj. Jego córka. Musisz ją znaleźć i wyprowadzić stąd najszybciej, jak tylko się da.::

Sagan przez krótką chwilę zawahała się, zanim znowu odezwała się do niego.

::Musisz mi wszystko powiedzieć, natychmiast. I lepiej się pośpiesz.:: Tak szybko, jak tylko mógł, Jared przerzucił wszystko, czego dowiedział się od Boutina do jej pamięci, łącznie z nagraniami rozmów, których zaczął dokonywać w szalonej nadziei, że ktoś z jego oddziału przeżyje i uda mu się go w jakiś sposób odnaleźć, kiedy tylko Boutin ponownie uruchomił jego MózGościa. Teraz Sagan nie miała co prawda czasu przesłuchać wszystkich nagrań, ale miała je w swojej bazie danych i mogła je wykorzystać później.

::Myślę, że mimo to musimy schwytać Boutina i wysłać go do naszych.:: – oświadczyła Sagan, kiedy odebrała już wszystkie dane.

::NIE:: – Jared przesłał to słowo najsilniej, jak potrafił. – ::Dopóki on pozostaje przy życiu, Obinowie będą go szukać. On jest ich kluczem do tego, czego pragną najbardziej ze wszystkiego. Skoro chcieli rozpocząć wojnę tylko dlatego, że on ich o to poprosił, to na pewno zaatakują, żeby go odzyskać.::

::Więc go zabiję.::

::Ty idź po Zoe, a ja zajmę się Boutinem.::

::W jaki sposób?::

::Zaufaj mi.::

::Dirac...:: – zaczęła Sagan, ale Dirac jej przerwał.

::Wiem, że mi nie ufasz, i wiem, dlaczego mi nie ufasz. Ale pamiętam też, co mi kiedyś mówiłaś. Powiedziałaś mi, żebym zawsze, niezależnie od wszystkiego, pamiętał, że jestem Jaredem Dirakiem. I teraz mówię to z całą

świadomością. Wiem, kim jestem. Jestem Jared Dirac z Sił Specjalnych Unii Kolonialnej i moim zadaniem jest chronić ludzkość. Proszę, zaufaj mi, żebym mógł wykonać swoje zadanie.::

Minęła nieskończenie długa chwila. W końcu Jared usłyszał na korytarzu kroki wracającego do laboratorium Boutina.

::Wykonaj swoje zadanie, szeregowy.::

::Zrobię to. I dziękuję.::

::Ja znajdę Zoe.:: – obiecała.

::Powiedz jej, że jesteś przyjaciółką pana Jareda, że on i tatuś prosili, aby z tobą poszła.

I nie zapomnij wziąć jej pluszowego słonia.:: – Jared przesłał orientacyjną lokalizację miejsca, w którym powinna znajdować się Zoe; na drugim końcu prowadzącego do laboratorium korytarza.

::Nie zapomnę.::

::Muszę teraz przerwać integrację z tobą. Do widzenia, Jane, to znaczy pani porucznik. Dziękuję. Dziękuję za wszystko.::

::Do widzenia, Jared.:: – Zanim przerwała integrację ze swojej strony przesłała mu falę czegoś, co przypominało otuchę. A potem już jej nie było. Jared został sam.

Boutin wszedł do laboratorium i wrzasnął na Obina, który natychmiast przestawił parę przełączników. W laboratorium znowu zapaliły się normalne światła.

– Bierzmy się do roboty – zwrócił się do pomocnika. – Zostaliśmy zaatakowani. Musimy zrobić to jak najszybciej. Rzucił Jaredowi szybkie spojrzenie. Ten tylko się uśmiechnął, zamknął oczy i słuchał odgłosów, jakie wydawały stukające w klawiaturę palce Obina, słuchał jak Boutin otwiera swoją kadejkę i wchodzi do niej, słuchał niskiego dudnienia aparatury

własnego „sarkofagu”, rozgrzewającego się przed procesem transferu świadomości.

Pod sam koniec swojego życia Jared najbardziej żałował jednego – tego, że było tak krótkie. Trwało zaledwie rok. Ale w ciągu tego roku doznał tylu rzeczy, poznał tak wielu ludzi. Jared odszukał ich w sobie i poczuł ich obecność po raz ostatni: Jane Sagan, Harry Wilson, Cainen, generał Mattson i pułkownik Robbins. Cały Drugi Pluton, wzajemna bliskość, jaką odczuwali dzięki integracji. Osobliwy kapitan Martin i jego Gamery. Żarty, którymi wymieniał się z porucznikiem Cloudem. Sarah Pauling, jego ukochana. I Zoe. Zoe, która będzie dalej żyć, jeśli tylko Sagan ją odnajdzie. Ona będzie żyć.

Nie, pomyślał Jared. Niczego nie żałuję. Niczego. Ani trochę.

Jared usłyszał ciche stuknięcie w klawisz. Obin zainicjował sekwencję transferu.

Trzymał się siebie dopóki tylko mógł. A potem nie mógł już się trzymać.



Zoe zaczęła krzyczeć, kiedy straszny huk wstrząsnął całym jej pokojem tak mocno, że spadła z łóżka, a telewizor oderwał się od ściany. Niania przyszła, żeby zobaczyć, czy nic jej się nie stało, ale Zoe ją odepchnęła. Nie chciała niani, chciała tatusia, i oczywiście po minucie wszedł do jej pokoju, ukołysał ją w ramionach, uspokoił ją i zapewnił, że wszystko będzie dobrze. Potem postawił ją na ziemi i obiecał, że za parę minut przyjdzie po nią pan Jared, że będzie musiała robić to, co pan Jared każe jej robić, ale teraz jeszcze przez chwilę musi zostać w swoim pokoju z nianią, gdzie będzie najbezpieczniejsza.

Zoe płakała jeszcze przez minutę i powiedziała, że nie chce, żeby odchodził, a on odparł, że nigdy nie zostawiłby jej po raz drugi. To nie miało sensu, bo za parę minut miał przyjść po nią pan Jared i wziąć ją ze sobą, ale i tak poczuła się trochę lepiej. Potem tata porozmawiał z nianią i wyszedł. Niania poszła do dużego pokoju i wróciła z jednym z tych dużych, obińskich karabinów. To było dziwne, bo jak do tej pory nigdy nie posługiwała się bronią przy Zoe. Wybuchy się skończyły, ale po chwili Zoe usłyszała strzały karabinowe, robiące ta-ta-ta gdzieś na zewnątrz. Zoe znowu położyła się na łóżku, przytuliła Celestynę i czekała na pana Jareda.

Niania nagle wrzasnęła, uniosła lufę broni w stronę czegoś, czego Zoe nie widziała i wybiegła przez drzwi. Zoe też wrzasnęła i z płaczem schowała się pod łóżkiem, przypominając sobie, jak to było na Covell i zastanawiając się, czy te podobne do wielkich kurczaków stworzenia też tutaj po nią przyjdą. W dużym pokoju coś walnęło a potem usłyszała krzyk. Zoe zatkała sobie uszy i zamknęła oczy.

Kiedy znowu je otworzyła w pokoju była para stóp, która podchodziła do łóżka. Zoe zakryła usta dłonią, żeby być cicho, ale nie mogła powstrzymać pisku, no może dwóch pisków. Potem stopy stały się kolanami, dłońmi i rękami, a potem z boku pojawiła się głowa i coś powiedziała. Zoe znowu pisnęła i starała wysunąć się z drugiej strony łóżka, wciąż ściskając Celestynę, ale kiedy tylko wysunęła się spod materaca, tamta kobieta chwyciła ją i przytrzymała. Zoe zaczęła wrzeszczeć i wierzgać nogami i dopiero po długiej chwili zdała sobie sprawę z tego, że kobieta przez cały czas powtarza jej imię, raz po raz.

– Już dobrze, Zoe – mówiła kobieta. – Już dobrze. Ciii. Ciii. Już dobrze. Zoe w końcu przestała się wyrywać i rozejrzała się po pokoju.

– Gdzie jest mój tato? Gdzie jest pan Jared?

– Obaj są teraz bardzo zajęci. – Kobieta, wciąż mocno trzymała Zoe obiema rękami. – Powiedzieli mi, że bym tu po ciebie przysłała i upewniła się, że nic ci nie jest. Mam na imię Jane.

– Tata powiedział, że mam tu czekać, aż przyjdzie po mnie pan Jared.

– Wiem, że tak powiedział, ale teraz obaj mają do zrobienia bardzo ważne rzeczy. Tutaj teraz dużo się dzieje i dlatego żaden z nich nie może w tej chwili do ciebie przyjść. Właśnie dlatego przysłali tu mnie, że bym się tobą zaopiekowała.

– Niania się mną opiekuje.

– Nianię zawołano gdzie indziej. Wszyscy mają teraz bardzo dużo pracy.

– Słyszałam jakiś straszny hałas – rzekła Zoe.

– To była właśnie jedna z tych rzeczy, przez które wszyscy są tak zajęci.

– Okay – zgodziła się w końcu Zoe.

– A teraz Zoe, chciałabym, żebyś objęła mnie rękami za ramiona, a nogami w pasie. Musisz się mnie trzymać naprawdę mocno i zamknij oczy aż do chwili, kiedy ci powiem, że możesz je otworzyć. Możesz to dla mnie zrobić?

– Mhm... Ale jak będę trzymać Celestynę?

– Może włożmy ją tutaj, między ciebie i mnie – odparła Jane i wcisnęła Celestynę między swój brzuch a Zoe.

– Będzie jej tutaj ciasno – zauważyła Zoe.

– Wiem, ale przynajmniej nic jej się nie stanie. Jesteś gotowa?

– Jestem gotowa.

– Więc zamknij oczy i trzymaj się naprawdę mocno. – I Zoe zrobiła to, o co ją poproszono, chociaż kiedy wyszły z jej sypialni oczy Zoe nie zdążyły się jeszcze zupełnie zamknąć i zobaczyła, że niania śpi na podłodze w dużym pokoju. Potem Zoe zamknęła oczy do końca i czekała, aż pani Jane powie jej, że może znowu je otworzyć.



Obinowie, których Sagan napotkała w budynku badawczym stacji przeważnie jej unikali, z czego wywnioskowała, że są naukowcami, nie żołnierzami, jednak niektórzy z nich mogli spróbować do niej strzelać, albo atakować ją w inny sposób. Kwatery były zbyt ciasne, żeby mogła skutecznie używać nieporęcznego obińskiego karabinu; poległa na swoim nożu i swojej szybkości. To podejście nie sprawdziło się, kiedy opiekujący się Zoe Obinomalże nie uciął jej głowy; rzuciła w niego nożem, żeby odwrócić jego uwagę a potem skoczyła w jego stronę i zaczęli walczyć wręcz. Sagan wiedziała, że miała po prostu szczęście, bo kiedy turlali się po podłodze, Obin zahaczył nogą o jakiś mebel, co pozwoliło jej uwolnić się z jego uścisku, wleźć na górę i zadusić oporne stworzenie. Kiedy miała już Zoe na sobie, obejmującą ją rękami i nogami jak małpka, zaczęła myśleć o drodze ucieczki. ::Harvey:: – wywołała go Sagan.

::Jestem teraz trochę zajęty:: – Dzięki odzyskanej integracji widziała, jak przerażuje sobie drogę do nowego poduszkiowca; poprzedni posłużył mu do staranowania statku powietrznego, który odrywał się od ziemi, żeby zaatakować go z góry.

::Mam nasz cel i potrzebuję wsparcia. I transportu::

::Za pięć minut dostarczę pani i jedno, i drugie. Tylko proszę mnie nie poganiać::

::Właśnie cię poganiam:: – odparła Sagan i zakończyła rozmowę. Korytarz, na który wychodziło mieszkanie Boutina prowadził na północ, aż za jego laboratorium; drugi, prostopadły do niego prowadził na wschód, do innych części budynku. Korytarz przechodzący obok laboratorium szybciej doprowadziłby ją w miejsce, w którym mógłby je przejąć Harvey, ale Sagan nie chciała ryzykować – Zoe mogła zobaczyć po drodze ojca albo Jareda.

Sagan westchnęła, zawróciła do mieszkania i podniosła z podłogi zdobyczny karabin, czując, jak niewygodnie się go trzyma. Była to broń dwuręczna, a na dodatek jej projektanci mieli na uwadze ręce Obinów, nie ludzi. Sagan miała nadzieję, że wszyscy opuścili budynek badawczy, albo zajmują się zamieszaniem spowodowanym przez Harveya -inaczej mówiąc, miała nadzieję, że w ogóle nie będzie musiała go użyć.

Musiała użyć go trzykrotnie; za trzecim razem posługując się nim jako maczugą, ponieważ wtedy skończyła się już amunicja. Obin krzyknął. Zoe także krzyczała za każdym razem, kiedy Sagan musiała użyć broni, ale przez cały czas nie otwierała oczu – tak, jak obiecała.

W końcu Sagan dotarła do miejsca, w którym weszła do wnętrza budynku; było to wybite przez wybuch generatora okno na pierwszym piętrze klatki schodowej.

::Gdzie jesteś?:: – zapytała Harveya.

::Może pani wierzyć, albo nie, ale Obinowie nie są zbyt zainteresowani dobrowolnym oddaniem mi sprzętu. Proszę przestać mnie podsłuchiwać. Zaraz tam będę:: – Czy jesteśmy już bezpieczne? – stłumionym głosem zapytała Zoe, z twarzą wtuloną w szyję Sagan.

– Jeszcze nie. Wytrzymaj jeszcze chwilę, Zoe.

– Ja chcę do tatusia.

– Wiem, Zoe, ciii...

Na piętrze nad nimi ktoś poruszył się nieostrożnie i Sagan to usłyszała.

No dalej, Harvey, pomyślała Sagan. Szybciej.



Obinowie zaczęli w końcu naprawdę wkurzać Harveya. Wykoszenie kilkudziesięciu spośród nich w stołówce było naprawdę wyjątkowo

satysfakcjonującym doświadczeniem, prawdę mówiąc – głęboko oczyszczającym po tym, jak te obińskie sukinsyny zabiły większość jego kolegów z Drugiego plutonu. Staranowanie statku powietrznego za pomocą małego poduszkowca również dostarczyło mu paru szczególnie przyjemnych wrażeń. Ale kiedy Harvey stanął na własnych nogach, zaczął powoli zdawać sobie sprawę z olbrzymiej przewagi liczebnej tych cholernych Obinów, jak również z tego, o ile trudniej walczyć z nimi na piechotę. I była jeszcze Sagan – znowu zintegrowana, co było dobrą wiadomością – ale dzięki temu co chwilę powtarzała mu, że potrzebny jej jest transport. Zupełnie, jakby nie miał innych zajęć.

No dobra, to ona jest szefem, pomyślał Harvey. Zdobycie jednego z zaparkowanych na ziemi poduszkowców okazało się być trudnym zadaniem; Obinowie trzymali je w zagrodzie, do której prowadziło tylko jedno wejście. Co najmniej dwa spośród nich krążyły gdzieś po okolicy, starając się go namierzyć z góry.

O proszę, powiedział do siebie, kiedy jeden z nich pojawił się w polu jego widzenia, nadleciał jak na zawołanie. Do tej pory Harvey siedział przycupnięty za jakimś płotem, starając się nie zwracać na siebie uwagi, teraz jednak wyszedł na otwartą przestrzeń właśnie po to, żeby można było go zobaczyć. Na dodatek zamachał rękami.

– Hej, dupku! – wrzasnął. Chodź po mnie, ty wstrętny pojebańcu!

Obin kierujący poduszkowcem najwyraźniej zobaczył go albo usłyszał, gdyż natychmiast obrócił pojazd w jego stronę. Okay, pomyślał. Co ja kurwa teraz mam zrobić?

Wyszło na to, że najpierw musiał uskoczyć przed deszczem metalowych strzałek, które zostały wystrzelone z karabinu poduszkowca. Harvey padł, przeturlał się parę razy i leżąc na brzuchu wymierzył swój obiński karabin

w stronę siedzącego za sterami żołnierza. Pierwszy strzał w ogóle mu nie wyszedł; drugi wyrwał cały tył głowy Obina, który runął na ziemię.

Właśnie po to nosi się hełmy, półgłówek, pomyślał. Wskoczył na poduszkowiec i ruszył w stronę Sagan. Po drodze wielu Obinów próbowało zrobić mu to samo, co on przed chwilą zrobił poprzedniemu pilotowi poduszkowca. Harvey bardziej wolałby rozwalać ich dziobem poduszkowca niż do nich strzelać, ale za bardzo nie grymasił.

::Oto zamówiony transport:: – przesłał Sagan, a potem bardzo się zdziwił, kiedy zobaczył, kogo trzyma na rękach. – ::To jakieś dziecko:: – zauważył.

::Wiem o tym:: – odparła, umieszczając Zoe w najbardziej osłoniętym kącie poduszkowca. – ::Leć do łapacza tak szybko, jak tylko się da:: Harvey przyspieszył do maksymalnej prędkości i leciał prostym kursem. Nikt bezpośrednio nie wyruszył za nimi w pościg.

::Myślałem, że mieliśmy przejść Boutina::

::Nastąpiła mała zmiana planów::

::A gdzie jest Boutin?::

::Dirac obiecał się nim zająć::

::Myślałem, że Dirac nie żyje:: – zdziwił się Harvey.

::Teraz już raczej na pewno:: – odparła ponuro.

::Więc niby jak ma się zająć Boutinem?:: – zdziwienie Harveya wzrastało.

::Nie mam pojęcia. Po prostu wiem, że to zrobi::



Boutin otworzył oczy w swoim nowiutkim ciele.

No niezupełnie nowiutkim, poprawił się. W trochę używanym.

Jego obiński asystent otworzył sarkofag i pomógł mu z niego wyjść; Boutin postawił parę próbnych kroków, potem parę pewniejszych. Z fascynacją przyglądał się własnym wyrazistym i pełnym wigoru odczuciom; czuł się tak, jakby przez całe dotychczasowe życie jego zmysły pracowały na dolnych rejestrach swoich możliwych natężeń i nagle zostały podkreślone do pełnej mocy. Nawet to laboratorium wyglądało teraz o wiele lepiej.

Boutin spojrział na swoje stare ciało, które, mimo martwoty mózgu, wciąż oddychało; jego funkcje życiowe powinny ustać same z siebie w ciągu kilku, najwyżej kilkunastu godzin.

Boutin zamierzał użyć nowych zdolności swojego ciała i nagrać jego śmierć, potem wsiąść na pokład łapacza, z tym stanowiącym dowód nagraniem w pamięci i swoją córką u boku.

Oczywiście pod warunkiem, że łapacz wciąż tam jest, poprawił się szybko. Jasne było, że ci pojmani żołnierze Sił Specjalnych zdołali jakoś uciec. Więc jeden z nich mógł wrócić za pomocą łapacza. No cóż, pomyślał Boutin, może być i tak. Właśnie zaczął powtarzać w głowie alternatywną wersję wypadków, w której on – jako Dirac – zabił Boutina. Obinowie, nie mogąc dostać swojej upragnionej świadomości, wycofali się z wojennych planów i pozwolili odlecieć Diracowi z ciałem Boutina i Zoe.

Hm. to niezbyt prawdopodobne, pomyślał Boutin. Musiał dopracować szczegóły tej historyjki. Właśnie zamierzał się tym zająć, kiedy zdał sobie sprawę, że jakiś czas temu w polu jego widzenia pojawił się niewielki obrazek. Było to małe przedstawienie zamkniętej koperty.

Masz wiadomość od Jareda Diraca, na dole pola jego widzenia pojawił się napis tej treści. Żeby ją otworzyć, powiedz „otwórz”.

– Otwórz – powiedział na głos Boutin. To było naprawdę dziwaczne. Koperta otworzyła i zniknęła. Nie była to wiadomość tekstowa, tylko

głosowa.

– Cześć, Boutin – powitała go symulakra głosu, który brzmiał, jak głos Diraca – „Jak mój głos”, poprawił się w myślach Boutin. – Widzę, że udało ci się przejąć to ciało. Pomyślałem jednak, że zanim odejdę ostatecznie, podzielę się z tobą paroma ostatnimi przemyśleniami.

Pewne mądre stworzenie powiedziało mi kiedyś, że możliwość podejmowania świadomych decyzji i wyborów jest bardzo ważną rzeczą – kontynuował głos. – Mimo to, przez większą część mojego krótkiego życia powstrzymywałem się od dokonywania wyborów, w każdym razie tych znaczących. Ale teraz, pod sam koniec życia, stanąłem przed ważnym wyborem. Nie mogę wybierać, czy będę żyć, czy też umrę – w tej sprawie ty zdecydowałeś za mnie. Ale myliłeś się, kiedy powiedziałeś mi, że nie mam żadnego wyboru i muszę ci pomóc w realizacji twoich planów. Miałem możliwość wyboru i dokonałem go jako suwerenna, autonomiczna osoba.

Zdecydowałem, że nie będę ci pomagał. Nie potrafię ostatecznie osądzić, czy Unia Kolonialna jest dla ludzkości najlepszym rządem; nie miałem dość czasu, żeby dowiedzieć się wszystkiego, czego powinienem się dowiedzieć. Ale zdecydowałem nie podejmować ryzyka śmierci milionów, a być może nawet miliardów ludzi, pomagając ci w przygotowaniu obalenia Unii. Być może okaże się to błędną decyzją. Ale jednak tak właśnie zdecydowałem, ponieważ taka decyzja pozostaje w zgodzie z sensem mojego pojawienia się na tym świecie. Tylko ona pozwoli mi pozostać obrońcą ludzkości.

To naprawdę ironia losu, Boutin, że dzielimy tyle wspólnych myśli, mamy tę samą świadomość i nawet być może nawet ostatecznie chodzi nam o to samo – o dobro naszego gatunku – a jednak mimo tych wszystkich podobieństw (czy nawet tożsamości), chcemy to osiągnąć na zupełnie różne

sposoby. Chciałbym, żebyśmy mogli spędzić ze sobą więcej czasu -tak, żebym mógł się stać dla ciebie przyjacielem i bratem, a nie tym, czym się stałem – naczyniem, które ty wypełnisz. Ale teraz jest już na to za późno. Za późno dla mnie, i chociaż nie zdajesz sobie z tego sprawy, za późno również dla ciebie.

Mniejsza z tym, teraz chciałbym ci podziękować. Czy to dobrze, czy źle, jednak żyłem tylko dzięki tobie i przez krótki czas mogłem doświadczać radości i smutków, jakie niesie ze sobą życie. Udało mi się spotkać i pokochać Zoe, o której ocalenie w tej chwili się modłę.

Zawdzięczam ci życie, Charles, podobnie jak zawdzięczam ci śmierć.

A teraz pozwól mi na dygresję, która ostatecznie doprowadzi do konkluzji o zniewalającej sile wyrazu, obiecuję ci to. Nie wiem, czy o tym wiesz, czy nie, ale jedną z zadziwiających własności SprytnejKrwii jest jej zdolność do natychmiastowego utleniania się – inaczej mówiąc, do samospalania. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że ktoś, kto kiedyś zakodował tę jej zdolność na mikropoziomie, myślał, że robi po prostu coś w rodzaju okrutnego żartu, ponieważ kiedy po raz pierwszy zobaczyłem ją w użyciu, służyła do zabijania owadów pijących krew żołnierzy Sił Specjalnych. Później okazało się jednak, że można używać jej także na inne sposoby – raz nawet uratowała mi życie w czasie walki.

Charles, opracowałeś wirusa, którego planujesz użyć do obalenia Unii Kolonialnej.

Ponieważ doskonale wiesz, jak działają komputerowe wirusy, to na pewno słyszałeś o „koniu trojańskim”. Ta wiadomość, mój bracie i przyjacielu, jest właśnie koniem trojańskim. Kiedy otworzyłeś ten list, uruchomiłeś pewien mały program mojego autorstwa. Program ten nakazuje wszystkim mikrorobotom mojej SprytnejKrwii jednoczesny zapłon i samospalenie na mój rozkaz. Założyłem, że właśnie tyle czasu, ile minęło

od pierwszych słów tej wiadomości wystarczy, żeby program rozprzestrzenił się w całej mojej SprytnejKrwi.

Przekonajmy się, czy miałem rację.



Sagan otrzymała wiadomość w chwili, kiedy umieszczała Zoe we wnętrzu łapacza. Była to wiadomość od Jareda Diraca:

::Jeśli to czytasz, to znaczy, że Charles Boutin nie żyje. Nakazałem wysłanie tej wiadomości tuż po tym, jak mój były MózGościu uruchomił program samospalenia wszystkich cząsteczek mojej SprytnejKrwi. Jeśli jej zapłon go nie zabije – a zabije – to i tak umrze przez uduszenie się w ciągu paru minut. W każdym razie już go nie ma, mnie również.

Nie wiem, czy dostaniesz tę wiadomość, ale mam nadzieję, że tak; mam też nadzieję, że jesteś zdrowa i cała. Do widzenia, porucznik Sagan. Cieszę się, że cię poznałem. I jeśli jeszcze zobaczysz kiedyś Cainena powiedz mu, że posłuchałem go i dokonałem wyboru.:: Sagan podzieliła się tą wiadomością z Harveyem.

::Bardzo fajnie. Widać, że był od początku do końca żołnierzem Sił Specjalnych.::

::Tak, to prawda.:: – zgodziła się i pchnęła Harveya w stronę łapacza. –
::Właż do środka, Harvey.::

::Chyba pani żartuje.:: – zaprotestował.

::Ktoś musi wrócić z Zoe. Jestem tu dowodzącym oficerem i jako ostatnia opuszczę pokład.::

::Pani porucznik, ta mała mnie nie zna. To pani ją stamtąd wyniosła na własnych rękach i to pani musi z nią wrócić. A poza tym, ja jeszcze nie chcę wracać. Za dobrze się tu bawię, żeby sobie to odpuścić. Sądzę, że do

chwili, kiedy Unia Kolonialna spuści skałę na to miejsce, ja zdążę je do końca wysprzątać. A kiedy już będzie czysto, być może wejdę na teren stacji i zobaczę, czy znajdzie się tam coś godnego uratowania. Więc niech pani leci pierwsza. I niech pani im powie, żeby za parę dni podesłali mi tu łapacza. Nic mi się nie stanie, albo zginę tutaj. W każdym razie zamierzam się dobrze bawić.::

::No dobrze:: – zgodziła się. -::Jeśli jeszcze będziesz na terenie bazy, to postaraj się zabrać stamtąd urządzenia magazynujące dane z modułu transferowego w laboratorium Boutina. Niech to będzie twój priorytet.::

::Co na nich jest?:: – zapytał.

::Nie co, tylko kto:: – poprawiła go.

Z oddali dobiegło ich niskie buczenie.

::Namierzyli nas. Niech pani wsiada.::

– Czy jesteśmy już bezpieczne? – zapytała Zoe w parę minut po wystartowaniu.

– Tak, Zoe. Myślę, że tak.

– A kiedy tatuś przyjedzie, żeby mnie zobaczyć?

– Nie wiem, Zoe – Sagan pogłaskała ją po głowie. – Nie wiem.

W ciasnym wnętrzu łapacza Zoe uniosła ręce w górę, żeby ją objąć. Sagan objęła ją i przytuliła.

PIĘTNASTY

– No widzisz, Szi, miałeś rację – rzekł generał Mattson. – Ostatecznie Jared Dirac okazał się przydatny.

Mattson, generał Szilard i pułkownik Robbins siedzieli przy stole w generalskiej mesie i jedli lunch. Tym razem jedli wszyscy; generał Mattson jako pierwszy złamał niepisane prawo zakazujące podwładnym jedzenia w tym miejscu, zamawiając Robbinsowi wielki talerz spaghetti Bolognese i odpowiadając jakiemuś oburzonemu generałowi słowami: „Kurwa, zamknij się, ty wysuszony od środka gówniarzu! Temu człowiekowi należy się trochę cholernego makaronu.”. Od tej pory inni generałowie także zaczęli jadać ze swoimi ludźmi.

– Dzięki, generale – odparł Szilard. – A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu chciałbym się dowiedzieć, co robicie w sprawie rozwiązania tych problemów z naszymi MózGośćcami. Straciłem siedem okrętów, ponieważ twoi ludzie zostawili jakiś backdoor otwarty na oścież.

– Robbins zna szczegóły – oświadczył Mattson.

Obaj odwrócili się w stronę Robbinsa, który tym razem miał usta pełne polędwicy w cieście francuskim. Ten ostrożnie przełknął.

– Na początek oczywiście usunęliśmy ten backdoor z systemu. Rozprzestrzeniliśmy tę poprawkę w formie priorytetowego uaktualnienia MózGościów. Sprawa jest załatwiona. Na dłuższą metę zamierzamy za pomocą całego oprogramowania MózGościa szukać kodów źródłowych, backdoorów i innych obejść, które mogłyby stanowić jakiegokolwiek zagrożenie dla systemu. Ustanawiamy też właśnie barierę antywirusową dla

wszystkich wiadomości i informacji przesyłanych pomiędzy MózGośćcami. Teraz wirus Boutina nie mógłby już rozprzestrzeniać się poprzez transmisję.

– Ten wirus nigdy nie powinien móc się rozprzestrzeniać – odparł Szilard. – Od początku ery komputerowej istniały antywirusowe blokady, a wy nigdy nie zastosowaliście ich w MózGościach. Mogliście nas wszystkich pozabijać tylko dlatego, bo zapomnieliście o podstawowych zasadach higieny programów komputerowych.

– Nigdy nie wdrożyliśmy zabezpieczeń antywirusowych, ponieważ nie było takiej potrzeby – wyjaśnił Mattson. – MózGościu to zamknięty system, w pełni zabezpieczony przed atakami z zewnątrz. Ostatecznie nawet atak Boutina się nie powiódł. – Ale było cholernie blisko – zauważył Szilard.

– Tak, było cholernie blisko, ponieważ ktoś, kto siedzi teraz przy tym stole chciał stworzyć ciało, do którego moglibyśmy wepchnąć świadomość Charlesa Boutina – rzekł Mattson. – Nie, żebym wymieniał jakieś nazwiska.

– Hmm... – zaczął Szilard.

– W każdym razie dotychczas używane wersje MózGościów i tak niedługo wyjdą z użycia – sytuację uratował Robbins. – Następna generacja MózGościów, przetestowana przez Gamery, jest już gotowa do wdrożenia w całej populacji KSO. Ma ona zupełnie inną architekturę, jest w pełni organiczna i sposób kodowania został zoptymalizowany, bez użycia kodów źródłowych z poprzedniej wersji MózGościów. Atak tego rodzaju po prostu nie będzie mógł mieć najmniejszych szans powodzenia, panie generale.

– W każdym razie nie ze strony kogoś, kto pracował nad poprzednią generacją – uściślił Szilard. – Ale co z tymi, którzy pracują nad najnowszą wersją? Musicie się upewnić, że nikt z nich nie zamierza przejść na drugą stronę.

- Zajmiemy się tym – obiecał pułkownik.
- No myślę – mruknął Szilard.
- A skoro mówimy o przechodzeniu na drugą stronę – zmienił temat Mattson. – To co zamierzasz zrobić z porucznik Sagan?
- Co masz na myśli? – zapytał Szilard.
- Nie żebym jakoś specjalnie na to naciskał, ale ona za dużo wie. Dzięki Boutinowi i Diracowi wie o Zgromadzeniu, wie też, w jak ścisłej tajemnicy trzymaliśmy tę informację.
- Ona w ogóle nie miała prawa poznać tej informacji, Szi. To niebezpieczna wiedza.
- Nie widzę powodu, dla którego miałyby być niebezpieczna. Chociażby dlatego, że to po prostu prawda. Istnieje coś takiego jak Zgromadzenie. I jeśli kiedyś naprawdę połączy swoje siły, to znajdziemy się w przysłowiowych tarapatach.
- To niebezpieczna wiedza, bo nie mówi całej prawdy, i ty o tym wiesz, Szi. Boutin nic nie wiedział o Przeciw-Zgromadzeniu, ani o tym, jak bardzo się w nie zaangażowaliśmy, ani o tym, że napuszczaliśmy jedną stronę na drugą. Co chwilę następują jakieś zmiany. Teraz właśnie zbliża się chwila, w której trzeba będzie zawrzeć trwałe sojusze i dokonać ostatecznych wyborów. Po prostu nie możemy już dłużej zachować naszej neutralności. I w ogóle nie potrzeba nam tego, żeby Sagan zaczęła opowiadać ludziom półprawdy, które zrodzą szkodliwe plotki.
- Więc powiedzmy jej całą cholerną prawdę – zniecierpliwił się Szilard.
- Na miłość boską, ona przecież jest oficerem wywiadu! Jakoś zniesie ciężar prawdy.
- To nie zależy ode mnie – odparł Mattson. Szilard otworzył usta, ale Mattson uniósł do góry obie dłonie. – To nie zależy ode mnie, Szi. Wiesz,

co będzie, jeśli Przeciw-Zgromadzenie formalnie wystąpi przeciwko Zgromadzeniu. Wojna rozpęta się w całej cholernej galaktyce.

Nie będziemy już dłużej mogli polegać na zaciągu naszych rekrutów z Ziemi. Będziemy musieli poprosić o wspomoczenie kolonie. Być może nawet będziemy zmuszeni wprowadzić obowiązkową służbę wojskową. A wiesz, co się wtedy stanie. Kolonie zaczną się buntować.

Będziemy mieli szczęście, jeśli uda nam się uniknąć wojny domowej. Nie informujemy o tym kolonistów wcale nie dlatego, że chcemy trzymać ich w niewiedzy i ciemnocie, tylko dlatego, żeby uniknąć rozpieprzenia całej Unii.

– Im dłużej będziemy z tym czekać, tym gorzej. Nigdy nie znajdziemy dobrego sposobu, w jaki moglibyśmy o tym powiadomić kolonie. A kiedy oni sami się o tym dowiedzą, będą się dziwić, dlaczego do diabła Unia Kolonialna trzymała to przed nimi w tajemnicy.

– To też nie zależy ode mnie.

– Tak, tak – warknął Szilard. – Ale na szczęście dla ciebie jest wyjście z tej sytuacji. Sagan niedługo skończy okres swojej obowiązkowej służby. Myślę, że do końca zostało jej kilka miesięcy, najwyżej rok. To na tyle niewiele, że możemy przenieść ją w stan spoczynku.

Z tego, co wiem, ona i tak zamierzała odejść ze służby po jej zakończeniu w regulaminowym terminie. Umieścimy ją na jakiejś nowiutkiej kolonii i może sobie tam siedzieć. A jeśli będzie opowiadać sąsiadom o jakimś Zgromadzeniu, to i tak nikt nie zwróci na to uwagi. Wszyscy będą zbyt zajęci zwożeniem plonów ze swoich pól.

– Myślisz, że uda ci się ją do tego skłonić?

– Możemy ją czymś skusić. Parę lat temu Sagan całkiem mocno przywiązała się do pewnego żołnierza KSO o nazwisku John Perry. Perry ma do odsłużenia o parę lat więcej od niej, ale w razie potrzeby, będziemy

mogli zwolnić go wcześniej. Wygląda też na to, że całkiem mocno przywiązała się do Zoe Boutin, która jest sierotą i nie ma gdzie się podziać.

Sam widzisz, dokąd to zmierza.

– Widzę – przyznał Mattson. – To ma szansę powodzenia.

– Zobaczą, co da się w tej sprawie zrobić. A skoro mówimy już o sekretach, to jak idą wam negocjacje z Obinami?

Mattson i Robbins spojrzeli na Szilarda pytającym wzrokiem.

– Nie prowadzimy z nimi żadnych negocjacji – powiedział w końcu Robbins.

– Oczywiście, że nie prowadzicie – powiedział Szilard. – Nie negocjujecie z Obinami na temat kontynuowania tego programu Boutina, który miał im zapewnić otrzymanie świadomości. A Obinowie nie negocjują z nami tego, żeby w zamian nie znokautować tych spośród Rraeyów i Eneshan, którzy wciąż jeszcze stoją na nogach po tej ich małej wojnie.

Nikt nie negocjuje z nikim na żaden temat. Tak więc, jak nie przebiegają te nienegocjacje?

Robbins spojrział na Mattsona, który skinął głową.

– Nie przebiegają zadziwiająco dobrze – odparł Robbins. – Prawdopodobnie nie uda nam się dojść do porozumienia w ciągu kilku najbliższych dni.

– To bardzo nie cudownie – ocenił Szilard.

– Chcę jeszcze wrócić do sprawy Sagan – rzekł Mattson. – Jak sądzisz, kiedy uda ci się uzyskać od niej odpowiedź?

– Przedstawię jej tę propozycję jeszcze dzisiaj. I powiem jej, żeby była gotowa za tydzień. W tym czasie powinna dać sobie radę z wszystkim, co będzie miała jeszcze do zrobienia.

– Czyli na przykład z czym?

– Z pożegnaniami i raportami końcowymi, oczywiście. I z paroma decyzjami, o podjęcie których zamierzam ją jeszcze poprosić.



Jane Sagan wpatrywała się w widoczny na monitorze świetlny punkt.

– Co to jest? – zapytała.

– To dusza Jareda Diraca – wyjaśnił Cainen. Porucznik spojrzała na niego.

– Pamiętam, że kiedyś powiedział mi pan, że żołnierze Sił Specjalnych nie mają dusz.

– Powiedziałem to w innym miejscu, i w innym czasie. A teraz nie jestem już tak głupi jak wtedy. Ale niech pani będzie, to jego świadomość. Odzyskana z Arista przez jednego z waszych żołnierzy, jak sądzę. I z tego, co wiem, zapisana przez Charles Boutina. Rozumiem, że to pani musi zdecydować, co mam z tym zrobić.

Sagan przytaknęła. Szilard przyszedł do niej i zaoferował jej zwolnienie ze służby, a także zwolnienie ze służby Johna Perry'ego, a także prawo do opieki nad Zoe Boutin pod warunkiem, że nie puści pary z ust na temat Zgromadzenia i zadecyduje, co zrobić ze świadomością Jareda Diraca.

::Rozumiem, dlaczego mam milczeć na temat Zgromadzenia, ale zupełnie nie wiem, dlaczego mam podjąć decyzję w sprawie Diraca.::

::Po prostu jestem ciekaw, co pani robi.:: – zakomunikował Szilard i odmówił jakichkolwiek dalszych wyjaśnień.

– Co pani z tym robi? – zapytał Cainen.

– A co pańskim zdaniem powinnam z tym zrobić?

– Dokładnie wiem, co powinna pani z tym zrobić. Ale nie jestem panią i nie powiem, co ja bym z tym zrobił, dopóki najpierw nie usłyszę, co trzeba

zrobić pani zdaniem.

Sagan spojrzała na Harry'ego Wilsona, który przyglądał im się z zainteresowaniem.

– A ty co byś z tym zrobił, Harry?

– Przykro mi, Jane. – Uśmiechnął się. – Nie mogę ci pomóc. To twoje zadanie.

– Mógłby pan go sprowadzić z powrotem? – zapytała Cainena.

– To jest możliwe. Teraz wiemy o tym więcej niż przedtem. Być może udałoby się nam przygotować mózg lepiej, niż oni przygotowali mózg Diraca na przyjęcie osobowości Boutina. Zawsze zachodzi ryzyko tego, że transfer się nie uda, a wtedy będziemy mieć powtórkę z poprzedniej sytuacji; zamiast przesyłanej wyrosła by inna osobowość, a ta pierwsza powoli by się do niej przebijała. Jednak sądzę, że teraz ryzyko jest znacznie mniejsze niż dawniej, a za jakiś czas nie będzie już żadnego ryzyka. Myślę, że moglibyśmy sprowadzić go z powrotem, jeśli tego właśnie pani chce.

– Ale sam Jared tego nie chciał, prawda? Przecież wiedział, że jego świadomość została nagrana. Mógł mnie poprosić, żebym spróbowała ją uratować. Ale tego nie zrobił.

– Nie, nie zrobił tego – zgodził się Cainen.

– Jared dokonał wyboru. I to właśnie on miał go dokonać. Proszę skasować nagranie, Cainen.

– I teraz już pani wie, dlaczego sądzę, że macie dusze. Proszę przyjąć moje przeprosiny za to, że kiedykolwiek w to wątpiłem.

– Przeprosiny są niepotrzebne, ale zostały przyjęte.

– Dziękuję. A teraz, porucznik Sagan, zastanawiałem się, czy mógłbym prosić panią o przysługę. Zresztą być może nie jest to wcale przysługa, tylko raczej wezwanie do spłaty pewnego długu.

– O co chodzi? – zapytała.

Cainen spojrział na Wilsona, który nagle posmutniał.

– Nie musisz tutaj zostawać, mój przyjacielu,.

– Oczywiście, że zostanę, ale pozwól, że powtórzę po raz kolejny: jesteś cholernym głupcem.

– Zauważyłem. I doceniam głębię myśli.

Wilson skrzyżował ręce na piersiach, wyglądał na zdenerwowanego.

– Niech pan mówi – zachęciła Sagan.

– Chcę umrzeć, pani porucznik. W ciągu ostatnich paru miesięcy działanie dostarczanego przez was antidotum znacznie osłabło. Mój ból narasta z każdym kolejnym dniem.

– Możemy dawać panu więcej.

– To prawdopodobnie mogłoby zadziałać, ale mój ból nie jest jedynie natury fizycznej. Jestem daleko od domu i mojego ludu, daleko od rzeczy, które dają mi radość. Bardzo sobie cenię przyjaźń z Harrym Wilsonem i z panią – akurat z panią!, spośród wszystkich ludzi ale codziennie czuję, jak ta część mnie, która jest Rraeyem, część, która jest prawdziwym mną, robi się coraz mniejsza i zimniejsza. Za całkiem niedługi czas nic już z niej nie zostanie i będę wtedy zupełnie samotny, absolutnie samotny. Z pozoru będę wciąż żył, ale w środku będę martwy.

– Mogę porozmawiać z generałem Szilardem na temat uwolnienia pana.

– To samo mu powiedziałem – wtrącił się Wilson.

– Wie pani przecież, że nigdy mnie nie uwolnią. Wykonałem już dla was za dużo badań. O wiele za dużo wiem. A nawet, jeśli byście mnie uwolnili, to myśli pani, że Rraeyowie z chęcią przyjęliby mnie z powrotem? Nie, pani porucznik. Jestem daleko od domu i wiem, że nigdy tam nie wrócę.

– Przykro mi, że panu to uczyniłam, Cainen. Gdybym to mogła zmienić, zrobiłabym to.

– Czemu miałyby pani to robić? Przecież uchroniła pani swój lud przed wojną, pani porucznik. Ja jestem jedynie pewną częścią kosztów.

– I tak jest mi przykro.

– Więc proszę spłacić swój dług wobec mnie i pomóc mi umrzeć.

– Jak miałabym to zrobić?

– W czasie moich studiów nad ludzką kulturą dowiedziałem się o sepuku. Wie pani, co to jest? – Sagan zaprzeczyła. – To rytualne samobójstwo, uprawiane przez Japończyków, był to jeden z ludów waszej ojczystej planety. Do odprawienia rytuału potrzebny jest Kaishcikunin, sekundant – ktoś, kto uśmierza ból osoby popełniającej sepuku zabijając ją w szczytowym momencie agonii. Zdecydowałem się umrzeć na chorobę, którą mnie zaraziliście, porucznik Sagan, ale boję się, że w chwili najcięższej agonii zacząłbym błagać o litość, tak, jak zrobiłem to za pierwszym razem, hańbiąc się na zawsze i stawiając pierwszy krok na drodze, która doprowadziła nas tutaj. Sekundant mógłby uchronić mnie przed tą hańbą. Proszę, żeby została pani moim sekundantem, poruczniku Sagan.

– Nie sądzę, żeby Kolonialne Siły Obrony pozwoliły mi pana zabić poza sytuacjami bojowymi.

– To prawda, i uważam to za ironię przekraczającą wszelkie granicę. Jednak, tym razem się na to zgodzą. Poprosiłem już generała Mattsona o pozwolenie, i udzielił mi go.

Poprosiłem również generała Szilarada o pozwolenie na to, żeby była pani moim sekundantem.

Również wyraził zgodę.

– Co pan zrobi, jeśli odmówię?

– Wie pani, co zrobię. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy powiedziała pani, że jest pani pewna, że chcę żyć, i miała pani rację. Ale,

jak powiedziałem wcześniej, jesteśmy w innym miejscu o innym czasie. W tym miejscu i w tym czasie, chcę zostać uwolniony. Jeśli będę musiał zrobić to sam, to zrobię to sam. Ale mam nadzieję, że będzie inaczej.

– I ma pan rację. Zgadza się, Cainen. Będę pańskim sekundantem.

– Z głębi serca i duszy dziękuję pani, porucznik Sagan, moja przyjaciółko – Cainen spojrzał na Wilsona, który płakał. – A ty, Harry? Przedtem poprosiłem cię, żebyś mi towarzyszył i odmówiłeś mi. Teraz proszę cię o to jeszcze raz.

Wilson gniewnie skinął głową.

– Dobrze – zgodził się. – Zrobię to, ty zawszony sukinsynu. Będę tam w chwili twojej śmierci.

– Dziękuję Harry – rzekł Cainen i jeszcze raz zwrócił się do Sagan. – Potrzebuję dwóch dni na dokończenie paru spraw. Czy mnie pani trzeciego dnia wieczorem?

– Przyjdę w wyznaczonym terminie – zapewniła. – Pani nóż bojowy powinien wystarczyć, jak sądzę – oświadczył Cainen.

– Jeśli tego pan właśnie chce. Czy jest jeszcze coś, co mogłabym dla pana zrobić?

– Jeszcze jedna rzecz, jednak zrozumieć, jeśli nie będzie mogła pani tego robić.

– Proszę powiedzieć o co chodzi.

– Urodziłem się na kolonii o nazwie Fala. Tam również się wychowałem. Kiedy umrę, jeśli to będzie możliwe, chciałbym tam wrócić. Chociaż wiem, że trudno to będzie zorganizować.

– Zorganizuję to. Nawet, jeśli będę musiała pana tam zawieźć osobiście. Obiecuję, że wróci pan do domu.



W miesiąc po powrocie Zoe i Sagan na Stację Feniks, polecili wahadłowcem, aby odwiedzić grób rodziców dziewczynki.

Pilotem wahadłowca był porucznik Cloud, który zapytał o Jareda. Sagan poinformowała go, że zmarł. Porucznik Cloud przez chwilę milczał a potem zaczął opowiadać jej dowcipy, które usłyszał od Jareda. Sagan śmiała się z nich.

Sagan stanęła przy grobie, podczas gdy Zoe uklękła i przeczytała imiona swoich rodziców, spokojnie i wyraźnie. W ciągu tego miesiąca obserwowała przemianę Zoe z nieśmiałej dziewczynki, wyglądającej na młodszą niż była w rzeczywistości, bezustannie pytającej o ojca, w kogoś szczęśliwszego i rozmowniejszego; zaczęła się również zachowywać bardziej odpowiednio do swojego wieku. Tak się zresztą składało, że była niewiele młodszą od Sagan.

– Tutaj jest moje imię – zauważyła Zoe, przesuwając palcem po literach.

– Na początku twój ojciec myślał przez chwilę, że nie żyjesz – wyjaśniła Sagan.

– No, ale ja żyję – Zoe oznajmiła stanowczo.

– Oczywiście, że żyjesz. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości – odparła Sagan z uśmiechem.

Zoe położyła dłoń na imieniu ojca.

– Tak naprawdę, to go tutaj nie ma, prawda? Tu, pode mną.

– Nie – potwierdziła Sagan. – Umarł na Ariście. Czyli tam, gdzie byłeś, zanim przyleciałyśmy tutaj.

– Wiem – rzekła Zoe i spojrzała w górę na Sagan. – Pan Jared też tam zmarł, prawda?

– Tak.

– Powiedział, że mnie zna, ale ja go w ogóle nie pamiętałam.

– Naprawdę cię znał, ale trudno to wytłumaczyć. Wytłumaczę ci to, kiedy będziesz starsza.

Zoe znów spojrzała na nagrobek.

– Wszyscy ludzie, którzy mnie znali, odeszli – powiedziała cichym, śpiwnym głosem. -Wszyscy moi ludzie odeszli.

Sagan uklękała za plecami Zoe i mocno ją przytuliła: – Przykro mi, Zoe.

– Wiem. Mnie też jest przykro. Tęsknię za tatusiem i mamusią. Tęsknię nawet trochę za panem Jaredem, chociaż nie znałam go za dobrze.

– Wiem, że oni też za tobą tęsknią. Sagan obeszła Zoe i stanęła przed nią. – Posłuchaj, Zoe, niedługo zamierzam wyjechać na kolonię, na której zamieszkam. Jeśli chcesz, możesz jechać ze mną.

– Będziemy tam tylko we dwie?

– Będziemy tam my dwie i mężczyzna, którego bardzo kocham.

– A ja będę go lubić? – spytała Zoe. – Myślę, że tak. Ja lubię jego i ciebie, więc i wy powinniście się polubić. Ty, ja i on.

– Jak rodzina – rzekła Zoe.

– Tak, jak rodzina – powtórzyła Sagan. – Bardzo jak rodzina.

– Ale ja już mam tatusia i mamusię.

– Wiem, Zoe. Nigdy, przenigdy nie chciałabym, żebyś o nich zapomniała. John i ja bylibyśmy tylko parą dorosłych, która byłaby bardzo szczęśliwa mogąc z tobą żyć.

– John – powtórzyła Zoe. – John i Jane. John,. Jane i Zoe.

– John, Jane i Zoe – powtórzyła Sagan.

– John, Jane i Zoe. – Zoe wstała i zaczęła poruszać się w rytmie wymawianych imion. -John, Jane i Zoe. John, Jane i Zoe! To mi się podoba!

– Mnie też.

– No to super. A teraz jestem głodna. Sagan zaśmiała się.

- W takim razie trzeba znaleźć ci coś dojedzenia.
- Zgadzam się. Pożegnam się tylko z mamą i tatą. – Podbiegła do płyty nagrobka i pocałowała ją. – Kocham was. – Pognała z powrotem do Sagan i wzięła ją za rękę. – Jestem gotowa, możemy iść jeść.
- Na co miałybyś ochotę?
- A co mamy do wyboru?
- Mnóstwo rzeczy. Wybierz jakąś.
- Nie ma sprawy – zgodziła się Zoe. – Jestem bardzo dobra w wybieraniu różnych rzeczy.
- Bardzo miło mi to słyszeć – Sagan mocno przytuliła dziewczynkę.

JOHN SCALZI



John Scalzi mieszka w Ohio, jest dziennikarzem, felietonistą i autorem takich książek jak „Zarys przewodnika po wszechświecie” i „Księga Głupców”. Jego internetowy dziennik „The Whatever” (<http://www.scalzi.com/whatever>), jest jednym z najstarszych i najczęściej czytanych blogów w sieci.